

MARGARET

ATWOOD

KOBIETA
DO ZJEDZENIA



 WIELKA LITERA

MARGARET
ATWOOD
KOBIEȦ
DO ZJEDZENIA

Z angielskiego przełóżyła
Małgorzata Golewska-Stafiej



Dla J.

Powierzchnia, na której pracujesz (najlepiej marmur), utensylia, składniki i twoje palce przez cały czas powinny być chłodne...

Z przepisu na ciasto francuskie,

I.S. Rombauer i M.R. Becker, *The Joy of Cooking*

Wstęp

Kobietę do zjedzenia pisałam wiosną i latem 1965 roku na czystych arkuszach egzaminacyjnych wyniesionych z University of Columbia, gdzie podczas roku akademickiego prowadziłam zajęcia z języka angielskiego ze studentami pierwszego roku. Pomysł sceny tytułowej zrodził się rok wcześniej. Wpadł mi do głowy, gdy zobaczyłam wystawę cukierni pełną prosiaków z marcepanu. Równie dobrze mogła to być witryna Woolwortha pełna Myszek Miki z ciasta. To nieistotne. Ważne, że już od jakiegoś czasu intrygowała mnie koncepcja symbolicznego kanibalizmu. Moje szczególne zainteresowanie budziły wówczas torty weselne ozdobione cukrową parą nowożeńców. *Kobieta do zjedzenia* zatem wykiełkowała w umyśle kobiety dwudziestotrzyletniej, a została napisana przez kobietę dwudziestoczeroletnią, można by więc co bardziej szalone, groteskowe obrazy zawarte w tej powieści przypisać młodemu wiekowi jej autorki. Wolałabym jednak wierzyć, że miały one swoje korzenie w społeczeństwie, które ją otaczało.

(*Kobieta do zjedzenia* nie była moją pierwszą książką. Jej poprzedniczka powstała w wynajętej klitce w Toronto, lecz została odrzucona przez wszystkie trzy funkcjonujące wówczas kanadyjskie wydawnictwa jako zbyt ponura. W ostatnim rozdziale bohaterka zastanawiała się, czy nie zepchnąć z dachu pierwszoplanowej postaci płci męskiej – zakończenie zbyt awangardowe jak na rok 1963 i prawdopodobnie nadto hamletyczne na dzisiejsze czasy).

Kobietę do zjedzenia skończyłam w październiku 1965 roku, po czym wysłałam ją do wydawcy, który wcześniej okazał pewne zainteresowanie moją pierwszą książką. Po pierwszym pozytywnym liście zamilkł. Byłam zbyt zajęta doktoratem, by kontynuować tę korespondencję. Gdy odezwałam się po roku, okazało się, że maszynopis zaginął. Zaczęto mnie wtedy dostrzegać, ponieważ byłam już laureatką nagrody poetyckiej, więc przedstawiciel wydawnictwa zaprosił mnie na lunch. „Wydamy pani książkę”, oznajmił, unikając mojego spojrzenia. „Przeczytał ją pan?”, zapytałam. „Nie, ale przeczytam”. Podejrzewam, że nie była to

pierwsza książka, którą dał do druku, kierując się wyłącznie zakłopotaniem.

Ostatecznie *Kobieta do zjedzenia* ujrzała światło dzienne w roku 1969, cztery lata od jej napisania, co zbiegło się w czasie z narodzinami feminizmu w Ameryce Północnej. Niektórzy natychmiast uznali, że jest produktem tego ruchu. Określiłabym ją raczej jako powieść protofeministyczną: gdy ją pisałam w roku 1965, nie zanosilo się na żaden ruch kobiecy. Nie mam daru jasnowidzenia, mimo że jak wiele innych kobiet wcześniej ukradkiem przeczytałam Betty Friedan i Simone de Beauvoir. Warto zauważyć, że wybór dany mojej bohaterce pozostaje taki sam pod koniec powieści jak na jej początku: praca bez żadnych widoków lub małżeństwo. Trzeba pamiętać, że były to jedyne możliwości, jakie otwierały się przed młodą kobietą, nawet wykształconą, w Kanadzie na początku lat sześćdziesiątych. Błędem byłoby twierdzić, że od tej pory wszystko się zmieniło. W rzeczywistości powieść tę można uznać za bardziej współczesną obecnie niż – powiedzmy – w roku 1971, gdy panowało przeświadczenie, że społeczeństwo będzie rozwijać się o wiele szybciej, niż jesteśmy tego świadkami. Feminizm nie zrealizował stawianych sobie celów, a ci, którzy twierdzą że żyjemy w epoce postfeministycznej, głęboko się mylą lub są zmęczeni myśleniem o całej tej sprawie.

Kobieta do zjedzenia jest nieustannie wydawana w różnych formach w Ameryce Północnej. Dziękuję wydawnictwu Virago za ponowne jej pobudzenie do życia w Anglii.

Margaret Atwood, Edynburg, 1979

CZĘŚĆ
PIERWSZA

Wiem, że kiedy wstawałam w piątek rano, czułam się dobrze, byłam najwyżej nieco bardziej otępiała niż zazwyczaj. Gdy weszłam do kuchni, żeby zrobić sobie śniadanie, zastałam tam osowiałą Ainsley – powiedziała, że poprzedni wieczór spędziła na nieudanym przyjęciu. Zaklinała się, że towarzystwo składało się z samych studentów stomatologii, co wprowadziło ją w stan takiego przygnębienia, że musiała upić się na pocieszenie.

– Nie masz pojęcia, ile trzeba wypić – opowiadała – żeby przebrnąć przez dwadzieścia opowieści o tym, co ludzie mają w jamie ustnej. Najbardziej się ożywili, gdy zaczęłam opowiadać, jaki miałam kiedyś ubytek w zębie. Dosłownie ślinili się. Ale, na litość boską, większość mężczyzn interesuje się przecież nie tylko zębami.

Miała kaca, co wprowadziło mnie w dobry nastrój – poczułam się bardzo zdrowa – więc nalałam jej szklanek soku pomidorowego i żwawo przyrządziłam Alka Selzer. Słuchałam jej skarg, wydając współczujące pomruki.

– Jakbym nie miała tego w pracy... – dodała. Ainsley zajmuje się badaniem wadliwych elektrycznych szczoteczek do zębów w firmie produkującej elektryczne szczoteczki do zębów; takie sobie tymczasowe zajęcie. Czeka na okazję, żeby wkręcić się do jednej z tych małych galerii sztuki, chociaż tam słabo płacą; pragnie obcować z artystami. Mówiła, że w zeszłym roku jej pasją byli aktorzy, póki paru nie poznała.

– To zupełna fiksacja. Podejrzewam, że oni wszyscy noszą w kieszeni te zakrzywione lustreczka i zagląдают sobie w usta za każdym razem, kiedy wchodzi do klozetu, żeby sprawdzić, czy im się nie zrobiła jakaś dziurka.

W zamyśleniu przeczesła palcami włosy: długie i rude, czy może raczej kasztanowe.

– Wyobraź sobie, że się z takim całujesz, a on ci od razu: „Proszę szerzej”. Koszmarnie monotematyczni faceci!

– To rzeczywiście musiało być okropne – zauważyłam i ponownie napełniłam jej szklankę. – Nie mogłaś zmienić tematu?

Ainsley uniosła prawie nieistniejące brwi, których jeszcze nie zdążyła pomalować.

– Jasne, że nie – odparła. – Udawałam, że mnie to niezmiernie interesuje. No i, oczywiście, nie powiedziałam im, czym się zajmuję. Ci profesjonaliści stają się strasznie drażliwi, kiedy się okazuje, że ktoś wie coś na temat ich pracy. Sama wiesz, jaki jest Peter.

Ainsley lubi robić uszczypliwe uwagi na temat Petera, szczególnie wtedy, gdy nie najlepiej się czuje. Zachowałam się wspaniałomyślnie i nie zareagowałam.

– Lepiej coś zjedz przed wyjściem – poradziłam. – Dobrze mieć coś w żołądku.

– O rany – narzekła Ainsley. – Ja już nie mogę. Jeszcze jeden dzień pełen maszynek i jam ustnych. Nie wydarzyło się nic ciekawego od czasu, kiedy w ubiegłym miesiącu jakaś kobieta odesłała nam szczoteczkę, ponieważ wypadło z niej włosie. Okazało się, że używała proszku do szorowania wanny.

Tak się wciągnęłam w działanie na rzecz Ainsley, gratulując sobie jednocześnie wyższości moralnej nad nią, że nie zauważyłam, jak jest późno, dopóki sama nie zwróciła mi na to uwagi. W firmie produkującej elektryczne szczoteczki do zębów nikt się nie przejmuje, o której przychodzisz, ale moja firma uważa się za punktualną. Musiałam zrezygnować z jajka, wypić duszkiem szklankę mleka i zjeść zimne płatki, po których, wiedziałam o tym dobrze, będę głodna na długo przed przerwą na lunch. Zjadłam kawałek chleba i podczas gdy Ainsley przyglądała mi się w chorobliwym milczeniu, chwyciłam torebkę i wybiegłam, zostawiając jej zamknięcie mieszkania.

Mieszkamy w jednej ze starszych i lepszych dzielnic na górnym piętrze dużego domu, w czymś, co kiedyś mogło być pomieszczeniem dla służby. To znaczy, że od drzwi frontowych dzielą nas dwa odcinki schodów: wyższy – wąski i śliski, oraz niższy – wprawdzie szeroki i wyłożony chodnikiem, ale za to z obruszonymi prętami, które powinny chodnik przytrzymywać. Kiedy schodzę w szpilkach, których wymagają w biurze, muszę iść bokiem,

kurczowo trzymając się poręczy. Tego ranka udało mi się jakoś przejść obok rzędu antycznych mosiężnych szkandeli^[1], wiszących na ścianie wzdłuż schodów, uniknąć zderzenia z najeżonym kolcami kołowrotkiem na półpiętrze, przemknąć obok wystrzępionej chorągwi pułkowej za szkłem oraz galerii przodków w owalnych ramach, strzegących pierwszej kondygnacji. Odetchnęłam z ulgą, kiedy zobaczyłam, że w holu nie ma nikogo. Na dole ruszyłam wielkimi krokami ku drzwiom, mijając fikus po lewej, a po prawej stół z płócienną serwetką i okrągłą mosiężną tacą. Z prawej strony, spoza aksamitnej kotary, dobiegły mnie odgłosy porannej pokuty odprowadzanej na pianinie przez dziecko. Sądziłam, że jestem już bezpieczna.

Ale nim dotarłam do drzwi, otworzyły się bezszelestnie i wtedy wiedziałam, że wpadłam. To ta z dołu. Miała na rękach nieskalane rękawice ogrodowe i trzymała rydel. Ciekawe, kogóż to zakopywała w ogródku.

– Dzień dobry, panno MacAlpin – powiedziała.

– Dzień dobry. – Skinęłam głową i uśmiechnęłam się. Nie mogę zapamiętać jej nazwiska, Ainsley też nie potrafi. Pod tym względem obie cierpimy na – jak to mówią – zaćmienie umysłu. Wyjrzałam na ulicę za jej plecami, ale nie ustępowała.

– Wczoraj wieczorem nie było mnie w domu – oświadczyła. – Byłam na zebraniu. – Nigdy nie mówi od razu, o co jej chodzi. Przystąpiłam z nogi na nogę i uśmiechnęłam się znowu, w nadziei, iż zrozumie, że się spieszę. – Dziecko mi powiedziało, że znowu był pożar.

– No, niezupełnie pożar – zauważyłam. Dziecko potraktowało wzmiankę o sobie jako pretekst do przerwania ćwiczeń i stało teraz w aksamitnych drzwiach salonu, gapiąc się na mnie. To ciężkie stworzenie lat piętnastu albo coś koło tego, które posłano do ekskluzywnej, prywatnej szkoły dla dziewcząt, gdzie musi nosić zieloną sukienkę i odpowiedniego koloru podkolanówki, ma zapewne całkiem dobrze poukładane w głowie, ale jest coś kretyńskiego w kokardzie przyklepionej na czubku jej olbrzymiego cielska.

Ta z dołu zdjęła rękawiczkę i przygładziła kok.

– Ach, tak – zaczęła słodko. – Dziecko mówi, że było pełno dymu.

– Wszystko było w porządku – zapewniłam, tym razem bez uśmiechu. – To tylko kotlety wieprzowe.

– Ach, kotlety – powiedziała. – No tak. Ale byłabym wdzięczna, gdyby powiedziała pani panie Tewce, żeby na przyszłość starała się nie robić tyle dymu. Boję się, że to może przestraszyć dziecko. – Uważa, że tylko Ainsley jest odpowiedzialna za ten dym, i pewno myśli, że Ainsley wypuszcza go nosem, jak smok. Ale nigdy nie zatrzymuje w holu Ainsley, żeby o tym pomówić, tylko mnie. Podejrzewam, że doszła do wniosku, iż Ainsley nie zasługuje na szacunek, a ja zasługuję. Może z powodu tego, jak się ubieramy – Ainsley twierdzi, że wybieram ubrania jak kamuflaż albo barwy ochronne, chociaż ja nie widzę w tym nic złego. Ona woli neonowy róż.

Oczywiście autobus mi uciekł; przechodząc przez trawnik, widziałam, jak znika na moście w chmurze spalin. Kiedy stałam pod drzewem – na naszej ulicy jest dużo drzew, a wszystkie ogromne – czekając na następny, Ainsley wyszła z domu i dołączyła do mnie. Jest prawdziwą artystką, jeśli chodzi o błyskawiczne przebieranie się; ja nigdy nie potrafiłabym się tak szybko wyszykować. Wyglądała znacznie zdrowiej – prawdopodobnie dzięki makijażowi, chociaż z nią nigdy nic nie wiadomo. Rude włosy upięła na czubku głowy jak zawsze, gdy idzie do pracy. Kiedy indziej nosi je rozpuszczone. Miała na sobie pomarańczowo-różową sukienkę bez rękawów, moim zdaniem, zbyt opiętą na biodrach. Dzień zapowiadał się gorący i parny; już teraz czułam gęstniejący obłok własnych oparów, który oblepiał mnie jak plastikowy worek. Może i ja powinnam była włożyć sukienkę bez rękawów.

– Złapała mnie w holu – poinformowałam Ainsley. – W sprawie dymu.

– Stary babsztyl – podsumowała. – Niech pilnuje własnego nosa.

Ainsley nie pochodzi tak jak ja z małego miasteczka i dlatego nie jest przyzwyczajona do ludzkiego wścibstwa, poza tym nie przejmuje się tym aż tak bardzo. Nie zdaje sobie sprawy z konsekwencji.

– Nie jest znowu taka stara – zauważyłam, spoglądając w stronę zasłoniętych okien, chociaż wiedziałam, że nie może nas słyszeć. – Poza tym to nie ona zauważyła dym, tylko dziecko. Była na zebraniu.

– Chrześcijańskie Stowarzyszenie Kobiet do Walki o Wstrzemięźliwość – powiedziała Ainsley. – Albo Królewski Zakon Cór Imperium. Założę się, że nie była na żadnym zebraniu; schowała się za tę cholerną aksamitną kotarę, żebyśmy myślały, że na nie poszła, i żebyśmy naprawdę coś zrobiły. Ona czyha na jakąś orgię.

– Och, co ty bredzisz, Ainsley – oburzyłam się.

Ainsley jest przekonana, że ta z dołu wchodzi na górę pod naszą nieobecność i oniemiała z przerażenia ogląda nasze pokoje, a nawet, jak Ainsley podejrzewa, przegląda nasze listy, chociaż nie ma odwagi ich otworzyć. Faktem jest, że często otwiera drzwi naszym gościom, zanim naciśną dzwonek. Zapewne uważa, że ma prawo być ostrożna. Podczas rozmowy na temat wynajęcia mieszkania nie ukrywała, robiąc dyskretne aluzje do poprzednich mieszkańców, że za żadną cenę nie może narazić na szwank niewinności dziecka i że na dwóch młodych panienkach można bardziej polegać niż na dwóch młodzieńcach.

– Robię, co mogę – oświadczyła, wzdychając i potrząsając głową. Dała nam do zrozumienia, że jej mąż, którego olejny portret wisi nad pianinem, zostawił mniej pieniędzy, niż powinien. – Oczywiście, zdają sobie panie sprawę z tego, że mieszkanie nie ma osobnego wejścia – podkreślała wady, a nie zalety, jakby chciała nas zniechęcić. Powiedziałam, że zdajemy sobie sprawę. Ainsley nie odzywała się. Ustaliłyśmy, że ja mówię, a Ainsley siedzi i robi niewinną minę, co jej świetnie wychodzi, kiedy chce – ma różowiutką, naiwną, dziecinną twarzyczkę, nos jak guziczek i duże, niebieskie oczy, którym potrafi nadać rozmiar piłek pingpongowych. Nawet udało mi się ją namówić, żeby na tę okazję włożyła rękawiczki.

Ta z dołu znowu potrząsnęła głową.

– Gdyby nie dziecko – powiedziała – sprzedałabym ten dom. Ale chcę, żeby dorastała w porządnej dzielnicy.

Odparłam, że ją rozumiem, a ona stwierdziła, że dzielnica już nie jest tak porządna jak kiedyś; kilka większych domów okazało się zbyt kosztownych w utrzymaniu i właściciele zmuszeni byli sprzedać je emigrantom (kąciki jej ust lekko wykrzywiły się ku dołowi), którzy podzielili je na mieszkania do wynajęcia.

– Ale to jeszcze nie dotarło do naszej ulicy – zapewniła. – Dokładnie instruuję dziecko, którymi ulicami może chodzić, a którymi nie.

Wyraziłam pogląd, że to bardzo rozsądne. Znacznie łatwiej było się z nią dogadać przed podpisaniem umowy. Taki niski czynsz i dom tak blisko przystanku autobusowego. Prawdziwy skarb w tym mieście.

– Poza tym – dodałam, zwracając się do Ainsley – mają prawo niepokoić się dymem. Mógłby przecież wybuchnąć pożar. O innych rzeczach nigdy nic nie mówi.

– Jakich innych? Przecież nie robimy żadnych innych rzeczy.

– No tak... – zgodziłam się. Wydawało mi się, że ta z dołu rozpoznawała wszystkie butelkopodobne kształty, jakie wносиłyśmy na górę, chociaż ja starałam się, by wyglądały jak żywność. To prawda, że nigdy nam niczego specjalnie nie zabroniła – byłoby to zbyt wyraźnym pogwałceniem wyznawanego przez nią prawa niuansów – ale właśnie przez to odnoszę wrażenie, że tak naprawdę wszystko jest zakazane.

– W spokojne noce – wyznała Ainsley, kiedy podjeżdżał autobus – słyszę, jak wgryza się w drewno.

W autobusie nie rozmawiałyśmy; nie lubię rozmawiać w autobusie, wolę oglądać reklamy. A poza tym nie mamy z Ainsley nic wspólnego prócz tej z dołu. Poznałyśmy się na krótko przed wynajęciem tego mieszkania. Była koleżanką koleżanki, szukającą jak ja kogoś, z kim mogłaby wynająć mieszkanie na spółkę, tak jak to się zazwyczaj robi. Może powinnam była skorzystać z komputera, chociaż w sumie nie mam powodu do narzekań. Żyjemy razem dzięki symbiotycznemu dostosowaniu zwyczajów i z zachowaniem minimum tej blad różowej wrogości, tak często spotykanej u kobiet. Nasze mieszkanie nigdy nie jest idealnie czyste, ale dzięki niepisanej umowie nie dopuszczamy do powstania kotów z kurzu. Jeżeli ja myję naczynia po śniadaniu, Ainsley myje po kolacji; jeżeli ja zamiatam podłogę w salonie, Ainsley ściera stół kuchenny. Układ ten przypomina huśtawkę i obydwie wiemy, że jeżeli opuścimy jeden takt, cała sprawa się zawali. Oczywiście mamy osobne sypialnie i to, co się w nich dzieje, jest sprawą tylko i wyłącznie właścicielki. Na przykład podłogę w pokoju Ainsley pokrywa zdradliwe grzędawisko brudnych ubrań i popielniczek porozstawianych tu i tam jak kamienie znaczące przejście, ale chociaż uważam, że grozi to

pożarem, nigdy z nią o tym nie rozmawiam. Dzięki takim obustronnym ustępstwom – zakładam, że są one obustronne, ponieważ ja też na pewno robię coś, czego ona nie lubi – udaje nam się zachować pewną bezkolizyjną równowagę.

Dotarliśmy do stacji kolejki podziemnej, gdzie kupiłam sobie paczkę fistaszków. Zaczynałam już odczuwać głód. Poczęstowałam Ainsley, ale odmówiła, więc zjadłam wszystkie w drodze do miasta.

Nasze firmy znajdują się w tej samej dzielnicy, więc wysiadliśmy na trzecim przystanku od końca w kierunku południowym i przeszliśmy razem do pierwszej przecznicy.

– Aha, słuchaj – odezwała się Ainsley, kiedy skręcałam w moją ulicę. – Masz może trzy dolary? Skończyła się whisky. – Pogrzebałam w torebce i dałam jej, nie bez pewnego poczucia krzywdy, bo wydatki dzieliłyśmy równo, ale konsumpcję – rzadko. Mając dziesięć lat, napisałam wypracowanie o abstynencji na konkurs rozpisany przez kościelną szkołkę niedzielną i zilustrowałam je zdjęciami wypadków samochodowych, rysunkami chorej wątroby i wykresami wpływu alkoholu na układ krążenia; i to na pewno dlatego zawsze, kiedy piję drugiego drinka, mam przed oczami znak ostrzegawczy narysowany kolorowymi kredkami i czuję smak letniego soku winogronowego, który podają podczas komunii. Stawia mnie to w trudnej sytuacji wobec Petera, który lubi, gdy staram się dotrzymać mu kroku.

Idąc do biura, przyłapałam się na tym, że zazdroszczę Ainsley jej pracy. Chociaż moja jest lepiej płatna i ciekawsza, to jej była bardziej tymczasowa – Ainsley wiedziała, co chce robić potem. Pracowała w lśniącym, nowym budynku z klimatyzacją, podczas gdy mój był z burej cegły i miał małe okna. A poza tym jej zajęcie było niezwykle. Ludzie, których poznaje na przyjęciach, zawsze są zaskoczeni, dowiadując się, że sprawdza wadliwe elektryczne szczoteczki do zębów, a ona zawsze mówi:

– Cóż innego można zrobić z dyplomem w dzisiejszych czasach?

A moje zajęcie nikogo nie dziwi. Pomyślałam sobie także, że mam lepsze predyspozycje do wykonywania jej pracy niż ona. Patrząc na nasze mieszkanie, dochodzę do przekonania, że posiadam większe zdolności techniczne.

Gdy w końcu dotarłam do biura, byłam spóźniona o trzy kwadranse. Nikt tego nie skomentował, ale wszyscy zauważyli.

Wewnątrz panowała jeszcze większa duchota. Przecisnęłam się między biurkami do swojego kąta i ledwie usiadłam przy maszynie do pisania, a już uda przykleiły mi się do czarnej skóry pokrywającej krzesło. Zauważyłam, że klimatyzacja znowu wysiadła. Ale ponieważ jest to tylko wiatrak pod sufitem, mieszający powietrze niczym łyżka zupę, więc to żadna różnica, czy działa, czy nie. Nieruchome skrzydła miały jednak niewątpliwie zły wpływ na morale pań – odnosiło się wrażenie, że nic się nie dzieje, co jeszcze bardziej pogłębiało nastrój inercji. Przyłgnęły do biurek jak nieruchawe ropuchy, mrużyły oczy, otwierały i zamykały usta. Piątek to zawsze zły dzień w biurze.

Kiedy zaczęłam leniwie stukać w lepkie klawisze, tylnymi drzwiami wkroczyła pani Withers, dietetyczka. Przystanęła i potoczyła wzrokiem po pokoju. Uczesana była jak zawsze à la Betty Grable, na nogach miała eleganckie pantofelki bez palców, a jej ramiona nawet w sukience bez rękawów wyglądały jak wywatowane.

– Ach, Marian – ucieszyła się. – Zjawiłaś się w samą porę. Potrzebny mi jeszcze jeden degustator do ankiety na temat budyniu ryżowego, a żadna z pań nie jest dzisiaj głodna.

Odwróciła się i zważym krokiem ruszyła w kierunku kuchni. Te dietetyczki mają w sobie coś niezniszczalnego. Odkleiałam się od krzesła z uczuciem ochotnika wyciągniętego na siłę z szeregu, ale przypomniałam sobie, że mój żołądek nie pogardzi dodatkowym śniadaniem.

W maleńkiej, czyściuteńkiej kuchni wyjaśniła mi, na czym problem polega, nakładając równe porcje puszkowanego budyniu do trzech szklanych misek.

– Zajmujesz się kwestionariuszami, więc może potrafisz nam pomóc. Nie możemy się zdecydować, czy powinniśmy dawać do degustacji wszystkie trzy smaki podczas jednego posiłku, czy każdy smak osobno podczas kolejnych. A może... może po dwa, na przykład waniliowy i pomarańczowy podczas jednego posiłku, a waniliowy i karmelowy podczas drugiego. Oczywiście, chcemy uzyskać

możliwie najbardziej obiektywną próbkę, a wiele przecież zależy jeszcze od innych podanych potraw, od koloru jarzyn czy obrusa.

Spróbowałam waniliowy.

– Jak określiłabyś jego kolor? – zaniepokoiła się, trzymając ołówkę w pozycji gotowej do pisania. – Naturalny, trochę sztuczny czy zdecydowanie nienaturalny?

– A czy myślała pani o dodaniu rodzyneków? – spytałam, zabierając się do karmelowego. Nie chciałam sprawiać jej przykrości.

– Rodzynki to zbyt ryzykowne – stwierdziła. – Wiele osób ich nie lubi.

Odstawiłam karmelowy i spróbowałam pomarańczowy.

– Czy będą podane na gorąco? – zainteresowałam się. – Może ze śmietanką?

– To jest produkt przeznaczony głównie dla tych, którzy nie mają czasu – wyjaśniła. – Ci zawsze wolą na zimno. Śmietankę mogą sobie dodać potem, jeżeli zechcą. Nie mamy nic przeciwko temu, chociaż nie jest to konieczne ze względu na wartości odżywcze. Budyń wzmocniony jest witaminami. Teraz zależy nam na ocenie czysto smakowej.

– Wydaje mi się, że najlepiej będzie podawać do kolejnych posiłków – powiedziałam.

– Dobrze byłoby to zrobić wczesnym popołudniem. Ale nam potrzebna jest przecież opinia całej rodziny... – W zamyśleniu stuknęła ołówkiem w brzeg zlewozmywaka z nierdzewnej stali.

– Właśnie – zgodziłam się. – To może ja już wrócę do siebie. – Decydowanie za nich o tym, czego chcą, nie należy do moich obowiązków.

Czasami zachodzę w głowę, co należy do moich obowiązków, zwłaszcza gdy wypytuję przez telefon mechaników samochodowych o jakieś tłoki i uszczelki albo gdy na rogu ulicy rozdaję precele podejrzliwym starszkom. Wiem, po co zatrudniła mnie firma Seymour Surveys: mam spędzać czas na przeglądaniu kwestionariuszy, przekładaniu zawilej i zbyt wyrafinowanej prozy języka psychologów, którzy są ich autorami, na proste pytania zrozumiałe zarówno dla tych, którzy je zadają, jak i tych, którzy mają na nie odpowiadać. Pytanie: „W jakim przedziale procentowym

umieściłaby Pani/Pan wartość wrażenia wizualnego?” jest do niczego. Kiedy po dyplomie dostałam tę pracę, wydawało mi się, że mam szczęście – była lepsza niż wiele innych zajęć. Ale po czterech miesiącach jej zakres pozostaje nadal niejasny.

Czasami sędzę, że przyuczają mnie do czegoś lepszego, ale ponieważ mam jedynie nikłe wyobrażenie o strukturze organizacyjnej Seymour Surveys, nie mam pojęcia, co by to mogło być. Firma ma strukturę trzywarstwową, jak lody w waflu, chrupka warstwa górna i dolna, a nasz dział – lepka warstwa środkowa. Piętro nad nami zajmują dyrektorzy i psychologowie. Mówi się o nich „mężczyźni z góry”, ponieważ są to sami mężczyźni. Oni załatwiają sprawy z klientami. Zajrzałam kiedyś do ich pokoi wyłożonych dywanami, z kosztownymi meblami i sitodrukowymi reprodukcjami obrazów Grupy Siedmiu na ścianach. Pod nami znajdują się maszyny: kopiarki, IBM-ki do liczenia, segregowania i zestawiania informacji. Tam też kiedyś byłam; panuje tam fabryczny łoskot, ludzie sprawiają wrażenie nerwowo wykończonych, przepracowanych i mają palce poplamione farbą. Nasz dział łączy tamte dwa: mamy zajmować się pierwiastkiem ludzkim – ankieterkami. Ponieważ badanie rynku to rodzaj przemysłu nakładczego, więc podobnie jak na przykład w zakładzie rozprowadzającym ręcznie robione skarpety, zatrudniane są tu wyłącznie gospodynie domowe pracujące w wolnych chwilach i opłacane akordowo. Nie zarabiają wiele, ale po prostu lubią wyrwać się z domu. Odpowiadające na pytania nie dostają nic. Często zastanawiam się, dlaczego to robią. Może dzięki tej ulotce reklamowej, która mówi, że mogą – prawie tak jak naukowcy – przyczynić się do ulepszenia rzeczy, których używają we własnych domach. A może lubią sobie z kimś porozmawiać. Chociaż podejrzewam, że większości ludzi pochlebia, gdy ktoś pyta ich o zdanie.

I tak, ponieważ nasz dział ma do czynienia przeważnie z gospodyniami domowymi, pracują tu wyłącznie kobiety, z wyjątkiem nieszczęsnego gońca. Zajmujemy ogromny pokój, pomalowany na biurowy, zielony kolor, z kubikiem z matowego szkła zajmowanym przez szefową działu, panią Bogue, w jednym końcu, a w drugim z drewnianymi stołami dla kobiet o macierzyńskim wyglądem, które odcyfrowują pisma ankietowanych i kolorowymi

kredkami stawiają krzyżyki i ptaszki na wypełnionych kwestionariuszach – z nożyczkami w ręku, obłożone klejem i stertami papieru, wyglądają jak grupa podstarzałych przedszkolaków. Reszta działu siedzi przy różnych biurkach pośrodku pokoju. Mamy wygodny, oddzielony kretonową zasłoną pokój śniadaniowy dla tych pań, które przynoszą lunch w papierowych torbach, oraz automat do kawy i herbaty, chociaż niektóre panie używają własnych czajników. Mamy też różową łazienkę z umieszczoną nad lustrem tabliczką, która przypomina, żeby nie zostawiać w umywalce włosów i fusów od herbaty.

Czym jeszcze mogłabym wobec tego zostać w Seymour Surveys? Nie będę jednym z mężczyzn z góry ani też operatorką czy panią od znaczenia kwestionariuszy, bo byłby to szczebel w dół. Nie jest wykluczone, że mogłabym zostać panią Bogue albo jej asystentką, ale na ile mogłam się zorientować, czekałabym na to bardzo długo i wcale nie byłam pewna, czy lubiłabym to.

Właśnie kończyłam kwestionariusz dotyczący myjki do naczyń, bardzo pilny kwestionariusz, kiedy w drzwiach ukazała się pani Grot z księgowości. Miała sprawę do pani Bogue, ale wychodząc od niej, zatrzymała się przy moim biurku. Pani Grot jest niską, kręłą osobą o włosach koloru metalowych pojemników w lodówce.

– Panno MacAlpin – zazgrzytała – pracuje pani u nas już cztery miesiące, co znaczy, że ma pani prawo do funduszu emerytalnego.

– Fundusz emerytalny? – Mówiono mi o funduszu emerytalnym, kiedy zaczynałam tu pracować, ale już o tym zapomniałam. – Czy to nie za wcześnie? Czy nie wydaje się pani, że jestem za młoda?

– Nie zaszkodzi wcześniej zacząć – zapewniła pani Grot. Jej oczy za szklami błyszczały; cieszyła ją możliwość jeszcze jednego potrącenia z moich zarobków.

– Myślę, że chyba nie za bardzo interesuje mnie fundusz emerytalny – odpowiedziałam. – W każdym razie bardzo dziękuję.

– Tylko że, widzi pani, to jest obowiązkowe – zauważyła zasadniczym tonem.

– Obowiązkowe? Nawet jak nie chcę?

– Tak, bo gdyby nikt nie wpłacał, to nikt by z tego funduszu nic nie dostał, prawda? Przyniosłam wszystkie dokumenty. Potrzebny jest

tylko pani podpis w tym miejscu.

Podpisałam, ale po jej odejściu ogarnęło mnie nagłe przygnębienie. Przejęłam się bardziej, niż powinnam. Nie tylko ze względu na świadomość podporządkowania się przepisom, które mnie nie obchodzą i których nie ustanawiałam, do tego człowiek przyzwyczaja się już w szkole. Poczułam coś w rodzaju przesądnej paniki z tego powodu, że się podpisałam, złożyłam swój podpis pod magicznym dokumentem, który wiązał mnie z przyszłością tak odległą, iż nie potrafiłam nawet o niej myśleć. Gdzieś przede mną czekało jakieś ja, ja ukształtowane wcześniej, które po przepracowaniu niezliczonych lat dla Seymour Surveys otrzymuje swoją zapłatę. Emeryturę. Oczami duszy zobaczyłam ponury pokój z elektrycznym grzejnikiem. Być może będę miała aparat słuchowy, jak jedna z moich ciotek, która nigdy nie wyszła za mąż. Będę mówić sama do siebie, a dzieci będą rzucały we mnie pigułkami. Powiedziałam sobie, że to bzdury, że i tak najpewniej świat do tego czasu wyleci w powietrze. Przypomniałam sobie, że jeżeli zechcę, już jutro mogę stąd odejść i znaleźć nową pracę, ale nie pomagało. Myślałam o moim podpisie włożonym do segregatora, o segregatorze włożonym do szafy, o szafie wyniesionej gdzieś do podziemi i zamkniętej na klucz.

Z radością powitałam przerwę na kawę o wpół do jedenastej. Wiedziałam, że powinnam z niej zrezygnować i odpokutować poranne spóźnienie, ale bardzo potrzebna mi była jakaś zmiana nastroju.

Chodzę na kawę z trzema dziewczynami z naszego działu, które są jedynymi pracownikami mniej więcej w moim wieku. Czasami dołącza do nas Ainsley, kiedy ma dosyć towarzystwa rzeczoznawców od szczotek do zębów. Nie znaczy to wcale, że specjalnie lubi te trzy dziewczyny z mojego biura, które nazwała dziewczycami biurowymi. Poza tym, że wszystkie są farbowanymi blondynkami, zupełnie nie są do siebie podobne: Emmy – maszynistka o rzadkich włosach koloru przybrudzonej szczotki; Lucy – której praca polega na kontaktach z klientami, platynowa blondynka, zawsze elegancko uczesana, oraz Millie – australijska asystentka pani Bogue, o cerze miedzianej od słońca, ostrzyżona krótko. Wszystkie trzy – dziewice, jak wyznawały jedna po drugiej nad flisami kawowymi i resztkami grzanek: Millie z czysto harcerskiej praktyczności („Uważam, że w końcu lepiej

poczekać aż do ślubu, no nie? Mniej kłopotów”), Lucy ze strachu przed środowiskiem („Co ludzie powiedzą?”), wynikającego z przekonania, że wszystkie sypialnie są na podsłuchu, na którego drugim końcu siedzi społeczeństwo i słucha; a Emmy, biurowa hipochondryczka, z przekonania, że na pewno rozchorowała się od tego, i chyba ma rację. Wszystkie lubią podróżować: Millie mieszkała w Anglii, Lucy była dwa razy w Nowym Jorku, a Emmy chce pojechać na Florydę. Kiedy już się napodróżują, pragną wyjść za mąż i ustabilizować się.

– Słyszaliście, że w Quebecu odrzucili tę ankietę na temat środka przeczyszczającego? – zagadnęła Millie, kiedy usadowiłyśmy się przy stole w obskurnej, ale najbliższej restauracji po drugiej stronie ulicy. – Zanosilo się na wielką robotę: próba produktu we własnym domu i trzydzieści dwie strony pytań. – Millie zawsze pierwsza dowiaduje się o wszystkim.

– No i dobrze. – Emmy pociągnęła nosem. – Nie wyobrażam sobie, jak można kogoś wypytywać o to na trzydziestu dwóch stronach. – Znowu zajęła się zdrapywaniem lakieru z paznokcia. Emmy zawsze robi wrażenie postrzępionej. Nitki wiszą jej u spódnicy, szminka złazi suchymi łuskami, blond włosy oraz złuszczonej skóra okrywają jej ramiona i plecy; wszędzie zostawia po sobie ślady w postaci różnych strzępów.

Zauważyłam, że weszła Ainsley, i zamachałam do niej. Przecisnęła się do naszego stolika, powiedziała ogólne „cześć” i poprawiła spadający kosmyk włosów. Dziewice biurowe odpowiedziały na pozdrowienie, ale bez widocznego entuzjazmu.

– Już kiedyś to robili – ciągnęła Millie. Pracuje w Seymour Surveys najdłużej z nas. – I to wychodzi. Uważają, że kto dotrwa do strony czwartej, jest uzależniony od środków przeczyszczających, a stamtąd już niedaleko do końca.

– Co już robili? – wtrąciła się Ainsley.

– O co się zakładacie, że nie wytrze stołu? – odezwała się Lucy wystarczająco głośno, żeby kelnerka usłyszała. Nieustannie walczy z tą kelnerką, która ma klipsy od Woolwortha, ponurą minę i na pewno nie jest biurową dziewczyną.

– Ankietę na temat środka przeczyszczającego – wyjaśniłam, zwracając się do Ainsley.

Przyszła kelnerka, zamaszystym ruchem wytarła stół i przyjęła zamówienia. Lucy przyczepiła się do drożdżówki na ciepło – tym razem stanowczo nie życzy sobie rodzyneków.

– Ostatnio przyniosła mi z rodzynekami – poinformowała nas. – Więc jej powiedziałam, że nie znoszę rodzyneków. Nigdy nie lubiłam rodzyneków. Tfu!

– Dlaczego tylko Quebec? – dopytywała się Ainsley i wypuściła dym nosem. – Jakież przyczyny natury psychologicznej? – Ainsley miała dyplom z psychologii.

– Och, nie wiem – odpowiedziała Millie. – Myślę, że po prostu mieszkańcy Quebecu częściej mają zaparcia. Oni tam chyba jedzą dużo ziemniaków?

– Czy ziemniaki powodują aż takie zaparcie? – zaniepokoiła się Emmy, pochylając się nad stołem. Odgarnęła włosy z czoła, wzbijając obłok pyłu, który osiadł łagodnie na powierzchni stołu.

– To nie może być tylko z powodu ziemniaków – zawyrokowała Ainsley. – To musi być zbiorowy kompleks winy. Albo napięcia na tle językowym; muszą być strasznie zamknięci w sobie.

Dziewczyny popatrzyły na nią z wrogością i widać było, że uważają, iż Ainsley się popisuje.

– Okropnie dzisiaj gorąco – powiedziała Millie. – W biurze jak w piecu.

– A co u ciebie? – zapytałam Ainsley, żeby rozładować napięcie.

Ainsley zgmiotła papierosa.

– Oj, mieliśmy niezły ubaw – zaczęła. – Jakaś kobieta chciała załatwić męża, robiąc krótkie spięcie w jego elektrycznej szczoteczce do zębów, i jeden z naszych chłopaków ma być świadkiem na sprawie. Ma stwierdzić, że w normalnych warunkach krótkie spięcie w takiej szczoteczce jest niemożliwe. I chce, żebym z nim poszła jako specjalna asystentka, ale to straszny nudziarz. Od razu widać, że jest do niczego w łóżku.

Podjejrzałam ją o wymyślenie tej historyjki, ale jej oczy były bardzo niebieskie i bardzo okrągłe. Dziewice biurowe skuliły się;

Ainsley lubi mimochodem robić aluzje na temat różnych mężczyzn w jej życiu, co je bardzo peszy.

Na szczęście przyszły nasze zamówienia.

– Znowu mi przyniosła z rodzynkami – jęknęła Lucy i zaczęła wydłubywać je długimi, kształtnymi, opalizującymi paznokciami, a potem odkładać na brzeg talerzyka.

W drodze powrotnej do biura pożałowałam się Millie na fundusz emerytalny.

– Nie wiedziałam, że to obowiązkowe – powiedziałam. – Nie widzę powodu, żeby wpłacać na ten ich fundusz emerytalny i żeby te wszystkie stare baby, takie panie Grot, mogły przejść na emeryturę i ciągnąć z moich zarobków.

– No tak, mnie to też na początku denerwowało – stwierdziła Millie obojętnie. – Przejdzie ci. O rany, mam nadzieję, że naprawili tę wentylację.

Po powrocie z lunchu lizałam i przyklejałam znaczki do kopert z ogólnokrajową ankietą na temat błyskawicznego sosu do deserów – co nie należy do moich obowiązków, ale ktoś w dziale maszyn źle odbił jeden arkusz kwestionariusza – kiedy pani Bogue wyszła ze swojego kubika.

– Marian – zagadnęła, wzdychając z rezygnacją. – Obawiam się, że trzeba będzie usunąć tę panią Dodge w Kamloops. Jest w ciąży. – Pani Bogue lekko zmarszczyła brwi: jej zdaniem ciąża stanowi akt zdrady wobec firmy.

– To niedobrze – odparłam. Wielka mapa ścienna Kanady, upstrzona czerwonymi pinezkami jak wysypką, wisi akurat nad moim biurkiem i zdaje się, że odejmowanie i dodawanie ankieterek uznano za mój obowiązek. Wdrapałam się na biurko, znalazłam Kamloops i wyciągnęłam pinezkę z papierową chorągiewką z napisem Dodge.

– Skoro już tam jesteś – odezwała się pani Bogue – to czy mogłabyś wyjąć panią Ellis z Blind River? Mam nadzieję, że tylko chwilowo. Zawsze spisywała się dobrze, ale zawiadomiła nas, że jakaś kobieta przegoniła ją z domu rzeźnickim toporem i że przewróciła się na schodach, i złamała nogę. Aha, i wepnij tę nową, panią Gauthier w Charlottetown. Mam nadzieję, że będzie lepsza od swojej poprzedniczki; ciągle są jakieś kłopoty z tym Charlottetown.

Kiedy zeszałam z biurka, uśmiechnęła się do mnie miło, co wzbudziło moją czujność. Pani Bogue ma przyjacielski, można powiedzieć – ujmujący sposób bycia, co jej cudownie pomaga w załatwianiu spraw z ankieterkami, a kiedy czegoś potrzebuje, potrafi być uosobieniem dobroci.

– Marian – zaczęła. – Mamy pewien problem. W przyszłym tygodniu będziemy przeprowadzać ankietę na temat piwa, wiesz którą, tę telefoniczną, i na górze zdecydowali, że pod koniec tego tygodnia powinniśmy zrobić ankietę wstępną. Niepokoi mnie sprawa kwestionariuszy. Mogłybyśmy je dać pani Pilcher, to

odpowiedzialna osoba, ale teraz będzie długi weekend i nie chciałybyśmy jej fatygować. Ty zostajesz w mieście, prawda?

– A to musi być podczas tego weekendu? – upewniłam się trochę bez sensu.

– Koniecznie musimy mieć wyniki na wtorek. Wystarczy siedmiu, ośmiu mężczyzn.

Moje poranne spóźnienie dodało jej odwagi.

– Dobrze – odparłam. – Jutro ich załatwię.

– Dostaniesz, oczywiście, nadgodziny – zapewniła pani Bogue, wychodząc, a ja zastanowiłam się, czy to przypadkiem nie była złośliwość. Ona jest zawsze taka uprzejma, że trudno się zorientować.

Skończyłam lizanie kopert, wzięłam od Millie kwestionariusze na temat piwa i przeglądałam pytania, szukając niezrozumiałych miejsc. Pytania przygotowawcze były takie jak zawsze. Potem szły pytania mające na celu zbadanie reakcji słuchacza na muzyczny motyw radiowy – część kampanii reklamującej nowy gatunek piwa, które jedna z wielkich wytwórni zamierzała wypuścić na rynek. W pewnym momencie ankietarka miała poprosić respondenta, żeby wykręcił podany numer telefoniczny, a w słuchawce odezwać się miał ten motyw. Następnie były pytania, czy podoba mu się taka reklama, czy jest w stanie zmienić jego przyzwyczajenia, i tak dalej.

Wykręciłam ten numer. Ankietowanie zaczynało się dopiero w przyszłym tygodniu, więc ktoś mógł zapomnieć o nastawieniu płyty, a nie chciałam wyjść na idiotkę.

Po sygnale wstępnym, brzęczeniu i trzaskach głęboki bas przy akompaniamencie gitary elektrycznej odśpiewał:

Moose, Moose^[2]

Z krainy sosny i świerka,

Podniecające, mocne, dzikie...

Potem na tle muzyki ciągnął kusząco inny męski głos, równie głęboki jak głos pieśniarza:

Każdy prawdziwy mężczyzna, który spędza prawdziwie męski urlop – na polowaniu, na rybach czy po prostu oddając się relaksowi w starym stylu – pragnie mieć pod ręką piwo o zdrowym, krzepiącym smaku i na

wskroś męskim bukicie. Pierwszy, głęboki, zimny łyk piwa Moose wystarczy, byś przekonał się, że piwo Moose stanowi spełnienie twoich marzeń o prawdziwej rozkoszy picia piwa. Niechaj kufel pełen wyśmienitego piwa Moose nasyci tchnieniem puszczy twój dzień dzisiejszy.

I znowu pieśniarz:

Podniecające, mocne, dzikie.

Piwo Moose, Moose, Moose!!!

Po kulminacyjnym akordzie płyta wyłączyła się. Wszystko było w porządku.

Przypomniałam sobie szkice do prezentacji wizualnej, która miała ukazać się w pismach i na plakatach: na nalepce poroże łosia, a pod nim strzelba skrzyżowana z wędką. Reklama śpiewana miała wzmocnić efekt; nie wydawało mi się to zbyt oryginalne, ale zrobiła na mnie wrażenie subtelność zwrotu: „relaks w starym stylu”. Było to pomyślane tak, by przeciętny piwosz, z gatunku tych przygarbionych i brzuchatych, poczuł mistyczną więź z myśliwym albo wędkarzem przedstawianym na zdjęciach w kraciastej kurtce z nogą opartą na jeleniu albo w trakcie zagarniania pstrąga do sieci.

Doszłam do ostatniej strony, kiedy odezwał się telefon. Dzwonił Peter. Z tonu jego głosu domyśliłam się, że coś jest nie tak.

– Słuchaj, Marian. Nie wyrobię się dzisiaj z tą kolacją.

– Tak? – powiedziałam, czekając na dalsze wyjaśnienia. Poczułam się zawiedziona. Myślałam, że kolacja z Peterem poprawi mi humor. Poza tym znowu byłam głodna. Przez cały dzień jadłam jakieś przypadkowe przekąski i liczyłam na coś solidnego i konkretnego. Oznaczało to, że czeka mnie jeszcze jedna paczkowana kolacja telewizyjna, jedna z tych, które trzymałyśmy z Ainsley na wszelki wypadek.

– Na pewno mnie zrozumiesz. Posłuchaj, Trigger... – Głos mu się załamał. – Trigger się żeni.

– Coś takiego! – zdziwiłam się. Chciałam powiedzieć: „To niedobrze”, ale nie wydało mi się to odpowiednie. Wyrażanie współczucia, jakby to było jakieś drobne wydarzenie, nie miało sensu

tam, gdzie chodziło o prawdziwą katastrofę. – Chcesz, żebym z tobą poszła? – zapytałam, oferując pomoc.

– Broń Boże! – przeraził się. – Tak byłoby jeszcze gorzej. Zobaczymy się jutro, dobrze?

Kiedy odłożyłam słuchawkę, zamyśliłam się nad następstwami. Przede wszystkim nie ulegało wątpliwości, że następnego wieczoru trzeba będzie obchodzić się z Peterem ostrożnie. Trigger był jednym z najstarszych przyjaciół Petera, a właściwie ostatnim z paczki, który utrzymał się jeszcze w stanie kawalerskim. To było jak epidemia. Na krótko przedtem, nim go poznałam, odeszło dwóch, a w ciągu następnych czterech miesięcy odpadli dwaj pozostali bez żadnego uprzedzenia. Tego lata Peter i Trigger coraz częściej sami organizowali kawalerskie popijawy, a nawet kiedy tamtym udało się wyrwać wieczorem od żon i przyłączyć do nich, to i tak smak takiego spotkania, jak wywnioskowałam z ponurych relacji Petera, był tylko sztucznym substytutem niefrasobliwej wesołości czasów minionych. Peter i Trigger jak tonący trzymali się kurczowo jeden drugiego, usiłując widzieć w sobie nawzajem własne podnoszące na duchu odbicia. A teraz Trigger poszedł na dno i zwierciadło będzie puste. Oczywiście zostali jeszcze inni młodzi prawnicy, ale przeważnie żonaci i należący już do srebrnych lat pouniwersyteckich Petera, a nie do wcześniejszego okresu złotego.

Było mi go żal, ale jednocześnie wiedziałam, że muszę zachować ostrożność. Jeżeli poprzednie dwa śluby miały stanowić jakąś wskazówkę, to taką, że po dwóch, trzech drinkach Peter zacznie widzieć we mnie siostrę spiskującej syreny, która porwała Triggera. Bałam się spytać, jak to zrobiła: mógłby pomyśleć, że mam jakieś plany. Najlepiej będzie go zabawiać.

Kiedy tak sobie rozmyślałam, do mojego biurka podeszła Lucy.

– Czy mogłabyś napisać za mnie list do tej pani? – poprosiła. – Głowa mi pęka i nic nie mogę wymyślić. – Przyłożyła elegancką dłoń do czoła, drugą podała mi notatkę napisaną ołówkiem na kawałku kartonu. Przeczytałam:

Szanowny Panie,
płatki są smaczne, ale oto, co znalazłam
w rodzynkach.

Z poważaniem
Ramona Baldwin

U dołu listu taśmą samoprzylepną przyczepiono rozgniecioną muchę.

– To ta ankieta na temat płatków z rodzynkami – powiedziała omdlewającym głosem Lucy. Dopraszała się współczucia.

– No dobrze – zgodziłam się niechętnie. – Masz jej adres?

Napisałam kilka wersji:

Szanowna Pani Baldwin, jest nam niezmiernie przykro z powodu tego przedmiotu w Pani płatkach, ale drobne pomyłki tego rodzaju są nieuniknione. Szanowna Pani Baldwin, niezmiernie nam przykro, że naraziliśmy Panią na taki kłopot, zapewniamy Panią jednak, że cała zawartość opakowania była absolutnie sterylna. Szanowna Pani Baldwin, jesteśmy wdzięczni za zwrócenie nam uwagi na to zagadnienie, ponieważ zawsze chętnie przyjmujemy uwagi o naszych ewentualnych błędach.

Wiedziałam, że najważniejsze to nie nazwać muchy po imieniu.

Znowu zadzwonił telefon. Tym razem niespodzianka.

– Clara! – wykrzyknęłam, świadoma tego, że ją zaniedbałam. – Jak się czujesz?

– Do dupy, dziękuję – odrzekła Clara. – Może wpadłabyś na kolację. Bardzo chciałabym zobaczyć jakąś nową twarz.

– Z przyjemnością! – Mój entuzjazm był tylko w połowie prawdziwy; lepsze to niż kolacja paczkowana. – O której?

– No, wiesz – powiedziała Clara. – Kiedy przyjdiesz. My nie jesteśmy tacy punktualni. – Zabrzmiało to gorzko.

Teraz, kiedy już zobowiązałam się, pospiesznie rozważałam, co z tego wyniknie: zostałam zaproszona jako osoba do towarzystwa i powiernik, który wysłucha całej litanii kłopotów Clary, a na to nie miałam ochoty.

– Czy mogę przyprowadzić Ainsley? – spytałam. – Oczywiście, jeżeli ona nie ma innych planów. – Wmawiałam sobie, że Ainsley dobrze zrobi porządna kolacja – podczas przerwy wypła tylko kawę – ale w gruncie rzeczy chciałam, żeby wzięła na swoje barki trochę tego ciężaru. Mogłaby porozmawiać z Clarą o psychologii dziecięcej.

– Naturalnie, czemu nie? – zgodziła się Clara. – Im więcej, tym weselej, to nasze hasło.

Zadzwoiłam do Ainsley, wypytałam ostrożnie, czy ma jakieś plany kolacyjne, i dowiedziałam się o dwóch zaproszeniach, które odrzuciła – jedno od tego świadka w procesie o zabójstwo za pomocą szczoteczki do zębów, a drugie od studenta stomatologii z poprzedniego wieczoru. Tego drugiego potraktowała dość ostro: już nigdy się z nim nie umówi. Podobno powiedział jej, że na przyjęciu będą artyści.

– Więc nie masz nic do roboty – ustaliłam.

– No nie mam – potwierdziła Ainsley. – Chyba że coś jeszcze wyniknie.

– To może poszłabyś ze mną na kolację do Clary? – Spodziewałam się protestu, ale przyjęła zaproszenie spokojnie. Umówiliśmy się na stacji kolejki.

Wstałam od biurka o piątej i udałam się do chłodnej i różowej toalety damskiej. Potrzebowałam kilku minut odosobnienia, żeby się przygotować przed wyjściem do Clary. Ale Emmy, Lucy i Millie już tam były; czesały żółte włosy i poprawiały makijaż. W lustrach błyskały trzy pary oczu.

– Wychodzisz gdzieś wieczorem? – zagadnęła Lucy tonem podejrzanym. Korzystałyśmy z tego samego telefonu i naturalnie wiedziała o rozmowie z Peterem.

– Tak – odpowiedziałam, nie zagłębiając się w dalsze szczegóły. Ich tęskna ciekawość sprawiła, że poczułam się nieswojo.

Szłam w kierunku stacji kolejki w gęstych popołudniowych oparach upału i kurzu. Czułam się tak, jakbym poruszała się pod wodą. W oddali obok słupa telefonicznego zamigotała Ainsley. Dotarłam do niej i włączyłyśmy się w strumień urzędników, który wpływał schodami ku chłodnym podziemnym jaskiniom. Dzięki błyskawicznemu manewrowi zdobyłyśmy dwa wolne miejsca, chociaż po przeciwnych stronach wagonu. Siedząc, usiłowałam czytać ogłoszenia poprzez zasłonę chwiejących się postaci. Wskoczyłyśmy z kolejki i ruszyłyśmy na górę pastelowymi korytarzami. Zrobiło się jakby mniej duszno.

Dom Clary znajdował się kilka ulic dalej na północ. Szłyśmy w milczeniu. Pomyślałam, że mogłabym powiedzieć Ainsley o funduszu emerytalnym, ale rozmyśliłam się. Nie zrozumiałaby mojego niepokoju, nie pojęłaby, dlaczego nie rzucam tej pracy i nie szukam innej, i dlaczego to wcale nie rozwiązałoby kwestii w sposób ostateczny. Potem pomyślałam o Peterze i o tym, co mu się przydarzyło; ale Ainsley tylko by się z tego śmiała. W końcu spytałam, czy już się lepiej czuje.

– Marian, nie przejmuj się tak – uspokajała. – Robisz ze mnie ofiarę.

Trochę mnie to uraziło, ale nic nie powiedziałam.

Wspinałyśmy się na niewielkie wzniesienie. Od strony jeziora miasto rozciąga się na łagodnych pagórkach, chociaż z każdego miejsca teren wydaje się równy. Stąd chłodniejsze powietrze. Poza tym było tutaj spokojniej. Pomyślałam sobie, iż Clara ma szczęście, zwłaszcza w jej obecnym stanie, że mieszka tak daleko od upału i hałasu śródmieścia. Ona traktowała to jak zesłanie; zaczęli od mieszkania nieopodal uniwersytetu, ale potrzeba większego metrażu zepchnęła ich dalej na północ, chociaż jeszcze nie dotarli do właściwej dzielnicy willowej, dzielnicy nowoczesnych bungalowów i pojemnych samochodów rodzinnych. Ulica była stara, ale nie tak ładna jak nasza: po obu stronach ciągnęły się długie, wąskie bliźniaki z drewnianymi gankami i ogródkami na zapleczu.

– Jezu, jak gorąco – jęknęła Ainsley, kiedy skręciłyśmy na ścieżkę prowadzącą do domku Clary. Trawnik nie większy od wycieraczki od dawna nie był strzyżony. Na schodach leżała lalka z odpadającą głową, a w dzieciennym wózku duży miś z wyłazającymi wnętrzościami. Zapukałam i po jakimś czasie za oszklonymi drzwiami pojawił się Joe, zmęczony i rozczochrany, zapinając koszulę.

– Cześć, Joe – przywitałam go. – Jesteśmy. Jak się ma Clara?

– Cześć, wchodźcie – zaprosił do środka, przepuszczając nas przodem. – Clara jest z tyłu, w ogródku.

Przeszłyśmy przez całą długość domu rozplanowanego tak jak większość tego typu pomieszczeń – od frontu salon, potem jadalnia z rozsuwanymi drzwiami, a na końcu kuchnia – omijając przedmioty porzucane na podłodze. Pokonałyśmy schodki z kuchni na dwór, zastawione pustymi butelkami – po piwie, po mleku, po winie i whisky, butelkami do karmienia niemowląt – i znalazłyśmy Clare w ogrodzie. Siedziała w okrągłym wiklinowym fotelu. Stopy opierała na drugim fotelu, a gdzieś w okolicy tego, co kiedyś było podołkiem, trzymała młodsze dziecko. Clara jest tak szczupła, że jej cięższe są zawsze ostentacyjnie oczywiste, i teraz, w siódmym miesiącu, wyglądała jak boa dusiciel, który połknął arbuza. Przez to jej twarz, otoczona aureolą jasnych włosów, wydawała się jeszcze drobniejsza i delikatniejsza.

– A, cześć – przywitała nas zmęczonym głosem, kiedy schodziłyśmy ze schodków. – Jak się masz, Ainsley. Cieszę się, że przyszedłaś. Jezu, ale upał.

Przytaknęłyśmy i usiadłyśmy obok niej na trawie, bo nie było krzesel. Zdjęłyśmy buty, Clara też była boso. Rozmowa nie kleiła się, ponieważ uwaga wszystkich z konieczności koncentrowała się na dziecku, które marudziło i przez jakiś czas tylko ono zabierało głos.

Kiedy Clara do mnie zadzwoniła, odniosłam wrażenie, że wzywa mnie na pomoc, ale teraz poczułam, że niewiele mogłabym tu działać i że Clara niczego się po mnie nie spodziewała. Miałam być tylko świadkiem, a może czymś w rodzaju bibuły – moja fizyczna obecność miała wchłonać odrobinę nudy.

Dziecko przestało marudzić i zaczęło gaworzyć. Ainsley skubała trawę.

– Marian – odezwała się w końcu Clara. – Czy mogłabyś na chwilę potrzymać Elaine? Nie chce siedzieć na ziemi, a mnie już ręce odpadają.

– Ja ją wezmę – zaproponowała niespodziewanie Ainsley.

Clara oderwała dziecko od siebie i podała Ainsley ze słowami:

– No, mała pijawko. Czasami wydaje mi się, że ona ma wszędzie macki jak ośmiornica. – Wyciągnęła się w fotelu i zamknęła oczy. Wyglądała jak dziwaczna roślina, jak pękata bulwa, która wypuściła cztery białe cienkie korzonki i niewielki bladożółty kwiatek. Na pobliskim drzewie cykał świerszcz i jego monotony śpiew wbijał się w mózg jak rozżarzony promień słońca.

Ainsley trzymała niemowlę niezdarnie i z ciekawością wpatrywała się w jego twarz. Zauważyłam duże podobieństwo między nimi. Dziecko przyglądało się jej oczami tak samo niebieskimi jak jej oczy, różowa buzia była lekko zaśliniona.

Clara podniosła głowę i otworzyła oczy.

– Czy coś wam podać? – spytała, przypominając sobie o roli gospodyni.

– Och nie, tak jest dobrze – zapewniłam pospiesznie, przerażona tym, że Clara będzie musiała podnieść się z fotela. – Może ja coś ci przyniosę? – Czułabym się lepiej, robiąc coś pożytecznego.

– Joe zaraz tu przyjdzie – powiedziała, jakby tłumacząc się. – No, rozmawiajcie ze mną. Co słychać?

– Niewiele – odparłam. Siedziałam i usiłowałam wymyślić tematy, które by ją zainteresowały, ale to, co przychodziło mi na myśl: praca, ludzie, u których byłam, czy ich mieszkania, przypominałoby jej tylko o własnej bezczynności, braku miejsca i czasu, o dniach, które przytłaczały niezbędnymi drobiazgami.

– Ciągłe chodzisz z tym sympatycznym chłopakiem? Tym przystojnym? Jak on ma na imię? Pamiętam, jak raz tu po ciebie przyszedł.

– Masz na myśli Petera?

– Chodzi z nim – potwierdziła Ainsley tonem lekkiej przygany. – Zmonopolizował ją. Zupełnie.

Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, dziecko posadziła na kolanach, żeby zapalić papierosa.

– To się nieźle zapowiada – zauważyła Clara ponuro. – A, właśnie, zgadnijcie, kto przyjechał. Len Slank. Zadzwoił kilka dni temu.

– Naprawdę? Kiedy przyjechał? – Byłam zła, że do mnie nie zadzwonił.

– Jakiś tydzień temu. Mówił, że chciał do ciebie zadzwonić, ale nie mógł znaleźć twojego numeru.

– Mógł zadzwonić do informacji – stwierdziłam sucho. – Strasznie chciałabym go zobaczyć. W jakim jest stanie? Jak długo tu będzie?

– Kto to jest? – spytała Ainsley.

– Och, z pewnością by cię nie zainteresował – rzuciłam pospiesznie. Trudno mi było wyobrazić sobie ludzi bardziej do siebie nieprzystających. – Taki nasz dawny kolega ze studiów.

– Pojechał do Anglii i zaczepił się w telewizji – dodała Clara. – Nie bardzo wiem, co tam robi. Całkiem fajny, ale paskudnie obchodzi się z kobietami. Taki uwodziciel młodych panienek. Powiada, że wszystko powyżej siedemnastki jest za stare.

– A, jeden z tych – powiedziała Ainsley. – Oni są okropnie nudni. – Zgasiła papierosa w trawie.

– Wiesz, mam przecucie, że właśnie z tego powodu wrócił – wyznała Clara, jakby się ożywiając. – Jakieś kłopoty z dziewczyną; sprawa podobna do tej, przez którą stąd wyjechał.

– Aha – powiedziałam bez zdziwienia.

Ainsley wydała cichy okrzyk i położyła dziecko na trawie.

– Zmoczyła mi sukienkę – poskarżyła się.

– Wiesz, to się zdarza – odparła Clara.

Dziecko zaczęło się drzeć, więc podniosłam je ostrożnie i podałam Clarze. Mogłam być pomocna, ale tylko do pewnych granic.

Clara podrzucała małą.

– No, ty paskudna sikawko – przemawiała. – Podlałaś koleżankę mamusi? To się spierze, Ainsley. Nie chcieliśmy wkładać ci gumowych majtek w taki upał, prawda, śmierdzący gejerku? Nie wiercie tym opowieściom o instynkcie macierzyńskim – dodała

poważnie, zwracając się do nas. – Nie rozumiem, jak można kochać dzieci, zanim staną się istotami ludzkimi.

Na ganku pojawił się Joe ze ścierką do naczyń włożoną jak fartuch za pasek.

– Kto ma ochotę na piwo przed kolacją?

Obie z Ainsley krzyknęłyśmy z zapałem: „ja”, a Clara poprosiła:

– Dla mnie odrobinę wermutu, kochanie. Nic innego nie mogę teraz pić, wszystko mi szkodzi na żołądek. Joe, czy możesz zabrać i przewinąć Elaine?

Joe zszedł po schodkach i podniósł dziecko.

– Nie widziałyście tu gdzieś Arthura? – zapytał.

– O Boże, gdzie się ten szczeniak znowu zapodział? – spytała Clara, gdy Joe zniknął w domu. Retoryczne pytanie. – Pewno nauczył się otwierać tylną furtkę, gówniarz jeden! Arthur! Chodź tutaj, kochanie! – zawołała niemrawo.

Pościel susząca się na sznurze w głębi ogródka, sięgająca prawie samej ziemi, rozsunała się za sprawą pary brudnych rączek i ukazał się pierworodny Clary. Miał na sobie tylko majtki. Przystanął, przyglądając się nam niepewnie.

– Podejdź tu, kochanie, i pokaż mamusi, co zmajstrowałeś – powiedziała Clara. – I zabierz te łapy z czystych prześcieradeł – dodała bez przekonania.

Arthur szedł ku nam po trawie, wysoko podnosząc stopy. Trawa go łaskotała. Majtki zwisały luźno pod wydętym brzuchem z wystającym pępkiem, jakby trzymały się tam wyłącznie siłą woli. Na jego twarzy malowało się głębokie skupienie.

Wrócił Joe, niosąc tacę.

– Wsadziłem ją do kosza na bieliznę – poinformował. – Bawi się klamerkami do bielizny.

Arthur dotarł do nas i marszcząc brwi, stanął przy fotelu matki.

– Dlaczego robisz taką dziwną minę, diabliku? – Pochyliła się i pomacała majtki z tyłu. – No tak, to było do przewidzenia – westchnęła. – Był zbyt spokojny. Mężu, twój syn znowu zrobił kupę. Nie wiem gdzie, w majtkach nie ma.

Joe rozdał drinki, po czym przyklęknął i łagodnie, choć stanowczo odezwał się do Arthura:

– Pokaż tatusiowi, gdzie ją zostawiłeś.

Arthur spojrzał na niego, niepewny, czy rozpłakać się, czy uśmiechnąć. W końcu z zaciętą miną pomaszerował pod płot, przykucnął nieopodal kępy przykurzonych czerwonych chryzantem i w skupieniu zapatrzył się w skrawek ziemi.

– Zuch chłopak – pochwalił Joe i wszedł do domu.

– Prawdziwe dziecko natury, uwielbia walić kupy w ogrodzie – poinformowała nas Clara. – Wyobraża sobie, że jest bogiem urodzaju. Gdybyśmy nie sprząтали, cały ogródek wyglądałby jak wielkie gnojowisko. Ciekawe, co zrobi, jak spadnie śnieg? – Przymknęła oczy. – Próbowaliśmy nauczyć go porządku, chociaż według niektórych ksiązek to jeszcze za wcześnie, i kupiliśmy plastikowy nocnik. Nie ma najmniejszego pojęcia, do czego to służy. Wkłada go na głowę i tak chodzi. Pewno sobie wyobraża, że to kask ochronny.

Popijałyśmy piwo, obserwując Joe, który przeciął ogród i wrócił, niosąc złożoną gazetę.

– Po tym przechodzę na pigułkę – oświadczyła Clara.

Kiedy Joe skończył wreszcie przygotowywanie kolacji, weszliśmy do domu i zasiedli przy ciężkim stole w jadalni. Nakarmione niemowlę zostało wystawione w wózku na ganek. Arthur w wysokim krześle konwulsyjnie wykręcał się przed jedzeniem, które Clara usiłowała wpakować mu łyżką do ust. Kolacja składała się z wyschniętych pulpetów, klusek z proszku i sałaty. Na deser dostałyśmy coś, co rozpoznałam bez trudu.

– To jest ten nowy deser ryżowy, bardzo szybko się go robi – wyjaśniła Clara obronnym tonem. – Całkiem dobry ze śmietanką. Arthur za nim przepada.

– Tak – powiedziałam. – Niedługo będzie jeszcze pomarańczowy i karmelowy.

– Co ty powiesz? – Clara zgrabnie przechwyciła na łyżkę długi sopel budyniu i ponownie wepchnęła do buzi Arthura.

Ainsley wyciągnęła papierosa i pozwoliła, żeby Joe podał jej ogień.

– Powiedz mi – zwróciła się do niego – czy ty znasz tego ich przyjaciela Leonarda Slanka? Strasznie są tajemnicze na jego

punkcie.

Joe bez przerwy wstawał, wynosił talerze, przygotowywał coś w kuchni. Wyglądał na skołowanego.

– Tak, tak, przypominam go sobie – odparł. – Trudno powiedzieć, żeby był przyjacielem Clary.

Szybko skończył deser i spytał Clarę, czy jej pomóc, ale Clara nie usłyszała pytania. Arthur właśnie zrzucił miskę na podłogę.

– Ale co ty o nim myślisz? – nalegała Ainsley, jakby odwołując się do jego intelektu.

Joe w zamyśleniu patrzył w ścianę. Wiedziałam, że nie lubi wypowiadać negatywnych sądów, ale wiedziałam również, że nie przepada za Lenem.

– On nie jest etyczny – wycedził w końcu. Joe jest asystentem na filozofii.

– Och, jesteś niesprawiedliwy – powiedziałam. – Len nigdy nie zachował się w stosunku do mnie nieetycznie.

Joe spojrzał na mnie z dezaprobatą. Nie zna Ainsley dobrze, a poza tym uważa, że wszystkie niezamężne dziewczyny dają się łatwo wykorzystać i dlatego potrzebują opieki. Kilka razy udzielał mi ojcowskich rad. Teraz podkreślał swoje stanowisko.

– Uważam, że... że nie należy się z nim zadawać – stwierdził surowo.

Ainsley zaśmiała się krótko i beztrzesko wypuściła kłęb dymu.

– Aha, póki pamiętam – przypomniałam sobie. – Podaj mi jego telefon.

Po kolacji przeszliśmy do zaśmieconego salonu, a Joe sprzątał ze stołu. Zaproponowałam, że mu pomogę, ale oświadczył, że sobie poradzi, i poprosił, żebym porozmawiała z Clarą. Clara usadowiła się na kanapie w gnieździe z pomiętych gazet i zamknęła oczy. Znowu nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Siedziałam, gapiąc się w sufit na bogato powykręcany zawijas z gipsu, kiedyś zapewne oprawę żyrandola, i wspominałam Clarę z czasów szkolnych – wysoką, delikatną dziewczynę, zawsze zwalnianą z wychowania fizycznego. Siadywała za linią autową i przypatrywała się nam, ubranym w kostiumy gimnastyczne z niebieskimi spodenkami, jakby istoty tak spocone i niezgrabne były jej na tyle obce, że nawet nie za bardzo

zabawne. W sali pełnej nastolatek utuczonych frytkami stanowiła ideał półprzezroczystej kobiecości z reklamy perfum. Na uniwersytecie czuła się nieco lepiej, ale długie blond włosy sprawiały, że jej uroda nabrała cech jeszcze bardziej średniowiecznych niż przedtem; kojarzyła mi się z damami na gobelinach, zasiadającymi w ogrodach pełnych róż. Jasne, że jej umysł wcale tego nie odzwierciedlał, ale pozory zawsze robiły na mnie wrażenie.

Wyszła za mąż za Joego Batesa w maju pod koniec drugiego roku i początkowo uważałam ich za doskonale dobraną parę. Joe był na ostatnim roku, prawie siedem lat od niej starszy, wysoki, zarośnięty, lekko przygarbiony i opiekuńczy. Ich wzajemne uwielbienie przed ślubem było absurdalnie idealistyczne – można było spodziewać się, że Joe będzie rozkładał dla niej swój płaszcz na kałużach i padał na kolana, by ucałować jej kalosze. Dzieci były nieplanowane – pierwszą ciążę Clara powitała ze zdziwieniem, że coś takiego mogło się jej przydarzyć, drugą z przerażeniem; teraz, będąc w ciąży po raz trzeci, pograżyła się w ponurym, biernym fatalizmie. Wśród metafor, jakich używała wobec swoich dzieci, występowały małże oblepiające statek i ślimaki przyczepione do skały.

Spojrzałam na nią i ogarnęła mnie fala krępującego współczucia. Cóż mogłam zrobić? Może zaproponować, że przyjdę któregoś dnia i posprzątam? Clara po prostu była niezaradna, nie potrafiła zapanować nad tak przyziemnymi sprawami jak pieniądze czy punktualność na wykładach. Kiedy mieszkaliśmy razem w akademiku, od czasu do czasu grzęzła beznadziejnie w swoim pokoju, niezdolna znaleźć pantofla do pary czy czegoś czystego do ubrania, i musiałam ją wyciągać ze sterty rupieci, którym pozwoliła wokół siebie narastać. Jej bałaganiarstwo nie było twórcze, jak w przypadku Ainsley, która będąc w odpowiednim nastroju, potrafi zdewastować pokój w ciągu pięciu minut. Clara była bierna. Po prostu stała bezradnie, a wokół niej rosła góra brudu; nie umiała jej powstrzymać ani przed nią uciec. Z dziećmi było tak samo; jej ciało, jakby poza nią, szło swoją drogą, niebaczne na jej polecenia. Przyglądałam się jaskrawym kwiatom na ciężowej sukience Clary – stylizowane płatki i wąsy poruszały się wraz z jej oddechem jak żywe.

Wyszliśmy wcześniej, wkrótce po tym, jak wrzeszczący Arthur został odniesiony do łóżka po – jak to Joe ujął – „incydencie” za

drzwiami salonu.

– To wcale nie był incydent – zauważyła Clara, otwierając oczy. – On uwielbia sikać za drzwiami. Ciekawe, o co tu chodzi? Będzie się konspirował, a jak dorośnie, zostanie tajnym agentem, dyplomata albo czymś takim. Skryty gówniarz.

Joe odprowadził nas do drzwi, niosąc na rękach stos brudnej bielizny.

– Koniecznie musicie do nas znowu wpaść – zapraszał. – Clara ma tak niewielu znajomych, z którymi może porozmawiać.

Szłyśmy w kierunku metra w półmroku, wśród cykania świerszczy, przytłumionych odgłosów telewizji (w niektórych domach przez otwarte okna widać było rozedrganą niebieskość) i w zapachu rozgrzanego asfaltu. Miałam wrażenie, że moja skóra się dusi, jakbym była zawinięta w warstwę wilgotnego ciasta. Podejrzewałam, że Ainsley nie za dobrze się bawiła; w jej milczeniu wyczuwałam niezadowolenie.

– Kolacja nie była zła – stwierdziłam, chcąc zachować lojalność wobec Clary, która w końcu była moją przyjaciółką dłużej niż Ainsley. – Joe chyba całkiem nieźle gotuje.

– Jak ona może to wytrzymać? – zapytała Ainsley z większym niż zazwyczaj przejęciem. – Leży tylko, a ten facet wszystko robi! Ona pozwala traktować się jak przedmiot.

– Jest przecież w siódmym miesiącu – broniłam ją. – Zawsze była słabego zdrowia.

– Ona i słabe zdrowie! – zauważyła Ainsley z przekąsem. – Przecież ta kobieta kwitnie. To raczej on się źle czuje. Postarzał się od czasu, kiedy go poznałam, a to było niecałe cztery miesiące temu. Wyciska z niego całą energię.

– Więc jakie widzisz wyjście? – spytałam. Byłam zła na Ainsley, że nie rozumie położenia Clary.

– Powinna coś zrobić, chociażby tylko dla zachowania pozorów. Nie zrobiła dyplomu, prawda? Czy to nie świetna okazja, żeby teraz nad tym popracować? Pełno ciężarnych dziewczyn robi dyplomy.

Przypomniały mi się postanowienia biednej Clary po pierwszym dziecku, które traktowała jak chwilową przerwę w życiorysie. Po drugim jęczała: „Nie mam pojęcia, co my źle robimy. Zawsze staram się być taka ostrożna!”. Była przeciwna pigułce – uważała, że może zmienić jej osobowość – ale stopniowo miękła coraz bardziej. Przeczytała jedną francuską powieść (w tłumaczeniu) i książkę o wyprawach archeologicznych do Peru i mówiła o kursach

wieczorowych. Ostatnio zaczęła robić gorzkie uwagi o tym, że jest „po prostu gospodynią domową”.

– Ależ, Ainsley – powiedziałam – zawsze mówiłaś, że dyplom nic nie znaczy.

– Jasne, że dyplom jako taki nic nie znaczy – odparła Ainsley. – Ważne jest to, do czego służy. Clara powinna wziąć się w garść.

Kiedy znalazłyśmy się w domu, pomyślałam o Lenie i doszłam do wniosku, że nie jest jeszcze za późno, żeby do niego zadzwonić. Był w domu i po wymianie powitań powiedziałam, że marzę o spotkaniu z nim.

– Wspaniale – ucieszył się. – Kiedy i gdzie? Wybierz jakieś chłodne miejsce. Zapomniałem, że latem jest tutaj tak cholernie gorąco.

– Wobec tego nie trzeba było wracać – zrobiłam aluzję do tego, że wiem, dlaczego wrócił, dając mu okazję do wyjaśnień.

– Bezpieczniej było wrócić – odparł chytrze.

– Apetyt rośnie w miarę jedzenia. – Mówił z nieznacznym brytyjskim akcentem. – Aha, Clara mówiła mi, że mieszkasz z jakąś nową dziewczyną.

– Nie w twoim typie – powiedziałam.

Ainsley przeszła do salonu i siedziała teraz na kanapie tyłem do mnie.

– Uważasz, że za stara, bo w twoim wieku, co? – To był jeden z jego ulubionych dowcipów: że jestem za stara.

Zaśmiałam się.

– Wobec tego jutro wieczorem. – Przyszło mi nagle do głowy, że Len byłby świetnym lekarstwem dla Petera. – Około wpół do dziewiątej w Park Plaza. Przyrowadzę przyjaciela, poznacie się.

– Aha, to ten, o którym opowiadała mi Clara. Nie traktujesz go chyba poważnie, co? – spytał.

– Och nie, skądże – uspokoiłam go.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, odezwała się Ainsley:

– Czy to ten Len Slank?

Przytaknęłam.

– Jak on wygląda? – zagadnęła obojętnie.

Nie mogłam odmówić odpowiedzi.

– Zwyczajnie. Chybaby ci się nie podobał. Ma jasne kręcone włosy i okulary w rogowej oprawie. A bo co?

– Tak się zastanawiałam. – Wstała i poszła do kuchni. – Chcesz drinka? – zapytała.

– Nie, dziękuję – powiedziałam. – Ale możesz mi przynieść szklankę wody. – Usiadłam przy oknie w salonie, gdzie odczuwało się nieznaczny ruch powietrza.

Ainsley przyniosła whisky z lodem dla siebie, a mnie podała szklankę z wodą. Potem usiadła na podłodze.

– Muszę ci się z czegoś zwierzyć, Marian – oświadczyła.

Powiedziała to tonem tak poważnym, że natychmiast się zaniepokoiłam.

– Co się stało?

– Będę miała dziecko – wyznała cicho.

Musiałam napić się wody. Nie wyobrażałam sobie, że Ainsley może aż tak pomylić się w swoich obliczeniach.

– Nie wierzę.

Zaśmiała się.

– Nie, jeszcze nie jestem w ciąży. Dopiero mam zamiar.

Poczułam ulgę i zaciekawienie.

– Czy to znaczy, że masz zamiar wyjść za mąż? – zapytałam, przypominając sobie nieszczęsny przypadek Triggera. Próbowałam zgadnąć, którym z nich mogłaby się zainteresować, ale nie potrafiłam, od początku naszej znajomości była zdecydowanie przeciwna małżeństwu.

– Wiedziałam, że o to zapytasz – odparła tonem rozbawionym, z domieszką pogardy. – Nie, nie wychodzę za mąż. Większość dzieci cierpi właśnie z powodu nadmiaru rodziców. Nie powiesz mi, że dom Clary i Joego jest idealnym miejscem dla dziecka. Pomyśl, jaki one będą miały wypaczony obraz matki i ojca; już teraz gnębią je kompleksy. I to głównie z powodu ojca.

– Ależ Joe jest wspaniały! – zawołałam. – On prawie wszystko za nią robi. Czym by ona była bez niego?

– O to chodzi – zauważyła Ainsley. – Musiałyby radzić sobie sama. I dałyby sobie radę, a w dodatku dzieci byłyby wychowywane bardziej

konsekwentnie. Czy zauważyłaś, że ona nawet nie karmi piersią tego niemowlęcia?

– Przecież ono ma zęby... – zaprotestowałam. – Większość kobiet odstawia od piersi dzieci, którym wyrosły już zęby.

– Bzdura – odparła Ainsley złowrogo. – Założę się, że to Joe jej kazał. W Ameryce Południowej karmi się dzieci piersią znacznie dłużej. A w Ameryce Północnej mężczyźni nie mogą ścierpieć, że podstawowa komórka matka–dziecko funkcjonuje naturalnie, bo czują się niepotrzebni. W tym układzie Joe może dać dziecku butelkę równie dobrze jak Clara. Każda kobieta pozostawiona samej sobie będzie karmiła piersią tak długo, jak to tylko możliwe. Ja na pewno tak zrobię.

Miałam wrażenie, że dyskusja prowadzi na manowce – teoretyzowałyśmy na temat praktyczny. Natarłam na Ainsley:

– Ale ty się przecież w ogóle nie znasz na dzieciach. Nawet nie bardzo je lubisz. Sama słyszałam, jak mówiłaś, że są brudne i rozwrzeszczane.

– Nielubienie cudzych dzieci – odparła – to nie to samo co nielubienie własnych.

Nie mogłam zaprzeczyć. Poczułam się zbита z tropu, nie umiałam nawet uzasadnić, dlaczego byłam przeciwna jej planom. Najgorsze zaś wydawało mi się to, że ona najprawdopodobniej je zrealizuje. Potrafi osiągnąć, co chce, chociaż uważam, że niektóre jej pragnienia – a tak było właśnie tym razem – są nierozsądne. Zdecydowałam się przyjąć zasadniczą postawę.

– No dobrze – powiedziałam. – W porządku. Ale dlaczego chcesz mieć dziecko, Ainsley? Co ty z nim zrobisz?

Spojrzała na mnie z obrzydzeniem.

– Każda kobieta powinna mieć przynajmniej jedno dziecko. – Zabrzmiało to jak płynąca z radia perswazja, że każda kobieta powinna mieć przynajmniej jedną suszarkę do włosów. – To jest nawet ważniejsze od seksu. Daje zaspokojenie najgłębszych instynktów kobiecości.

Ainsley lubi popularnonaukowe książki antropologiczne dotyczące kultur prymitywnych, pełno ich wała się wśród ubrań

porozrzucanych na podłodze. Na jej uczelni antropologia była przedmiotem obowiązkowym.

– Ale dlaczego akurat teraz? – dopytywałam się, szukając kontrargumentu. – A praca w galerii? Spotkania z artystami? – pytałam, nęcąc ją niczym osła marchewką.

Ainsley spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Co ma posiadanie dzieci do galerii? Ty zawsze myślisz w kategoriach albo-albo. A tu chodzi o wszystko razem. Dlaczego teraz? Noszę się z tą myślą już od jakiegoś czasu. Nie sądzisz, że człowiekowi potrzebne jest poczucie celu? I czy nie wolałabyś mieć dzieci, dopóki jesteś młoda? Dopóki potrafisz się jeszcze nimi cieszyć? A poza tym dowiedziono, że między dwudziestką i trzydziestką rodzi się zdrowsze dzieci.

– I masz zamiar zatrzymać je przy sobie? – upewniłam się. Rozejrzałam się po pokoju, szacując, ile czasu, energii i pieniędzy pochłonie spakowanie i wywiezienie mebli. Wniosłam tu większość solidniejszych sztuk: ciężki, okrągły stół do kawy, wyciągnięty ze strychu przez jakiegoś krewnego; składany stolik orzechowy, którego używałyśmy, gdy przychodzili goście, także dar, wyściełany fotel i kanapa, które wyszperałam w Armii Zbawienia i dałam do obicia. Ogromny plakat Thedy Bary i kolorowe papierowe kwiaty były Ainsley, jak również popielniczki i nadmuchiwane plastikowe poduszki w geometryczne wzory. Peter powiedział, że w naszym salonie brakuje harmonii. Nigdy nie traktowałam tego układu jako czegoś stałego, ale teraz, w chwili zagrożenia, nabrał on cech pożądanej stabilizacji. Stoły mocniej wbiły nogi w podłogę; trudno było sobie wyobrazić, że okrągłym stołem do kawy da się wymanewrować na dół po tych wąskich schodach, że można zwinać plakat Thedy Bary, obnażając popękany tynk, że plastikowe poduszki dadzą wypuścić z siebie powietrze i wepchnąć się do kufra. Zastanawiałam się, czy ta z dołu potraktuje ciężę Ainsley jako niedotrzymanie warunków umowy i czy wystąpi na drogę sądową.

Ainsley zaperzyła się.

– Jasne, że go nikomu nie oddam. Po co mi tyle zachodu, gdybym go nie chciała.

– Czyli chodzi o to – powiedziałam, kończąc swoją szklankę wody – że z zimną krwią postanowiłaś mieć dziecko z nieprawego łoża i sama je wychować.

– Och, już nie chce mi się tłumaczyć. Po co to okropne mieszczańskie gadanie? Prawo nie zabrania rodzić. Jesteś zakłamana, Marian, i to jest wada ogólnospołeczna.

– W porządku, jestem pruderyjna – zgodziłam się, w głębi duszy urażona. Wydawało mi się, że częściej niż większość ludzi okazuję wyrozumiałość. – Ale jeżeli społeczeństwo jest właśnie takie, to czy nie przemawia przez ciebie egoizm? Czy to dziecko na tym nie ucierpi? Z czego je utrzymasz, jak sobie poradzisz z uprzedzeniami innych i tak dalej?

– Czy społeczeństwo może się zmienić – wybuchnęła Ainsley ze świętym oburzeniem – jeżeli nikt nie wskaże mu drogi?! Ja po prostu będę mówić prawdę. Wiem, że tu i tam czekają mnie przykrości, ale na pewno znajdę kilka bardziej wyrozumiałych istot, nawet tutaj. Przecież to nie to samo co zajść w ciążę przez przypadek.

Przez jakiś czas siedziałyśmy w milczeniu. Wyglądało na to, że zasadniczy punkt programu został wyczerpany.

– No dobrze – odezwałam się w końcu. – Widzę, że o wszystkim pomyślałaś. Ale co z ojcem? Wiem, że to tylko techniczny detal, ale chyba zdajesz sobie sprawę, że będzie ci potrzebny, choćby przez chwilę. Przecież nie osiągniesz tego przez pączkowanie.

– No więc – zaczęła z całą powagą – to też już właściwie obmyśliłam. Musi mieć przyzwoite cechy dziedziczne, musi być przystojny; dobrze byłoby znaleźć takiego, który wykazywałby dobre chęci, potrafił zrozumieć i nie upierał się, że weźmie ślub.

Zauważyłam z niesmakiem, że mówi o tym jak farmer o hodowli zarodowej.

– Masz już kogoś na myśli? Może tego studenta stomatologii?

– Broń Boże! – krzyknęła. – On ma cofnięty podbródek.

– A ten świadek w sprawie o morderstwo za pomocą elektrycznej szczoteczki do zębów?

Zmarszczyła brwi.

– Nie wygląda zbyt inteligentnie. Jasne, że wolałabym artystę, ale to genetycznie zbyt ryzykowne; w tej chwili oni wszyscy mają już

chyba zaburzenia chromosomalne po LSD. Może mogłabym odnaleźć Freddiego, tego z ubiegłego roku, on by się zgodził, ale jest za gruby i ma strasznie ostry zarost. Nie chcę grubego dziecka.

– Ani dziecka z twardym zarostem – pospieszyłam z pomocą.

Popatrzyła na mnie z irytacją.

– Jesteś złośliwa – zauważyła. – Ale gdyby ludzie chociaż trochę myśleli o cechach, jakie przekazują swoim dzieciom, może nie spieszyliby się z tym tak bardzo. Wiadomo, że rasa ludzka się degeneruje, a to dlatego, że ludzie bez zastanowienia przekazują swoje słabe geny, a medycyna sprawiła, że nie ma już takiej selekcji naturalnej jak kiedyś.

Zaczęło mi się mącić w głowie. Wiedziałam, że Ainsley nie ma racji, ale to, co mówiła, brzmiało bardzo rozsądnie. Pomyślałam, że lepiej pójdę spać, zanim dam się przekonać wbrew własnej woli.

W pokoju usiadłam na łóżku, oparłam się plecami o ścianę i zadumałam się. Najpierw usiłowałam zastanowić się nad tym, jak ją powstrzymać, ale zrezygnowałam. Już postanowiła. Mogłam oczywiście łudzić się, że to przelotny kaprys, ale czy to w końcu moja sprawa? Po prostu trzeba będzie dostosować się do sytuacji. Może kiedy przyjdzie pora na przeprowadzkę, powinnam poszukać sobie innej współmieszkanki, lecz czy wypada zostawić Ainsley samą sobie? Nie chciałam postąpić nieodpowiedzialnie.

Kładłam się spać z uczuciem niepokoju.

Budzik wyrwał mnie ze snu. Śniło mi się, że patrzę w dół i widzę, jak moje stopy zaczynają rozpływać się niczym rozpuszczająca się galareta; w ostatniej chwili wciągam kalosze i spostrzegam, że końce palców u rąk mam przezroczyście. Chciałam podejść do lustra, by zobaczyć, co się dzieje z twarzą, ale właśnie w tym momencie obudziłam się. Zazwyczaj nie pamiętam snów.

Ainsley jeszcze spała, więc ugotowałam jajko i wypiałam sama sok pomidorowy i kawę. Ubrałam się stosownie do wywiadu – w urzędowo wyglądającą spódnicę, bluzkę z rękawami i buty na niskim obcasie. Miałam zamiar zacząć wcześniej, ale za wcześnie też nie mogłam, ponieważ mężczyźni, którzy w święta lubią dłużej pospać, nie będą jeszcze na nogach. Wyjęłam plan miasta i przemierzałam w myślach rejony wybrane do ankiety. Zjadłam grzanekę, wypiałam drugą kawę i zaznaczyłam sobie kilka tras.

Potrzebowałam siedmiu albo ośmiu mężczyzn, których cechowałoby pewne przeciętne minimum spożycia piwa na tydzień i którzy chcieliby odpowiedzieć na moje pytania. Znalezienie ich mogło okazać się tym razem znacznie trudniejsze niż kiedykolwiek z powodu długiego weekendu. Z doświadczenia wiedziałam, że mężczyźni są mniej chętni do zabawy w ankiety niż kobiety. Ulice w pobliżu naszego mieszkania nie wchodziły w rachubę; ta z dołu mogłaby się dowiedzieć, że wypytuję sąsiadów, ile piją piwa. Wydawało mi się także, iż jest to raczej dzielnica whisky, a nie piwa, na dodatek z pewną domieszką wdów abstynentek. Dzielnica pokoi do wynajęcia, dalej na zachód, też odpadała. Kiedyś próbowałam przeprowadzić tam degustację frytek i przekonałam się, że tamtejsze gospodynie są bardzo nieuprzejme. Traktowały mnie jak rządowego agenta w przebraniu, który chce nakryć je na tym, że mają więcej lokatorów, niż zadeklarowały, żeby podwyższyć im podatki. Rozważałam ewentualność domów studenckich w pobliżu uniwersytetu, ale przypominałam sobie, że ankieta zawierać ma tylko odpowiedzi osób pełnoletnich.

Pojechałam autobusem do stacji kolejki, zatrzymałam się, by wpisać cenę biletu w kolumnie „Przejazdy” na kontrolce i przeszłam przez ulicę. Potem ruszyłam w dół przez ciągnący się na wprost stacji park bez drzew. W jednym jego rogu znajdowało się boisko do baseballu, ale nigdy tam nikogo nie widziałam. Resztę pokrywała pożółkła, szeleszcząca pod stopami trawa. Dzień zapowiadał się taki sam jak poprzedni – bezwietrzny i męczący. Niebo, choć bezchmurne, nie było czyste; powietrze wisiało ciężko jak niewidzialna para, rozmazując kolory i kształty odległych przedmiotów.

Na drugim końcu parku wspięłam się wyasfaltowanym podjazdem na ulicę pełną małych, raczej nędznych domków. Stały ciasno jeden obok drugiego jak piętrowe pudełka od butów i miały drewniane ramy ozdobne wokół okien i okapów. Niektóre ramy zostały świeżo pomalowane, co tylko uwydatniało zwiędnięte kamienne fasady. Dzielnica ta, przez kilka dziesiątków lat podupadająca, zaczęła od niedawna znowu prosperować. Paru uciekinierów z przedmieść wykupiło owe miejskie domki i dało im zupełnie nową oprawę, malując na wyszukany biały kolor, dodając kamienne chodniczki, wiecznie zielone gatunki roślin w betonowych donicach i latarnie powozowe przy wejściu. Te odnowione wyglądały beztrząsowo obok pozostałych, jakby chciały z nonszalancją odwrócić się plecami do spraw czasu, zniszczenia i surowego klimatu. Zaczynając ankietowanie, postanowiłam je omijać. Nie znalazłabym tam właściwych ludzi, a raczej takich, co piją martini.

Jest coś onieśmielającego w rzędach zamkniętych drzwi, kiedy wiadomo, że trzeba do nich podejść, zapukać i prosić właściwie o przysługę. Poprawiłam ubranie, wyprostowałam się, przybrałam wyraz twarzy, który wydawał mi się oficjalny, lecz przyjazny, i przeszłam aż do pierwszej przecznicy, ćwicząc postawę, zanim zbiorę się w sobie, by zacząć. Tuż przed skrzyżowaniem zauważyłam całkiem nowy duży budynek. Tam wyznaczyłam sobie metę – wewnątrz będzie chłodniej i na pewno uzupełnię brakujące wywiady.

Nacisnęłam pierwszy dzwonek. Ktoś przez chwilę przyglądał mi się dokładnie przez białe na wpół przezroczyste franki w oknie od frontu, a potem drzwi otworzyła kobieta o ostrych rysach, w kwiecistym fartuchu. Na jej twarzy nie było śladu makijażu ani nawet szminki. Na nogach miała czarne, sznurowane trzewiki na

grubym obcasie, które zawsze kojarzą mi się ze słowem „ortopedyczny” i ze stoiskami artykułów przecenionych w podziemiach domów handlowych.

– Dzień dobry, jestem z Seymour Surveys – zaczęłam, uśmiechając się fałszywie. – Prowadzimy badania rynku i chciałabym zapytać, czy pani mąż zechciałby odpowiedzieć na kilka pytań?

– Pani coś sprzedaje? – dopytywała się, patrząc na moje papiery i ołówki.

– Ależ nie! Nie mamy nic wspólnego ze sprzedażą. Nasza firma zajmuje się badaniem rynku. Zadajemy tylko pytania. To pozwala ulepszać produkty – dodałam bez przekonania. Czułam, że nie znajdę tu tego, czego szukam.

– A o co chodzi? – zapytała podejrzliwie, zaciskając usta.

– Właściwie to chodzi o piwo – odparłam tonem obłudnie czystym, starając się, by „piwo” zabrzmiało równie niewinnie jak słowo „mleko”.

Wyraz jej twarzy zmienił się. Pomyślałam, że odmówi. Ale ona zawahała się, odsunęła na bok i głosem przypominającym zimną owsiankę wycedziła:

– Proszę wejść.

Stałam w nieskazitelnie czystym, wykafelkowanym holu, wdychając zapach politur i wybielinki, a ona znikła za drzwiami w głębi, zamykając je za sobą. Usłyszałam jakieś szepty, drzwi otworzyły się i wszedł wysoki siwowłosy mężczyzna z surowo zmarszczonym czołem, a za nim ona. Mężczyzna miał na sobie czarną marynarkę, chociaż dzień był bardzo ciepły.

– Moja panno – zwrócił się do mnie. – Nie mam zamiaru karcić cię, ponieważ widzę, że jesteś porządną panią i spełniasz jedynie rolę niewinnego narzędzia do osiągnięcia obrzydliwego celu. Bądź łaskawa przekazać te oto rozprawy twoim pracodawcom. Kto wie, może ich serca zmiękną? Propagowanie alkoholu i picia ponad miarę jest naganne, jest grzechem przeciwko Panu.

Wzięłam broszury, które mi wręczył, lecz byłam na tyle lojalna wobec Seymour Surveys, że dodałam:

– Ale nasza firma nie ma nic wspólnego ze sprzedażą piwa.

– To jest to samo – odparł surowym tonem. – Dokładnie to samo. Ci, co nie są ze mną, są przeciwko mnie, rzecze Pan. Niech pani nie próbuje pobiełać grobów tym, co kupczą ludzką nędzą i pohańbieniem. – Miał już zamiar odwrócić się, ale po namyśle dodał jeszcze: – Niech pani sama też to przeczyta. Pani oczywiście nie kala swych ust alkoholem, ale żadna dusza nie jest absolutnie czysta i odporna na pokusy. Może to ziarno nie padnie mimo drogi ani na kamienisty grunt.

Powiedziałam cicho: – Dziękuję – a mężczyzna rozciągnął usta w uśmiechu. Jego żona, która przyglądała się temu krótkiemu kazaniu z powściągliwym zadowoleniem, wysunęła się naprzód i otworzyła mi drzwi. Wyszłam, powstrzymując odruch uściśnięcia ich dłoni, jak to się zwykło robić przy wychodzeniu z kościoła.

Był to zły początek. W drodze do następnego domu przeglądałam broszury. WSTRZEMIĘŻLIWOŚĆ, nakazywała jedna. Druga nosiła tytuł nieco bardziej niepokojący. ALKOHOL I DIABEŁ. To musi być kaznodzieja, pomyślałam, ale na pewno nie anglikański i nawet chyba nie unitarianin. Jakaś mało znana sekta.

W następnym domu nie było nikogo. Jeszcze dalej drzwi otworzył umazany czekoladą chłopaczek i poinformował mnie, że tata jeszcze nie wstał. Ale już w następnym od razu się zorientowałam, że dotarłam wreszcie do właściwego miejsca. Drzwi wejściowe były otwarte. Nacisnęłam dzwonek i po chwili mężczyzna średniego wzrostu i krępej, niemal otyłej budowy otworzył drzwi wewnętrzne. Zauważyłam, że jest tylko w skarpetkach, bez butów, w podkoszulku i bermudach. Twarz miał czerwoną jak burak.

Wyjaśniłam, w jakiej sprawie przychodzę, i pokazałam mu arkusz ze skalą przeciętnego tygodniowego spożycia piwa. Jest to skala dziesięciostopniowa. Firma wybrała ten sposób ankietowania, ponieważ niektórzy mężczyźni nie lubią mówić o swoim spożyciu. Ten wybrał numer dziewiąty, drugi stopień od góry. Prawie nikt nie wskazuje dziesiątki; wszyscy wolą wierzyć, że jest jeszcze ktoś, kto pije więcej od nich.

Po tym wstępie mężczyzna powiedział:

– Niech pani wejdzie i usiądzie na chwilę. Na pewno jest pani zmęczona chodzeniem w taki skwar. Żona właśnie wyszła po zakupy – dodał ni w pięć, ni w dziewięć.

Usiadłam w fotelu, a on wyłączył dźwięk w telewizorze. Na podłodze obok jego fotela zauważyłam opróżnioną do połowy butelkę konkurenta piwa Moose. Usiadł na wprost mnie, uśmiechając się i wycierając chusteczką spocone czoło. Odpowiadał na pytania wstępne z miną specjalisty wydającego fachowe orzeczenie. Po wysłuchaniu reklamy telefonicznej podrapał się w pierś w zamyśleniu, potem dał taką entuzjastyczną odpowiedź, o jaką niewątpliwie modlą się codziennie całe szkoły specjalistów od reklamy. Na zakończenie zapisałam nazwisko i adres, potrzebne firmie po to, by drugi raz nie ankietować tych samych osób, a kiedy wstałam, żeby dziękować, on zaczął niezdarnie podnosić się ku mnie z obleśnym piwnym uśmiechem.

– Czego taka śliczna dziewczynka jak pani szuka, wypytując mężczyzn o piwo? – zagadnął lepkim głosem. – Powinna pani siedzieć w domu pod opieką dużego, silnego mężczyzny.

Wcisnęłam do wyciągniętej spoconej łapy dwa egzemplarze WSTRZEMIEŻLIWOŚCI i związałam.

Przez kolejne cztery wywiady przebrnęłam bez większych przygód, przy czym zauważyłam, że do kwestionariusza należy dodać rubryki na wpisy: „Nie posiada telefonu... koniec wywiadu” oraz „Nie słucha radia”, i że mężczyźni, którzy aprobowali samcze akcenty w reklamówce, byli przeciwni użyciu określenia „podniecające”, uznając je za „mało poważne” lub jak się jeden wyraził: „zbyt pikantne”. Piąty wywiad przeprowadziłam ze szczapowatym, łysiejącym mężczyzną, którego tak przeraziła perspektywa ujawnienia własnych opinii, że trzeba było ciągnąć go za język, co przypominało wrywanie zębów kluczem francuskim. Przy każdym moim pytaniu czerwienił się, przełykał ślinę i krzywił twarz w bolesnym grymasie. Po wysłuchaniu tekstu reklamy zaniemówił na dłuższą chwilę. Zapytałam:

– Czy reklama podobała się panu „bardzo”, „tylko trochę” czy „nie bardzo”?

W końcu wyszeptał słabo:

– Tak.

Zostały mi jeszcze tylko dwa wywiady. Postanowiłam opuścić kilka domków i udać się już do kwadratowego budynku. Dostałam się do

środką wypróbowaną metodą: nacisnęłam naraz wszystkie guziki dzwonek i poczekałam, aż któraś ofiara otworzy drzwi wewnętrzne.

Panujący tam chłód sprawił mi ulgę. Weszłam po kilku schodkach pokrytych z lekka przetartym dywanikiem i zapukałam do pierwszych drzwi, które oznaczono numerem sześć. Zdziwiło mnie to, ponieważ w tym miejscu powinny być drzwi numer jeden.

Nikt nie odpowiadał. Zapukałam ponownie, głośniejsze. Oczekałam chwilę i już miałam zamiar iść do następnego mieszkania, kiedy drzwi otworzyły się bezszelestnie do wewnątrz, stanął w nich chłopiec, którego wiek określiłabym na lat piętnaście, i wpatrzył się we mnie.

Tarł oko palcem, jakby właśnie się obudził. Był przeraźliwie chudy, nie miał koszuli, a żebra wystawały mu niczym wychudłej postaci ze średniowiecznego drzeworytu. Jego skóra była prawie bezbarwna – nie biała, lecz raczej żółtawa, koloru starego płótna. Stał boso, miał na sobie jedynie spodenki koloru khaki. Oczy przysłonięte czupryną czarnych, potarganych, prostych włosów opadających na czoło wyrażały zawziętą melancholię, jak gdyby specjalnie wybraną na tę okazję.

Przyglądaliśmy się sobie. Najwyraźniej nie miał zamiaru odezwać się, a ja też jakoś nie mogłam zacząć. Kwestionariusze, które miałam przy sobie, nagle przestały mieć jakikolwiek związek z czymkolwiek, a jednocześnie stały się dziwnie groźne. W końcu odezwałam się bardzo zasadniczo:

– Cześć. Czy twój ojciec jest w domu? – Nadal wpatrywał się we mnie z niezmiennym wyrazem twarzy.

– Nie. Ojciec nie żyje – odparł.

– Och! – Stałam, chwiejąc się lekko. Różnica między temperaturą na dworze i wewnątrz budynku sprawiła, że zrobiło mi się słabo. Wydawało się, że czas płynie w zwolnionym tempie. Nie bardzo było o czym mówić, ale nie potrafiłam odejść ani nawet się poruszyć. Chłopak ciągle stał w drzwiach.

Po krótkiej chwili, która wydała mi się wiecznością, pomyślałam, że chyba jednak nie jest taki młody, na jakiego wygląda. Miał drobne zmarszczki i ciemne kręgi pod oczami.

– Naprawdę masz tylko piętnaście lat? – zapytałam, jak gdyby mi powiedział, że tyle ma.

– Dwadzieścia sześć – odrzekł ponuro.

Szarpnęło mną wyraźnie, jakby odpowiedź ta włączyła jakiś ukryty we mnie rozrusznik i wyrzuciłam z siebie przyspieszoną wersję tekstu, że jestem z Seymour Surveys i że niczego nie sprzedaję, a ulepszam, i że chciałam zadać parę prostych pytań na temat piwa, które on wypija co tydzień. Przez cały czas myślałam, że wygląda na takiego, co nie pija nic prócz wody, żywi się skórkami od chleba, które wrzucają mu do lochu, gdzie leży skuty łańcuchami. Sprawiał wrażenie posepnie zaciekawionego, tak jak można zainteresować się zdechłym psem, więc wyciągnęłam w jego kierunku arkusz przeciętej konsumpcji tygodniowej i poprosiłam, by wybrał jakiś numer. Patrzył na kartę przez chwilę, odwrócił ją, obejrzał z drugiej, pustej strony, zamknął oczy i powiedział:

– Numer sześć.

Znaczyło to siedem do dziesięciu butelek piwa tygodniowo, co wystarczyło do przeprowadzenia z nim wywiadu. Poinformowałam go o tym.

– Proszę do środka – powiedział. Kiedy przekraczałam próg, a drzwi zamknęły się za mną z głuchym łoskotem, poczułam lekki niepokój.

Znalazłam się w idealnie kwadratowym salonie średniej wielkości, z wejściem do kuchni z jednej strony i korytarzykiem prowadzącym do sypialni z drugiej. Spuszczone żaluzje w jedynym małym okienku pogrążyły pokój w półmroku. Na ile mogłam dostrzec, ściany były białe, nic na nich nie wisiało. Podłogę przykrywał porządny, perski dywan o zawiłym wzorze w brązowe, zielone i fioletowe sploty kwiatów. Nawet lepszy, pomyślałam, od tego w salonie tej z dołu, który ma po dziadku ze strony ojca. Wzdłuż jednej ze ścian stał regał zrobiony domowym sposobem, z desek i cegieł. Resztę umeblowania stanowiły trzy ogromne, przesadnie wypchane stare fotele: jeden pokryty czerwonym aksamitem, drugi wytartym zielono-niebieskim brokatem, a trzeci spłowiałym fioletowym. Przy każdym stała lampa. Cały pokój był zasłany luźnymi kartkami papieru, notatnikami, otwartymi książkami leżącymi grzbietem do góry albo książkami, z których, w roli zakładek, sterczały ołówki i skrawki papieru.

– Sam tu mieszkasz? – spytałam.

Utkwił we mnie swoje smutne oczy.

– Zależy, co masz na myśli, mówiąc sam – odparł przeciągle.

– No tak – zgodziłam się uprzejmie. Przeszłam przez pokój, omijając porozrzucane na podłodze przedmioty i starając się zachować nastrój pogodnego ożywienia. Zmierzałam ku fioletowemu fotelowi, jedynemu, na którym nie kłębiło się szcurze gniazdo z papierów.

– Tam nie wolno siadać – odezwał się za moimi plecami tonem chłodnej przestrogi. – To jest fotel Trevora. Nie byłby zadowolony, gdybyś usiadła w jego fotelu.

– A na czerwonym można?

– Tak – powiedział. – To jest fotel Fisha. On nie będzie miał za złe. Tylko że tam leżą jego papiery i łatwo je pomieszać.

Nie mogłam sobie wyobrazić, jak trzeba by się na nich, żeby je jeszcze bardziej pomieszać, ale nic nie powiedziałam. Zastanawiałam się, czy Trevor i Fish nie są wyimaginowanymi kolegami tego chłopca i czy mnie nie oszukał, podając swój wiek. W tym świetle wyglądał na dziesięciolatka. Stał przygarbiony, z założonymi rękami i przyglądał mi się z powagą.

– Domyślam się wobec tego, że zielony jest twój.

– Tak – odpowiedział. – Ale sam nie siedziałem na nim od kilku tygodni. Mam tam wszystko poukładane.

Chciałam podejść i zobaczyć, co takiego ma tam poukładane, ale przypomniałam sobie, że jestem służbowo.

– Gdzie usiadziemy w takim razie?

– Na podłodze – odparł. – Albo w kuchni, albo w mojej sypialni.

– O, nie. Tylko nie w sypialni – rzuciłam pospiesznie. Przeszłam z powrotem między połaciami papierów i zajrzałam do kuchni. Powitała mnie specyficzna woń – we wszystkich kątach stały poupychane torby ze śmieciami, resztę miejsca zajmowały duże dzbanki i imbryki, jedne czyste, inne nie. – W kuchni chyba nie ma miejsca – zauważyłam. Schyliłam się i zaczęłam zbierać papiery z dywanu tak, jak zbiera się brudną pianę z powierzchni stawu.

– Lepiej to zostaw – odezwał się. – Niektóre nie są moje. Możesz coś pomieszać. Chodźmy lepiej do mojej sypialni. – Zgarbiony ruszył

przez korytarz w kierunku otwartych drzwi. Z konieczności poszłam za nim.

Pokój był biały, prostokątny, tak samo ciemny jak salon; tutaj żaluzja też była spuszczone. Nie zauważyłam żadnych mebli prócz deski do prasowania z żelazkiem, szachownicy i kilku pionków rozsypanych w kącie pokoju, maszyny do pisania stojącej na podłodze, tekturowego pudła, najprawdopodobniej na brudną bieliznę, które kopnął do szafy, kiedy wchodziłam, i wąskiego łóżka. Narzucił szary, wojskowy koc na skotłowaną pościel, wdrapał się na wierzch i usiadł ze skrzyżowanymi nogami, wciśnięty w kąt. Zaświecił lampę nad łóżkiem, wyjął papierosa z paczki, schował paczkę do tylnej kieszeni, zapalił i siedział ze złożonymi dłońmi, jak wygłodniały budda sam sobie palący kadzidło.

– No, dobra – powiedział.

Przysiadłam na brzegu łóżka – nie było żadnego krzesła – i zaczęłam wypełniać z nim kwestionariusz. Po każdym moim pytaniu przechylał głowę do tyłu, opierając ją o ścianę, zamykał oczy i odpowiadał. Potem otwierał oczy i przyglądał mi się z wyrazem ledwie dostrzegalnego skupienia, a ja zadawałam następne pytanie.

Kiedy dotarliśmy do reklamy telefonicznej, wstał i poszedł do telefonu w kuchni, żeby wykręcić numer. Wydawało mi się, że był tam zbyt długo. Wyszłam sprawdzić i zastałam go ze słuchawką przyciśniętą do ucha, z grymasem podobnym do uśmiechu na twarzy.

– Wolno słuchać tylko raz – pouczyłam go z wyrzutem.

Ociągając się, odłożył słuchawkę.

– Czy mogę zadzwonić, jak wyjdiesz, i jeszcze trochę posłuchać? – zapytał nieśmiało i przymilnie jak małe dziecko, które doprasza się jeszcze jednego ciastka.

– Możesz – zezwoliłam. – Ale nie w przyszłym tygodniu, dobrze? – Nie chciałam, żeby blokował linię ankieterom.

Wróciliśmy do sypialni i zajęliśmy poprzednie miejsca.

– Powtórzę teraz niektóre fragmenty reklamy i chciałabym, żebyś mi powiedział, z czym ci się kojarzą – wyjaśniłam. Była to część kwestionariusza poświęcona wolnym skojarzeniom, mająca na celu zbadanie spontanicznych reakcji na pewne kluczowe sformułowania. – Najpierw: „na wskroś męski bukiet”.

Odrzucił głowę do tyłu, zamknął oczy.

– Pot – wycedził z namysłem. – Tenisówki. Szatnie w podziemiach i ochraniacze na genitalia.

Prowadzący wywiad ma zawsze zapisywać odpowiedzi ankietowanych, słowo w słowo, więc zapisałam. Przyszło mi do głowy, że można by ten wywiad podrzucić do sterty prawdziwych wywiadów, żeby urozmaicić monotonię pracy jednej z tych pań do odhaczania – pani Weemers albo może pani Grundridge. Przeczytałyby to na głos, a reszta skomentowałyby, że ludzie bywają dziwni. Dobry temat do rozmów co najmniej na trzy dni.

– A z czym ci się kojarzy „głęboki, zimny łyk”?

– Z niczym specjalnym. Ale czekaj, czekaj. Ptak, biały, spadający z dużej wysokości. Trafiony w samo serce, w zimie. Spadające pióra, niesione wiatrem... To zupełnie jak te testy z zabawą w słowa u psychoanalityka – powiedział z otwartymi oczyma. – Zawsze je lubiłem. Lepsze od tych z obrazkami.

– Zdaje się, że zasada jest taka sama – powiedziałam. – A teraz: „zdrowy, krzepki smak”.

Zastanawiał się przez kilka minut.

– Zgaga – powiedział. – Albo nie, to nie to. – Zmarszczył czoło. – Już mam. Jedna z tych historyjek o kanibalach. – Tu po raz pierwszy przejawiał pewien niepokój. – Znam ten wątek, jest w *Dekameronie* i u braci Grimm. Mąż zabija kochankę żony albo vice versa, wyrywa mu serce i robi z niego gulasz albo zapieka w cieście, potem podaje na srebrnym półmisku, i ta druga osoba to zjada. Chociaż to niezupełnie tłumaczy słowo „zdrowy”, prawda? A Szekspir... – dorzucił już spokojniejszym tonem. – U Szekspira też jest coś takiego. W jednej scenie w *Tytusie Andronikusie*, chociaż to właściwie dyskusyjna sprawa, czy w ogóle Szekspir to napisał, czy...

– Dziękuję. – Zapisywałam pospiesznie. Teraz byłam już pewna, że mam przed sobą chronicznego neurotyka i że lepiej będzie, jeżeli zachowam spokój i nie okażę lęku. Właściwie nie bałam się – nie wyglądał niebezpiecznie – ale faktem było, że te pytania go stresują. Mógł być na granicy wytrzymałości psychicznej i któreś z tych zdań mogło wyprowadzić go z równowagi. Oni tacy są, myślałam, przypominają sobie pewien przypadek, o którym opowiadała

Ainsley; drobiazgi, takie jak słowa, mogą ich naprawdę zdenerwować.

– Teraz: „podniecające, mocne, dzikie”.

Zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

– Nie robi na mnie żadnego wrażenia – powiedział. – To się nie trzyma kupy. Pierwsza część przywodzi mi na myśl człowieka ze szklaną głową, w którą ktoś wali kijem, granie na szklankach. Ale „dzikie” nie mówi mi kompletnie nic. Obawiam się – dodał smutnym tonem – że to ci się na nic nie przyda.

– Świetnie ci idzie – zapewniałam i usiłowałam sobie wyobrazić, co by się stało z komputerem, gdyby dostał te odpowiedzi. – A teraz ostatnie: „tchnienie puszczy”.

– Och – powiedział niemal z entuzjazmem. – To jest proste. Uderzyło mnie to już, jak słuchałem. Jakiś film w technikolorze o psach albo koniach. „Tchnienie puszczy” to oczywiście pies, pół wilk, pół husky, który ratuje swego pana trzy razy: raz od ognia, raz od wody i raz z rąk złych ludzi – w dzisiejszych czasach są to raczej biali myśliwi niż Indianie – aż w końcu jakiś okrutny traper załatwia go dwudziestkądwójką i wszyscy płaczą. Chowają go najprawdopodobniej w śniegu. Panoramiczne ujęcie drzew i jeziora. Zachód słońca. Rozmazanie.

– Wspaniale – stwierdziłam, pospiesznie notując. Milcząc, wsłuchiwalismy się w skrzywienie mojego ołówka. – A teraz niestety jeszcze powinienes mi powiedzieć, w jakim stopniu każde z tych pięciu wyrażeń najlepiej pasuje do piwa: „Idealnie”, „Średnio”, „Nie najlepiej”.

– Trudno powiedzieć – odparł, tracąc całkowicie zainteresowanie. – Ja w ogóle nie piję piwa. Tylko whisky. Nic z tego nie pasuje do whisky.

– Ale przecież wybrałeś numer sześć z arkusza – zaprotestowałam zdumiona. – To znaczy siedem do dziesięciu butelek tygodniowo.

– Chciałaś, żebym coś wybrał – wyjaśnił cierpliwie. – A szóstka przynosi mi szczęście. Zmusiłem ich nawet do zmiany numeru mieszkania. Tak naprawdę to jest numer jeden. A poza tym nudziłem się. Miałem ochotę z kimś porozmawiać.

– To znaczy, że nie będę mogła wykorzystać twojego wywiadu – zganiłam go. Na moment zapomniałam, że nie był to prawdziwy wywiad.

– Ale za to było ciekawie – powiedział, krzywiąc twarz w półuśmiechu. – Przecież dobrze wiesz, że wszystkie inne wypowiedzi są totalnie nudne. Musisz przyznać, że znacznie urozmaiciłem twój dzień.

Zirytowałam się. Współczułam mu jak cierpiącemu, jak człowiekowi na granicy załamania psychicznego, a on powiada, że wszystko to było świadomie odegranym przedstawieniem. Mogłam albo wstać i natychmiast wyjść, okazując swoje niezadowolenie, albo przyznać mu rację. Rzuciłam mu złe spojrzenie i zastanawiałam się, jak postąpić, ale wtedy właśnie otworzyły się drzwi frontowe i usłyszałam jakieś głosy.

Pochylił się gwałtownie do przodu, nasłuchując w napięciu, a potem znowu oparł się o ścianę.

– To tylko Fish i Trevor. Mieszkamy razem – oznajmił. – Następni dwaj nudziarze. Trevor jest matką nudziarą, będzie przerażony, kiedy mnie zobaczy bez koszuli z dziewczyną przez duże D w pokoju.

Rozległ się szelest papierowych toreb z zakupami ustawianych w kuchni, a niski głos powiedział:

– Jezu, jak gorąco na dworze!

– Chyba już pójdę – powiedziałam. Jeżeli tamci mieli okazać się tacy sami jak ten, to miałam wątpliwości, czy dam im radę. Zebrałam swoje kwestionariusze i wstałam, a wtedy głos zawołał:

– Hej, Duncan, chcesz piwa? – I w drzwiach ukazała się zarośnięta brodata głowa.

Zatkało mnie.

– To jednak pijesz piwo!

– Tak. Jednak tak. Przepraszam. Po prostu nie chciałem jeszcze kończyć. Reszta i tak wydawała się nudna, a poza tym powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia.

– Fish – zwrócił się do brody – to jest Złotowłosa.

Uśmiechnęłam się sztywno. Nie jestem blondynką.

Nad pierwszą głową ukazała się teraz druga: twarz blada, jasne, przerzedzone włosy, błękitne oczy i pięknie rzeźbiony nos. Na mój

widok otworzył usta ze zdziwienia.

Nadeszła pora, by wyjść.

– Dziękuję – rzekłam chłodno, ale łaskawie, do tego na łóżku. – Bardzo mi pomogłeś.

Kiedy ruszyłam do drzwi, on wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Głowy pospiesznie usunęły się, by mnie przepuścić, a on zawołał:

– Hej, dlaczego wzięłaś się do takiego parszywego zajęcia?! Myślałem, że tym się zajmują tylko tłuste, brudne gospodynie domowe.

– No cóż – stwierdziłam, zachowując resztki godności, bez zamiaru wyjaśniania poważnego, no, powiedzmy poważniejszego statusu mojej prawdziwej pracy. – Wszyscy musimy jeść. A poza tym co innego można robić z dyplomem w dzisiejszych czasach?

Na dworze spojrzałam na kwestionariusz. W blasku słońca odpowiedzi, które zapisałam, były prawie nie do odczytania, na kartce wił się tylko labirynt szarych kresek.

W zasadzie brakowało mi jeszcze półtora wywiadu, ale to, co miałam, wystarczyło do napisania wymaganego sprawozdania i wprowadzenia zmian w kwestionariuszu. Ponadto chciałam się jeszcze wykąpać i przebrać przed pójściem do Petera, a wywiady zabrały mi więcej czasu, niż sądziłam.

Przyszłam do domu i rzuciłam kwestionariusze na łóżko. Rozejrzałam się, czy nie ma Ainsley, ale jej nie było. Wzięłam ręcznik, mydło, szczoteczkę i pastę do zębów, włożyłam szlafrok i zeszłam na dół. Nie mamy łazienki w mieszkaniu, co tłumaczy niskie komorne. Może dom wybudowano, gdy jeszcze nie znano łazienek, a może uważano wówczas, że służba ich nie potrzebuje, w każdym razie korzystamy z łazienki na pierwszym piętrze, co czasami utrudnia życie. Ainsley zawsze zostawia brudną wannę i ta z dołu uważa to za bezczeszczenie świątyni. Rozstawia w widocznych miejscach dezodoranty i zmywacze, szczotki i gąbki, ale na Ainsley nie robi to żadnego wrażenia, a ja czuję się głupio. Czasami, kiedy Ainsley jest już po kąpieli, schodzę na dół i myję wannę.

Chciałam chwilę poleżeć w wodzie, ale ledwie zeskrobałam z siebie popołudniową warstwę kurzu i spalin, a już ta z dołu zaczęła szurać i chrząkać pod drzwiami. Daje w ten sposób do zrozumienia, że chce wejść. Nigdy nie puka ani nic nie mówi. Powlokłam się znowu na górę, ubrałam się, wypiłam herbatę i wyszłam do Petera. Kiedy schodziłam na dół, przyglądali mi się z dagerotypów wyblakłymi oczami bladouści przodkowie w sztywnych kołnierzykach.

Zazwyczaj szliśmy gdzieś na kolację, a jeśli nie, to kupowałam coś do jedzenia po drodze, w małym, brudnym sklepiku, jakich pełno w starych dzielnicach. Jasne, że mógł po mnie przyjechać swoim volkswagenem, ale takie zadania irytują go. Poza tym nie lubię dawać zbyt wiele do myślenia tej z dołu. Nie wiedziałam, czy idziemy na kolację, czy nie – Peter nic na ten temat nie mówił – więc wpadłam do sklepu na wszelki wypadek. Pewno będzie skacowany po wczorajszej uroczystości i nie da się namówić na prawdziwą kolację.

Dom, w którym mieszka Peter, jest właściwie tak blisko, że nie warto korzystać z komunikacji miejskiej. Stoi na południe od mojej dzielnicy, a na wschód od uniwersytetu, w zaniedbanej okolicy, właściwie w slumsach, które za parę lat mają się zmienić w dzielnicę mieszkalnych wysokościowców. Kilka z nich już wykończono, ale dom Petera jest jeszcze w trakcie budowy. Peter jest jedyną osobą, która tam mieszka, czasowo, za jedną trzecią ceny, jaką będą brać po wykończeniu. Załatwił to sobie po znajomości, przy okazji jakiejś sprawy z kontraktami. Peter robi w tym roku aplikanturę i ma jeszcze niewiele pieniędzy – na przykład nie byłoby go stać na takie mieszkanie po normalnej cenie – ale firma, w której aplikuje, jest nieduża i Peter idzie w górę jak balon.

Przez całe lato, idąc do niego, musiałam przeciskać się między stertami betonowych płyt przed wejściem do holu, a wewnątrz obok jakichś brył przykrytych zakurzonymi płachtami, czasami między kubłami z gipsem, drabinami i stosami rur na klatce schodowej; windy jeszcze nie działają. Niekiedy zatrzymywali mnie robotnicy, którzy nie wiedzieli o Peterze i upierali się, że nie mogę wejść, bo tam nikt nie mieszka. Prowadziliśmy dyskusje na temat istnienia i nieistnienia pana Wollandera, a raz nawet musiałam ich zaprowadzić na siódme piętro i pokazać Petera we własnej osobie. Wiedziałam, że w sobotę o piątej po południu nikt nie będzie pracował – na pewno i tak mieli wolny weekend. Wygląda na to, że wcale im się nie spieszy, co Peterowi jest na rękę. Był jakiś strajk czy przerwa w pracy, która zahamowała postęp robót. Peter ma nadzieję, że nieprędko skończą, a im dłużej to potrwa, tym dłużej będzie płacił niski czynsz.

Budynek był gotowy, brakowało tylko wykończenia. Miał już wszystkie okna, zamazane na biało, żeby ludzie przez nie nie wypadali. Przed paroma tygodniami wmontowano szklane drzwi wejściowe i Peter obstał dla mnie dodatkowy komplet kluczy; z konieczności bardziej niż z wygodnictwa, ponieważ system dzwonek otwierających drzwi nie był jeszcze podłączony. Powierzchnie lśniące – posadzki z terakoty, malowane ściany, lustra, kinkiety – które w przyszłości miały nadać wnętrzu luksusowy wygląd, stworzyć wewnętrzny pancerz chitynowy – jeszcze się nie wykształciły. Widać było ciągle chropowatą szarą powierzchnię

nagiej podłogi i nieotynkowane ściany, a obnażone przewody zwisały ze wszystkich niemal oprawek jak zakończenia nerwów. Szłam pod górę ostrożnie, unikając zakurzonej poręczy i rozmyślając nad tym, jak bardzo weekendy kojarzą mi się z zapachem nowego budynku, piłowanymi deskami i cementu. Na piętrach, poprzez framugi – w których jeszcze nie osadzono drzwi – przyszłe mieszkania ziały pustką. Wspinaczka była długa; dotarłam do drzwi Petera mocno zadyszana. Jakaż będę szczęśliwa, kiedy uruchomię windy.

Mieszkanie Petera było w dużej mierze wykończone; on nigdy nie zamieszkałby bez porządnej podłogi i bez elektryczności, nawet za najniższe komorne. Jego znajomy traktuje to mieszkanie jako wzór dla pozostałych i pokazuje je swym ewentualnym przyszłym klientom. Zawsze jednak telefonuje, nim się zjawi. Peterowi to zbytnio nie przeszkadza – często bywa poza domem i nie ma nic przeciwko temu, że ktoś ogląda jego mieszkanie.

Otworzyłam drzwi, weszłam, włożyłam zakupy do lodówki w kuchni. Po odgłosach dobiegających z łazienki domyśliłam się, że Peter bierze prysznic, robi to często. Przeszłam do salonu i wyjrzałam przez okno. Mieszkanie nie jest na tyle wysoko, by z okien było widać śródmieście lub jezioro – widać tylko płataninę obskurnych uliczek i wąskich podwórek. Jest jednak zbyt wysoko, by dojrzeć, co ludzie tam robią. W salonie Peter ma niewiele mebli. Stoi tam nowoczesna kanapa, fotel w stylu skandynawskim i zestaw hi-fi. Nic poza tym. Twierdzi, że woli poczekać i kupić porządne rzeczy, niż zastawić mieszkanie tandetą, której nie lubi. Chyba ma rację, ale będzie ładniej, kiedy skompletuje ich więcej, te dwa meble wyglądają pająkowato w pustce otaczającej je przestrzeni.

Zawsze, ilekroć na kogoś czekam, ogarnia mnie zniecierpliwienie. Muszę chodzić. Zawędrowałam do sypialni i wyjrzałam przez okno, chociaż widać stamtąd to samo, co z salonu. Peter powiada, że sypialnia jest już prawie gotowa, chociaż niektórym może wydawać się nieco pustawa. Na podłodze leży duży futrzak, pod ścianą stoi proste, też duże łóżko – używane, ale w świetnym stanie, zawsze starannie zasłane. Jest także surowe, kwadratowe biurko z ciemnego drewna i pokryte skórą obrotowe krzesło biurowe, które też od kogoś kupił; Peter twierdzi, że jest bardzo wygodne do pracy. Na biurku znajduje się lampa, suszka, kolekcja piór i ołówków oraz dyplomowe

zdjęcie Petera w ramce. Na ścianie nad biurkiem – biblioteczka; na dolnej półce książki prawnicze, na górnej sterta tanich powieści kryminalnych i na środkowej różne książki i pisma. Na ścianie obok wisi kolekcja broni Petera: dwie strzelby, pistolet i kilka niebezpiecznie wyglądających noży. Mówił mi, co jak się nazywa, ale nigdy nie mogę zapamiętać tych nazw. Nie widziałam, żeby ich używał, chociaż oczywiście w mieście nie ma po temu wiele okazji. Zapewne dużo polował z dawnymi przyjaciółmi. Wiszą tam także aparaty fotograficzne, których szklane oczy kryją się w skórzanych futerałach. I jeszcze szafa z dużym lustrem, a w niej wszystkie jego ubrania.

Usłyszał moje kroki i zawołał z łazienki:

– Marian? To ty?

– Ja – odkrzyknęłam. – Cześć!

– Cześć. Zrób sobie drinka. Mnie też – gin z tonikiem. Zaraz wychodzę.

Wiedziałam, gdzie co jest. Peter ma całą półkę świetnie zaopatrzoną w alkohole i nigdy nie zapomina o napełnieniu wodą foremek do lodu. Poszłam do kuchni i skrupulatnie przygotowałam drinki, nie zapominając o skórce cytrynowej, którą tak lubi. Przyrządzanie drinków zabiera mi więcej czasu niż innym: wszystko muszę odmierzać.

Usłyszałam, jak zakręcił prysznic, a potem odgłos bosych stóp. Kiedy odwróciłam się, stał w drzwiach do kuchni, cały mokry, przepasany gustownym granatowym ręcznikiem.

– Cześć – powitałam go. – Twoja szklanka stoi na blacie.

Podszedł bez słowa, wyjął mi z ręki moją szklankę, wypił jedną trzecią i odstawił na stół. Potem mnie objął.

– Zamoczysz mnie – zaprotestowałam cicho. Położyłam rękę, zimną od lodowatej szklanki, na jego karku, ale ani mrugnął. Po kąpieli jego skóra była ciepła i miękka.

Pocałował mnie w ucho.

– Chodź do łazienki – powiedział.

R

Patrzyłam do góry, na zasłonkę nad wanną – plastikowe srebrzyste tło, na którym wśród lilii wodnych pływały trójkami różowe łabędzie

o wygiętych szyjach. Wcale nie była w guście Petera, kupił ją w pośpiechu, bo kiedy brał prysznic, woda lała się na podłogę; nie miał czasu przyrzeć się dokładnie, a ta była najmniej krzykliwa. Zastanawiałam się, dlaczego tak mu zależy, żebyśmy weszli do wanny. Nie uważałam tego za dobry pomysł, znacznie bardziej wolę łóżko, i byłam pewna, że wanna okaże się za mała, za twarda i kanciasta, ale nie oponowałam. Czułam, że muszę być wyrozumiała z powodu Triggera. Wzięłam jednak z sobą matę dla wygładzenia krawędzi.

Spodziewałam się, że Peter będzie przygnębiony, ale chociaż nie zachowywał się tak, jak zawsze, to przygnębiony nie był na pewno. Nie bardzo wiedziałam, o co chodzi z tą wanną. Przypomniały mi się dwa poprzednie śluby. Po pierwszym był futrzak na podłodze w sypialni, po drugim drapiący koc w polu, dokąd jechaliśmy cztery godziny i gdzie nękały mnie myśli o farmerach i krowach. Podejrzywałam, że jest to część jakiegoś jednego wzorca. Może chęć potwierdzenia młodości i spontaniczności, bunt przeciwko oklepanemu przeznaczeniu: pończochy w umywalce i tłuszcz zastygły na patelni, których wizję wywoływały w nim małżeństwa przyjaciół. Roztargnienie Petera w takich sytuacjach sprawiło, iż doszłam do wniosku, że lubi to robić, ponieważ gdzieś o tym przeczytał, ale nie mogłam zorientować się gdzie. Pole, podejrzewałam, wzięło się z myśliwskiej historyjki w jednym ze sportowych pism dla mężczyzn; przypomniałam sobie, że miał wtedy marynarkę w kratę. Futrzak wywodził się z magazynu ilustrowanego dla mężczyzn, opisującego orgię w luksusowych apartamentach. A wanna? Może w jakimś kryminale, który przeczytał, jak powiada, jako „literaturę ucieczki”? Chociaż tam występowałyby raczej kobieta topielec w wannie. Doskonała sprawa na okładkę: całkiem naga kobieta w niewielkiej ilości wody z kawałkiem mydła, plastikową kaczuszką albo plamą krwi, żeby przepuściła cenzura. Włosy unoszą się na powierzchni wody, ciało na tle zimnej bieli wanny, nieskalane, jak kryształ lodu, tylko dlatego, że martwe, oczy nieruchome, wpatrzone prosto w oczy czytelnika. Wanna w roli trumny. Przemknęła mi przez głowę taka wizja: oboje zasypiamy i kran przypadkowo odkręca się, woda jest letnia, więc niczego nie zauważamy, poziom jej powoli podnosi się i topimy się. Ależ by to była niespodzianka dla tego znajomego, kiedy przyszedłby z kolejną

grupą klientów obejrzyć mieszkanie – wszędzie woda i dwa nagie ciała zwarte w ostatnim uścisku. Mówiono by „samobójstwo”. „Śmierć z miłości”. A w letnie wieczory widywano by nasze duchy owinięte tylko w ręczniki kąpielowe, sunące korytarzami obok Apartamentów Brentview: „Garsoniery, apartamenty z sypialniami, apartamenty luksusowe...”.

Poruszyłam głową znudzona łabędziami, i spojrzałam dla odmiany na wygięty, srebrny dziób prysznic. Czułam zapach włosów Petera, czysty zapach mydła. Pachniał mydłem zawsze, nie tylko zaraz po kąpielu. Zapach ten kojarzył mi się z fotelem dentystycznym i lekami, ale na nim lubiłam go. Nigdy nie używał mdłosłodkich płynów po goleniu ani innych męskich substytutów perfum.

Widziałam jego ramię spoczywające na mnie i układające się włosy. Ramię było – tak jak łazienka – czyste, białe i nowe, miało skórę wyjątkowo gładką jak na mężczyznę. Nie mogłam dostrzec jego twarzy, opartej o moje ramię, ale próbowałam ją sobie wyobrazić. Peter był, jak mówiła Clara, „przystojny”; ta cecha najprawdopodobniej pierwsza mi się w nim spodobała. Zauważano go nie dlatego, że posiadał jakieś konkretne albo szczególne rysy, ale dlatego, że był przeciętnością doprowadzoną do perfekcji, jak te młode, świetnie utrzymane twarze z reklam papierosów. Ale czasami marzyłam o jakimś kojącym znamieniu czy chropowatym kawałku skóry, na którym dotyk mógłby zatrzymać się, a nie prześlizgiwać dalej.

Spotkaliśmy się na garden party po moim dyplomie; był kolegą kolegi i jedliśmy razem lody w półmroku. Zachowywał się bardzo oficjalnie i pytał, jakie mam plany. Mówiłam o pracy zawodowej, starając się, by brzmiało to mniej mgliście, niż sama to sobie wyobrażałam. Później powiedział mi, że polubił właśnie tę otaczającą mnie aurę niezależności i zdrowego rozsądku: uważał mnie za typ dziewczyny, która nie próbowałaby kierować jego życiem. Przedtem miał niemiłe doświadczenia z – jak to określił – „typem przeciwnym”. Na takiej właśnie zasadzie opierał się nasz układ i mnie to odpowiadało. Braliśmy pozory za dobrą monetę, co znaczy, że było nam bardzo dobrze. Oczywiście, musiałam dostosowywać się do jego humorów, zawsze tak jest z mężczyznami, ale jego nastroje były tak oczywiste, że nie sprawiały żadnego kłopotu. Przez lato stał się

przyjemnym przyzwyczajeniem, a ponieważ spotykaliśmy się tylko w weekendy, pozłota nie miała okazji się zetrzeć.

Kiedy pierwszy raz poszłam do niego, mało brakowało, a byłby to raz ostatni. Częstował mnie obficie muzyką i koniakiem, wyobrażając sobie, że jest przebiegły i uprzejmy, a ja pozwoliłam się wmanewrować do sypialni. Postawiliśmy kieliszki na biurku i w trakcie jakiejś akrobacji Peter stracił jeden na podłogę.

– Zostaw to – powiedziałam, zapewne niezbyt dyplomatycznie. Ale on zapalił światło, poszedł po śmietniczkę i szczotkę i zmiotł wszystkie kawałki szkła, większe zbierając ostrożnie i dokładnie jak gołąb okruchy. Nastrój prysł. Niedługo potem pożegnaliśmy się, raczej oziębło, i przez ponad tydzień Peter nie dawał znaku życia. Teraz, oczywiście, sprawy miały się znacznie lepiej.

Peter przeciągnął się i ziewnął obok mnie, wgniatając moje ramię w wannę. Skrzywiłam się i delikatnie wyciągnęłam rękę spod niego.

– Jak było? – spytał niedbale, z ustami na moim ramieniu. Zawsze mnie o to pytał.

– Wspaniale – szepnęłam. Dlaczego on sam nie wie? Za którymś razem powinnam odpowiedzieć: „fatalnie”, żeby zobaczyć, jak zareaguje, ale już na zapas wiedziałam, że mi nie uwierzy. Wyciągnęłam rękę, pogładziłam jego mokre włosy i podrapałam go w kark, co lubił, w ograniczonych dawkach.

A może zamierzał użyć wanny jako wyrazu swojej osobowości? Szukałam jakiegoś przekonującego uzasadnienia. Asceza? Współczesna wersja włosiennicy albo siedzenia na gwoździach? Umartwianie ciała? Ale nic w jego zachowaniu na to nie wskazywało – był przywiązany do wygod, a poza tym to nie jego ciało było umartwiane, on był na wierzchu. A może to taki wybryk lekkomyślnego młodzieńca, jak skok w ubraniu do basenu czy stawianie sobie różnych rzeczy na głowie podczas przyjęcia? Nie, ten obraz także nie pasował do Petera. Byłam szczęśliwa, że nie miał już więcej starych przyjaciół na wydaniu. Następnym razem mógłby chcieć wcisnąć nas do szafy z ubraniami albo wypróbować jakąś egzotyczną pozycję w zlewie kuchennym.

A może – myśl ta zmroziła mi krew w żyłach – może chciał doprowadzić do eksternalizacji mojej osobowości? To pchnęło moje

dociekania na nowe tory: Czy rzeczywiście traktuje mnie jak element wyposażenia łazienki? Za kogo on mnie ma?

Bawił się moimi włosami na karku.

– Byłoby ci ładnie w kimonie – szepnął. Ugryzł mnie w ramię, w czym rozpoznałam sygnał do swawolnych igraszek. Peter nieczęsto gryzie.

Ja też ugryzłam go w ramię, a potem, upewniwszy się, że kurek od prysznicza jest ciągle ustawiony do góry, wysunęłam prawą stopę – a stopy mam zwinne – i odkręciłam kran z zimną wodą.

O pół do dziewiątej jechaliśmy na spotkanie z Lenem. Nastrój Petera zmienił się w stan, którego jeszcze nie rozgryzłam, więc nie próbowałam rozmawiać podczas jazdy. Nie spuszczał oczu z drogi, zbyt szybko brał zakręty i mrucał coś pod nosem pod adresem innych kierowców. Nie zapiął pasa bezpieczeństwa.

Początkowo był niezadowolony, kiedy powiedziałam mu, że umówiłam się z Lenem, nawet kiedy dodałam:

– Jestem pewna, że on ci się spodoba.

– Co to za człowiek? – spytał podejrzliwie. Po kim innym mogłabym spodziewać się sceny zazdrości. Ale Peter nie należy do zazdrosnych.

– Dawny przyjaciel – powiedziałam – z uczelni. Właśnie wrócił z Anglii. Jest chyba reżyserem telewizyjnym czy czymś w tym rodzaju. – Wiedziałam, że Len nie był aż tak wysoko, ale stanowiska robią na Peterze wrażenie. Ponieważ Len miał być dla niego atrakcją wieczoru, chciałam, żeby spotkanie upłynęło w miłym nastroju.

– Ach tak – odparł Peter. – Jeden z tych artystycznych typków. Pewnie pedał.

Siedzieliśmy w kuchni, jedząc mrożony groszek i wędzone mięso, to, które gotuje się przez trzy minuty w plastikowym opakowaniu. Peter nie miał ochoty jeść na mieście.

– Ależ nie – broniłam Lena. – Wręcz przeciwnie.

Peter odsunął talerz.

– Dlaczego ty nic nie umiesz ugotować? – zapytał z rozdrażnieniem.

Poczułam się dotknięta: to nie fair. Lubię gotować, ale w jego domu specjalnie się powstrzymywałam, żeby nie poczuł się zagrożony. Zawsze lubił wędzone mięso, które przecież jest bardzo pożywne. Już chciałam zrobić jakąś złośliwą uwagę, ale opanowałam się. Był w końcu cierpiący. Zamiast tego spytałam:

– Jak było na ślubie?

Jęknął, odsunął się od stołu, zapalił i zapatrzył się w ścianę. Potem wstał i nalał sobie jeszcze jeden gin z tonikiem. Miał zamiar

przechadzać się w tę i z powrotem, ale kuchnia okazała się za wąska, więc znowu usiadł.

– Mój Boże – powiedział. – Biedny Trigger. Wyglądał okropnie. Jak on mógł dać się tak wrobić. – Ciągnął dalej chaotyczny monolog, w którym Trigger jawił się niczym ostatni Mohikanin, szlachetny i wolny, ostatni dinozaur, którego zniszczył los i gatunki od niego podniejsze, ostatni ptak dodo, za głupi, żeby uciec. Potem zaatakował pannę młodą, oskarżając ją o drapieżność i złośliwość, i o wessanie biednego Triggera w domową próżnię (tu wyobraziłam ją sobie jako odkurzacza), a zakończył kilkoma ponurymi prognozami co do swojej własnej samotnej przyszłości. Przez samotną przyszłość rozumiał brak innych mężczyzn w stanie wolnym.

Przełknęłam ostatni mrożony groszek. Już dwa razy słyszałam tę albo podobną mowę i wiedziałam, że nic na to nie mogę odpowiedzieć. Gdybym się z nim zgodziła, mogłabym pogłębić jego przygnębienie; gdybym była innego zdania, mógłby podejrzewać, że bronię panny młodej. Za pierwszym razem zachowałam się pogodnie i filozoficznie, usiłowałam go pocieszać.

– Stało się – powiedziałam. – Może w końcu wyniknie z tego coś dobrego. Przecież nie porwała go z kołyski. On ma chyba ze dwadzieścia sześć lat?

– Ja mam dwadzieścia sześć – odparł smętnie.

Więc tym razem nie powiedziałam nic, myśląc, że to dobrze, iż wygłosił to swoje przemówienie na początku wieczoru. Wstałam, podałam mu porcję lodów, co przyjął za gest współczucia, objął mnie w pasie i przyciągnął do siebie ponuro.

– Boże, Marian – powiedział. – Co ja bym zrobił, gdybyś ty mnie nie rozumiała. Większość kobiet tego nie potrafi, ale ty jesteś taka rozsądna.

Oparłam się o niego i głaskałam go po głowie, a on jadł lody.

Zostawiliśmy samochód tam, gdzie zawsze, na bocznej ulicy za Park Plaza. Kiedy ruszyliśmy piechotą, wzięłam Petera pod ramię, a on uśmiechnął się do mnie z roztargnieniem. Ja też uśmiechnęłam się do niego – cieszyłam się, że minął mu ten złowieszczy nastrój, w jakim był podczas jazdy – i wtedy on swoją dłoń przykrył moją. Już chciałam drugą dłoń nakryć jego rękę, kiedy przyszło mi na

myśl, że jeżeli tak zrobię, moja zostanie na wierzchu, co zmusi go do uwolnienia drugiej ręki, żeby jego znowu była na wierzchu, jak w tej dziecinnej grze. Zamiast tego czule ścisnęłam jego ramię.

Doszliśmy do Park Plaza i Peter, jak zawsze, otworzył przede mną drzwi. Bardzo przestrzega takich spraw, otwiera także drzwi do samochodu. Czasami odnoszę wrażenie, że trzaśnie obcasami.

Kiedy czekaliśmy na windę, przyglądałam się naszemu wspólnemu portretowi w lustrze wielkim od sufitu do podłogi obok drzwi do windy. Peter miał na sobie jeden z bardziej stonowanych strojów: brązowawozielony letni garnitur, którego krój akcentował funkcjonalną smukłość jego ciała. Wszystkie dodatki były starannie dobrane.

– Ciekawe, czy Len już jest – odezwałam się, patrząc na swoje odbicie, a zwracając się do Petera. Pomyślałam, że wzrostem do niego pasuję.

Zjechała winda. Peter powiedział: – Na górę, proszę – do windziarki w białych rękawiczkach i bezszelestnie unieśliśmy się do góry. Park Plaza to hotel, ale na dachu jest bar, jedno z ulubionych miejsc Petera, gdzie można spokojnie coś wypić. Dlatego zaproponowałam je Lenowi. Na tej wysokości ma się poczucie pionu, o co raczej trudno w mieście. Bar jest jasno oświetlony, a nie, jak wiele innych, ciemny jak tunel. Jest też czysty. Nikt się tam nigdy paskudnie nie upija, a poza tym można porozmawiać; nie ma ani orkiestry, ani pieśniarki. Fotele są wygodne, wystrój nawiązuje do stylu osiemnastego wieku i wszyscy barmani znają Petera. Ainsley opowiadała mi, że pewnego razu, kiedy tu z kimś była, ktoś groził, że popełni samobójstwo, skacząc z tarasu, ale to mogła być jedna z jej historyjek.

Weszliśmy. Nie było wiele ludzi, więc od razu zobaczyłam Lena przy stoliku z czarnym blatem. Podeszliśmy bliżej i przedstawiłam mu Petera; podali sobie dłonie – Peter gestem stanowczym, Len – uprzejmie. Natychmiast pojawił się przy naszym stoliku kelner i Peter zamówił dwa giny z tonikiem.

– Bardzo się cieszę, że cię znowu widzę, Marian – wykrzyknął Len, pochylając się nad stołem, by pocałować mnie w policzek. Pomyślałam, że nauczył się tego w Anglii, ponieważ przedtem czegoś takiego nie robił. Przytył trochę.

– Jak było w Anglii? – spytałam. Chciałam, żeby coś opowiedział i rozerwał Petera, który siedział nadęty.

– Fajnie, chociaż straszny tłok. Gdziekolwiek pójdziesz, wszędzie nasi. Tak tam ciasno, że lepiej w ogóle nie jeździć. Anglia pęka w szwach od tych cholernych turystów. Chociaż – tu zwrócił się do Petera – żal mi było wyjeżdżać; zanosilo się na to, że dostanę dobrą robotę i parę innych fajnych spraw. Ale trzeba strzec się kobiet, kiedy zaczynają się koło człowieka kręcić. Zawsze chcą, żeby się z nimi żenić. Trzeba brać manatki i zwiewać. Dobrać się do nich, zanim one dobiorą się do ciebie, i w nogi. – Uśmiechnął się, pokazując piękne, lśniące, białe zęby.

Peter wyraźnie się ożywił.

– Marian mówiła, że pracujesz w telewizji.

– Tak – odparł Len, przyglądając się swoim kwadratowym paznokciom u nieproporcjonalnie dużych dłoni. – W tej chwili akurat nic nie robię, ale pewno gdzieś się załapię. Wszędzie potrzebują ludzi z moimi kwalifikacjami. Chciałbym zrobić w tym kraju dobry reportaż publicystyczny. Taki naprawdę dobry, ale przecież wiadomo, ile papierków trzeba, żeby coś tutaj zrobić.

Peter rozluźnił się. Pomyślał pewnie, że jeżeli Len interesuje się reportażem, to nie może być pedałem.

Poczułam, że ktoś dotyka mojego ramienia, i odwróciłam się. Stała za mną dziewczyna, której nigdy przedtem nie widziałam. Otworzyłam usta, żeby zapytać, o co chodzi, kiedy odezwał się Peter.

– O, Ainsley. Nie mówiłaś, że ona też przyjdzie. – Spojrzałam jeszcze raz: to rzeczywiście była Ainsley.

– Och, Marian – wyszeptła niemal bez tchu. – Nie powiedziałaś mi, że to bar. Mam nadzieję, że nie zażądatają ode mnie metryki.

Len i Peter podnieśli się. Przedstawiłam ją Lenowi z dużą niechęcią. Usiadła w wolnym fotelu. Na twarzy Petera malowało się zakłopotanie. Poznali się już wcześniej i nie spodobała mu się, ponieważ podejrzewał ją o „ckliwie radykalne” poglądy po tym, jak zaszczyciła go wykładem teoretycznym o wyzwoleniu id. Peter jest konserwatystą. Obraziła go, określając którąś z jego opinii jako „konwencjonalną”, a on zemścił się, mówiąc, że jej poglądy są „barbarzyńskie”. Teraz wyglądało na to, że domyśla się, iż Ainsley coś

szykuje, ale nie chciał jej płoszyć, nim nie dowie się, o co chodzi. Czekał na dowody.

Zjawił się kelner, Len spytał Ainsley, czego się napije. Zawahała się i nieśmiało powiedziała:

– Och, mogę się napić... gingerale^[3]...

Len promieniał.

– Słyszałem, że masz nową współmieszkanke, Marian – zagadnął – ale nie mówiłaś mi, że jest taka młoda!

– Trochę się nią opiekuję – odparłam kwaśno. – Rodzina prosiła. – Byłam na nią wściekła. Postawiła mnie w bardzo niewygodnej sytuacji. Mogłam albo popsuć wszystko, mówiąc, że ma studia wyższe i tak naprawdę jest kilka miesięcy starsza ode mnie, albo siedzieć cicho i brać udział w czymś, co przecież było oszustwem. Świetnie wiedziałam, po co przyszła: Len był potencjalnym kandydatem i chciała go w ten sposób wybać, ponieważ czuła, że trudno byłoby mnie namówić, bym ich ze sobą poznała.

Kelner wrócił, niosąc jej napój. Zdziwiło mnie, że nie poprosił o jej metrykę, ale po zastanowieniu doszłam do wniosku, że każdy doświadczony kelner wyszedłby z założenia, że tak młodo wyglądająca dziewczyna nie odważyłaby się wejść do baru w takim stroju i zamówić gingerale, gdyby rzeczywiście nie była pełnoletnia. Mają oko na zbyt wyzywająco ubrane nastolatki, a Ainsley nie była ubrana wyzywająco. Wyciągnęła skądś letnią kreację, której nigdy nie widziałam, w różową i bladoniebieską krateczkę na białym tle z koronkowym kołnierzykiem. Włosy miała związane z tyłu różową wstążką, a na ręce pobrząkiwała srebrna bransoletka z wisiorkami. Makijaż zrobiła bardzo dyskretny, a oczy starannie, ale niezauważalnie pomalowała tak, że wydawały się dwa razy większe i okrągłejsze, i bardziej niebieskie niż zazwyczaj. Poświęciła nawet długie, kształtne paznokcie, obgryzając je niemal do samej skóry, tak że nabrały wyglądu postrzępionych paznokci uczennicy. Zorientowałam się, że jest zdecydowana na wszystko.

Len rozmawiał z nią, zadawał pytania, usiłował coś z niej wyciągnąć. Popijała gingerale i odpowiadała krótkimi nieśmiałymi zdaniem. Najwyraźniej bała się powiedzieć za dużo, świadoma

niebezpiecznej obecności Petera. Ale kiedy Len spytał, gdzie pracuje, mogła mu dać odpowiedź zgodną z prawdą.

– Pracuję w firmie produkującej elektryczne szczoteczki do zębów – odpowiedziała i oblała się gorącym, szczerym rumieńcem.

Zamurowało mnie.

– Przepraszam – powiedziałam. – Wyjdę na taras odetchnąć świeżym powietrzem.

Chciałam się zastanowić, co robić; przecież nie powinnam pozwolić, by Lena oszukiwano – to było nieetyczne. Ainsley wyczuła moje intencje, bo kiedy wstawałam, posłała mi szybkie, ostrzegawcze spojrzenie.

Na tarasie oparłam się łokciami o murowaną barierkę, która sięgała mi prawie pod brodę, i patrzyłam na miasto. Dokładnie na wprost przede mną sunął strumień światła, rozbijał się o ciemną plamę parku i opływał ją dokoła; drugi strumień rozszepiał się w dwie strony pod kątem prostym i zniknął w oddali. Co robić? Czy to moja sprawa? Wiedziałam, że jeżeli się wtrączę, zerwę niepisaną umowę i wtedy Ainsley na pewno w jakiś sposób mi się odwdzięczy, używając do tego Petera. Świetnie robiła takie rzeczy.

Daleko na wschodzie, nad horyzontem, ujrzałam błyskawicę. Zanosiło się na burzę.

– To dobrze – powiedziałam głośno. – Atmosfera się oczyści. – Jeżeli mam nie podejmować żadnych specjalnych kroków, to muszę się kontrolować, żeby czegoś przypadkiem nie powiedzieć. Przemierzyłam taras kilka razy w tę i z powrotem, aż wreszcie poczułam, że mogę wracać. Z lekkim zdziwieniem zauważyłam, że trochę się chwieję.

Kelner przed chwilą musiał odejść od stolika, bo na moim miejscu stał nowy gin z tonikiem. Peter pogrążony był w rozmowie z Lenem i ledwie spostrzegł, że wróciłam. Ainsley siedziała cicho, ze spuszczonej oczami, podzwaniając kostką lodu w szklance. Przyglądałam się jej najnowszemu wcieleniu i stwierdziłam, że wygląda jak duża pulchna lalka w sklepie z zabawkami przed Bożym Narodzeniem, o zmywalnej i gładkiej jak guma skórze, szklanych oczach i lśniących sztucznych włosach. Różowa i biała.

Wysłuchałam się w głos Petera; dobiegał jakby z daleka. Coś opowiadał Lenowi, chyba o polowaniu. Wiedziałam, że kiedyś jeździł na polowania, głównie z paczką starych kolegów, ale nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Raz napomknął, że strzelał tylko do wron, świstaków i innego drobiazgu.

– Więc nacisnąłem i trach. Jeden strzał, prosto w serce. Reszta uciekła. Podniosłem go, a Trigger mówi: „Wiesz, jak się to patroszy? Trzeba przeciąć brzuch, dobrze potrząsnąć i wszystkie flaki wylatują”. Więc wyciągnąłem nóż, dobry nóż, z niemieckiej stali, przeciąłem brzuch, wziąłem go za tylne nogi i zamachnąłem się z całej siły, jak biczem. Patrzę, a tu wszędzie krew i flaki. Cały byłem upaprany, to zajęcze paskudztwo zwisało z drzew. Mówię ci, w promieniu dobrych kilkunastu metrów drzewa były czerwone...

Przerwał i zaśmiał się. Len wyszczerzył zęby. Głos Petera zmienił się, nie poznawałam go. W głowie zapaliło mi się hasło „wstrzeźliwość” – nie mogę dopuścić do tego, by alkohol zniekształcił mój obraz Petera.

– Ubaw po pachy! Dobrze, że i Trigger, i ja mieliśmy ze sobą aparaty. Zrobiliśmy parę niezłych zdjęć tej jatki. Aha, chciałem cię spytać... w twoim zawodzie musisz się chyba nieźle znać na aparatach... – I pograżyli się w dyskusji o japońskich obiektywach.

Peter mówił coraz głośniejszy i szybciej – nie sposób było nadażyć za tym potokiem słów, więc mój umysł dał za wygraną i skoncentrował się na scenie w lesie. Oglądałam ją w formie slajdów rzucanych na ekran w ciemnym pokoju: jaskrawe kolory, zieleń, brąz, niebieskie niebo, czerwień. Peter stoi tyłem do mnie w kraciastej koszuli, ze strzelbą przewieszoną przez ramię, w towarzystwie kilku nieznanym mi kolegów, w promieniach słońca przedzierającego się między anonimowymi drzewami widać dokładnie ich twarze pochłapane krwią, usta wykrzywione śmiechem. Zająca nie widziałam.

Pochyliłam się do przodu, oparłam łokcie o czarny blat stołu. Chciałam, żeby Peter odwrócił się i rozmawiał ze mną, chciałam usłyszeć jego normalny głos, ale on się nie odwracał. Przyglądałam się odbiciom całej trójki, które ruszały się pod błyszczącą czarną powierzchnią jak w kałuży; mieli tylko podbródki, bez oczu, z wyjątkiem Ainsley, której łagodny wzrok utkwiony był w szklance. Po chwili ze zdziwieniem zauważyłam, że jakaś duża kropla

zmaterializowała się na stole obok mojej ręki. Wsadziłam w nią palec i rozmazałam, zanim z przerażeniem zdałam sobie sprawę z tego, że to łza. To znaczy, że ja płaczę! Coś zaczęło się we mnie panicznie miotać, jakbym połknęła kijankę. Wyglądało na to, że nie wytrzymam i zrobię scenę, a przecież nie wolno mi było tego robić.

Wstałam z miejsca, usiłując wyglądać całkiem normalnie, przeszłam przez salę, starannie omijając stoliki, i weszłam do damskiej toalety. Sprawdziwszy, że nie ma nikogo – nie chciałam mieć świadków – zamknęłam się w jednej z różowych kabin i płakałam przez dobre kilka minut. Nie mogłam pojąć, co się stało, dlaczego to robię; nigdy przedtem nic takiego mi się nie przydarzyło, to było takie absurdalne.

– Weź się w garść – szepnęłam. – Nie rób z siebie wariatki.

Razem ze mną tkwiła tu rolka papieru toaletowego; bezradna, biała, aksamitna, czekająca cierpliwie, aż skończę. Urwałam kawałek i wytarłam nos.

Pokazały się jakieś buty. Przyjrzałam się im uważnie przez szczelinę pod drzwiami kabiny. Tak, to były buty Ainsley.

– Marian! – zawołała. – Nic ci nie jest?

– Nic – odpowiedziałam. Otarłam oczy i wyszłam. – No – ciągnęłam, starając się robić wrażenie opanowanej. – Przymierzasz się, co?

– Zobaczymy – odrzekła chłodno. – Najpierw muszę się o nim czegoś więcej dowiedzieć. Oczywiście nie wydasz mnie.

– Chyba nie – odparłam. – Chociaż nie wydaje mi się to zbyt etyczne. Przypomina chwytanie ptaków w sieci, łowienie ryb na światło albo coś w tym rodzaju.

– Przecież ja mu nic nie zrobię – zaprotestowała. – To nie boli. – Rozwiązała różową wstążkę i czesała włosy. – Ale co ci się stało? Widziałam, jak zaczęłaś płakać przy stole.

– Nic – oznajmiłam. – Wiesz przecież, że nie mogę dużo pić. Chyba przez tę duchotę. – Byłam już zupełnie opanowana.

Wróciłyśmy na swoje miejsca. Peter z wielkim zapalem rozprawiał z Lenem o różnych sposobach robienia autoportretów: na przykład za pomocą odbicia w lustrze, z samowyzwalaczem, kiedy naciska się migawkę, biegnie na miejsce i ustawia z szykiem. Len dodał coś o prawidłowym ustawieniu ostrości obrazu, ale chwilę potem, jak

usiadłam, rzucił mi szybkie, wymowne spojrzenie, jakby się na mnie zawiódł. Po czym wrócił do rozmowy.

O co mu chodziło? Spojrzałam na jednego i na drugiego. Peter uśmiechnął się do mnie w środku zdania, czule, ale z rezerwą. I nagle wydało mi się, że wiem, co się dzieje. Traktował mnie jak rekwizyt – milczący, ale trwałe, dwuwymiarowy kontur. On mnie nie lekceważył, jak dotąd podejrzewałam (czy to wyjaśniało tę żalostną ucieczkę?), on na mnie polegał! A Len patrzył tak na mnie, ponieważ myślał, że ja specjalnie usuwam się w cień i że wobec tego naszą znajomość należy uważać za poważniejszą, niż mu mówiłam. Len nigdy nikomu nie życzył małżeństwa, a na pewno nikomu, kogo lubił. Ale nie znał sytuacji, pomylił się.

Nagle znowu chwycił mnie strach. Przytrzymałam się krawędzi stołu. Ta elegancka kwadratowa sala z podwieszanymi firankami, dywanem o przytłumionych barwach i z kryształowymi żyrandolami coś w sobie kryła, coś złego wisiało w rozgadanym powietrzu.

– Poczekaj – powiedziałam do siebie. – Nie ruszaj się.

Przyjrzałam się drzwiom i oknom, oceniając odległości. Musiałam się stąd wydostać.

Światło zgasło i zapaliło się, a jeden z kelnerów zawołał:

– Proszę państwa, zamykamy. – Rozległ się hałas odsuwanych krzeseł.

Zjechaliśmy windą. Przy wyjściu Len odezwał się:

– Jeszcze wcześniej. Może byście wpadli do mnie na drinka? Pokażę ci mój telekonwerter.

– Świetnie. Bardzo chętnie – odpowiedział Peter.

Przeszliśmy przez szklane drzwi. Wzięłam Petera pod ramię i ruszyliśmy przodem. Ainsley odcięła Lena od stada i pozwoliła prowadzić się w bezpiecznej odległości za nami.

Na ulicy było trochę chłodniej, wiał lekki wiatr. Puściłam ramię Petera i zaczęłam biec.

Biegłam chodnikiem. Nie miałam pojęcia, jak to się stało, ale dopiero po chwili zauważyłam ze zdziwieniem, że moje stopy się poruszają. Nie zatrzymałam się jednak.

Pozostali byli tak zdumieni, że przez dłuższy czas nie reagowali. W końcu Peter krzyknął:

– Marian! Co ty wyprawiasz?!

Wyczułam wściekłość w jego głosie. Grzech był niewybaczalny, bo popełniony na oczach wszystkich. Nie odpowiedziałam, obejrzałam się tylko przez ramię i biegłam dalej. Peter i Len rzucili się za mną. Ale zaraz potem zatrzymali się i usłyszałam głos Petera:

– Wezmę samochód i przetnę jej drogę, a ty postaraj się nie zgubić tropu.

Odwrócił się i popędził w przeciwnym kierunku. To mnie zaniepokoiło – spodziewałam się, że będzie mnie gonił Peter, a tymczasem to Len ciężko galopował za mną. Spojrzałam przed siebie akurat w porę, żeby uniknąć zderzenia z jakimś starszym facetem wytaczającym się z restauracji, i znowu odwróciłam głowę. Ainsley wahała się przez chwilę, niepewna, za kim podążyć, ale już pędziła w tym samym kierunku co Peter. Widziałam, jak zakołysała się różowo-białym obłokiem na rogu ulicy.

Brakowało mi już tchu, ale i tak wystartowałam wcześniej od nich, mogłam więc zwolnić. Mijane latarnie odmierzały odległość na mojej drodze; to, że zostawiałam je za sobą, dawało mi poczucie sukcesu. Ponieważ nadeszła pora zamykania barów, na ulicy było sporo ludzi. Mijając ich, uśmiechałam się i machałam do nich ręką, chciało mi się śmiać, gdy widziałam zdziwienie na ich twarzach. Przypominało to zabawę w berka.

– Hej, Marian! Stój! – pokrzykiwał od czasu do czasu biegnący za mną Len.

Naraz tuż przede mną pojawił się samochód Petera skręcający w główną ulicę. Widocznie objechał domy z drugiej strony.

W porządku, pomyślałam, musi przejechać na drugi pas, więc mnie nie dosięgnie.

Samochód znajdował się po przeciwnej stronie ulicy, jechał w moją stronę. Ale między pojazdami zrobiła się przerwa, więc wyrwał się naprzód i brawurowo zawrócił. Jechał teraz równo ze mną, zwolnił. Z tylnego siedzenia spoglądała na mnie twarz Ainsley, pełna jak księżyc i bez wyrazu.

To już przestało być zabawne. Obły kształt przypominający czołg był niebezpieczny. Przerazało mnie to, że Peter nie podjął pogoni na własnych nogach, ale że zamknął się w pancernym samochodzie; z drugiej strony takie posunięcie było całkiem logiczne. Za chwilę samochód stanie, drzwi otworzą się... Dokąd miałam uciec?

Tymczasem minęłam sklepy i restauracje i dotarłam do miejsca, gdzie w pewnej odległości od ulicy stały stare wysokie domy. Wiedziałam, że większość z nich jest niezamieszkana, że znajdują się tam gabinety dentystyczne i pracownie krawieckie. Zauważyłam otwartą żelazną bramę. Wpadłam w nią i pobiegłam zwirowanym podjazdem.

Był tam chyba jakiś ekskluzywny klub. Nad drzwiami wejściowymi wisiała markiza, a w oknach paliło się światło. Kiedy zawahałam się przez moment, słysząc zbliżające się dudnienie kroków Lena na chodniku, ktoś zaczął otwierać drzwi.

Nie mogłam dać się złapać. Wiedziałam, że to posiadłość prywatna. Przeskoczyłam niski żywopłot przy podjeździe i dałam nura na ukos przez trawnik, w ciemność. Oczami duszy zobaczyłam Lena wpadającego do bramy prosto na wzburzoną falę wytwornego towarzystwa, które wyobraziłam sobie jako starsze panie w wieczorowych sukniach, i poczułam wyrzuty sumienia. To był mój przyjaciel. Tak, ale wystąpił przeciwko mnie i musi za to zapłacić.

Przystanęłam w cieniu budynku, żeby się zastanowić. Za mną Len, na wprost dom, z pozostałych dwóch stron drogę zagradało mi coś solidniejszego niż ciemność – mur przylegający do żelaznej bramy frontowej; wyglądało na to, że okala dom. Trzeba było się tam wspiąć.

Przedarłam się przez zbitą masę kolczastych krzewów. Mur sięgał mi tylko do ramienia; zdjęłam buty, przerzuciłam na drugą stronę

i wdrapałam się na górę, wykorzystując gałęzie i nierówności powierzchni. Coś się rozdarło. Huczało mi w uszach.

Zamknęłam oczy, klękłam na chwilę na górze, zachwiałam się i poleciałam do tyłu.

Poczułam, że ktoś mnie chwyta, stawia na ziemi i potrząsa mną. Był to Peter, który widocznie zaszedł mnie od tyłu i czekał tam w bocznej uliczce, pewny, że przejdę przez mur.

– Co cię napadło? – zapytał surowym tonem. W świetle latarni jego twarz wyrażała złość i niepokój. – Nic ci się nie stało?

Oparłam się o niego i podniosłam rękę, by dotknąć jego szyi. Ulga, że ktoś mnie zatrzymał, że słyszę znowu normalny głos Petera, i świadomość, że on istnieje naprawdę, były tak wielkie, że musiałam się roześmiać.

– Nic – odpowiedziałam. – Oczywiście, że nic. Nie wiem, co mnie napadło.

– Więc włóż buty – zaproponował, podając mi je. Był zirytowany, ale nie zamierzał robić awantury.

Len z trudem wszedł na mur i z głuchym łoskotem opadł na ziemię. Oddychał ciężko.

– Masz ją? To dobrze. Wiejmy stąd, zanim wezwą policję.

Samochód stał tuż obok. Peter otworzył przednie drzwi i wsunęłam się do środka, a Len usiadł z tyłu obok Ainsley. Do mnie powiedział tylko:

– Nie wiedziałem, że taka z ciebie histeryczka.

Ainsley milczała. Ruszyliśmy. Len pokazywał drogę. Wolałabym pojechać do domu, ale nie chciałam już tego wieczoru sprawiać Peterowi więcej kłopotów. Siedziałam wyprostowana z rękami złożonymi na kolanach.

Zaparkowaliśmy obok domu Lena. Na ile mogłam zorientować się po ciemku, należał do gatunku walących się budynków z brązowej cegły, w opłakanym stanie, ze schodami awaryjnymi na zewnątrz. W środku nie było windy, tylko skrzypiące schody z drewnianą poręczą. Wchodziliśmy dostojnie parami.

Mieszkanie było maleńkie – tylko jeden pokój z łazienką z jednej strony i kuchnią z drugiej. Panował tam nieład, na podłodze stały walizki, wały się porozrzucane książki i ubrania. Len jeszcze się

chyba nie rozpakował. Łóżko, stojące tuż przy drzwiach z lewej strony, pełniło również funkcję kanapy. Zrzuciłam buty i opadłam na nie. Dopiero teraz mięśnie dały o sobie znać i zaczęły mnie boleć ze zmęczenia.

Len nalał trzy duże koniaki, poszperał w kuchni, skąd przyniósł coca-colę dla Ainsley, i nastawił płytę. Razem z Peterem zaczęli bawić się aparatami fotograficznymi, zmieniając obiektywy, patrząc przez nie i wymieniając uwagi na temat czasów naświetlania. Byłam wykończona. Przepęłniała mnie skrucha, ale nie znajdowałam dla niej ujścia. Pomyślałam, że gdybym mogła znaleźć się sam na sam z Peterem, byłoby inaczej. Mógłby mi przebaczyć.

Ainsley nie nadawała się do niczego. Wiedziałam, że będzie trzymać się twardo swojego numeru z grzeczną panienką, którą widać, a nie słyszać, jako najbezpieczniejszej linii postępowania. Usadowiła się w okrągłym wiklinowym fotelu, takim jak u Clary w ogrodzie, z tym że ten miał pikowany pokrowiec ze sztruksu koloru żółtka. Znam takie pokrowce. Trzymają się na miejscu za pomocą gumki i jeżeli się na nich za bardzo wiercić, mają zwyczaj zjeżdżać z krawędzi fotela i owijają się wokół siedzącego. Więc Ainsley zachowywała się bardzo spokojnie, trzymała szklankę z coca-colą na kolanach i przyglądała się swojemu odbiciu w brązowej powierzchni płynu. Jej postawa nie wyrażała ani zadowolenia, ani znudzenia; pełna była wewnętrznej cierpliwości owadożernego dzbanecznika na bagnach, o podwiniętych grubych liściach do połowy wypełnionych wodą, czekającego, aż zwabi, utopi i pochłonie swą ofiarę.

Siedziałam oparta plecami o ścianę, popijałam koniak, a dźwięki rozmowy i muzyki odbijały się ode mnie jak fale. To chyba napór mojego ciała odsunął trochę łóżko; bez żadnej konkretnej myśli odwróciłam głowę i spojrzałam w dół. Poczułam, że coś mnie ciągnie do ciemnej, chłodnej szczeliny między łóżkiem a ścianą.

Tam panuje spokój, pomyślałam, i nie jest tak parno. Postawiłam szklankę na stoliku z telefonem obok łóżka i szybko rozejrzałam się po pokoju. Wszyscy byli czymś zajęci, nikt nie powinien zauważyć.

Chwilę później leżałam niezbyt wygodnie wciśnięta bokiem między łóżko i ścianę tak, że nikt mnie nie widział. Na nic, pomyślałam, trzeba wejść pod spód. Tam będzie jak w namiocie. Nie przyszło mi do głowy, że można wyleźć z powrotem. Jak najciszej

odepchnęłam łóżko jeszcze dalej od ściany, używając całego ciała jako dźwigni, uniosłam frędzle narzuty i wsunęłam się jak list do skrzynki. Ledwie się zmieściłam – łóżko było wyjątkowo niskie i musiałam leżeć zupełnie płasko na podłodze. Dosunęłam je do ściany.

Było bardzo ciasno. Poza tym na podłodze leżała warstwa kurzu zbitego w grube kłaki jak kawałki spleśniałego chleba (z oburzeniem myślałam: co za prosię z tego Lena! Nie zamiata pod łóżkiem. Jednak po chwili zastanowienia: nie mieszka tu długo, a ten kurz mógł zostać po poprzedniku). Ale otaczający mnie z czterech stron półmrok, z lekka pomarańczowy poprzez filtr narzuty, oraz chłód i samotność sprawiały mi przyjemność. Chrapliwa muzyka, głośnie śmiechy i monotonne głosy docierały do mnie przytłumione przez materac. Mimo ciasnoty i kurzu byłam zadowolona, że nie muszę siedzieć w rozedrganym, gorącym blasku pokoju. Chociaż znajdowałam się tylko jakieś pół metra niżej od nich, o pokoju myślałam „tam, na górze”. Znajdowałam się pod ziemią, wygrzebałam sobie swoją własną jamę. Czułam się z siebie zadowolona.

Rozległ się donośny, męski głos, chyba Petera:

– Słuchajcie, a gdzie Marian?

A drugi odpowiedział:

– Och, pewnie w kiblu.

Uśmiechnęłam się do siebie. Przyjemnie było być jedyną osobą, która wiedziała, gdzie jestem.

Mimo to moja pozycja stawała się coraz bardziej niewygodna. Bolał mnie kark, chciałam się wyprostować... Czułam, że kichnę. Pragnęłam, żeby pręcej zauważyli, iż zniknęłam i żeby zaczęli mnie szukać. Zapomniałam już, co wepchnęło mnie pod łóżko Lena. To nie ma sensu. Będę cała wytarzana w kurzu, kiedy wyjdę.

Ale skoro już tak się stało, nie mogłam się teraz wycofać. Straciłabym całą godność, wyczołgując się spod narzuty jak wołek zbożowy z worka z mąką. Oznaczałoby to przyznanie się do błędu. Leżę tu i tu zostanę, dopóki nie wyciągną mnie siłą.

Oburzenie na Petera za to, że pozwala mi leżeć rozpląszczonej pod łóżkiem, kiedy sam porusza się na wolności, oddycha świeżym powietrzem i gada o czasach naświetlania, kazało mi pomyśleć

o minionych czterech miesiącach. Przez całe lato zmierzaliśmy w jakimś kierunku, chociaż wcale nie czuło się ruchu; utwierdzaliśmy się nawzajem w złudnym przekonaniu, że pozostajemy w bezruchu. Ainsley przestrzegała mnie, że Peter wyrabia sobie monopol na moją osobę, i nie widziała żadnych przeszkód, żebym – jak to ujęła – „zrobiła skok w bok”. Łatwo jej było mówić, ja jednak nie mogłam się pozbyć wrażenia, że więcej niż jeden naraz to niemoralne. Niemniej zawisłam w próżni. Unikaliśmy z Peterem rozmów o przyszłości, ponieważ wiedzieliśmy, że to nieważne; przecież to nic poważnego. Ale teraz coś mi mówiło, że jednak tak. Skąd to załamanie w toalecie i ucieczka? Unikałam rzeczywistości. Teraz, właśnie teraz, muszę stanąć z nią twarzą w twarz i zdecydować, czego naprawdę chcę.

Ktoś ciężko usiadł na łóżku, przyciskając mnie do podłogi. Wydobył się ze mnie stłumiony skrzek.

– Co jest?! – wykrzyknął ten, kto usiadł na łóżku, i wstał. – Ktoś tu jest pod łóżkiem.

Słyszałam, jak namawiali się po cichu, a następnie Peter zawołał znacznie głośniejszym głosem, niż to było konieczne:

– Marian, jesteś pod łóżkiem?

– Tak – odparłam beznamiętnie. Postanowiłam w całej tej sprawie zachować zimną krew.

– No to może wyjdź stamtąd – powiedział ostrożnie. – Na nas już chyba czas.

Traktowali mnie jak nadąsane dziecko, które zamknęło się w szafie i trzeba je stamtąd podstępem wywabić. Byłam rozbawiona i oburzona zarazem. Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć: „Nie chcę”, ale doszłam do wniosku, że dla Petera to byłoby za wiele, a Len mógłby powiedzieć: „Och, niech tam siedzi choćby całą noc. Mnie to nie przeszkadza. Z nimi tak należy postępować. Wszystko jedno, co jej jest, to ją na pewno uspokoi”. Wobec tego odezwałam się:

– Nie mogę, uwięzłam.

Spróbowałam się poruszyć, ale uwięzłam naprawdę.

Na górze odbywała się następna narada.

– My podniesiemy łóżko – zawołał Peter – a ty wtedy wyjdź, dobrze?

Słyszałam, jak przekazywali sobie polecenia. Zanosiło się na prawdziwy pokaz sztuki inżynieryjnej. Szurając butami, zajmowali wyznaczone pozycje i obierali punkty oparcia. Peter powiedział: „Hop”, i łóżko uniosło się w powietrze, a ja wysunęłam się tyłem jak rak spod kamienia.

Peter pomógł mi wstać. Całą sukienkę miałam oblepioną kosmatymi kłakami kurzu. Zaczęli mnie otrzepywać, zaśmiewając się.

– Coś ty tam robiła, do cholery? – zapytał Peter. Po sposobie, w jaki zdejmował ze mnie co większe kłaki, a robił to powoli i w skupieniu, domyśliłam się, że wypili sporo koniaku, gdy ja byłam na dole.

– Tam było spokojniej – odparłam obrażonym tonem.

– Trzeba było mi powiedzieć, że uwięzłaś – zauważył Peter ze wspaniałomyślną galanterią. – Wyciągnąłbym cię stamtąd. Wyglądasz okropnie.

– Och, nie chciałam wam przeszkadzać. – Nareszcie uświadomiłam sobie uczucie, które cały czas mną powodowało. To była wściekłość.

Rozżarzone ostrze gniewu w moim głosie przebiło powłokę euforii Petera. Odsunął się na krok i zmierzył mnie lodowatym wzrokiem. Chwycił moje ramię tak, jakby mnie aresztował za nieprawidłowe przechodzenie przez jezdnię, i zwrócił się do Lena:

– Myślę, że będziemy już spadać. Bardzo było miło. Mam nadzieję, że wkrótce znowu się spotkamy. Chciałbym, żebyś zobaczył ten mój statyw.

Po przeciwnej stronie pokoju Ainsley odczepiła się od sztruksowego fotela.

Wyrwałam się Peterowi. Powiedziałam chłodno:

– Nie jadę z tobą. Pójdę do domu piechotą.

I skoczyłam do drzwi.

– Rób, jak chcesz – burknął Peter, ale ruszył za mną szybkim krokiem, pozostawiając Ainsley na łasce losu.

Zbiegając wąskimi schodami, słyszałam głos Lena:

– Może jeszcze się czegoś napijemy, Ainsley? Odprowadzę cię do domu. Będzie lepiej, jak te turkaweczki same załatwią swoje sprawy.

I strwożony protest Ainsley:

– Ale to chyba nie wypada...

Na dworze od razu poczułam się lepiej. Uciekłam. Od czego? Ku czemu? Nie miałam pojęcia. Wcale nie byłam pewna, dlaczego tak postąpiłam, ale w końcu przynajmniej coś zrobiłam. Zapadła jakaś decyzja, coś się skończyło. Po tym akcie przemocy, po tym ostentacyjnym i żenującym dla mnie wydarzeniu nie było mowy o pojednaniu. Chociaż teraz, gdy oddalałam się, nie czułam już żadnej złości do Petera. Przyszła mi do głowy absurdalna myśl, że był to bardzo pokojowy związek, nigdy przedtem się nie kłóciliśmy. Nie było o co.

Obejrzałam się. Petera nie było. Szłam opustoszałymi ulicami wzdłuż starych budynków mieszkalnych w kierunku najbliższej ulicy, którą kursował autobus. Ale o tej porze (która to była godzina?) trzeba będzie długo czekać. Ta myśl mnie zaniepokoiła; wiał coraz silniejszy i coraz chłodniejszy wiatr, a błyskawice zbliżały się z każdą chwilą. Z oddali dobiegł odgłos grzmotu. Miałam na sobie tylko cienką letnią sukienkę. Zastanowiłam się, czy wystarczy mi pieniędzy na taksówkę. Zatrzymałam się, żeby policzyć, i okazało się, że nie wystarczy.

Przez dziesięć minut szłam na północ, mijając sklepy oświetlone lodowatym światłem, kiedy zobaczyłam samochód Petera podjeżdżający do krawężnika jakieś dwieście metrów przede mną. Wysiadł, stanął na pustym chodniku i czekał. Szłam spokojnie, nie przyspieszałam ani nie zmieniałam kierunku. Nie było żadnego powodu, żeby biec. Już mi nie zależało.

Kiedy się z nim zrównałam, zastąpił mi drogę.

– Czy pozwolisz – powiedział z nieugiętą uprzejmością – odwieźć się do domu? Nie chciałbym, żebyś zmokła do suchej nitki.

W tej samej chwili spadło kilka ostrzegawczych kropli.

Zawahałam się. Dlaczego on to robi? Może to być ten sam grzecznościowy wzgląd, który każe mu otwierać drzwi do samochodu – niemal automatyczny odruch. W takim razie mogę równie oficjalnie przyjąć taką propozycję, bez ryzyka. Ale co się naprawdę stanie, jeżeli wsiądę? Przyjrzałam mu się. Jasne było, że wypił za dużo, chociaż świetnie się trzymał. Oczy miał trochę szkliste, to prawda, ale stał prosto.

– Właściwie – zaczęłam niepewnie – chyba wolę iść piechotą. Niemniej bardzo dziękuję.

– Och, wsiadaj, Marian, nie bądź dziecinna – powiedział szorstko i wziął mnie pod ramię.

Pozwoliłam zaprowadzić się do samochodu i umieścić na przednim siedzeniu. Wydawało mi się, że robię to bez entuzjazmu, ale nie bardzo miałam ochotę zmoknąć.

Za rogiem w przednią szybę uderzył deszcz, miotany silnymi podmuchami wiatru. Lada moment mogło się zacząć pranie z szorowaniem, jak mawiała moja babcia.

– Nie prosiłam o odwiezienie do domu – odcięłam się. Dobrze wiedziałam, że to nie wygłupy, ale jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że dla obserwatora z zewnątrz tak to rzeczywiście wyglądało. Nie chciałam o tym rozmawiać; to był ślepy zaułek. Siedziałam sztywno i wpatrywałam się w szybę, przez którą niewiele było widać.

– Zupełnie nie rozumiem, dlaczego musiałaś popsuć taki wspaniały wieczór – mruknął, ignorując moją odpowiedź.

Rozległ się łoskot grzmotu.

– Tobie chyba nie bardzo popsułam – powiedziałam. – Ty bawiłeś się całkiem nieźle.

– A więc o to ci chodzi. Za mało zajmowaliśmy się tobą. Nudziła cię nasza rozmowa, nie zwracaliśmy na ciebie uwagi. Dobrze, następnym razem nie będziemy cię narażać na nasze towarzystwo.

To było nie fair. Przecież Len był w końcu moim przyjacielem.

– No wiesz, Len jest moim przyjacielem – oświadczyłam. Głos zaczynał mi się łamać. – Nie rozumiem, dlaczego nie miałabym z nim porozmawiać po jego powrocie z Anglii. – Mówiąc to, wiedziałam, że wcale nie chodzi o Lena.

– Ainsley zachowywała się właściwie. Czemu ty nie mogłaś? Otóż kłopot z tobą polega na tym – dodał ostro – że ty odrzucasz swoją kobiecość.

Chwalenie Ainsley było podłym podstępem.

– Pieprzę moją kobiecość! – krzyknęłam. – Kobiecość nie ma z tym nic wspólnego. Zachowywałaś się po prostu jak zwykły cham!

Peter nie znosił, kiedy zarzucano mu brak manier. Dobrze o tym wiedziałam. Stawiało go to na równi z ludźmi z reklam

dezodorantów.

Rzucił mi szybkie spojrzenie i zmrużył oczy, jakby brał coś na cel. Zacisnął mocniej szczęki i z całej siły dodał gazu. Deszcz lał teraz strumieniami – ulica przed nami, kiedy w ogóle było ją widać, wyglądała jak równa tafla wody. Mój dobrze wymierzony cios padł w momencie, gdy zjeżdżaliśmy z górki. Przy nagle zwiększonej szybkości samochód wpadł w poślizg, obrócił się dookoła dwa i jedną czwartą raza, zsunął po pochyłym trawniku i zarył w ziemi. Usłyszałam jakiś trzask.

– Ty idioto! – zawylałam, kiedy, odbiwszy się od schowka na dokumenty, zorientowałam się, że żyję. – Wszystkich nas pozabijasz! – To chyba o sobie myślałam w liczbie mnogiej.

Peter odkręcił szybę i wystawił głowę. Zaczął się śmiać.

– Troszkę przystrzygłem im żywopłot – rzucił. Nacisnął na gaz. Przez chwilę koła kręciły się, rozrabiając błoto trawnika i żłobiąc (jak zobaczyłam później) dwa głębokie rowy. Ze zgrzytem skrzyni biegów ruszyliśmy przez trawnik z powrotem na jezdnię.

Trzęsłam się ze strachu, zimna i wściekłości.

– Najpierw wciągasz mnie do samochodu – krzyczałam – i wyżywasz się na mnie za swoje poczucie winy, a potem chcesz mnie zabić!

Peter ciągle się śmiał. Głowę miał zupełnie mokrą, wystarczyła jedna chwila na deszczu. Włosy oblepiały mu czaszkę, a woda ściekała na twarz.

– Obudzą się rano i zobaczą zmianę w układzie przestrzennym ogrodu – chichotał. Umyślne zniszczenie cudzej własności wydawało mu się niezmiernie śmieszne.

– Zdaje się, że umyślne niszczenie cudzej własności wydaje ci się niezmiernie śmieszne – zauważyłam sarkastycznie.

– Och, nie bądź taka nadęta – odparł sympatycznie. Był najwyraźniej zadowolony z tej wspaniałej demonstracji męskości. Irytowało mnie, że przypisywał sobie zasługę za to, czego dokonały tylne koła samochodu.

– Peter, czy ty nie potrafisz zachowywać się poważnie? Jesteś jak wyrośnięty nastolatek.

Postanowił zignorować tę uwagę. Samochód zatrzymał się raptownie.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczył Peter.

Chwyciłam za klamkę z zamiarem, jak sędzę, wygłoszenia podsumowującej uwagi, która miała pozostać bez odpowiedzi, i zwiania do domu. Tymczasem on położył rękę na moim ramieniu.

– Lepiej zaczekaj, aż trochę przestanie.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i ustał rytmiczny szum wycieraczek. Siedzieliśmy w milczeniu, przysłuchując się burzy. Była chyba tuż za nami. Błyskawice co chwilę oślepiały, a po każdym przesywającym żądle następował ogłuszający łoskot, jakby łamały się i waliły z trzaskiem wszystkie drzewa w lesie. Kiedy na moment zapadała ciemność, słychać było walenie deszczu o samochód, woda wciskała się do środka cienkimi strużkami wokół zamkniętych okien.

– Dobrze, że nie pozwoliłem ci iść piechotą – powiedział Peter tonem człowieka, który powziął stanowczą i właściwą decyzję. Mogłam mu tylko przytaknąć.

Podczas dłuższego błysku drgającej jasności odwróciłam się i zobaczyłam, że z jego dziwnie pociemniałej twarzy patrzą na mnie oczy połyskujące jak oczy zwierzęcia w świetle reflektorów. Wpatrywał się uparcie i nieco złowroźbnie. Pochylił się ku mnie i zauważył:

– Masz tu jakiś paproch. Nie ruszaj się. – Jego ręce dłubały w moich włosach; niezdarnie, ale delikatnie wyplątywał wczepiony tam kłaczek kurzu.

Nagle poczułam, że robię się jak kawałek mokrej ligniny. Oparłam czoło o jego czoło i zamknęłam oczy. Skórę miał zimną i mokrą, a oddech pachnący koniakiem.

– Otwórz oczy – polecił. Otworzyłam. Ciągłe dotykaliśmy się czołami i w następnej rozjaśnionej chwili ujrzałam przed sobą wiele par oczu.

– Masz ośmioro oczu – szepnęłam.

Roześmialiśmy się, a on przyciągnął mnie do siebie i pocałował. Objęłam go.

Trwaliśmy tak przez jakiś czas pośrodku burzy. Wiedziałam tylko tyle, że jestem bardzo zmęczona i że moje ciało nie chce przestać

drzeć.

– Nie wiem, o co mi chodziło – wyszeptałam.

Pogładził moje włosy gestem przebaczenia, zrozumienia, trochę protekcjonalnie.

– Marian. – Czułam, jak przęłyka ślinę. Już nie wiedziałam, czy to drży jego, czy moje ciało. Objął mnie mocniej. – Jak myślisz, czy... Jak by nam było... gdybyśmy się pobrali?

Odsunęłam się.

Potężny jaskrawoniebieski błysk, tuż obok nas, rozświetlił wnętrze samochodu. Kiedy patrzyliśmy na siebie w tym krótkim mgnieniu jasności, dostrzegłam w jego oczach swoje malutkie, owalne odbicie.

Kiedy obudziłam się w niedzielę rano – właściwie zbliżało się już południe – miałam głowę tak pustą, jakby ktoś wydrążył moją czaszkę niczym melon i pozostawił mi do myślenia tylko łupinę. Rozejrzałam się po pokoju, ledwie go rozpoznając. Ubranie leżało porozrzucone na podłodze i na oparciach krzeseł jak szczątki wysadzonego w powietrze naturalnej wielkości stracha na wróble w damskich szmatach. W ustach miałam watę. Wstałam i chwiejnym krokiem powlokłam się do kuchni. Przez otwarte okno wpadały promienie słońca i świeże powietrze. Ainsley była już na nogach. Ślęczała nad czymś, co leżało przed nią, pochyłona do przodu, z nogami podkulonymi na krześle i włosami opadającymi na ramiona. Wyglądała z tyłu jak syrena na skale, syrena w przybrudzonym, zielonym szlafroku frotté. Wokół niej na stole zasypianym okruchami walały się resztki śniadania: wiotka rozgwiazda bananowej skórki, pogniecione skorupki od jajka i brunatne skórki grzanek, niczym kawałki drewna osiadłe na mieliźnie.

Podeszłam do lodówki i wyjęłam sok pomidorowy.

– Cześć – powiedziałam w kierunku pleców Ainsley. Zastanawiałam się, czy jestem w stanie zjeść jajko.

Odwróciła się.

– No i co?

– Jak dotarłaś do domu? Bez przeszkód? – spytałam. – Ale była burza. – Nalałam sobie szklankę soku i wypięłam łąpczywie.

– Oczywiście – odparła. – Kazałam mu wezwać taksówkę. Zdążyłam do domu tuż przed burzą, wypaliłam papierosa, wypięłam podwójną whisky i poszłam prosto do łóżka. Boże, byłam zupełnie wykończona. Takie siedzenie bez ruchu strasznie wyczerpuje. Ale za to jak wyszłście, zwątpiłam, czy uda mi się ujść z życiem. To przypominało zmagania z gigantyczną ośmiornicą, ale udało mi się, głównie dlatego, że udawałam przestraszoną i głupią. Na tym etapie to konieczne.

Zajrzałam do rondla, który, ciągle jeszcze gorący, stał na jednym z palników.

– Już ci niepotrzebna ta woda po jajku? – Zapaliłam gaz.

– No, a ty? Niepokoiłam się o ciebie. Myślałam, że może naprawdę się upiłaś albo co innego. Wybacz, ale zachowywałaś się jak prawdziwa idiotka.

– Zaręczyliśmy się – oznajmiłam trochę niechętnie. Wiedziałam, że tego nie pochwali. Wpuściłam jajko do garnka – pękło natychmiast. Prosto z lodówki, za zimne.

Ainsley podniosła te swoje zawsze niewinne brwi, ale nie wyglądała na zdziwioną.

– Na twoim miejscu wzięłabym ślub w Stanach, tam znacznie łatwiej o rozwód, kiedy trzeba. Bo przecież ty go właściwie prawie nie znasz, prawda? No, ale przynajmniej – ciągnęła nieco pogodniej – będzie zarabiał wystarczająco dużo, żebyś po urodzeniu dziecka mogła zamieszkać osobno, nawet jeżeli nie dostaniesz rozwodu. Zresztą chyba nie pobierzecie się zaraz. Zdaje się, że nie wiesz, co robisz.

– Podświadomie chyba zawsze chciałam wyjść za niego. – To ją uciszyło. Jakbym wymówiła święte zaklęcie.

Przyjrzałam się jajku, które wypuściło białą, na wpół ściętą odnogę jak ostryga badająca grunt. Pewnie jest już dobre, pomyślałam, i wyciągnęłam je. Włączyłam kawę i zrobiłam sobie miejsce na ceracie. Teraz dopiero zobaczyłam, co robi Ainsley. Zdjęła ze ściany kalendarz – z obrazkiem dziewczynki w staromodnej sukience, na huśtawce, z koszykiem czereśni i białym pieskiem; co roku dostaję kalendarz od dalekiego kuzyna, który ma stację obsługi samochodów w moim rodzinnym mieście – i kreśliła na nim tajemnicze znaczki ołówkiem.

– Co robisz? – spytałam. Stuknęłam jajkiem o brzeg miseczki i wsadziłam palec do środka. A jednak nie było jeszcze gotowe. Wylałam je i zamieszałam.

– Opracowuję plan działania – odparła zasadniczo.

– Ainsley, nie rozumiem, jak ty możesz to robić z tak zimną krwią – zagadnęłam, przyglądając się równym rzędom czarnych cyfr.

– Przecież potrzebuję ojca dla mojego dziecka! – powiedziała to takim tonem, jakbym chciała odjąć chleb od ust wszystkim wdowom i sierotom świata, które ona w tej chwili ucieleśniała.

– Dobrze, dobrze, w porządku. Ale dlaczego Len? Przecież to się może pokomplikować, przecież to mój znajomy i w dodatku ostatnio mu się nie wiedzie. Nie chcę, żeby miał kłopoty. Nie ma innych facetów?

– W tej chwili nie, w każdym razie nie ma takich dobrych okazji – stwierdziła rezolutnie. – A ja chciałabym mieć dziecko na wiosnę albo wczesnym latem. Żeby miało przyjęcia urodzinowe w ogrodzie, a nie w domu, będzie mniej hałasu...

– Czy przebadłaś jego przodków? – spytałam kwaśno, zgarniając łyżeczką resztki jajka.

– Tak – odpowiedziała z zapalem. – Odbyliśmy krótką rozmowę, zanim zaczął się dowalać. Dowiedziałam się, że jego ojciec był w college'u. Przynajmniej nie ma w rodzinie półgłówków i nie ma żadnych uczuleń. Chciałam dowiedzieć się, czy ma RH minus, ale to chyba byłoby za bardzo podejrzanе, jak myślisz? I pracuje w telewizji, a to znaczy, że musi mieć w sobie coś z artysty. Niewiele udało mi się wyciągnąć o jego dziadkach, ale nie mogę być za bardzo wymagająca w sprawach dziedziczenia, bo musiałabym czekać wieki. Genetyka jest i tak zawodna – ciągnęła. – Bywają prawdziwi geniusze, których dzieci wcale nie są zdolne.

Postawiła w kalendarzu stanowczo znaczek i zmarszczyła czoło. Była niepokojąco podobna do generała, który planuje ważną kampanię.

– Ainsley, a może narysuj sobie plan pokoju – doradzałam. – Albo nie, zrób mapę konturową. Albo fotografię lotniczą. Wtedy będziesz mogła narysować strzałki i przerywane linie i postawić krzyżyk w miejscu zespolenia.

– Proszę cię, nie rób sobie żartów – powiedziała. Teraz liczyła na wdechu.

– Kiedy to się odbędzie? Jutro?

– Momencik... – Liczyła przez chwilę. – Nie. Za jakiś czas. Najwcześniej za miesiąc. Muszę mieć pewność, że uda się za pierwszym razem, najwyżej za drugim.

– Za pierwszym?

– Tak – oznajmiła. – Mam to już rozpracowane. Mogą być trudności, wszystko zależy od jego psychiki. Wydaje mi się, że on jest z tych, którzy potrafią się wystraszyć, jeżeli zaczną działać zbyt szybko. Muszę go trzymać na dystans. Bo wystarczy pozwolić na cokolwiek i zaraz zaczyna się stara śpiewka: może lepiej już się nie spotykajmy, nie chciałbym, żeby to było coś poważnego, nie powinniśmy się wiązać i tak dalej. I zniknie. Nie będę go mogła wezwać, kiedy trzeba, gdyż zarzuciłby mi wtedy, że monopolizuję jego czas albo że go do czegoś zmuszam, albo jeszcze co innego. A dopóki mnie nie dostanie, to będzie na każde skinienie.

Przeżuwałyśmy przez jakiś czas.

– Miejsce też jest ważne – zauważyła. – To wszystko powinno sprawiać wrażenie przypadku. Chwila namiętności. Mój opór zostaje złamany, omdleвам itd. – Uśmiechnęła się z lekka. – Wszelkie wcześniejsze ustalenia, na przykład spotkanie w motelu, odpadają. Wobec tego to musi nastąpić u niego albo tutaj.

– Tutaj?

– Jeżeli to będzie konieczne – odparła stanowczo, zsuwając się z krzesła. Milczałam. Peszyła mnie myśl o tym, że Leonard Slank zostanie wrobiony pod tym samym dachem, pod którym mieszka ta z dołu i jej drzewo genealogiczne w ramach. To prawie świętokradztwo.

Ainsley poszła do siebie, nucąc i zabierając ze sobą kalendarz. Siedziałam i myślałam o Lenie. Znowu dręczyły mnie wyrzuty sumienia, że pozwalałam na to, by umajony kwieciami szedł ku zgubie bez słowa ostrzeżenia. Wprawdzie, w pewnym sensie, chyba sobie na to zasłużył, a ona była zdecydowana nie żądać nic ponadto od wybrańca, który miał dostąpić tak wątpliwego, bo anonimowego, zaszczytu. Gdyby Leonard był tylko pospolitym bawidamkiem, w ogóle bym się nie przejmowała. Lecz on, doszłam do wniosku, popijając kawę, był istotą bardziej złożoną i wrażliwą. Nieśmiały, a jednocześnie rozpustny babiarz, to fakt, ale to nieprawda, co powiedział Joe, że Len nie ma moralności. Na swój wypaczony sposób był czymś w rodzaju moralisty na opak. Lubił gadać tak, jakby wszyscy mieli w głowie tylko seks i pieniądze, ale kiedy ktoś stawał się żywym przykładem jego teorii, natychmiast reagował gwałtowną

krytyczną inwektywą. Ta mieszanka cynizmu i idealizmu miała dużo wspólnego z jego inklinacją do „psucia” zielonych panienek, jak je nazywał dla odróżnienia od panienek bardziej dojrzałych. To, co wydawało się czyste, nieosiągalne, przyciągało ukrytego w nim idealistę, lecz gdy tylko to posiadał, siedzący w nim cynik odrzucał to jako zepsute. „Okazało się, że jest taka sama jak inne” – zauważał kwaśno. Kobiety, o których myślał, że są naprawdę poza jego zasięgiem, jak na przykład żony przyjaciół, traktował z nabożeństwem. Ufał im nieprawdopodobnie po prostu dlatego, że przy całym swoim cynizmie nigdy nie posunąłby się do tego, by poddać je próbie: były nie tylko nieosiągalne, ale także za stare. Na przykład Clare ubóstwiał. Czasami przejawiał wyjątkową czułość, niemal łzawy sentymentalizm wobec osób, które lubił, a było ich niewiele. Mimo to kobiety ciągle oskarżały go o mizoginizm, a mężczyźni o mizantropię, i pewnie obie strony miały rację.

Prawdę mówiąc, nie potrafiłam sobie wyobrazić, w jaki sposób wykorzystanie Lena według planu Ainsley mogło wyrządzić mu nieodwracalną krzywdę albo w ogóle jakąkolwiek krzywdę, wobec czego poleciłam go opiece nieugiętych zapewne aniołów stróżów w rogowych okularach, dopiłam resztkę kawy i poszłam się ubrać. Potem zadzwoniłam do Clary, żeby powiedzieć jej, co zaszło. Reakcja Ainsley nie zadowoliła mnie.

W głosie Clary brzmiało zadowolenie, ale jej odpowiedź była dwuznaczna.

– Och, to fajnie – powiedziała. – Joe będzie zachwycony. Właśnie niedawno mówił, że powinnaś się ustatkować.

Trochę mnie to zirytowało. Przecież nie miałam trzydziestu pięciu lat i nie byłam w potrzebie. Mówiła tak, jakbym po prostu zrobiła rozsądny krok. Doszłam do wniosku, że od tych, którzy są na zewnątrz jakiegoś związku, nie można spodziewać się zrozumienia. Reszta rozmowy poświęcona była jej dolegliwościom żołądkowym.

Kiedy zmywałam po śniadaniu, usłyszałam, że ktoś idzie na górę. Ta z dołu robiła nam takie numery z otwieraniem drzwi; wpuszczała ludzi po cichu, nie anonsując ich, najczęściej w momentach chaosu, takich jak niedzielne popołudnia, niewątpliwie w nadziei, że ktoś przyłapie nas w jakiejś nieszczęśliwej sytuacji, z włosami

nakręconymi na wałki albo w strąkach, albo jak wylegujemy się w szlafrokach.

– Cześć – odezwał się jakiś głos w połowie schodów. Był to głos Petera. Już sobie przywłaszczył przywilej niezapowiadanych wizyt.

– A, cześć – odpowiedziałam, starając się, żeby to wypadło obojętnie, choć uprzejmie. – Właśnie zmywam – dodałam głupawo, kiedy jego głowa pojawiła się nad schodami. Zostawiłam resztę naczyń w zlewie i wytarłam ręce w fartuch.

Wszedł do kuchni.

– O rany – jęknął. – Miałem rano takiego kaca, jakbym się wczoraj urznął jak świnia. Chyba naprawdę się schlałem. Obudziłem się ze smakiem trampek w ustach. – Brzmiało to trochę pyszałkowato, trochę przeprasząco.

Przyjrzelśmy się sobie ostrożnie. Jeżeli któraś ze stron miała się wycofać, to właśnie teraz: można było zwalić wszystko na chemię organiczną. Ale nikt się nie wycofywał. W końcu Peter posłał mi zadowolony, chociaż nieco nerwowy uśmiech.

– Och, to okropne – zauważyłam troskliwie. – Wypiłeś całkiem sporo. Chcesz kawy?

– Oj, tak. – Podeszedł do mnie, pocałował w policzek i opadł na krzesło. – A w ogóle to przepraszam, że nie zadzwoniłem wcześniej, ale chciałem cię zobaczyć.

– Nic nie szkodzi – odparłam. Rzeczywiście wyglądał na skacowanego. Ubrany był niedbale, chociaż to właściwie niemożliwe, żeby Peter ubrał się naprawdę niedbale. Była to niedbałość wypracowana: starannie nieogolony, skarpetki dobrane do koloru plam z farby na sportowej koszuli. Nastawiłam kawę.

– No i jak? – zapytał, podobnie jak Ainsley, ale z zupełnie innym akcentem. Zabrzmiało to tak, jakby właśnie kupił lśniący, nowy samochód. Przesłałam mu tkliwy, chromowany uśmiech; to znaczy, chciałam, żeby ten uśmiech wyrażał tkliwość, ale poczułam, że usta mam sztywne i lśniące, niewytłumaczalnie kosztowne.

Nalałam kawę do dwóch filizanek, wyjęłam mleko i usiadłam na drugim krześle. Położył dłoń na mojej dłoni.

– Wiesz – zaczął – nie wiedziałem, że pragnę... tego, co wydarzyło się wczoraj... – Przytaknęłam. Ja też nie wiedziałam. – Chyba

uciekałem przed tym.

– Ja też.

– Jednak miałaś rację z Triggerem. Ja też tego pragnąłem, sam o tym nie wiedząc. Człowiek musi się kiedyś ustatkować, a ja mam dwadzieścia sześć lat.

Ukazał mi się w nowym świetle: zmieniał się tu, w tej kuchni, z beztroskiego, młodego kawalera w wybawcę z chaosu, filar stabilizacji. Gdzieś tam w podziemiach Seymour Surveys niewidzialna ręka wymazywała mój podpis.

– Teraz, kiedy już postanowione, myślę, że będę znacznie szczęśliwszy. Nie można nieustannie biegać w kółko. I moja praca na tym zyska. Ludzie podejrzliwie patrzą na samotnego mężczyznę, który przekroczył pewien wiek, zaczynają myśleć, że pedał albo co innego. – Przerwał, potem ciągnął dalej: – Jest w tobie coś takiego, Marian, co sprawia, że wiem, iż zawsze mogę na tobie polegać. Kobiety są z reguły roztrzepane, a ty jesteś taka rozsądna. Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale ja zawsze uważałem to za najważniejszą rzecz, kiedy szuka się żony.

Wcale nie czułam się rozsądnie. Skromnie spuściłam oczy i utkwiłam wzrok w okruchu, który przeoczyłam przy wycieraniu stołu. Nie wiedziałam, co powiedzieć. „Ty też jesteś bardzo rozsądny” nie bardzo tu pasowało.

– Ja też jestem bardzo szczęśliwa – wyznałam. – Chodźmy z kawą do salonu.

Poszedł za mną. Postawiliśmy filiżanki na okrągłym stoliku i usiedliśmy na kanapie.

– Lubię ten pokój – powiedział, rozglądając się. – Jest taki przytulny. – Objął mnie ramieniem i siedzieliśmy tak w błogiej, jak mi się wydawało, ciszy. Byliśmy skrępowani. Znikły nasze założenia, przestały istnieć drogi i ścieżki naszego dawnego układu. Dopóki nie wypracujemy nowych, nie będziemy wiedzieli, co robić ani co mówić.

Peter uśmiechnął się do siebie.

– Z czego się śmiejesz? – spytałam.

– Och, nic ważnego. Kiedy wsiadałem do samochodu, znalazłem przychepione do podwozia trzy krzaki, więc przejechałem się obok

tego trawnika. Zrobiliśmy śliczną dziurkę w żywopłocie. – Nie przestawał być z siebie zadowolony.

– Ty stary, głupi idioto – skomentowałam czule. Poczułam lekki dreszcz instynktu posiadania. A zatem ten przedmiot należy do mnie. Oparłam głowę na jego ramieniu.

– Kiedy ślub? – mruknął.

W pierwszej chwili chciałam odpowiedzieć z tą samą wymijającą nonszalancją, jaką stosowałam zawsze, gdy zadawał poważne pytania na mój temat: „Może w grudniu, po południu”. Lecz zamiast tego usłyszałam miękki, ciepły głos, który z trudem rozpoznałam:

– Wolę, żebyś ty zdecydował. Wolę tobie pozostawić ważne decyzje.

Bardzo mnie to zdumiało. Nigdy przedtem nie zdobyłabym się na coś podobnego. A najśmieszniejsze było to, że naprawdę tak myślałam.

Peter wyszedł wcześniej. Powiedział, że musi się jeszcze trochę przespać, i poradził, żebym zrobiła to samo. Ale wcale nie byłam zmęczona. Gotowała się we mnie jakaś niespokojna energia, której nie potrafiłam wyładować w bezcelowej krzątaninie po mieszkaniu. To popołudnie nosiło szczególne piętno ponurej pustki, która już od dzieciństwa kojarzyła mi się z niedzielnymi wieczorami, kiedy nie ma się nic do roboty.

Skończyłam zmywanie, poukładałam noże, widelce i łyżki w odpowiednich przegródkach w szufladzie, chociaż wiedziałam, że poleżą tam niedługo, po raz siódmy przejrzałam pisma w salonie, zatrzymując się na chwilę przy tytułach, które teraz nabrały specjalnego znaczenia: „Adopcja. Tak czy nie?”, „Zakochana – czy na pewno? Dwadzieścia pytań” oraz „Napięcia miodowego miesiąca” i bawiłam się przez chwilę gałkami tostera, który ostatnio przypalał. Kiedy zadzwonił telefon, zerwałam się żwawo; pomyłka. Mogłam porozmawiać z Ainsley, która ciągle siedziała w swojej sypialni, ale jakoś nie wydawało mi się, że to pomoże. Chciałam coś zrobić, czegoś dokonać, ale nie wiedziałam jak. W końcu postanowiłam spędzić wieczór w pralni.

Nie korzystamy, ma się rozumieć, z pralni tej z dołu. Jeżeli ona w ogóle ma coś takiego. Nigdy nie zezwoliłaby na to, żeby coś tak plebejskiego jak pranie miało bezcześcić starannie utrzymany trawnik za domem. A może ani ona, ani jej dziecko nigdy nie brudzą ubrań? Może pokryte są niewidzialną warstwą plastyku? Żadna z nas nie była w piwnicy, nie słyszałyśmy nawet o jej istnieniu. Możliwe, że zgodnie z uznawanymi przez nią zasadami dobrego wychowania pranie należy do spraw, o których wiedzą wszyscy, ale żadna szanująca się osoba o tym nie mówi.

Kiedy więc zwały brudów stają się już nie do zniesienia, a szuflady z czystymi ubraniami świecą pustką, idziemy do pralni. A raczej ja idę. Nie potrafię wytrzymać tak długo jak Ainsley. Niedzielne popołudnie to najlepsza pora. Nie spotyka się wtedy tylu starszych panów, podwiązujących róże i tępiących mszyce, i starszych pań

w kapeluszach z kwiatami i w białych rękawiczkach, które jadą albo są wiezione samochodami na herbatkę do domów innych starszych pań. Najbliższa pralnia znajduje się o jeden przystanek kolejki stąd. Soboty odpadają, bo autobusy zatłoczone są jadącymi po zakupy, a także z powodu starszych pań w kapeluszach i rękawiczkach tym razem już nie tak nieskazitelnych; w sobotnie wieczory wylegają też młodzi kinomani. Wolę niedzielne popołudnia – mniej ludzi. Nie lubię, kiedy się na mnie gapią, a moja torba z praniem jest w sposób zbyt oczywisty torbą z praniem.

Tego wieczoru cieszyłam się z wyprawy do pralni. Koniecznie chciałam wyjść z domu. Odgrzałam i zjadłam mrożony obiad, przebrałam się w strój do pralni – dzinsy, podkoszulek i tenisówki w kratkę, które kiedyś kupiłam z rozpędu i wkładałam tylko na taką okazję – i sprawdziłam w portmonetce, czy mam jakieś dwudziestopięciocentówki. Właśnie wpychałam pranie do torby, kiedy weszła Ainsley. Nie wychodziła z pokoju prawie cały dzień, zajęta Bóg wie jakimi praktykami magicznymi. Niewątpliwie warzyła jakieś afrodyzjaki, a może robiła woskowe lalki wyobrażające Leonarda i przekłuwała je w odpowiednich miejscach szpilkami do kapelusza. Teraz ruszyła ją intuicja.

– O, idziesz do pralni? – spytała z ostrożną nonszalancją.

– Nie – odpowiedziałam. – Poćwiartowałam Petera i teraz pod pozorem prania wynoszę go, żeby zakopać w wąwozie.

Na pewno pomyślała, że taka odpowiedź jest w złym guście. Nie uśmiechnęła się.

– Słuchaj, czy zrobi ci różnicę, jak dorzucę parę moich szmatek, skoro już i tak tam idziesz? Tylko same niezbędne rzeczy.

– Dobrze – zgodziłam się zrezygnowana. – Dawaj.

Zawsze tak jest. To jedna z przyczyn, dla których Ainsley nigdy nie musi chodzić do pralni.

Znikła i wróciła po kilku minutach, niosąc naręczę wielokolorowej bielizny.

– Tylko to, co niezbędne, Ainsley.

– To wszystko jest niezbędne – odparła urażona, ale kiedy uparłam się, że nie zmieści się do torby, podzieliła naręczę na pół.

– Dzięki, uratowałaś mi życie – oznajmiła. – Do zobaczenia.

Ściągnęłam worek po schodach, podniosłam, zarzuciłam na ramię i niepewnym krokiem ruszyłam do drzwi, przechwyciwszy po drodze lodowate spojrzenie tej z dołu, która wychyliła się spoza aksamitnej zasłony w wejściu do salonu. Chciała wyrazić swoją dezaprobatę dla tak ostentacyjnego pokazywania brudów. Wszyscy, odpowiedziałam jej w duszy, jesteście brudni.

Kiedy już usiadłam w autobusie, postawiłam torbę na siedzeniu obok, w nadziei, że z daleka będzie wyglądała jak małe dziecko. Chciałam w ten sposób odeprzeć słuszne oburzenie tych, którzy potępiają pracę w dniu świątecznym. Przypomniałam sobie, jak pewnej niedzieli przyczepiła się do mnie przy wysiadaniu z autobusu jakaś starsza pani spowita w czarny jedwab, w fiołkoworóżowym kapeluszu. Przeszkadzało jej nie tylko to, że naruszyłam czwarte przykazanie, ale także bezbożny strój, jaki przywdziałam. Pan Jezus, groziła, nigdy mi nie przebaczy tych tenisówek w kratkę.

Zajęłam się jednym z plakatów wiszących nad oknami autobusu: młoda kobieta w pasie do pończoch podskakiwała na sześciu nogach. Muszę przyznać, że mimo woli czuję się zgorzozona tego typu reklamami. Są takie bezwstydy. Przez parę przystanków zastanawiałam się, jacy ludzie zareagują na taką reklamę kupnem danego artykułu i czy była na ten temat jakaś sonda. Obraz kobiety, rozumowałam, przemawia do mężczyzn, nie do kobiet, a przecież mężczyźni nieczęsto kupują pasy do pończoch. Ale może jednak ta smukła dziewczyna miała sugerować własne wyobrażenie przyszłych klientek o sobie? Może klientki myślą, że otrzymują w opakowaniu młodość i smukłość. Przez kilka następnych ulic rozmyślałam o wyczytanej gdzieś opinii, że elegancka kobieta nigdy nie rozstaje się z pasem do pończoch. Rozpatrzyłam różne możliwości, jakie nasunęły mi się w związku z tym „nigdy”. A potem przez resztę drogi zastanawiałam się nad objawami starzenia się. Kiedy u mnie wystąpią? A może już je mam? Na te rzeczy trzeba uważać, pomyślałam, działają przez zaskoczenie.

Pralnia znajdowała się na wprost wyjścia z metra. Kiedy już stałam przed automatem, okazało się, że zapomniałam o proszku.

– O kurczę – powiedziałam na głos.

Człowiek, który wpychał brudy do sąsiedniej pralki, odwrócił się w moją stronę.

Spojrzał na mnie oczami bez wyrazu.

– Możesz wziąć mój – zaproponował, podając mi pudełko.

– Dziękuję. Powinni tu postawić automat z proszkiem. Mogliby o tym pomyśleć... – I wtedy go rozpoznałam. To był ten chłopak od ankiety na temat piwa. Stałam, trzymając pudełko. Skąd wiedział, że zapomniałam proszku? Nie powiedziałam tego głośno.

Przyglądał mi się uważnie.

– A, już wiem, kto ty jesteś. Nie mogłem sobie przypomnieć, skąd cię znam. Bez tej oficjalnej skorupy jesteś jakaś taka... obnażona. – Znowu pochylił się nad automatem.

Obnażona. Czy to dobrze, czy źle? Szybko sprawdziłam, czy nie mam jakiegoś rozprutego szwu albo odpiętych zamków, potem pospiesznie zaczęłam wpychać wszystko do pralek: ciemne do jednej, jasne do drugiej. Nie chciałam, żeby skończył przede mną i żeby miał czas mi się przyglądać, ale podniósł głowę akurat w porę, żeby zauważyć, jak w otworze pralki znika kilka koronkowych drobiazgów Ainsley.

– To twoje? – zapytał z zaciekawieniem.

– Nie – odpowiedziałam, czerwieniąc się.

– Tak myślałem. Nie pasują do ciebie.

Czy to miał być komplement czy zniewaga? Sądząc po bezbarwnym tonie, była to zdawkowa uwaga i jako taka – całkiem celna, pomyślałam kwaśno.

Zamknęłam dwoje drzwi z grubego szkła, wrzuciłam monety do otworów, zaczekałam, aż znajomy chlupot dał znać, że wszystko w porządku, po czym usiadłam na jednym z krzeseł ustawionych pod ścianą. Zdawałam sobie sprawę, że będę musiała tu czekać do końca. W tej okolicy nie było co robić w niedzielę. Mogłabym iść do kina, ale nie miałam już pieniędzy. Zapomniałam nawet o książce. O czym ja myślałam, wychodząc z domu? Zazwyczaj niczego nie zapominam.

Usiadł obok mnie.

– Jediną wadą tych samoobsługowych pralni jest to, że zawsze w pralkach są włosy łonowe innych ludzi. Ja się tym nie przejmuję. Nie jestem drobiazgowy, gdy chodzi o bakterie i inne takie. To tylko nieco obrzydliwe. Zjesz czekoladkę?

Rozejrzałam się, żeby zobaczyć, czy ktoś mógł to słyszeć, ale byliśmy sami.

– Nie, dziękuję – powiedziałam.

– Też nie bardzo lubię, ale próbuję rzucić palenie. – Wyłuskał batonik z opakowania i pożerał go powoli. Oboje gapiliśmy się na długi rząd lśniących białych pralek, a głównie w trzy szklane okienka, podobne do iluminatorów na statku albo do akwarium, za którymi kręciły się w kółko nasze prania, migwały różnymi kształtami i kolorami, mieszały się, znikwały i ponownie wyłaniały z mgły mydlin. Skończył czekoladkę, oblizał palce, wygładził i złożył starannie sreberko, schował do kieszeni i wyjął papierosa.

– Lubię na nie patrzeć – wyznał. – Patrzę w te prakki jak inni w telewizor. To jest kojące, bo zawsze wiadomo, czego się spodziewać i nie trzeba o tym myśleć. Z tym, że ja mogę trochę te programy urozmaicać. Jak się znudzę patrzeniem na to samo, zawsze mogę dorzucić parę zielonych skarpetek albo coś innego. – Mówił monotonie, pochylony do przodu, z łokciami wspartymi na kolanach, z głową wciśniętą w wycięcie ciemnego swetra jak głowa żółwia w skorupę. – Często tu przychodzę. Czasami po prostu muszę wyjść z domu. Wszystko jest w porządku, dopóki mam co prasować. Lubię wygładzać, usuwać zmarszczki, bo mogę wtedy coś robić z rękami, ale kiedy nie mam już nic do prasowania, to przychodzę tutaj. Żeby mieć nowe.

Nawet na mnie nie patrzył. Mógł mówić sam do siebie. Pochyliłam się do przodu, żeby zobaczyć jego twarz. W niebieskawym, fluoryzującym świetle pralni jego skóra przybrała barwę jeszcze bardziej niesamowitą.

– Muszę wychodzić. To przez to mieszkanie. W lecie jest jak gorący, ciemny piec, a wtedy nawet nie chce się włączać żelazka. I tak nie ma tam za dużo miejsca, a w upał mieszkanie się kurczy i chłopaki są za blisko. Czuję ich w swoim pokoju nawet przez zamknięte drzwi. Potrafię powiedzieć, co robią. Fish barykaduje się w swoim fotelu i ani drgnie, nawet kiedy pisze, a potem wszystko drze i powiada, że do niczego, i siedzi tak całymi dniami, wpatrując się w kawałki papieru na podłodze. Kiedyś rzucił się na dywan i usiłował posklejać wszystko z powrotem taśmą klejącą, ale oczywiście mu się nie udało i zrobił straszną awanturę, oskarżając nas o to, że wykradamy te jego

kawałki, żeby wykorzystać jego pomysły i żeby je opublikować. A Trevor, o ile nie wyjeżdża na letnie kursy albo nie ogrzewa mieszkania gotowaniem obiadu z dwunastu dań – mnie wystarcza łośoś z puszki – to wprawia się w piętnastowiecznej włoskiej kaligrafii, w wolutach i zakrętach, i głądzi bez końca o quattrocento. Ma niesamowitą pamięć do szczegółów. Może to i ciekawe, ale niczego nie rozwiązuje, przynajmniej w moim przypadku, a i w jego chyba też nie. Chodzi o to, że oni ciągle się powtarzają, a to im nic nie daje i dlatego nigdy niczego nie kończą. Ja wcale nie jestem lepszy, jestem taki sam, też utknąłem z tą przekłętą pracą semestralną. Kiedyś poszedłem do zoo i widziałem klatkę z rozwścieczonym pancernikiem, który biegał bez przerwy, robiąc ósemki, w kółko i w kółko, po własnych śladach. Do dziś pamiętam taki dziwny metaliczny stukot jego łap o podłogę klatki. Mówi się, że tak się zachowują zwierzęta wsadzone do klatki. To rodzaj psychozy. I nawet jak się je potem wypuści na wolność, też biegają w ten sam sposób. Czytasz i czytasz jakieś materiały i po przeczytaniu dwudziestego artykułu już nic z tego nie rozumiesz, i wtedy zaczynasz się zastanawiać, ile książek ukazuje się każdego roku, każdego miesiąca i tygodnia, i to jest koniec. Słowa – spojrzał w końcu w moją stronę, ale jego źrenice były dziwnie ustawione, jakby patrzył w jakiś punkt znajdujący się kilkanaście centymetrów pod moją skórą – zaczynają tracić swoje znaczenie.

Pralki przechodziły do płukania. Obracały ubrania coraz szybciej i szybciej, potem znowu leciała woda i znowu chlupot i bulgotanie. Zapalił następnego papierosa.

– To wy wszyscy studiujecie? – zapytałam.

– Oczywiście – odparł ponuro. – Nie wiedziałaś? Wszyscy jesteśmy na ostatnim roku. Filologia angielska. Wszyscy. Myślałem, że robi to całe miasto. Jesteśmy tak mocno ze sobą związani, że nigdy nie spotykamy innych ludzi. To było bardzo dziwne, że przyszłaś wczoraj i że okazało się, iż nie jesteś na anglistyce.

– Zawsze uważałam, że to musi być pasjonujące. – Wcale tak nie uważałam, chciałam tylko jakoś zareagować, ale gdy zamknęłam usta, zdałam sobie sprawę z pensjonarskiej afektacji tej uwagi.

– Pasionujące! – parsknął. – Ja też tak myślałem. Wygląda pasjonująco, jak się jest zapalonym zdolnym studentem pierwszych

lat. Wszyscy mówią „rób dyplom” i dają ci trochę forsy. No to bierzesz i myślisz: „Teraz dotrę do prawdy”. Ale nie docierasz, właśnie, i wyłania się coraz więcej i więcej szczegółów, coraz bardziej odgrzewanych, i wszystko się wali w gmatwaninie cudzysłowów i drobiazgowych przypisów, a po jakimś czasie dzieje się to, co zawsze: grzęzniesz i nie możesz się wygrzebać, i nie potrafisz zrozumieć, jak to się stało, że się w to wpakowałeś. W Stanach mógłbym tłumaczyć się tym, że uciekam przed wojskiem, ale tu nie ma żadnego powodu. A poza tym wszystko już zostało zrobione, zrobione wcześniej, wszystko wysrane, a ty tarzasz się w resztkach na dnie tej beczki, dyplomant od dziewięciu lat, nędzna kreatura, grzebiesz się w rękopisach, żeby znaleźć coś nowego, albo urabiasz się po łokcie nad ostatecznym wydaniem zaproszeń na przyjęcia i odcinków biletów teatralnych należących do Ruskina, albo usiłujesz wydusić ostatni pryszcz mądrości z jakiegoś oszusta, zera literackiego, którego ktoś gdzieś tam wygrzebał. Biedny stary Fischer, który pisze teraz pracę dyplomową, chciał pisać o symbolach łona u D.H. Lawrence’a, ale powiedzieli mu, że to już było. Więc teraz ma jakąś nieprawdopodobną teorię, która, w miarę jak nad nią pracuje, robi się coraz bardziej niezrozumiała.

– A co to za teoria? – spytałam, żeby przerwać to jego milczenie.

– Tak naprawdę to nie wiem. On nie chce już na ten temat rozmawiać, chyba że się upije, ale wtedy nikt go nie rozumie. Dlatego tak ciągle to drze. Czyta i nie rozumie, co sam napisał.

– A ty o czym piszesz? – tego zupełnie nie potrafiłam sobie wyobrazić.

– Jeszcze nie doszedłem do tego etapu. Nie wiem, kiedy to nastąpi ani co się wtedy stanie. Staram się o tym nie myśleć. Teraz niby piszę zaległą pracę semestralną sprzed dwóch lat. Piszę jedno zdanie dziennie. To znaczy, w dobre dni. – Pralki zaczęły odwirowywać. Patrzył na nie posepnie.

– No ale o czym jest twoja praca? – Zafascynował mnie zarówno sposób, w jaki zmieniał się zarys jego twarzy, jak i to, co mówił. W każdym razie nie chciałam, żeby przestał mówić.

– Przecież wcale cię to nie interesuje – odpowiedział. – Pornografia u prerafaelitów. Próbuję też zrobić coś o Beardsleyu.

– O! – W milczeniu rozważaliśmy beznadziejność tego przedsięwzięcia. – A może – zaczęłam trochę niepewnie – wybrałeś złe zajęcie? Może byłbyś szczęśliwszy, robiąc coś innego?

Znowu parsknął, potem zakaszłał.

– Powiniennem przestać palić – powiedział. – A cóż innego mógłbym robić? Jak zaszedłeś już tak daleko, to nie nadajesz się do niczego innego. Coś się dzieje w mózgu. Jesteś za bardzo wykwalifikowany, za bardzo wyspecjalizowany i wszyscy o tym wiedzą. Nikt nie będzie taki głupi, żeby mnie zatrudnić. Nie nadawałbym się nawet do kopania rowów – zacząłbym rozwalać system kanalizacyjny, wyrąbywać i odgrzebywać te hadesowe symbole – rury, zawory, kanały... Nie, nie, nie. Do końca pozostanę niewolnikiem w kopalni papieru.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Patrzyłam na niego i usiłowałam wyobrazić go sobie w Seymour Surveys; nawet na górze, z tymi od wywiadu. Na próżno. Zdecydowanie nie pasował.

– Nie jesteście stąd? – spytałam w końcu. Temat uczelni wydawał się wyczerpany.

– Oczywiście wszyscy jesteśmy spoza; przecież nikt tak naprawdę nie jest stąd. Dlatego mamy mieszkanie. Bóg świadkiem, że nas na to nie stać, ale tu nie ma żadnych akademików dla dyplomantów. Chyba że ten nowy pseudobrytyjski przybytek z herbem i klasztornym murem. Ale mnie tam nigdy nie wpuszczą, a poza tym byłoby tam tak samo źle jak tutaj z Trevorem. Trevor jest z Montrealu. Jego rodzina pochodzi z okolic Westmount, nawet zamożna, chociaż po wojnie musieli wziąć się do pracy. Mają fabrykę ciasteczek kokosowych, ale nie wolno nam o tym w domu wspominać; trochę to dziwne, bo wszędzie ich pełno i trzeba je jeść, udając, że nie wiadomo, skąd się wzięły. Nie lubię kokosów. Fish jest z Vancouver, ciągle tęskni do morza. Chodzi nad jezioro, brodzi w zanieczyszczeniach i usiłuje podniecać się mewami i pływającymi skórkami od grejpfruta, ale mu to nie wychodzi. Obaj mieli kiedyś inny akcent, ale słuchając ich teraz, trudno cokolwiek wywnioskować; jak się pobędzie trochę w tym młynie, to zaczyna się mówić tak, że zupełnie już nie wiadomo, skąd jesteś.

– A ty skąd jesteś?

– I tak byś nie wiedziała, gdzie to jest – uciał.

Pralki wyłączyły się. Wzięliśmy druciane wózki do bielizny i przewieźliśmy rzeczy do suszarek. Potem znowu usiedliśmy na krzesłach. Teraz nie było na co patrzeć. Rozlegał się tylko szum i dudnienie suszarek. Zapalił następnego papierosa.

Jakiś staruszek w obszarpanym ubraniu wsunął głowę przez drzwi, zobaczył nas i wycofał się. Zapewne szukał miejsca do spania.

– Chodzi o to – odezwał się w końcu – że to jest inercja. Ciągłe masz wrażenie, że nic nie robisz; zapadasz się, grzęzniesz. W zeszłym tygodniu podpaliłem mieszkanie, po części celowo. Chyba chciałem sprawdzić, co oni robią. Może chciałem zobaczyć, co sam zrobię? Głównie jednak dlatego, że zachciało mi się dla odmiany popatrzeć na płomień i dym. A oni to po prostu ugasili, a potem biegali jak dwa oszalałe pancerniki, opowiadając, jaki to ja „chory” i dlaczego to zrobiłem, i że może moje napięcie wewnętrzne stało się dla mnie nie do wytrzymania, i że może bym jednak poszedł do psychoanalityka. To by i tak nic nie pomogło. Wiem prawie wszystko o psychoanalizie i to mi wcale nie pomaga. Te typki już nie są w stanie mnie przekonać, ja za dużo o tym wiem, już przez to przeszedłem, już się uodporniłem. Podpalenie mieszkania nic nie zmieniło poza tym, że jak tylko ruszę palcem, to Trevor podskakuje z wrzaskiem, a Fischer sprawdza mój przypadek w podręczniku psychologii, który mu został z pierwszego roku. Oni myślą, że jestem stuknięty. – Rzucił niedopałek na podłogę i przydeptał. – Ale to chyba oni są stuknięci – dodał.

– A może – powiedziałam ostrożnie – powinieneś się stamtąd wynieść.

Uśmiechnął się tym swoim krzywym uśmiechem.

– Gdzie bym się podział? Nie stać mnie na to. Już tam utknąłem. Poza tym, wiesz, oni się trochę mną opiekują. – Wcisnął głowę jeszcze głębiej w ramiona.

Spojrzałam zdziwiona na profil jego szczupłej twarzy, wydatną kość policzkową, ciemne zagłębienie oka. Takie przemówienie to całkiem płynna spowiedź, to było coś, na co ja nie zdobyłabym się nigdy. To zakrawało na szaleństwo, zupełnie jakby surowe jajko postanowiło wyjść ze skorupki; przecież mogłoby rozlać się zbyt

szeroko i zmienić w bezkształtną kałużę. Ale gdy tak siedział zatkany następnym papierosem, nie wyglądało na to, że zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Kiedy później o tym rozmyślałam, zaskoczyła mnie moja obojętność. Niepokój owego popołudnia znikł; byłam spokojna, niewzruszona jak księżyc, panowałam nad całą białą przestrzenią pralni. Mogłam bez żadnego wysiłku objąć to skurczone, niezgrabne ciało, ukoić, ukołysać. Ale było w nim coś bardzo niedziecinnego, coś, co powodowało, że sprawiał raczej wrażenie człowieka tak starego, że już nie do pocieszenia. Pomyślałam też, przypominając sobie oszustwo z wywiadem, że potrafiłby to wszystko zmyślić. Mogło to być prawdą, ale mogło też być obliczone na sprowokowanie takiego właśnie opiekuńczego gestu po to, żeby potem uśmiechnąć się chytrze i zanurzyć jeszcze głębiej w azylu swetra, nie dając się ani podejść, ani dotknąć.

Najwyraźniej posiadał jakiś dodatkowy zmysł, trzecie oko albo czułki. Chociaż był odwrócony tak, że nie mógł widzieć mojej twarzy, odezwał się cicho i sucho:

– Czuję, że jesteś urzeczona moim bredzeniem. Wiem, że to robi wrażenie, ćwiczę to. Wszystkie kobiety kochają słabego. Wyzwalam w nich ducha Florence Nightingale. Ale uważaj – patrzył teraz na mnie chytrze, kątem oka – bo możesz coś zepsuć; głód jest uczuciem bardziej podstawowym niż miłość. Florence Nightingale była kanibalem.

Mój spokój prysł. Poczułam mysie łapki strachu przebiegające po skórze. O co on mnie właściwie posądza? Czyżbym się obnażyła?

Nie wiedziałam, jak zareagować.

Suszarki zatrzymały się. Wstałam.

– Dziękuję za proszek – powiedziałam z oficjalną uprzejmością.

On też wstał. Znowu wydało mi się, że mnie nie zauważa.

– Drobiazg – odparł.

Staliśmy obok siebie bez słowa, wyciągając rzeczy z suszarek i upychając do worków. Zarzuciliśmy worki na ramię, podeszliśmy do drzwi, ja trochę bardziej z przodu. Zatrzymałam się przed wyjściem, ale nie zrobił żadnego gestu, żeby otworzyć drzwi, więc sama je otworzyłam.

Znalazłszy się przed pralnią, odwróciliśmy się oboje jednocześnie, niemal wpadając na siebie. Przez moment staliśmy twarzą w twarz, niezdecydowani, po czym zaczęliśmy naraz coś mówić, by po chwili zamilknąć. I wtedy, jak za pociągnięciem sznurka, postawiliśmy torby na chodniku i zrobiliśmy krok naprzód. Całowałam go, a może to on mnie całował, do tej pory nie wiem, jak to było. Jego usta miały smak papierosów. Nie pamiętam, żebym czuła cokolwiek oprócz tego smaku i wrażenia czegoś cienkiego i suchego, jakby ciało, które obejmowałam, i twarz dotykająca mojej twarzy wykonane były z bibułki albo pergaminu naciągniętego na drucziany wieszak.

Przestaliśmy się całować i jednocześnie zrobiliśmy krok w tył. Przyglądaliśmy się sobie przez jakiś czas. Potem podnieśliśmy torby z praniem i przewiesiwszy je przez ramię, odwróciliśmy się i ruszyli w przeciwnych kierunkach. Całe to wydarzenie w jakiś absurdalny sposób przypominało spazmatyczne przyciąganie się i odpychanie plastikowych pieków z magnesem, jakie dostawałam w konkursach na przyjęciach urodzinowych.

Nic nie pamiętam z drogi powrotnej do domu prócz tego, że w autobusie długo przyglądałam się ogłoszeniu, które przedstawiało pielęgniarkę w białym czepku i fartuchu. Miała zdrowy, zasadniczy wygląd, w rękę trzymała butelkę i uśmiechała się. Napis wzywał: „Nie skąp daru życia”.

Oto więc jestem.

Siedzę na łóżku w swoim pokoju, przy zamkniętych drzwiach i otwartym oknie. Jest Święto Pracy^[4], piękny, chłodny, słoneczny dzień jak wczoraj. Dziwnie się czułam, nie idąc rano do pracy. Drogi do miasta na pewno tężeją od tłoku, bo mimo wczesnej pory ludzie zaczęli już wracać z weekendu w nadziei, że ominą korki. O piątej wszystko poruszać się będzie w żółtym tempie, a powietrze wypełni się blaskiem odbijającego się w kilometrach metalu słońca, wyciem znudzonych dzieci i silników na wolnych obrotach. Ale tutaj, jak zwykle, spokój.

Ainsley jest w kuchni. Prawie jej dzisiaj nie widziałam. Słyszę, jak chodzi za ścianą, podśpiewując. Nie wiem, czy otworzyć drzwi. Nasz układ zmienił się, jeszcze nie wiem jak, ale wiem, że trudno mi będzie z nią rozmawiać.

Piątek wydaje się bardzo odległy, tyle się od tamtej pory wydarzyło, ale teraz, kiedy się nad tym zastanowiłam, widzę, że moje postępowanie miało faktycznie więcej sensu, niż mi się wówczas wydawało. Moje podświadome ja wyprzedziło to świadome, a podświadomość ma swoją logikę. Sposób, w jaki zabierałam się do robienia różnych rzeczy, może wydawać się trochę sprzeczny z moją prawdziwą osobowością, ale czy rezultaty są aż tak sprzeczne? Ta decyzja była trochę nieoczekiwana, ale po przemyśleniu wszystkiego uważam, że to bardzo dobre posunięcie. W szkole i w college'u zawsze myślałam, że w końcu wyjdę za mąż i będę miała dzieci. Wszyscy tak robią. Dwoje albo czworo, bo troje to nieszczęśliwa liczba, nie pochwalam też posiadania jedynaków, ponieważ łatwo je rozpieścić. Nigdy nie miałam takich głupich poglądów na małżeństwo jak Ainsley. Ona jest mu przeciwna z zasady, ale życie posuwa się naprzód nie dzięki zasadom, a dzięki kompromisom. Peter powiada, że nie można bez końca biegać w kółko; ludzie samotni dziwaczejają w średnim wieku, gorzknieją głupiejają albo jeszcze gorzej. Jest ich dość w moim biurze, żebym mogła zdawać sobie z tego sprawę. Ale chociaż myśl taka z pewnością tkwiła głęboko w moim umyśle, to

jednak nie byłam przygotowana na to, że stanie się to tak szybko, ani na to, jak to będzie wyglądało. Jasne, że od początku zależało mi na Peterze bardziej, niż chciałam przyznać.

A poza tym nie ma powodu, żeby nasze małżeństwo miało stać się tym, czym małżeństwo Clary. Oni nie myślą realnie, nie mają pojęcia, jak powinien funkcjonować dobrze zorganizowany związek. Tak wiele zależy przecież od podstawowych szczegółów technicznych, takich jak meble, posiłki i utrzymanie porządku. My z Peterem powinniśmy być w stanie wypracować bardzo sensowny układ. Na pewno znajdzie się wiele drobnych spraw do ustalenia. Peter to idealny kandydat, jak się nad tym lepiej zastanowić. Jest przystojny i ma szansę na karierę; jest również porządny, rzecz bardzo ważna, jeżeli ma się z kimś mieszkać.

Wyobrażam sobie ich miny, kiedy się o tym dowiedzą w pracy. Ale na razie nie mogę im powiedzieć; przez jakiś czas będę musiała jeszcze zatrzymać tę pracę. Dopóki Peter nie skończy praktyki, będziemy potrzebowali pieniędzy. Na początku pewno zamieszkamy w wynajętym mieszkaniu, ale później kupimy prawdziwy dom, na stałe, a o takie mieszkanie warto dbać.

Na razie powinnam zrobić coś konstruktywnego, a nie siedzieć beczynn timer. Najpierw muszę przejrzeć kwestionariusze o piwie i napisać sprawozdanie, tak żeby jutro od razu przepisać je na maszynie i mieć z głowy.

Potem może umyję włosy. Trzeba porządnie wysprzątać pokój. Powinnam przejrzeć szuflady i powyrzucać wszystko, co się tam nazbierało. Poza tym w szafie wisi parę sukienek, których właściwie nie noszę i nie warto ich trzymać. Oddam je do Armii Zbawienia. I mnóstwo tandetnej biżuterii otrzymanej od rodziny na Gwiazdkę: broszki z imitacji złota w kształcie pudełków, bukietki kwiatów ze szklanymi płatkami, pudło pełne książek, głównie podręczników, i listów z domu, do których nigdy już nie zajrzę, i dwie lalki, które zatrzymałam z powodów sentymentalnych. Starsza ma tułów szmaciany, wypchany trocinami (wiem o tym, bo kiedyś wykonałam na niej operację nożyczkami do paznokci), a ręce, nogi i głowę z czegoś twardego, co przypomina drewno. Palce u rąk i nóg są prawie całkowicie obgryzione, włosy czarne i krótkie, ot, kilka postrzępionych kosmyków przyczepionych do drobnej siateczki

odklejającej się od głowy. Jej twarz już prawie się starła, ale wciąż jeszcze widać otwarte usta, czerwony filcowy język i dwa porcelanowe zęby, które – jak pamiętam – były dla mnie największą atrakcją. Ubrana jest w kawałek starego prześcieradła. Miałam zwyczaj wieczorem stawiać przed nią jedzenie i zawsze czułam rozczarowanie, kiedy rano nadal tam było. Druga lalka jest nowsza; ma długie włosy, które można myć, i skórę z gumy. Prosiłam o nią na Gwiazdkę, bo można ją było kąpać. Żadna nie jest już ładna – mogę je z powodzeniem wyrzucić razem z innymi śmieciami.

Ciągle nie wiem, co zrobić z tym chłopakiem z pralni ani jak wytłumaczyć swoje zachowanie. Może to jakaś chwilowa luka w ego, jakaś amnezja. Ale mam niewielkie szanse spotkać go jeszcze – nie wiem nawet, jak ma na imię – a poza tym to nie ma nic wspólnego z Peterem.

Skończę sprzątać pokój i napiszę do domu. Wszyscy się ucieszą, przecież od dawna na to czekali. Będą chcieli, żebyśmy jak najprędzej przyjechali na weekend. Ja też nigdy nie widziałam rodziców Petera.

Za minutkę wstanę z łóżka i przejdę przez plamę słońca na podłodze. Nie mogę pozwolić, żeby całe popołudnie przeciekło mi przez palce, chociaż tak przyjemnie siedzieć sobie w tym cichym pokoju, patrzeć na pusty sufit, opierać się plecami o chłodną ścianę i machać nogami zwisającymi z krawędzi łóżka. Czuję się, jakbym spoczywała na dmuchanym materacu unoszonym przez wodę, wpatrzona w czyste niebo.

Muszę się pozbierać. Mam mnóstwo do zrobienia.

CZĘŚĆ
DRUGA

Marian siedziała bezmyślnie przy biurku i kreśliła coś machinalnie w notatniku. Narysowała strzałę z mnóstwem ozdobnych piórek, a potem kratkę z przecinających się linii. Pracowała nad jakimś kwestionariuszem o żyletkach ze stali nierdzewnej. Doszła do miejsca, gdy ankieter powinien poprosić swą ofiarę o żyletkę, której aktualnie używa, i zaproponować wymianę. Tu utknęła. Właśnie rozważała jakąś bardzo skomplikowaną fabułę: dyrektor fabryki żyletek miał zaczarowaną żyletkę, która znajdowała się w posiadaniu jego rodziny od wieków i nie tylko sama ostrzyła się po użyciu, ale także po każdym trzynastym goleniu spełniała jakieś życzenie właściciela... Dyrektor jednak niezbyt pilnie strzegł swego skarbu. Pewnego dnia zapomniał włożyć ją do wymoszczonej aksamitem szkatułki, zostawił gdzieś w łazience i jedna nadgorliwa służąca... (W tym miejscu historyjka traciła przejrzystość i bardzo się komplikowała. Żyletka jakimś sposobem znalazła się w sklepie z używanymi rzeczami, gdzie nabył ją pewien klient, który niczego nie podejrzewał). Akurat tego dnia dyrektor pilnie potrzebował pieniędzy. Jak szalony golił się co trzy godziny, obdzierając sobie twarz ze skóry, żeby dobrnąć do trzynastki. Jakież było jego zdumienie i przerażenie, gdy... A kiedy odtworzył przebieg wydarzeń, kazał wtrącić wstrętą służącą do lochu pełnego zużytych żyletek, na miasto zaś rzucił sieć złożoną z prywatnych detektywów rodzaju żeńskiego w średnim wieku, które przedstawiały się jako pracownice Seymour Surveys. Ich sokoli wzrok potrafił wyłuskać każdego mężczyznę czy kobietę z najmniejszym śladem zarostu. Wykrzykując: „Nowe żyletki za stare”, agentki czyniły rozpaczliwe starania, by odzyskać tę bezcenną, utraconą...

Marian westchnęła, dorysowała pajęczka w rogu labiryntu kresek i powróciła do maszyny. Przepisała bez zmian fragment projektu kwestionariusza: „Chcielibyśmy zapoznać się ze stanem pańskiej żyletki. Czy mogę prosić o żyletkę, która aktualnie znajduje się w pańskiej maszynie? Oto nowa w zamian za nią” – zamieniając jedynie „niech mi pan da” na „czy mogę prosić”. Zdanie nie dawało

się w żaden sposób sformułować mniej dziwacznie, ale mogło przynajmniej brzmieć bardziej uprzejmie.

Dookoła niej biuro wrzało. Zawsze panował tu albo zamęt, albo martwa cisza. Woląta zamęt. Mogła wówczas mniej pracować, ponieważ podczas powszechnej krzątaniny i gwaru nikt nie miał czasu zaglądać jej przez ramię i wydziwiał, że coś zabiera jej aż tyle czasu, albo wypytywać, co ona w ogóle robi. Kiedyś nawet wydawało jej się, że sama też bierze udział w tym zamęcie; raz czy dwa dała się solidnie wciągnąć w szaleństwo i ze zdziwieniem zauważyła, że sprawia jej to przyjemność. Ale odkąd się zaręczyła, wiedziała, że nie będzie tu pracować wiecznie (rozmawiali już o tym i Peter powiedział, że oczywiście, jeżeli chce, niech pracuje po ślubie, przynajmniej przez pewien czas, chociaż z finansowego punktu widzenia nie ma potrzeby – uważał, że nieuczciwie jest zawierać związek małżeński, jeżeli nie ma się możliwości utrzymania żony; ona jednak postanowiła rzucić pracę), mogła więc rozsiąść się wygodnie w fotelu, żeby przyglądać się wszystkiemu z obojętnością. Zauważyła, że już nie potrafiłaby się wciągnąć, nawet gdyby chciała. Ostatnio zaczęli chwalić ją za to, że potrafi zachować spokój w krytycznych momentach. „Och, gdyby nie Marian” – mawiały panie, kojąc nerwy herbatą, ocierając spracowane czoła chusteczkami, dysząc ciężko. „Ona nigdy nie traci zimnej krwi, prawda, kochanie?”

Pomyślała, że w tej właśnie chwili kręcą się jak stado pancerników w zoo. Pancerniki przywiodły jej na myśl chłopaka z pralni, który już więcej się tam nie pojawił, chociaż od tamtej pory była w pralni kilka razy, zawsze z odrobiną nadziei, że go zastanie. Nic dziwnego, przecież to jasne, że on jest niezrównoważony; najprawdopodobniej już dawno przepadł w jakimś kanale...

Obserwowała Emmy, która rzuciła się do kartoteki i gorączkowo w niej grzebała. Tym razem chodziło o ankietę obejmującą cały kraj, a dotyczącą podpasek higienicznych. Nastąpiła jakaś żenująca pomyłka w zachodnich prowincjach. Miała to być tak zwana ankietka „trójfalowa”. Pierwsza fala szła pocztą, lokalizowała i przynosiła na swym powracającym grzbiecie ławicę chętnych respondentek w stosownym wieku. Druga i trzecia zawierały wywiady bardziej dogłębne, przeprowadzane osobiście. Marian miała nadzieję, że

raczej przy drzwiach zamkniętych. Cała operacja, a zwłaszcza niektóre pytania, naruszały jej poczucie przyzwoitości, chociaż Lucy zauważyła podczas przerwy, że w dzisiejszych czasach to zupełnie naturalne i że w końcu chodzi przecież o przyzwoity produkt, który kupuje się w supersamie, a jego całostronicowe reklamy umieszcza się w najlepszych pismach, i czy to nie przyjemnie, że wyciągają tę sprawę na światło dzienne, że ludzie przestają być tacy wiktoriańscy i tacy skrepowani. Millie dodała, że to faktycznie bardzo światłe podejście, ale te ankiety zawsze są okropne, nie tylko przy wyjaśnianiu celu wizyty, ale także dlatego, że trudno znaleźć ankietarki, które by je przeprowadzały, i wiele z nich ma bardzo przestarzałe poglądy, głównie te z małych miasteczek, niektóre nawet zrezygnowały ze współpracy, kiedy je o to poproszono (była to największa wada systemu bazującego na gospodyniach domowych, bo one wcale nie potrzebują tych pieniędzy i albo im się to znudzi, albo mają dosyć, albo zajdą w ciążę i rezygnują, i wtedy trzeba szukać nowych i szkolić od samego początku). Dlatego najlepiej byłoby wysyłać im druczek o tym, jak to każda powinna dokładać wszelkich starań, by poprawić los wszystkich kobiet – taką próbę wezwania, pomyślała Marian, skierowanego do szlachetnej, energicznej, skłonnej do poświęceń pielęgniarki, która rzekomo siedzi skurczona w formie embrionalnej w sercu każdej prawdziwej kobiety.

Tym razem stało się coś gorszego. Osoba, która miała za zadanie wybrać z książek telefonicznych w zachodnich prowincjach nazwiska kobiet mających paść ofiarą pierwszej fali, nie grzeszyła pracowitością (Kto tam się tym zajmował? Pani Lietch z Foam River? Pani Hatcher z Watrous? Nikt nie potrafił sobie przypomnieć, a Emmy stwierdziła, że kartoteka gdzieś się zapodziała). Zamiast spodziewanej powodzi listownych odpowiedzi spływał jedynie cienki strumyczek wypełnionych kwestionariuszy. Millie i Lucy przeglądały je teraz na biurku na wprost Marian i próbowały dociec, co się stało.

– No tak, niektóre poszły najwyraźniej do mężczyzn – parsknęła Millie. – Na jednym jest napisane „He, he”, od jakiegoś pana Lesliego Andrewesa.

– Zupełnie nie rozumiem, dlaczego niektóre wracają do nas z NIE we wszystkich okienkach. Czegóż one używają? – mruzczała Lucy.

– No, ta dama jest po osiemdziesiątce.

– A ta tutaj pisze, że jest w ciąży od siedmiu lat bez przerwy.

– O Boże, biedaczka – jęknęła przysłuchująca się Emmy. – Przecież ona się wykończy.

– Na pewno ta głupia gęś, pani Lietch albo pani Hatcher, wszystko jedno, wysłała to znowu do rezerwatu Indian. Specjalnie jej przypominałam, żeby tego nie robiła. Bóg raczy wiedzieć, czego one tam używają – sapała dalej Lucy.

– Mchu – stwierdziła stanowczo Millie. To już nie pierwszy raz coś poplątało się w prowincjach zachodnich. Przeliczyła ponownie plik kwestionariuszy. – Będziemy musiały zacząć wszystko od początku i klient będzie wściekły. Cała machina jest już w ruchu, o terminach lepiej nie mówić.

Marian spojrzała na zegar. Zbliżała się pora lunchu. Narysowała rządki księżyców – półksiężyce, pełne księżyce, półksiężyce w drugą stronę, potem nic: nów. Żeby było ładniej, dorysowała jeszcze gwiazdkę w środku jednego półksiężyca. Nastawiła zegarek, ten, który dostała od Petera na urodziny, chociaż czas różnił się tylko o dwie minuty od zegara biurowego, nakręciła go. Przepisała na maszynie kolejne pytanie. Poczowała głód i zastanowiła się, czy to dlatego, że wie, która godzina. Wstała, zakręciła kilka razy krzesłem obrotowym, żeby je podwyższyć, usiadła ponownie i napisała jeszcze jedno pytanie. Była zmęczona, zmęczona i jeszcze raz zmęczona rolą manipulatora słów. W końcu, niezdolna już ani chwili dłużej usiedzieć na krześle przy swoim biurku, przed swoją maszyną do pisania, zaproponowała: – Chodźmy na lunch.

– No, ale... – Millie zawahała się i spojrzała na zegar. Ciągle łudziła się, że coś można zrobić z tym bałaganem.

– Tak, chodźmy – powiedziała Lucy. – Już kota dostaję. Muszę stąd wyjść. – Ruszyła w kierunku wieszaka, a za nią Emmy. Widząc, że wkładają płaszcze, Millie niechętnie porzuciła kwestionariusze.

Na ulicy wiał zimny wiatr. Podniosły kołnierze i przytrzymały je pod szyją dłońmi w rękawiczkach, drepcząc parami w tłumie podążających na lunch; obcasy stukwały i zgrzytały na gołym chodniku, śnieg jeszcze nie spadł. Miały do przebycia dłuższą niż zazwyczaj drogę, ponieważ Lucy zaproponowała, żeby pójść do restauracji droższej niż ta, gdzie zawsze chodziły, a one, w stanie

przyspieszonej przemiany materii wywołanej zamieszaniem z podpaskami, zgodziły się.

– Au – jęczała Emmy, kiedy walczyły z przenikliwym wiatrem. – W taką wietrzną pogodę po prostu nie wiem, co mam robić. Cała skóra mi wysycha i łuszczy się. – Gdy padał deszcz, miała okropne bóle w stopach, a gdy świeciło słońce, cierpiała na ból oczu i głowy, a także z powodu piegów i zawrotów głowy. Kiedy pogoda była neutralna, szara i nijaka, nawiedzały ją fale gorąca i męczył kaszel.

– Najlepszy jest cold cream – powiedziała Millie. – Moja babcia też miała suchą cerę i takiego właśnie kremu używała.

– Ale słyszałam, że od niego robią się pryszczki – zauważyła Emmy nieufnie.

Restauracja miała staroangielskie pretensje: wyściełane, skórzane krzesła i belkowane stropy w stylu Tudor. Po krótkiej chwili oczekiwania hostessa, odziana w czarny jedwab, zaprowadziła je do stolika; usadowiły się i zsunęły płaszcze. Marian spostrzegła, że Lucy ma nową sukienkę z eleganckiego ciemnomalwowego jerseyu i skromną srebrną broszkę pod szyją. To dlatego chciała tutaj przyjść.

Lucy omiatała gości spojrzeniem spod długich rzęs – byli to w większości biznesmeni o wyblakłych, mięsistych twarzach, pochłaniający pospiesznie swój lunch, który spłukiwali kilkoma drinkami, żeby jak najszybciej i bezboleśnie uporać się z przerwą, wrócić do biura, zarobić jeszcze trochę pieniędzy, i to jak najszybciej, a w godzinie szczytu wrócić do domu, do żony, do kolacji i z nimi także uporać się jak najszybciej. Lucy miała na powiekach malwowy cień, dobrany do koloru sukni, i szminkę o bladomalwowym odcieniu. Była, jak zwykle, wytworna. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy jadała obiady w coraz droższych lokalach (Marian zachodziła w głowę, skąd ona bierze na to pieniądze), przesuwiała się niczym przynęta na ryby przybrana w piórka, szklane paciorki, trzy błyszczki i siedemnaście haczyków przez dobre restauracje i cocktail bary z eleganckimi kępami filodendronów w donicach, obiecujące mężczyzn odpowiedniego typu, przyczajonych i żarłocznych jak szczupaki, chociaż o zamiarach bardziej niż szczupaki matrymonialnych. Lecz ci mężczyźni, ci właściwi, albo nie brali, albo przenieśli się na inne głębokości, albo chwytali inną przynętę – niepozorny wabik z plastyku, wytartą mosiężną błyszczką albo coś,

co miało jeszcze więcej piórek i haczyków niż Lucy. Więc w tej restauracji i w innych, podobnych, na próżno demonstrowała swoje wspaniałe stroje i słodkie oczy ławicom spasionych płotek, które nie mają czasu na malwy.

Przyszła kelnerka. Millie zamówiła zapiekankę z cynadrami – porządny, treściwy lunch. Emmy sałatkę z twarogiem do trzech pigulek: różowej, białej i pomarańczowej, które leżały w rzędku obok szklanki z wodą. Lucy grymasiła, złościła się, kilka razy zmieniała zamówienie, aż w końcu zdecydowała się na omlet. Marian dziwiła się sama sobie. Przecież nie mogła doczekać się lunchu, umierała z głodu, a teraz wcale nie była głodna. Zamówiła kanapkę z serem.

– Co u Petera? – spytała Lucy, kiedy skończyła już manewrować omletem, narzekając, że jest twardy jak podeszwa. Ostatnio interesowała się Peterem. Telefonował do pracy, żeby opowiadać Marian, co robił przez cały dzień i co ma zamiar robić wieczorem, a kiedy jej nie było, zostawiał wiadomość Lucy, która korzystała z tego samego telefonu. Twierdziła, że jest nadzwyczaj uprzejmy i że ma ciekawy głos.

Marian przyglądała się Millie, która pochłaniała zapiekankę metodycznie, tak jak układa się rzeczy w walizce.

– No już – powie albo powinna powiedzieć na zakończenie. – Wszystko ślicznie poukładane. – I zamknie usta jak wieko.

– W porządku – odparła Marian.

Ustalili, że nie powinna jeszcze nic mówić w pracy. Wobec tego powstrzymywała się, dzień po dniu, ale tym razem pytanie zaskoczyło ją tak, że nie zdołała opanować pragnienia, żeby im powiedzieć. Niech się dowiedzą, tłumaczyła sobie, że jest jeszcze jakaś nadzieja.

– Muszę wam coś powiedzieć – zaczęła – ale na razie niech to będzie tylko do waszej wiadomości. – Odczekała, aż trzy pary oczu przeniosły swą uwagę znad talerzy ku niej, i oświadczyła: – Zaręczyliśmy się.

Uśmiechnęła się do nich promiennie, obserwując, jak malujący się na ich twarzach wyraz oczekiwania ustępuje miejsca niedowierzaniu. Lucy upuściła widelec, jęknęła:

– Niemożliwe – i dodała: – To wspaniale.

Millie powiedziała:

– Och tak, świetnie.

Emmy pospiesznie połknęła kolejną pigułkę.

Posypały się pytania, na które Marian odpowiadała spokojnie, rozdzielając informacje jak cukierki między dzieci – po kolei i nie za dużo, żeby się nie pochorowały. Triumfalne uniesienie, jakiego spodziewała się doznać po takim oświadczeniu, trwało tylko chwilę. Gdy minął efekt zaskoczenia, rozmowa stała się tak zwyczajna i bezosobowa, zresztą z obu stron, jak kwestionariusze o żyletkach. Padały pytania dotyczące ślubu, przyszłego mieszkania, ewentualnej porcelany i szkła, innych zakupów i strojów.

W końcu odezwała się Lucy:

– Zawsze myślałam, że Peter to typ zatwardziałego kawalera. Sama tak mówiłaś. Na co go w końcu złapałaś?

Marian odwróciła wzrok od twarzy, nagle żałosnych, zbyt chciwie wyczekujących jej odpowiedzi, i przeniosła go na noże i widelce złożone na talerzach.

– Naprawdę nie wiem – rzekła, usiłując okazać skromność, jak przystoi narzeczonej. Naprawdę nie wiedziała. Żałowała, że im powiedziała, że wymachuje im przed nosem efektem, nie będąc w stanie podać skutecznej recepty.

Peter zadzwonił niemal natychmiast po ich powrocie do biura. Lucy podała jej słuchawkę, szepcząc: – To on! – trochę jakby przerażona obecnością przyszłego pana młodego na drugim końcu linii. Odbierając słuchawkę, Marian wyczuła, jak napinają się mięśnie trzech par uszu, jak odwracają się trzy głowy blond.

Peter odezwał się tonem zasadniczym:

– Cześć, kochanie, jak się masz? Słuchaj, dzisiaj wieczorem naprawdę nie mogę. Dostałem niespodziewanie pewną sprawę, coś ważnego, i po prostu muszę nad tym popracować.

Zabrzmiało to jak zarzut, że to ona przeszkadza mu w pracy, i Marian poczuła się dotknięta. Nawet nie liczyła na to, że zobaczy go wcześniej niż w środku tygodnia, tymczasem zadzwonił wczoraj i zaprosił ją na kolację; od tej pory cieszyła się na to spotkanie. Odpowiedziała trochę zbyt głośno:

– W porządku, kochanie, byłoby jednak lepiej, gdybyśmy nie ustalali takich rzeczy w ostatniej chwili.

– Mówiłem ci już, że to wynikło niespodziewanie – zirytował się.

– Ale nie musisz od razu na mnie krzyczeć.

– Nie krzyczę – odpowiedział ulegle. – Sama wiesz, że wolałbym spotkać się z tobą, ale musisz zrozumieć, że... – Dalszy ciąg rozmowy był zlepkiem pojednawczych zapewnień. No cóż, musimy uczyć się kompromisów, pomyślała Marian, i równie dobrze możemy zacząć już teraz. – Wobec tego jutro? – zakończyła.

– Ależ, kochanie – odezwał się Peter. – Ja naprawdę nie wiem. To zależy... Wiesz przecież, jak to jest. Zawiadomię cię, dobrze?

Kiedy pożegnała się słodko, tak by usłyszało audytorium, i odłożyła słuchawkę, poczuła się wyczerpana. Musi uważać, jak się odzywa do Petera. Trzeba traktować go delikatnej, na pewno ma teraz mnóstwo pracy...

– Ciekawe, czy mam anemię – powiedziała do siebie, odwracając się do maszyny.

Skończyła kwestionariusz o żyłkach i zabrała się do następnego, do instrukcji testu na temat nowego sproszkowanego jedzenia dla psów, gdy telefon zadzwonił ponownie. Był to Joe Bates. Właściwie spodziewała się, że zadzwoni. Powitała go z fałszywym entuzjazmem. Zdawała sobie sprawę, że ostatnio zaniedbuje swoje obowiązki, unikając zaproszeń na kolacje u Batesów, chociaż wiedziała, że Clara pragnie się z nią zobaczyć. Cięża przedłużała się, najpierw o tydzień, potem o dwa i rozmawiając z Clarą przez telefon, odniosła wrażenie, że samą Clarę coś powoli wciąga w głąb podobnej do dyni gigantycznej narośli, która obejmuje jej ciało.

– Ledwie stoję – jęczała.

Ale Marian nie była w stanie poświęcić jeszcze jednego wieczoru na przyglądanie się brzuchowi Clary i rozważanie wspólnie z nią tajemniczego zachowania się jego zawartości. Ostatnim razem dla rozładowania atmosfery reagowała jedynie pogodnymi, ale zdecydowanie niewesołymi dla Clary uwagami w stylu: „Może ono ma trzy głowy” i „Może to wcale nie dziecko, ale jakaś pasożytnicza narośl jak galasy na drzewach albo elefantiasis pępka, albo wielki bąbel. Po ostatniej wizycie tłumaczyła sobie, że bardziej Clarze

zaszkodzi, zjawiając się u niej, niż trzymając się z daleka. W przypiływie troskliwości wzmocnionej poczuciem winy wymogła na Joem obietnicę, że zawiadomi ją, jak tylko coś będzie się działo, i nawet podjęła się bohatersko pilnowania pozostałych dzieci, jeżeli okazałoby się to konieczne. Teraz Joe mówił:

– No, dzięki Bogu, już po wszystkim... Druga dziewczynka, trzy sześćset. Pojechała do szpitala dopiero dzisiaj w nocy o drugiej. Baliśmy się, że urodzi w taksówce.

– No to wspaniale! – wykrzyknęła Marian, dorzucając jeszcze kilka pytań i gratulacje. Zapytała o godziny odwiedzin, numer sali i zapisała w notatniku. – Powiedz jej, że jutro ją odwiedzę – dodała. Pomyślała sobie, że teraz, kiedy ciało Clary powraca do swojego normalnego kształtu, będzie jej łatwiej z nią rozmawiać; przestanie nareszcie odnosić wrażenie, że zwraca się do nabrzmiałej masy mięsa z malusieńką główką, która przywodzi jej na myśl królową mrówek, rozsadaną brzemieniem całej społeczności, półosobę, albo, myślała chwilami, kilka osób, zbiór niewidocznych osobowości, których wcale nie zna. Postanowiła kupić Clarze róże – prezent powitalny dla prawdziwej Clary, ponownie bezsprzecznej właścicielki swego własnego kruchego ciała.

Odłożyła słuchawkę na czarne widełki i oparła się plecami o poręcz krzesła. Sekundnik na zegarze biegał w kółko przy akompaniamencie klekotu maszyn do pisania i stukotu wysokich obcasów o twardą podłogę. Czuła, jak czas wiruje i okręca się wokół jej stóp, unosi wokół niej, podnosi jej ciało na biurowym krześle i pcha z wolna ruchem okrężnym, lecz z nieuchronnością wody spływającej z gór ku odległej, choć nie tak znowu odległej dacie, którą ustalili – pod koniec marca? – która ma stanowić koniec tego etapu i początek nowego. Gdzieś tam czyniono stosowne przygotowania. Krewni zaczęli organizować się, zbierać siły, zatroszczono się o wszystko, ona nie miała nic do roboty. Unosiła się w powietrzu, pozwalała utrzymywać się prądowi, wierząc, że zanie sie ją, gdzie należy. Trzeba jeszcze przebrnąć przez ten dzień: punkt orientacyjny na tym brzegu, drzewo tym tylko różniące się od pozostałych, że jest właśnie tu, a nie gdzie indziej, i po to tylko, by znaczyć przebytą drogę. Chciała to już mieć poza sobą. Żeby wspomóc wskazówkę sekundnika, przepisała na maszynie resztę kwestionariusza o jedzeniu dla psów.

Pod koniec dnia pani Bogue wychynęła ze swojej kabiny. Jej uniesione do góry brwi wyrażały konsternację, chociaż spojrzenie pozostawało niewzruszone jak zawsze.

– Ojej! – zwróciła się do wszystkich. Jej poglądy na temat stosunków międzyludzkich zakładały informowanie pracowników o pomniejszych trudnościach kierownictwa. – Co za dzień. Nie dość zamieszania w prowincjach zachodnich, to jeszcze doszły nam kłopoty z tym paskudnym bieliźnianym mężczyzną.

– Znowu ten świntuch! – rzuciła Lucy z obrzydzeniem, marszcząc nos pod opalizującym pudrem.

– Właśnie – odparła pani Bogue. – To takie nieprzyjemne. – Załamała ręce w geście kobiecej rozpacz. Widać było, że wcale nie jest zmartwiona. – Podobno zmienił rejon działania i przeniósł się na przedmieścia, a dokładnie mówiąc, do dzielnicy Etobicoke. Dwie panie dzwoniły dzisiaj po południu z Etobicoke i złożyły zażalenie. To z pewnością jakiś całkiem zwyczajny, sympatyczny mężczyzna, zupełnie nieszkodliwy, ale jednak nie wpływa korzystnie na opinię o naszej firmie.

– A co on robi? – spytała Marian. Nigdy jeszcze nie słyszała o bieliźnianym mężczyźnie.

– Och – odparła Lucy – to jeden z tych, co wydzwanają do kobiet i wygadują świństwa. Robił to już w ubiegłym roku.

– Problem w tym – jęczała pani Bogue, ciągle trzymając złożone ręce przed sobą – że powołuje się na naszą firmę. Widocznie ma bardzo przekonujący głos. Bardzo oficjalny. Mówi, że prowadzi ankietę na temat bielizny, i pewnie pierwsze pytania, jakie zadaje, brzmią całkiem niewinnie. Nazwy firm, rodzaje, rozmiary itd. Ale potem jego pytania stają się coraz bardziej intymne, aż w końcu panie denerwują się i odkładają słuchawkę. Oczywiście dzwonią do nas z zażaleniem i czasami oskarżają nas o różne nieprzyzwoite rzeczy, zanim zdążymy im powiedzieć, że ten człowiek nie należy do grona naszych ankietów i że nasza firma nigdy by nie zadawała takich pytań. Chciałabym, żeby go już schwytali i powstrzymali od dalszej działalności... Sprawa jest przykra, ale właściwie nie ma jak go wytropić.

– Ciekawe, dlaczego on to robi? – zastanawiała się Marian.

– Ach, pewnie jakiś maniak seksualny – odpowiedziała Lucy z lekkim malwowym dreszczem.

Pani Bogue jeszcze raz zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

– Ale wszystkie panie twierdzą, że ma bardzo przyjemny głos. Zupełnie normalny i nawet inteligentny. Wcale niepodobny do głosu tych obrzydliwców, którzy dyszą w słuchawkę.

– Może to dowód, że niektórzy maniacy seksualni są całkiem sympatyczni, że to normalni ludzie – zwróciła się Marian do Lucy, kiedy pani Bogue wróciła do swojego kubika.

Włożyła płaszcz, wypłynęła z pokoju do holu i pozwoliła się zwieźć w dół w komorze dekompresyjnej windy, myśląc ciągle o bieliźnianym mężczyźnie. Wyobraziła sobie inteligentną twarz, uprzejmy i opiekuńczy sposób bycia, coś w stylu agenta ubezpieczeniowego albo właściciela zakładu pogrzebowego. Zastanawiała się, jakie mogą być te intymne pytania i co powiedziałyby, gdyby kiedyś do niej zadzwonił (Ach, to pan jest tym bieliźnianym mężczyzną. Tak dużo o panu słyszałam... Chyba mamy wspólnych znajomych). Wyobraziła go sobie w garniturze, w całkiem konserwatywnym krawacie w ukośne brązowe paski, w porządnie wyczyszczonych butach. A może jego skądinąd normalny umysł padł ofiarą tych reklam pasów do pończoch w autobusach? Ofiara społeczeństwa. Społeczeństwo popisywało się przed nim smukłymi, roześmianymi i gładkimi dziewczynami, kusząc, a właściwie wmuszając elastyczne wdzięki, żeby mu ich potem odmówić. Kiedy usiłował kupić w sklepie ten właśnie szczegół garderoby, okazało się, że nie zawiera obiecowanej zawartości. Zamiast szaleć, wściekać się, nic nie osiągając, zniósł rozczarowanie z dojrzałym spokojem i postanowił jako człowiek rozsądny konsekwentnie szukać upragnionego wyobrażenia odzianego w bieliznę, korzystając w tym celu z systemu komunikacji telefonicznej, udostępnionego przez społeczeństwo. Sprawiedliwa wymiana: należało mu się to od nich.

Przy wyjściu przyszła jej do głowy nowa myśl. Może tak naprawdę to był Peter? Może wymykał się z biura do najbliższego automatu i wykręcał numery gospodyń domowych w Etobicoke? Taki protest przeciwko czemuś... Ankiptom? Gospodyniom z Etobicoke? Wulkanizacja? Albo jedyny znany mu sposób, by zemścić się na okrutnym świecie, który obarczył go trudnymi obowiązkami

prawniczymi, uniemożliwiając zabranie jej na kolację. A nazwę firmy i znajomość sposobów prowadzenia wywiadów miał, rzecz jasna, od niej! Może to było jego prawdziwe ja, jądro osobowości, wewnątrz Petera, którym ostatnio coraz częściej zaprzętała sobie głowę? Może właśnie to kryło się pod powierzchnią, pod różnymi powierzchniami: utajona tożsamość, której, z czego zdawała sobie sprawę, nie odkryła mimo licznych domysłów, wysiłków i połowicznych sukcesów. To on był Bieliźnianym Mężczyzną.

Pierwszą rzeczą, jaka ukazała się oczom Marian, gdy jej głowa niczym peryskop wysunęła się nad schody, była para gołych nóg. Należały do Ainsley, która niekompletnie ubrana stała w przedsionku, spoglądając na Marian, a przez jej twarz, zazwyczaj pozbawioną wyrazu, przemknął ledwo dostrzegalny cień zdziwienia i irytacji.

– Cześć – powiedziała. – Myślałam, że wychodzisz dzisiaj na kolację. – Utkwiła oskarżycielski wzrok w niewielkiej torbie z zakupami w ręce Marian.

Marian pozwoliła swym nogom wnieść się na ostatnie stopnie schodów, a potem odparła:

– Miałam iść, ale nie idę. Peterowi wypadło coś w pracy. – Weszła do kuchni i postawiła papierową torbę na stole. Ainsley wsunęła się za nią i usiadła na krześle.

– Marian – powiedziała dramatycznym tonem. – To musi się stać dzisiaj w nocy!

– Co? – spytała Marian obojętnie, wstawiając mleko do lodówki. Właściwie wcale jej nie słuchała.

– No, to. Z Leonardem. Wiesz przecież...

Marian była tak zajęta własnymi myślami, że dopiero po chwili zrozumiała, o co chodzi.

– Ach, to! – powiedziała. W zamyśleniu zdjęła płaszcz.

Nie śledziła zbyt uważnie postępów w kampanii Ainsley (czy może Leonarda?) przez ostatnie dwa miesiące – jeśli chodzi o tę sprawę, chciała mieć czyste ręce – ale Ainsley na siłę wciskała jej sprawozdania, analizy i żale, tak że nietrudno było domyślić się przebiegu zdarzeń. W końcu niezależnie od tego, jak czyste są ręce, uszy z konieczności zawsze pozostają otwarte. Sprawy nie toczyły się zgodnie z planem. Okazało się, że Ainsley mocno przesadziła. Przy pierwszym spotkaniu zrobiła z siebie taką cnotkę w różową kratkę, że po strategicznym odporze, jaki mu dała, Len wywnioskował, iż oblężenie musi być wyjątkowo długie i dobrze przemyślane, ruchy zbyt gwałtowne, zbyt męskie, mogłyby ją wystraszyć; trzeba ją

podejść łagodnie i ostrożnie. W rezultacie zaprosił ją parę razy na lunch, a następnie, stosując przerwy średniej długości, przeszedł do kolacji na mieście, w końcu zaś do zagranicznych filmów. Podczas jednego z seansów odważył się wziąć ją za rękę. Raz nawet zaprosił ją do siebie na herbatę. Ainsley opowiadała później, zaklinając się żarliwie kilka razy, że zachowywał się jak wzór przyzwoitości. Ponieważ powiedziała, że nie pije, nie mogła nawet udawać, że daje się upić. W rozmowie traktował ją jak małą dziewczynkę, cierpliwie wyjaśniał różne sprawy, usiłując zrobić na niej wrażenie opowieściami o telewizji i zapewniając, iż interesuje się nią jedynie jak starszy, życzliwy jej kolega. Aż chciało się jej krzyknąć. Nie mogła się wdawać w żadne dyskusje: jej osobowość powinna wyrażać taką samą pustkę jak twarz. Miała związane ręce. Sama stworzyła takie wyobrażenie o sobie i teraz musiała się go trzymać. Jakikolwiek zaloty z jej strony czy iskra inteligencji tak bardzo by do tego nie pasowały, że cała pantomima wyszłaby na jaw. I dlatego na co dzień chodziła rozdrażniona i z hamowaną niecierpliwością znosiła zbyt subtelne zabiegi Lena, widząc, jak strategiczne daty w kalendarzu przemijają bezowocnie.

– Jeżeli nie dojdzie do tego dzisiaj wieczorem – powiedziała Ainsley – to nie wiem, co zrobić. Już dłużej nie wytrzymam... będę musiała się postarać o kogoś innego. Ale zmarnowałam już tak dużo czasu... – Zmarszczyła czoło na tyle, na ile pozwoliły jej embrionalne brwi.

– A gdzie to...? – zapytała Marian, zaczynając domyślać się, dlaczego jej niespodziewany powrót tak zirytował Ainsley.

– No, na pewno nie zaprosi mnie do siebie, żeby mi pokazywać te swoje obiektywy – odparła rozdrażnionym tonem. – A poza tym, gdybym powiedziała „tak”, byłoby to cholernie podejrzane. Idziemy na kolację i pomyślałam, że potem mogłabym go zaprosić tu na kawę...

– Więc wolałabyś, żebym wyszła – powiedziała Marian głosem pełnym dezaprobaty.

– No, to by mi było bardzo na rękę. Normalnie nie przeszkadzałyby mi tłum w sąsiednim pokoju czy nawet pod łóżkiem i mogę się założyć, że jemu też nie, ale, widzisz, on będzie sobie wyobrażał, że

powinnam dbać o opinię. Muszę dać się powoli wmanewrować do sypialni. Krok za krokiem.

– Tak, rozumiem – westchnęła Marian. W tej sytuacji nie miała już prawa do krytyki. – Zastanawiam się tylko, dokąd pójść.

Twarz Ainsley rozjaśniła się. Osiągnęła główny cel, pozostałe szczegóły miały drugorzędne znaczenie.

– No, a czy nie mogłabyś zadzwonić do Petera i powiedzieć mu, że przyjdiesz do niego na noc? Nie powinien mieć nic przeciwko temu, przecież się z tobą zaręczył.

Marian zamyśliła się. Kiedyś, nie pamięta dokładnie kiedy, mogłaby tak postąpić. Nic by się nie stało, niechby się i obraził. Ale ostatnio, a już na pewno po rozmowie przeprowadzonej tego popołudnia, nie były to dobry pomysł. Niezależnie od tego, jak bardzo starałaby się nie przeszkadzać – na przykład gdyby siedziała z książką w salonie – on w duszy oskarżałby ją o nadmierną chęć posiadania albo o zazdrość i wtrącanie się do jego pracy. Nawet gdyby mu wyjaśniła, o co naprawdę chodzi. A tego nie chciała robić; mimo że od tamtego wieczoru Peter prawie nie widywał Lena i mimo że przeobraził się z kawalera w odpowiedzialnego narzeczonego, dostosowując do tej roli swoje reakcje i znajomości, zachował przecież tę podstawową męską lojalność, która mogła stać się przyczyną kłopotów, jeżeli nie dla Ainsley, to dla niej samej. Dałoby mu to broń do ręki.

– Lepiej nie – stwierdziła. – Ma dużo pracy.

Rzeczywiście nie miała dokąd iść. Clara nie wchodziła w rachubę. Było już za zimno na siedzenie w parku i na długie spacerowanie. Mogłaby odwiedzić którąś z dziewczyn biurowych...

– Pójdę do kina – postanowiła w końcu.

Ainsley uśmiechnęła się z ulgą.

– Cudownie – powiedziała i poszła do sypialni, aby dokończyć toaletę. Kilka minut później wystawiła głowę z pokoju, żeby spytać: – Czy mogę w razie potrzeby wziąć twoją whisky? Powiem, że to twoja, ale że nie będziesz miała za złe.

– Oczywiście, bierz – zgodziła się Marian. Whisky była wspólną własnością. Wiedziała, że Ainsley zwróci jej przy zakupie następnej butelki. A nawet jeżeli zapomni, pół butelki whisky to i tak niewielka

ofiara, żeby raz na zawsze zakończyć całą tę aferę. Ciągnęło się to wszystko stanowczo za długo. Została sama w kuchni i oparta o blat w zamyśleniu wpatrywała się w zlew, gdzie były cztery szklanki częściowo wypełnione mętą wodą, kawałek skorupki od jajka i garnek, w którym niedawno przyrządzano zapiekankę z makaronu i sera. Postanowiła nie myć naczyń, chociaż, by wyrazić zamyślenie do czystości, wyjęła skorupkę i wyrzuciła do śmieci. Nienawidziła resztek.

Kiedy Ainsley ukazała się ponownie, w bluzce, sweterku, z klipsami w kształcie małych stokrotek i ze wspaniale pomalowanymi oczami, Marian zwróciła się do niej:

– Ale, wiesz, ten film nie będzie trwał całą noc. Wrócę koło pół do dwunastej. – Nawet jeżeli jej się wydaje, że powinnam spać w rynsztoku, dodała w duchu.

– Myślę, że do tej pory sytuacja zostanie już opanowana – odparła Ainsley z przekonaniem. – A jeżeli nie, to nas tu nie zastaniesz. Wyrzucę go przez okno. I sama wyskoczę. Ale na wszelki wypadek nie włącz nigdzie bez pukania, przez żadne zamknięte drzwi.

Umysł Marian wyłowił złowieszcze słowo. Żadne zamknięte drzwi.

– Słuchaj, Ainsley – powiedziała. – Ale nie w moim pokoju.

– Twój jest czystszy – zauważyła Ainsley rezolutnie. – Przecież jeżeli poddam się w chwili szaleństwa i stracę głowę, to nie przerwę, żeby powiedzieć „pomyliłeś sypialnię”. No, sama powiedz.

– No nie, chyba nie... – zgodziła się Marian. Poczuli się bezdomna i odtrącona. – Po prostu nie mam ochoty wskakiwać do własnego łóżka, w którym już ktoś jest.

– Wiesz co? – spytała Ainsley. – Jeżeli wylądujemy w twoim pokoju, powieszę na klamce krawat. Zgoda?

– Czyj krawat? – spytała Marian. Wiedziała, że Ainsley kolekcjonuje różne rzeczy – wśród przedmiotów, które zaścielają podłogę w jej pokoju, było kilkanaście zdjęć, jakieś listy i pięć czy sześć zasuszonych kwiatów – ale nie zauważyła, żeby Ainsley zbierała krawaty.

– Jasne, że jego – odparła Ainsley.

Przed oczami Marian stanął niepokojący obraz pokoju, w którym na ścianach wisiały wypchane rogacie głowy.

- Czemu nie jego skalp? - spytała. Leonard był w końcu jej przyjacielem.

Podczas kolacji - którą jadła samotnie, bo Ainsley już wyszła - a także potem, wałęsając się po mieszkaniu aż do nastania pory nocnego seansu, Marian rozważała sytuację. Rozmyślała dalej przez całą drogę do najbliższego kina. Od jakiegoś już czasu w jednym z głębszych i ciemniejszych zakamarków jej mózgu tkwiło przeświadczenie, że powinna coś zrobić, żeby przetrzec Lena, ale nie wiedziała co ani - co ważniejsze - dlaczego. Wiedziała, że nie uwierzyłby tak łatwo w to, iż Ainsley, która wydawała się młodziutką i niewinna jak nowo narodzone dziecko, jest w rzeczywistości chytrą supersamicą, która z karygodnym lekceważeniem jego osobowości knuje przeciwko niemu podły spisek, pragnąc wykorzystać go jako niedrogi substytut sztucznego zapłodnienia. Tymczasem ciągle brakowało na to przekonywających dowodów; Ainsley była niezmiernie ostrożna. Marian kilkakrotnie chciała zadzwonić do niego w środku nocy i w słuchawkę obciążoną nylonową pończochą wyszeptać: „Miej się na baczności!”, ale to by nic nie pomogło. Nigdy nie domyśliłby się, dlaczego ma się mieć na baczności. Anonimy... Pomyślałby, że to jakiś głupi dowcip albo że któraś dawna zazdrosna przyjaciółka próbuje pokrzyżować jego szatańskie plany, co dałoby mu tylko powody do przyspieszenia działań. Poza tym, od kiedy się zaręczyła, między nią a Ainsley obowiązywało niepisane porozumienie: nie wtrącały się wzajemnie w swoje sprawy, chociaż było jasne, że z pobudek moralnych obie potępiają się nawzajem. Gdyby powiedziała coś Lenowi, to Ainsley potrafiłaby przeprowadzić jeżeli nie udany, to przynajmniej niebezpieczny kontratak. Nie, trzeba pozostawić Lena przeznaczeniu, które na pewno z radością weźmie w ramiona. Dodatkowo Marian peszył fakt, że nie miała pewności, czy to pierwszy chrześcijanin był rzucony na pożarcie lwom, czy pierwszy lew chrześcijanom. I czy jest, jak spytała ją kiedyś Ainsley podczas jednej z niedzielnych dyskusji, za Twórczą Siłą Życia, czy przeciwko?

Należało również wziąć pod uwagę tę z dołu. Nawet jeżeli po przyjeździe Leonarda nie będzie podglądać przez okno ani nie schowa się za pluszową kotarę, to na pewno i tak zauważy, że para męskich nóg udała się na górę; a w jej przeświadczeniu w tym despotycznym

królestwie, gdzie dobre maniery posiadały niezłomność i moc prawa grawitacji, jeśli już coś weszło na górę, to musi zejść na dół, najlepiej przed jedenastą trzydzieści. Nigdy jednak tego nie powiedziała. Po prostu należało się z tym liczyć. Marian miała nadzieję, że Ainsley wykaże dość rozwagi, by uporać się z Lenem i pozbyć się go najpóźniej przed północą, albo że w najgorszym razie zatrzyma go i każe mu siedzieć cicho przez całą noc. Co w takim układzie zrobią z nim rano, jeszcze nie wiedziała. Pewno trzeba go będzie przemycić w torbie na pranie. Nawet gdyby był w stanie iść o własnych siłach. Trudno, zawsze mogą poszukać innego mieszkania. Tyle że Marian nie znosiła scen.

Wysiadła z kolejki na stacji nieopodal pralni. W pobliżu znajdowały się dwa kina, po dwóch stronach ulicy. Przejrzała repertuar. W jednym szedł film w wersji obcojęzycznej z napisami, reklamowany w gablotach na zewnątrz niewyraźnymi czarno-białymi odbitkami ekstatycznych recenzji, gdzie powtarzały się słowa „dorosły” i „dojrzały”. Film zebrał kilkanaście nagród. W drugim kinie szedł tani amerykański western i wisiały plakaty w technikolorze z jeźdźcami i konającymi Indianami. W tym stanie, w jakim się znajdowała, nie miała ochoty przedzierać się przez zagęszczenia, pauzy i artystyczne zbliżenia pełnych wyrazu konwulsji porów na skórze. Szukała jedynie ciepła, schronienia i czegoś, co byłoby bliskie zapomnieniu, więc wybrała western. Kiedy po omacku szukała miejsca w do połowy wypełnionej sali, film już trwał.

Opadła na fotel, położyła głowę na jego oparciu, wspierając kolana na oparciu siedzenia przed sobą, i przymknęła oczy. Damy tak nie siadają, ale nikt po ciemku nie widział; miejsca po obu stronach były wolne. Zależało jej na tym, bo nie miała ochoty na utarczki ze staruszkami, którzy zawsze czyhają gdzieś w ciemności. Pamiętała te przygody z pierwszych lat szkolnych, zanim lepiej poznała sale kinowe. Ręce chwytające za kolana i tym podobne żalosne dotykanie wcale jej nie przerażało (wystarczyło spokojnie przesiąść się dalej), było jednak nieprzyjemnie żenujące po prostu dlatego, że szczere. Dla macających w ciemnościach najważniejsza była próba kontaktu, choćby minimalnego.

Przed jej oczami przesuwaly się jeden po drugim kolorowe obrazy, olbrzymi mężczyźni w kowbojskich kapeluszach na jeszcze

większych koniach zajmowali cały ekran, drzewa i kaktusy wyrastały na pierwszym planie albo nikły na drugim, w miarę jak przesuwał się pejzaż; wszędzie dym, kurz i galop. Nie próbowała ani zgłębiać sensu niejasnych wypowiedzi, ani nadażać za fabułą. Wiedziała, że muszą tam występować źli ludzie, którzy chcą zrobić coś złego, i dobrzy, którzy usiłują im przeszkodzić, najprawdopodobniej zdobywając pieniądze, zanim zdobędą je tamci (a także Indianie pojawiający się równie licznie jak bawoły i stanowiący łatwy cel dla obu stron), ale nie obchodziło jej, jakie wartości moralne reprezentują poszczególne postaci. Dobrze przynajmniej, że nie był to nowoczesny western, gdzie bohaterowie cierpią na psychozy. Przypatrywała się drugoplanowym aktorom grającym role epizodyczne i zabawiała się, próbując sobie wyobrazić, co robią w wolnych chwilach, których im zapewne nie brakuje, i czy ciągle mają złudzenia co do przyszłej sławy.

Była noc, purpurowo-niebieska przejrzysta noc, jaka zapada jedynie na filmach w technicolorze. Ktoś skradał się do kogoś przez łąkę. Panowała cisza, słychać było tylko szelest trawy i cykanie mechanicznych świerszczy. Z lewej strony usłyszała cichy trzask, a potem odgłos czegoś twardego, spadającego na podłogę. Nastąpił wystrzał z broni palnej, rozpoczęła się szamotanina i już był dzień. Znowu usłyszała trzask.

Odwróciła głowę. W słabym świetle promieni słonecznych padających z ekranu rozpoznała z trudem, kto siedzi dwa miejsca dalej w tym samym rzędzie. Chłopak z pralni. Wyciągnięty niedbale na fotelu tępo gapił się przed siebie. Mniej więcej co pół minuty wyjmował rękę z torby, którą trzymał w drugiej ręce, podnosił ją do ust i wtedy właśnie rozlegał się ten trzask i odgłos z podłogi. Jadł coś, co było w łupinach, ale nie fistaszki. Fistaszki nie robią takiego hałasu. Przyjrzała się jego profilowi, nosowi, oku i zaciemionemu zarysowi ramienia.

Odwróciła się i próbowała skupić uwagę na ekranie. Poczwała radość, że oto nagle zmaterializował się na tamtym fotelu, ale było to uczucie irracjonalne. Nie miała zamiaru odzywać się do niego, tak naprawdę żywiła nadzieję, że jej nie zauważył. Nie chciała, żeby widział ją w kinie samą. Wydawało się, że wpatruje się w ekran jak zaczarowany, pochłonięty całkowicie filmem i jedzeniem – co,

u licha, może wydawać taki cichy, denerwujący odgłos? – więc może jej nie zauważy, jeżeli dalej będzie siedziała spokojnie. Ale dręczyło ją przecucie, że on świetnie wie, kim ona jest, i że zauważył jej obecność wcześniej niż ona jego. Patrzyła na rozległą, monotonna przestrzeń rozciągającej się przed nią prerii. Z boku trzask powtarzał się z irytującą regularnością.

Właśnie jacyś mężczyźni, konie i jakaś blondynka w poszarpanej sukni przepawali się przez rzekę, kiedy Marian poczuła, że coś dziwnego dzieje się z jej lewą ręką. Ręka chciała wyciągnąć się i dotknąć jego ramienia. Wola ręki wydawała się niezależna od jej woli. Ona przecież nie miała takiego zamiaru. Zmusiła palce, by zacisnęły się na poręczy fotela. „To bez sensu – bezgłośnie strofowała rękę – on może narobić krzyku”. Bała się także, iż teraz, kiedy już nie patrząc na niego, wyciągnie rękę, natknie się tylko na ciemność i pustkę albo na pluszową powierzchnię obicia.

Ścieżka dźwiękowa eksplodowała wrzaskami i okrzykami, gdyż zgraja Indian wyskoczyła z kryjówki do ataku. Kiedy zostali rozbici i znowu zrobiło się względnie spokojnie, Marian nie usłyszała już cichego trzasku. Gwałtownie odwróciła głowę. Nie było nikogo. Trudno, poszedł. A może wcale go tu nie było, może to był ktoś inny?

Na ekranie olbrzymi kowboj przyciskał niewinnie usta do ust blondynki.

– Hank, czy to znaczy, że...? – szeptała. Miało się ku zachodowi.

Wówczas, tak blisko ucha, że poczuła na włosach ciepło oddechu, usłyszała:

– Pestki z dyni.

Jej umysł zarejestrował tę informację ze spokojem i w milczeniu: Pestki z dyni? Czemu nie? Ale ciało przeraziło się i zeszywniało na moment. Kiedy uporowała się z tym zaskoczeniem mięśni na tyle, by móc się odwrócić, nie było za nią nikogo.

Dotrwała jeszcze do ostatniej sceny filmu, mimo że narastało w niej przekonanie, że padła ofiarą jakiegoś złożonego przywidzenia.

W końcu jednak zaczynam wariować, pomyślała. Jak wszyscy... Szkoda... Zresztą może to będzie coś nowego.

Ale kiedy na ekranie przy dźwiękach orkiestry dętej powiewała już flaga narodowa, a na sali rozbłysło światło, Marian pofatygowała się

jednak, by zbadać podłogę pod fotelem, na którym prawdopodobnie siedział. Znalazła niewielką kupkę białych łupinek. Wyglądały jak prymitywny sygnał: kamienny kopczyk, znak z patyków, nacięcia na pniu drzewa znaczące ścieżkę albo prowadzące do jakiegoś położonego dalej celu. Chociaż wpatrywała się w nie długo, podczas gdy garstka widzów musiała przepychać się obok niej do wyjścia, nie potrafiła ich zinterpretować. W każdym razie, pomyślała, wychodząc z kina, tym razem zostawił widoczny ślad.

Starła się iść do domu jak najdłużej, nie chciała wkraczać na scenę w środku akcji. Z zewnątrz dom wyglądał na pogrążony w ciemności, ale kiedy przekroczyła próg i zapaliła światło w holu, z jadalni wysunął się czujny wartownik. To ta z dołu. Prezentowała się godnie nawet w wątkach we włosach i w purpurowym szlafroku.

– Panno MacAlpin – zaczęła, surowo marszcząc brwi. – Tak się niepokoję. Jestem przekonana, że coś słyszałam... Jakiś mężczyzna wchodził wieczorem na górę z panną Tewce i jestem pewna, iż nie słyszałam, żeby już wyszedł. Ja bynajmniej nie sugeruję, że... wiem oczywiście, iż obydwie panie są bardzo dobrze wychowane, niemniej jednak, wie pani, ze względu na dziecko...

Marian zerknęła na zegarek.

– No cóż... – powiedziała z powątpiewaniem w głosie. – Nie sądzę, żeby coś takiego się zdarzyło. Chyba się pani myli. Przecież jest już pierwsza. Kiedy Ainsley nigdzie nie wychodzi, to zasypia znacznie wcześniej.

– Właśnie, ja też tak myślałam... nie słyszałam żadnych rozmów na górze... proszę mnie dobrze zrozumieć...

Paskudny, stary, podsłuchujący babsztyl. Ależ ona jest zawistna, pomyślała Marian.

– Wobec tego z pewnością poszła spać – rzuciła Marian wesoło. – Jeśli ktoś tam był, to najwyraźniej zszedł na dół po cichu, żeby pani nie przeszkadzać. Porozmawiam z nią rano w pani imieniu. – Posłała jej uśmiech, który miał wyrażać uspokajającą zaradność, i umknęła na schody.

Ainsley to pobielany grób, myślała, wchodząc na górę, a ja właśnie położyłam jeszcze jedną warstwę farby. Ale dostrzeż źdźbło w oku

bliźniego twego i kłodę w oku twoim, itede. Jak my przeprowadzimy tego Lena albo raczej to, co z niego rano zostanie, obok starego sępa?

Na stole w kuchni zastała butelkę whisky, opróżnioną w trzech czwartych. Krawat w niebieskie i zielone paski wisiał zwycięsko na zamkniętych drzwiach do jej pokoju.

Znaczyło to, że będzie musiała znaleźć sobie miejsce do spania w tym wronim gnieździe z prześcieradeł, ubrań, koców i książek, jakim było łóżko Ainsley.

– O kurczę – powiedziała do siebie, zrzucając płaszcz.

Następnego dnia o wpół do piątej po południu Marian szła szpitalnym korytarzem, szukając właściwej sali. Zrezygnowała z przerwy na lunch, żeby wyjść z biura godzinę wcześniej. Zjadła tylko kanapkę z serem i sałatą – plasterek plastycznego sera między dwoma kawałkami utwardzonej piany do kąpieli z kilkoma płatkami anemicznej zieleniny – którą przyniósł jej w kartonowym pudełku chłopiec z restauracji. Ale i tak straciła pół godziny na kupienie róż i dojazd do szpitala. Zostało jej teraz dla Clary tylko trzydzieści minut czasu przewidzianego na odwiedzinę. Zastanawiała się, czy potrafią wspólnie wypełnić rozmową te trzydzieści minut.

Drzwi do sal były pootwierane, więc musiała zatrzymywać się i wchodzić niemal do środka, by przeczytać numery. Z każdego pokoju dobiegały wysokie głosy kobiet mówiących jednocześnie. Dotarła do celu przy samym końcu korytarza.

Clara leżała zwiewna na wysokim, szpitalnym łóżku z podniesionym oparciem w pozycji półsiedzącej. Miała na sobie szpitalną flanelową koszulę. Jej ciało, przykryte prześcieradłem, wydało się Marian nienaturalnie szczupłe; jasne włosy luźno opadały na ramiona.

– Cześć – powiedziała. – Wreszcie przyszedłeś odwiedzić mamuszkę.

W miejsce należnych przeprosin Marian wyciągnęła przed siebie kwiaty. Kruche palce Clary rozwinęły zielony papier.

– Śliczne – ucieszyła się Clara. – Trzeba będzie zmusić tę cholerną pielęgniarkę, żeby wstawiła je do wody. Jak się jej nie przypilnuje, to wsadzi do basenu.

Wybierając kwiaty, Marian nie mogła się zdecydować, czy kupić ciemnoczerwone, łososiowe czy białe. Teraz trochę żałowała, że wybrała białe. W pewnym sensie zbyt dobrze pasowały do Clary, w innym – nie pasowały wcale.

– Zaciągnij tę zasłonę – poprosiła Clara ściszym głosem. W pokoju leżały jeszcze trzy kobiety, co utrudniało rozmowę.

Zaciągnawszy ciężkie, lniane zasłony, przyczepione na kółkach do wygiętego metalowego prętu, który wisiał nad łóżkiem jak duża, owalna aureola, Marian usadowiła się na krześle dla odwiedzających i zapytała:

– No i jak się czujesz?

– Świetnie. Naprawdę świetnie. Wszystko widziałam, paskudne to, ta krew i reszta, ale przyznaję, że to jest w jakiś sposób fascynujące. Zwłaszcza kiedy wystawia głowę i nareszcie, po tylu miesiącach obnoszenia się z nim, wiadomo, jak toto wygląda. Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę, tak jak kiedy było się dzieckiem i czekało się, i czekało, żeby otworzyć prezenty pod choinką. Czasami, jeszcze w ciąży, żałowałam, że nie można ich po prostu wysiadywać z jaj, jak ptaki, ale coś w tym jednak jest. – Wzięła jedną z róż i powąchała. – Naprawdę powinnaś kiedyś sama spróbować.

Marian była zaskoczona, że Clara mówi to tak zwyczajnie, jakby polecała jakiś praktyczny sposób na delikatniejsze ciasto albo nowy detergent. Oczywiście, zawsze planowała, że to w końcu zrobi, Peter także zaczął już czynić uwagi z ojcostwem w podtekście. Ale w tym pokoju, gdzie znajdowały się te porozciągane pod białymi prześcieradłami kobiety, możliwość taka stawała się nagle realna. I do tego ta Ainsley.

– Nie popędzaj mnie – odpowiedziała z uśmiechem.

– Jasne, że to potwornie boli – ciągnęła Clara z zadowoloną miną – i nic nie dają, aż dopiero pod koniec, ze względu na dziecko, ale tak już jest z bólem. Potem się o nim zapomina. Teraz czuję się wspaniale – za każdym razem myślę, że wpadnę w depresję połogową, jak tyle innych kobiet, ale jakoś nigdy mi się nie udało. Niestety, niedługo trzeba będzie wstać i iść do domu. A tu się tak dobrze leży. Naprawdę czuję się wspaniale. – Podciągnęła się trochę wyżej na poduszkach.

Marian siedziała, uśmiechając się do niej. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Życie Clary, coraz bardziej od niej samej oderwane, wydawało się Marian odległe jak coś, co można oglądać tylko przez szybę.

– Jak będzie miała na imię? – spytała, powstrzymując się od krzyku, bo nie była pewna, czy Clara usłyszy ją przez to szkło.

– Jeszcze nie wiemy. Zastanawiamy się nad Vivian Lynn, po mojej babci i po babci Joego. Joe chciał jej dać moje imię, ale ja sama nigdy go zbyt nie lubiłam. To naprawdę wspaniałe mieć męża, który cieszy się z córki tak samo jak z syna, tyłu mężczyzn tego nie potrafi, a może i Joe nie cieszyłby się, gdybyśmy nie mieli syna.

Marian przyglądała się ścianie nad głową Clary i zauważyła, że pomalowana jest na taki sam kolor jak ściany w biurze. Spodziewała się niemal, że usłyszy za zasłoną klekot maszyn do pisania, ale zamiast tego dobiegły ją tylko ściszone głosy trzech kobiet i ich gości. Wchodząc do salki, zauważyła, że jedna z kobiet, taka młoda w różowej lizesce, siedzi i rysuje jakiś obrazek według kodu cyfrowego. Może zamiast kwiatów powinna była przynieść coś, czym Clara mogłaby się zająć? To musi być bardzo męczące tak leżeć cały dzień.

– Czy chciałabyś, żebym ci przyniosła coś do czytania? – spytała. Pomyślała, że mówi jak członkini damskiego klubu etatowo odwiedzająca chorych.

– Niezły pomysł. Ale tak naprawdę to chyba nie potrafiłabym się skupić. Jeszcze nie teraz. Będę albo spać, albo – dodała szeptem – słuchać, co one mówią. Może to sprawia ta szpitalna atmosfera, ale one rozmawiają tylko o poronieniach i innych dolegliwościach. Po jakimś czasie sama czujesz się chora i zaczynasz zastanawiać się, kiedy przyjdzie twoja kolej na raka piersi, pęknięcie jajowodu albo na ronienie czworaczków: po jednym co trzy dni. Poważnie, to właśnie przydarzyło się pani Moase, tej dużej, tam na końcu, w kącie. Boże, z jakim spokojem one o tym mówią, jakby każde takie okropne wydarzenie godne było medalu za zasługi; wyciągają wszystkie detale, porównują, nie szczędzą krwawych szczegółów i są z nich naprawdę dumne. One po prostu napawają się bólem. Nawet ja sama opowiadam o własnych dolegliwościach, jakbym musiała z nimi konkurować. Ciekawe, dlaczego kobiety są takie chorowite?

– Oj, podejrzewam, że znaleźliby się też tacy mężczyźni – odrzekła Marian. Clara mówiła dużo więcej i dużo szybciej niż zazwyczaj i Marian zauważyła, że ją to dziwi. W końcowej, bardziej roślinnej fazie ciąży Clary, była skłonna zapominać, że Clara ma jakiś rozum i że nie jest pozbawiona zdolności poznawczych wyższych niż czuciowe i pasożytnicze, ponieważ przez znaczną większość czasu

była pochłonięta albo pochłaniana przez bulwiasty brzuch. Dlatego Marian czuła się nieco zaszokowana, słysząc z ust Clary tego rodzaju komentarze. To była jakaś specyficzna reakcja, ale na pewno nie histeria – Clara wyglądała na zupełnie opanowaną. Chyba miało to związek z hormonami.

– Joe na pewno nie jest taki – powiedziała Clara wesoło. – Gdyby był chorowity, nie wiem, jak dałabym sobie radę. Tak świetnie umie zająć się dziećmi i praniem, właściwie wszystkim... Wcale nie mam wyrzutów sumienia, że zostawiłam w takiej chwili cały dom na jego głowie. Wiem, że radzi sobie tak samo dobrze jak ja, gdybym była na jego miejscu, chociaż mamy trochę kłopotów z biednym Arthurem. Już nauczyliśmy go porządku, prawie za każdym razem korzysta z nocnika, ale zaczął teraz chomikować. Robi z kupy kulki i chowa w różnych miejscach – w szafach i w dolnych szufladach. Nie można spuścić z niego oka. Kiedyś znalazłam te kulki w lodówce, a Joe właśnie mi powiedział, że odkrył cały twardniejący rząd na parapecie w łazience za zasłoną. Arthur bardzo się denerwuje, kiedy mu je wyrzucamy. Nie mam pojęcia, dlaczego on to robi. Może wyrośnie na bankiera.

– A może to ma coś wspólnego z nowym dzieckiem? – zapytała Marian. – Może to zazdrość?

– Możliwe – powiedziała Clara, uśmiechając się łagodnie. Obracała w palcach białą różę. – Ale ja wciąż o sobie – zauważyła, poprawiając się na łóżku, żeby lepiej widzieć Marian. – Nie miałyśmy jeszcze okazji pogadać o twoich zaręczynach. Oboje uważamy oczywiście, że to wspaniale, chociaż właściwie prawie nie znamy Petera.

– Musimy się kiedyś spotkać wszyscy razem, jak już będziesz w domu i jak już wszystko się u was ułoży – odpowiedziała Marian. – Jestem przekonana, że wam się spodoba.

– Wygląda bardzo sympatycznie. Jasne, że człowieka poznaje się naprawdę dopiero w jakiś czas po ślubie, kiedy wyjdą już na jaw te jego paskudniejsze zwyczaje. Pamiętam, jak mi było źle, kiedy po raz pierwszy zdałam sobie sprawę z tego, że Joe to nie alfa i omega. Już zapomniałam, co to było, pewnie chodziło o coś tak głupiego, jak na przykład to, że uwielbia Audrey Hepburn. Albo że jest utajonym filatelistą.

– Co takiego? – spytała Marian. Nie wiedziała, co to jest, ale brzmiało jak zboczenie.

– Że zbiera znaczki. No nie tak na serio, on je po prostu tylko wydziera z listów. W każdym razie trzeba się dostosować. Teraz – ciągnęła – wydaje mi się, że Joe to jeden z takich mniejszych świętych.

Marian nie miała pojęcia, co powiedzieć. Stosunek Clary do Joego był jej zdaniem nacechowany pewnością siebie, a zarazem żenujący; wyczuwała w nim coś sentymentalnego jak w romansidłach z pism dla kobiet. Czuła również, że Clara próbuje dać jej jakąś radę, i to było jeszcze bardziej żenujące. Biedna Clara była ostatnią osobą, której rady miałyby dla niej jakąś wartość. Wystarczy popatrzeć, w co się wpakowała: troje dzieci, a jest przecież w jej wieku. Marian i Peter podchodzą do tego bez tyłu złudzeń. Gdyby Clara sypiała z Joem przed ślubem, radziłaby sobie potem znacznie lepiej.

– Myślę, że Joe jest cudownym mężem – stwierdziła wspaniałomyślnie.

Clara parsknęła śmiechem i wykrzywiła się.

– O kurczę, boli w najnieprzyzwoitszych miejscach. Nie, wcale tak nie myślisz. Myślisz, że oboje jesteśmy niezaradni i niepozbierni, i że zwariowałabyś, gdybyś musiała żyć w takim chaosie. Nie potrafisz zrozumieć, jak to się dzieje, że jeszcze nie zaczęliśmy się nienawidzić – zauważyła tonem nad wyraz dobrodusznym.

Marian zaczęła protestować w przekonaniu, że Clara nie ma prawa zmuszać jej do takiej otwartej rozmowy, ale właśnie w drzwiach ukazała się głowa pielęgniarki, która oznajmiła, że odwiedziny skończone.

– Jeżeli chcesz zobaczyć małą – rzuciła Clara, gdy Marian wychodziła – to pewno znajdziesz kogoś, kto ci powie, gdzie ją upchnęli. Można je obejrzeć przez szybę. Wszystkie wyglądają tak samo, ale jak poprosisz, to ci powiedzą, które jest moje. Na twoim miejscu nie robiłabym tego, bo na tym etapie one wcale nie są ciekawe. Wyglądają jak czerwone suszone śliwki.

– To może poczekam – odrzekła Marian.

Przechodząc przez drzwi, uzmysłowiła sobie, że w zachowaniu Clary coś ją uderzyło, zwłaszcza to kilkakrotne zmarszczenie brwi,

wyrażające niepokój, ale z jakiego powodu, dokładnie nie wiedziała i bardzo się nad tym głowiła. Miała wrażenie, że uciekła z jakiegoś tunelu albo jaskini. Cieszyła się, że nie jest Clarą.

Czekała ją jeszcze druga część dnia. Zje coś szybko w najbliższej restauracji; zanim skończy, ruch na ulicy zelżeje na tyle, że skoczy do domu po jakieś rzeczy do pralni. Co by tu wziąć? Może kilka bluzek. Pomyślała o plisowanej spódnicy. To by go zajęło, a właśnie miała taką, której przydałoby się prasowanie. Ale po namyśle doszła do wniosku, że to nie to, bo na pewno zbyt skomplikowane.

Czuła, że czekające ją godziny będą równie chaotyczne jak ta po południu, kiedy zadzwonił Peter, żeby umówić się na kolację. Długo – chyba za długo – dyskutowali o tym, dokąd pójdą; a potem mimo wszystko musiała do niego zadzwonić i powiedzieć:

– Strasznie mi przykro, kochanie, ale wypadło mi coś, od czego nie mogę się wykręcić. Czy nie moglibyśmy przełożyć tej kolacji? Może jutro?

Był zły, ale nie mógł nic powiedzieć, bo przecież parę dni temu sam się tak zachował.

Była oczywiście różnica w tym, co komu wypadło – w jej przypadku była to inna rozmowa telefoniczna.

Głos na drugim końcu linii zaanonsował:

– Mówi Duncan.

– Kto?

– Facet z pralni.

– Ach, tak. – Rozpoznała głos, chociaż brzmiał bardziej nerwowo niż zazwyczaj.

– Przepraszam, że cię przestraszyłem w kinie, ale wiedziałem, że dałabyś wszystko, żeby się dowiedzieć, co jem.

– To prawda – odpowiedziała, spoglądając na zegar, a potem na drzwi pani Bogue. Zbyt wiele czasu spędzała tego dnia przy telefonie.

– To były pestki z dyni. Wiesz, próbuję przestać palić i bardzo mi pomagają. Dają dużo oralnej przyjemności przy rozgryzaniu. Kupuję je w sklepie dla zwierząt, bo to ma być dla ptaków.

– Tak – rzuciła, by wypełnić ciszę, jaka zapanowała.

– Do niczego był ten film.

Marian zastanawiała się, czy telefonistka z dołu przysłuchuje się jak zwykle tej rozmowie, a jeżeli tak, to co o tym myśli. Już chyba zorientowała się, że nie jest to rozmowa służbowa.

– Panie Duncan – rzekła tonem jak najbardziej oficjalnym – jestem teraz w biurze. Nie wolno nam spędzać zbyt wiele czasu na rozmowach prywatnych... ze znajomymi itp.

– Aha – powiedział. Zabrzmiało to niezbyt entuzjastycznie, ale nie zrobił nic, żeby wyjaśnić, o co mu chodzi.

Wyobraziła go sobie na drugim końcu linii, posępnego, z zapadniętymi oczami, jak czeka na dźwięk jej głosu... Nie miała pojęcia, po co dzwoni. Może jej potrzebował, żeby się wygadać.

– Ale chętnie z panem porozmawiam. Czy może pan zadzwonić o innej porze?

– No więc, prawdę powiedziawszy – zaczął – to jesteś mi potrzebna... już w tej chwili. Chciałem powiedzieć, że potrzebuję... że potrzebne mi coś do prasowania. Muszę coś prasować, a już wszystko w domu wyprasowałem, nawet ścierki do naczyń, i pomyślałem, że może mógłbym przyjść do ciebie i poprasować ci jakieś rzeczy.

Teraz już bez wątpienia spoczęło na niej oko pani Bogue.

– Ależ oczywiście – odrzekła zasadniczym tonem. Potem przyszło jej nagle do głowy, że z jakiegoś niewiadomego jeszcze powodu byłoby okropne, gdyby ten człowiek natknął się na Ainsley albo Petera. Poza tym, kto wie, jak wielka nawałnica rozszalała się w domu rano po tym, jak wyszła stamtąd na palcach, pozostawiając Lena w szponach występku za drzwiami ozdobionymi jego własnym krawatem. Ainsley nie odezwała się przez cały dzień, co mogło być albo dobrym, albo złym znakiem. Nawet jeżeli Lenowi udało się wymknąć bez przeszkód, to gniew tej z dołu, pozbawiony właściwego adresata, mógłby z dużym powodzeniem spaść na głowę nieszkodliwego prasowacza jako przedstawiciela całego rodzaju męskiego. – Może lepiej ja coś do pana przyniosę – zaproponowała.

– Nawet bym tak wolał. Będę miał własne żelazko. Bardzo jestem do niego przywiązany. Źle się czuję, prasując cudzymi żelazkami. Ale pośpiesz się, proszę, bo ja tego naprawdę potrzebuję. Koniecznie.

– Dobrze, jak tylko będę mogła, zaraz po pracy – zapewniła, usiłując go uspokoić i zarazem udawać przed koleżankami, że chodzi o wizytę

u dentysty. – Koło siódmej. – Po odłożeniu słuchawki uświadomiła sobie, że trzeba będzie odwołać kolację z Peterem, ale z nim mogła się przecież zobaczyć każdego innego wieczoru. Ta sprawa to nagły wypadek.

Kiedy już rozmówiła się z Peterem, poczuła się jak człowiek, któremu przyszło wypłatać się ze wszystkich mackowatych połączeń telefonicznych w mieście.

Z przeciwka szła pielęgniarka, pchając wózek na ogumionych kółkach, wyładowany tacami z jedzeniem. Chociaż umysł Marian zajęty był czym innym, jej wzrok zarejestrował białą sylwetkę i stwierdził jej obcość. Zatrzymała się i rozejrzała. Gdzieś zmierzała, ale na pewno nie do głównego wyjścia. Była tak pochłonięta własnymi planami i myślami, że najwyraźniej wysiadła z windy na niewłaściwym piętrze. Znalazła się w takim samym korytarzu jak ten, z którego wyszła, z tym że wszystkie drzwi były tu zamknięte. Poszukała numeru 273. No tak, po prostu wysiadła piętro za wcześniej.

Odwróciła się, próbując sobie przypomnieć, gdzie powinna być winda; wydawało się jej, że kilka razy skręcała. Pielęgniarka znikła. Z głębi korytarza zbliżała się jakaś postać, mężczyzna w zielonym fartuchu z białą maską zakrywającą dolną część twarzy. Po raz pierwszy poczuła szpitalny zapach, antyseptyczny i ostry.

To na pewno lekarz. Na jego szyi zauważyła cienki, czarny przedmiot, stetoskop. Gdy podszedł bliżej, mogła mu się lepiej przyjrzeć. Mimo maski było w nim coś znajomego i męczyło ją, że nie wie co. Ale minął ją, patrząc prosto przed siebie oczyma bez wyrazu, otworzył drzwi po prawej stronie i wszedł do środka. Kiedy się odwracał, dostrzegła, że ma niewielką łysinę z tyłu głowy.

– Nikt z moich znajomych nie łysieje – powiedziała do siebie. Poczuła ulgę.

Drogę do jego mieszkania pamiętała świetnie, chociaż nie przypominała sobie ani numeru, ani nazwy ulicy. Dawno nie była w tej dzielnicy, prawdę mówiąc, od czasu ankiety o piwie. Zmierzała we właściwym kierunku niemal automatycznie, jakby szła za kimś wiedziona nie zmysłem wzroku czy węchu, lecz jakimś bliżej nie określonym instynktem miejsca. Trasa nie była skomplikowana – mijało się boisko baseballowe, wychodziło na wyasfaltowane wzniesienie, a potem pozostawało do przebycia zaledwie kilka przecznic – ale tym razem, w ciemności rozjaśnionej tylko przyćmionym światłem latami, droga wydała się jej dłuższa niż poprzednio w rażącym blasku słońca. Szła szybkim krokiem, było jej zimno w nogi. Trawa na boisku srebrzyła się od szronu.

Kiedy zdarzało jej się myśleć o tym mieszkaniu – w wolnych chwilach w biurze nad czystą kartką papieru albo gdy schylała się, by podnieść jakiś paproch z podłogi – nie łączyła go z żadnym konkretnym miejscem w mieście. W głowie miała pewien obraz wnętrza, wygląd pokoi, ale nie całego budynku. Teraz, gdy budynek zmaterializował się na konkretnej ulicy – prostokątny, zwyczajny i anonimowy, mniej więcej w tym samym miejscu co przedtem – doznała uczucia zakłopotania.

Nacisnęła dzwonek pod numerem szóstym i wślizgnęła się przez oszklone drzwi, gdy tylko usłyszała przypominający piłowanie dźwięk mechanizmu otwierającego. Duncan uchylił drzwi swojego mieszkania. Przyjrzał się jej podejrzliwie, jego oczy lśniły w półmroku. W ustach miał niedopałek tłący się niebezpiecznie blisko warg.

– Przyniosłaś? – spytał.

W milczeniu wyciągnęła w jego stronę tobołek, który trzymała pod pachą, a on wpuścił ją do środka.

– Niewiele tego – zauważył, rozkładając ubrania.

Były tam tylko dwie bawełniane bluzki, uprane niedawno, powłoczka i parę gościnnych ręczników z wyhaftowanymi kwiatami –

prezent od ciotecznej babki – pozagniatanych od leżenia na spodzie półki z pościelą.

– Niestety – odpowiedziała – to naprawdę wszystko, co miałam.

– Dobrze, lepsze to niż nic – rzucił zrzędliwie. Odwrócił się i skierował do swojego pokoju.

Marian nie bardzo wiedziała, czy ma iść za nim, czy też może powinna odejść, skoro już dostarczyła potrzebne mu rzeczy.

– Czy mogę popatrzeć? – spytała w nadziei, że nie będzie tego uważał za pogwałcenie prawa do intymności. Nie chciała jeszcze wracać do domu. Nie miała tam nic do roboty, a przecież wyrzekła się wieczoru z Peterem.

– Oczywiście, jeżeli masz ochotę. Chociaż to nic ciekawego.

Weszła do przedpokoju. Salon nie zmienił się od jej poprzedniej wizyty, z tym, że choć wydawało się to niemożliwe, było jeszcze więcej porzucanych papierów. Trzy fotele znajdowały się tam, gdzie przedtem, kawał deski stał oparty o poręcz fotela obitego czerwonym pluszem. Paliła się tylko jedna lampka, ta przy niebieskim fotelu. Marian wywnioskowała, że pozostali dwaj lokatorzy byli poza domem.

Pokój Duncana też wyglądał tak, jak go pamiętała. Deska do prasowania była rozstawiona nieco bardziej na środku pokoju, figury szachowe stały w dwóch rzędach na wprost siebie, a czarno-biała szachownica spoczywała na stercie książek. Na łóżku leżało kilka świeżo wyprasowanych białych koszul i kilka wieszaków. Duncan powiesił je w szafie przed włączeniem żelazka. Marian zdjęła płaszcz i usiadła na łóżku.

Rzucił papierosa do jednej z popielniczek stłoczonych na podłodze, chwilę czekał, aż żelazko się nagrzej, sprawdzając je co chwila na desce, po czym zabrał się do prasowania pierwszej bluzki; robił to w powolnym skupieniu, systematycznie, ze szczególną uwagą przy rogach kołnierzyka. Marian przyglądała mu się w milczeniu. Sprawiał wrażenie człowieka, który nie życzy sobie, by mu przeszkadzano. Czowała się dziwnie, patrząc, jak ktoś prasuje jej rzeczy.

Kiedy wychodziła ze swojego pokoju w płaszczu i z zawiniątkiem pod pachą, Ainsley spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Dokąd z tym idziesz? – spytała.

Zawiniątko było za małe jak na pralnię.

– Wychodzę.

– A jeżeli Peter zadzwoni?

– Nie zadzwoni. Zresztą powiedz mu po prostu, że wyszłam. – I ruszyła na dół po schodach. Nie miała zamiaru nic mówić o Duncanie ani nawet ujawniać jego istnienia. Obawiała się, że zachwieje to równowagę sił. Ale Ainsley miała czas jedynie na chłodną ciekawość, była zbyt podniecona możliwością powodzenia jej własnej kampanii oraz tym, co określiła jako „łut szczęścia”.

Po powrocie do domu, widząc Ainsley w salonie z kieszonkowym wydaniem książki *Opieka nad niemowlęciem i dzieckiem*, Marian zapytała:

– Jak ci się udało wyprowadzić stąd rano tego nieboraka?

Ainsley zaśmiała się.

– To był wielki łut szczęścia – odpowiedziała. – Byłam pewna, że stary mamut będzie na nas dybał na dole. Zupełnie nie wiedziałam, co zrobić. Próbowałam coś wymyślić, żeby jej zamydlić oczy, na przykład, że to facet od telefonu...

– Chciała coś ze mnie wyciągnąć na ten temat wczoraj wieczorem – wtrąciła Marian. – Świetnie wiedziała, że on tu jest.

– Nie wiem, co się stało, ale ona wyszła z domu. Zupełnie przypadkiem zauważyłam przez okno w salonie, że wychodzi. Wyobrażasz to sobie? Nie podejrzewałam, że ona w ogóle wychodzi, a już na pewno nie rano. Oczywiście nie poszłam dzisiaj do pracy i snułam się po mieszkaniu, paląc papierosa. Ale kiedy zobaczyłam, że ona wychodzi, obudziłam Lena, ubrałam go i zgoniłam po schodach na dwór, zanim się zdążył dobrze obudzić. Miał na dodatek straszliwego kaca, wyłopał prawie całą butelkę. Sam. Chyba jeszcze nie bardzo do niego dotarło, co się naprawdę działo. – Uśmiechnęła się różowymi usteczkami.

– Ainsley, ty jesteś niemoralna.

– Dlaczego? Wyglądał na zadowolonego. Mimo że rano, kiedy jedliśmy śniadanie na mieście, był strasznie skruszony i zdenerwowany, uspokajał mnie, pocieszał i w ogóle. Okropnie to żenujące. A potem, w miarę jak się budził i trzeźwiał, widać było, że nie może się doczekać odpowiedniej chwili, żeby zwiać. No, a teraz –

powiedziała, obejmując się ramionami – poczekamy, zobaczymy, czy było to warte zachodu.

– No dobra – rzekła Marian. – Ale czy mogłabyś pościelić łóżko?

Rozmyślając o tym teraz, dostrzegła coś złowieszczonego w wyjściu tej z dołu. Zupełnie to do niej niepodobne. Powinna raczej czyhać za pianinem albo za pluszowymi zasłonami, gdy skradali się po schodach, i wyskoczyć akurat w momencie, gdy dotrą do granicy bezpieczeństwa.

Zaczynał prasować drugą bluzkę. Wyglądał tak, jakby nie obchodziło go nic prócz tego białego zmiętego materiału rozłożonego przed nim na desce – ślęczał nad nim jak nad starym, kruchym rękopisem, którego tłumaczenie mu nie szło. Przedtem wydawało się jej, że Duncan jest raczej niskiego wzrostu – może z powodu pomarszczonej dziecinnej twarzyczki albo dlatego, że widywała go dotąd głównie w pozycji siedzącej. Teraz pomyślała, że byłby całkiem wysoki, gdyby się tak nie garbił.

Kiedy siedziała, patrząc na niego, poczuła nagle chęć, żeby się odezwać i przerwać, przebić tę białą bawełnianą powierzchnię jego zaabsorbowania; nie chciała być tak zupełnie ze wszystkiego wyłączona. Żeby pozbyć się tego uczucia, wzięła torebkę i poszła do łazienki poprawić włosy, choć wcale nie trzeba ich było poprawiać – była to, jak mawiała Ainsley, czynność zastępcza; jak u wiewiórki, która drapie się na widok ryzykownych albo trudno dostępnych okruchów. Chciała z nim rozmawiać, ale mówienie do niego teraz, pomyślała, mogłoby zniszczyć efekt terapeutyczny prasowania.

Łazienka wyglądała całkiem zwyczajnie: wilgotne ręczniki piętrzące się na wieszakach, pełno przyborów do golenia i męskich kosmetyków zalegających różne półki. Za to lustro nad umywalką było stłuczone. Pozostało tylko kilka ostrych kawałków sterczących wewnątrz drewnianej ramy. Usiłowała przejrzeć się w jednym z nich, ale był za mały.

Kiedy wróciła do pokoju, prasował poszewkę. Wydawał się bardziej zrelaksowany – pracował długimi posuwistymi pociągnięciami zamiast wcześniejszego staccato przy bluzce. Podniósł wzrok, gdy wchodziła.

– Pewno zastanawiasz się, co się stało z lustrem? – zagadnął.

– No...

– Ja je stłukłem. W zeszłym tygodniu. Patelnię.

– O! – powiedziała.

– Byłem już zmęczony obawą, że pewnego dnia nie zobaczę w nim własnego odbicia. Więc poszedłem do kuchni, złapałem patelnię i walnąłem. Przejęli się obaj okropnie – ciągnął w zamyśleniu – najbardziej Trevor – robił właśnie omlet i chyba mu go popsuję. Powpadało do niego pełno szkła. Ale prawdę mówiąc, nie rozumiem, dlaczego tak się tym przejęli. To przecież zupełnie zrozumiały narcystyczny odruch, a w dodatku lustro nie było wcale takie dobre. Od tamtej pory chodzą strasznie podenerwowani. Głównie Trevor, który podświadomie uważa, że jest moją matką. To był dla niego cios. Wcale mnie to nie martwi, już się przyzwyczaiłem. Odkąd pamiętam, zawsze wymykałem się takim zastępczym matkom. Gonią za mną całe ich stada, usiłując mnie schwytać, ocalić, Bóg wie od czego, zapewnić mi ciepło, pocieszyć, nakarmić i odciągnąć od palenia. Tak to wygląda, jak się jest sierotą. I rzucają we mnie cytatami. Trevor aktualnie cytuje T.S. Elliota, a Fish Oksfordzki słownik języka angielskiego.

– To jak się golicie? – spytała Marian. Nie bardzo potrafiła wyobrazić sobie życie bez lustra w łazience. Zadając to pytanie, zastanawiała się, czy on w ogóle się goli... Nie badała go jeszcze pod kątem zarostu.

– Co?

– No, bez lustra.

– A! – uśmiechnął się. – Ja mam swoje własne lustro. Takie, któremu mogę ufać, wiem, co w nim jest. Nie lubię lusterek publicznych. – Wydawało się, że stracił zainteresowanie tematem i przez chwilę prasował w milczeniu. – Ale ohydne – odezwał się w końcu; prasował jeden z gościnnych ręczników. – Nie znoszę rzeczy z wyhaftowanymi kwiatkami.

– Wiem. Nigdy ich nie używam.

Złożył ręcznik i spojrzał na nią ponuro.

– Pewnie uwierzyłaś w to wszystko.

– W co... wszystko? – spytała ostrożnie.

– W to, dlaczego rozbiłem lustro. Że to moje odbicie i tak dalej. Tak naprawdę to rozbiłem, bo miałem ochotę coś rozbić. Kłopot w tym, że ludzie zawsze mi wierzą. To zbyt wielka zachęta, nigdy nie mogę oprzeć się pokusie. Albo te błyskotliwe uwagi o Trevorze! Skąd ja mam wiedzieć, czy to prawda? Może tak naprawdę to ja chcę myśleć, że on chce myśleć, że jest moją matką. A w ogóle to wcale nie jestem sierotą, mam jakichś rodziców gdzieś tam. Wierzysz w to?

– A powinnam? – Nie wiedziała, czy mówił poważnie, a wyraz jego twarzy nie sugerował niczego. Może był to kolejny labirynt słów i jeżeli da złą odpowiedź, pójdzie w złym kierunku, stanie nagle twarzą w twarz z czymś ponad jej siły.

– Jak chcesz. Ale tak naprawdę to nie ulega wątpliwości... – machnął żelazkiem w powietrzu dla podkreślenia tego, co mówił – że jestem podmieniony. Jak byłem mały, podłożyli mnie zamiast prawdziwego dziecka, a moi rodzice nigdy nie odkryli tego oszustwa, chociaż muszę przyznać, że coś podejrzewali. – Zamknął oczy i uśmiechnął się lekko. – Ciągłe mi mówili, że mam za duże uszy. I faktycznie ja nie jestem istotą ludzką, pochodzę z zaświatów... – Otworzył oczy i wrócił do prasowania, ale już bez należytego skupienia. Przysunął żelazko zbyt blisko ręki i wrzasnął z bólu. – Cholera – powiedział. Odstawił żelazko i wsadził palec do ust.

W pierwszym odruchu Marian chciała podejść do niego, żeby sprawdzić, czy oparzenie jest poważne, doradzić jakieś remedium: masło albo sodę oczyszczoną, powstrzymała się jednak. Siedziała bez ruchu i nie odzywała się.

Patrzył teraz na nią wyczekująco, chociaż z pewną wrogością.

– Nie pocieszysz mnie? – zapytał.

– Nie wydaje mi się to konieczne – odparła.

– Masz rację, chociaż to lubię – odpowiedział smutnym tonem. – Naprawdę mnie boli. – Znowu wziął do ręki żelazko.

Złożył ostatni ręcznik, wyciągnął wtyczkę z gniazdka i odezwał się:

– To była niezła terapia. Dziękuję za te rzeczy, chociaż jest ich trochę mało. Muszę wymyślić coś innego, żeby rozładować resztę napięcia. Ja nie jestem chronicznym prasowaczem, to nie jest nałóg ani przyzwyczajenie, z którym powinienem walczyć, ale zdarzają mi się takie napady. – Podeszedł do niej, usiadł ostrożnie obok na łóżku

i zapalił papierosa. – Ostatni miałem przedwczoraj, kiedy praca semestralna wpadła mi do kałuży na podłodze w kuchni i musiałem ją suszyć i prasować. Cała była już przepisana na maszynie i nie dałbym rady przepisać jej jeszcze raz, przedzierać się przez to słownictwo. Zaczęlbym wszystko zmieniać. Wyszło całkiem nieźle, nic się nie rozmazało, ale było widać, że prasowane, bo przypaliłem jedną kartkę. Nie powinni się przyczepić, bo głupio byłoby im powiedzieć: „Nie możemy przyjąć wyprasowanej pracy semestralnej”. Oddałem ją, po czym oczywiście musiałem pozbyć się tego obłędu, więc wyprasowałem wszystkie czyste rzeczy, jakie były w domu. Potem musiałem iść do pralni i uprać brudne. Dlatego byłem w tym podłym kinie, bo czekałem, aż skończy się pranie. Znudziło mnie oglądanie, jak się kotłuje w pralce, a to zły znak, jak mi się nudzi nawet w pralni. Co ja do licha zrobię, jak mi się już wszystko znudzi? Więc wyprasowałem całe to pranie, ale i to okazało się za mało.

– I wtedy zadzwoniłeś do mnie – domyśliła się Marian.

Trochę ją denerwowało, że ciągle mówi do siebie, o sobie i nie dawał zbyt wielu dowodów na to, że zdaje sobie sprawę z jej obecności.

– Ano tak. Wtedy zadzwoniłem do ciebie. W każdym razie do twojej firmy. Zapamiętałem nazwę i chyba rozmawiałem z telefonistką. Opisałem, jak wyglądasz, zaznaczając, że nie wyglądasz jak zwyczajna ankieterka. I wtedy domyśliła się, o kogo chodzi. Nie powiedziałaś mi, jak się nazywasz.

Nie przyszło jej do głowy, że mu się nie przedstawiła. Od początku wychodziła z założenia, że on zna jej imię.

Ta zmiana tematu jakby zbiła go z tropu. Patrzył w podłogę, żując koniec papierosa.

Marian poczuła się zakłopotana.

– Dlaczego tak bardzo lubisz prasować? – spytała. – Rozumiem oczywiście, że to odpręża i w ogóle. Ale dlaczego akurat prasowanie? Dlaczego na przykład nie kręgle?

Podciągnął kolana pod brodę i objął chude nogi ramionami.

– Prasowanie jest łatwe i przyjemne – odparł. – Pisząc te prace bez końca, zaplątuję się w słowach, a w ogóle to piszę już następną.

Schematy sadomasochistyczne u Trollope'a, a prasowanie... no wiesz, to jest wyprostowywanie i wygładzanie. Bóg mi świadkiem, że to nie dlatego, że jestem jakiś czyścioch czy porządniś. Jest coś takiego w gładkiej powierzchni... – Zmienił pozycję i teraz patrzył na Marian. – A może bym ci poprawił tę bluzkę, dopóki żelazko gorące? – zaproponował. – Tylko rękawy i kołnierzyk. Wygląda na niedoprasowaną.

– Tę, którą mam na sobie?

– No właśnie – przytaknął. Rozplótł ramiona, którymi obejmował kolana, i wstał. – Dam ci swój szlafrok. Nie przejmuj się, nie będę podglądał. – Wyjął z szafy coś szarego, podał jej i odwrócił się.

Marian stała przez chwilę, ściskając szary kłęb, niepewna, co robić. Wiedziała, że jeżeli zrobi to, co jej zaproponował, poczuje się nieswojo i głupio, ale powiedzenie: „Nie, dziękuję, może nie”, kiedy prośba była w tak oczywisty sposób niewinna, mogłoby sprawić, że będzie jej jeszcze bardziej głupio. Po chwili rozpięła guziki, potem nałożyła szlafrok. Był na nią za duży – rękawy zakrywały dłonie, a dolny brzeg ciągnął się po podłodze.

– Masz – powiedziała.

Z lekkim niepokojem przyglądała się, jak wymachuje żelazkiem. Materiał jeszcze niedawno przylegał do jej ciała, więc tym razem czynność ta nabrała większego znaczenia, przypominając niebezpieczny, powolny ruch ręki, która to zbliża się, to odsuwa na odległość kilku centymetrów. Jeżeli ją przypali albo co innego, pomyślała, to włoży którąś z tamtych.

– No, gotowe – stwierdził.

Wyciągnął wtyczkę z gniazdka i powiesił bluzkę na węższym końcu deski. Wydawało się, że zapomniał, iż Marian powinna ją nałożyć. A potem, niespodziewanie, podszedł do łóżka, usiadł obok niej, wyciągnął się na plecach, podłożył ręce pod głowę i zamknął oczy.

– Boże kochany! – jęknął. – Te wszystkie rozterki! Jak przetrwać? To samo z pracami semestralnymi. Piszesz, a potem nic się z tym nie dzieje, dostajesz ocenę i na makulaturę. Wiadomo, że za rok przyjdzie po tobie jakiś biedny zbieracz przecinków i będzie musiał od początku robić to samo. I tak w kółko. Podobnie jest z prasowaniem. Prasujesz te cholerne rzeczy, a potem wkładasz i znowu są pogniecione.

– No, ale można je jeszcze raz wyprasować – zauważyła Marian pocieszającym tonem. – Gdyby się nie gniotły, nie miałbyś nic do roboty.

– Może dla odmiany zrobiłbym coś pożytecznego – rzekł. Ciągle miał zamknięte oczy. – Produkcja-konsumpcja. Człowiek zaczyna się zastanawiać, czy to nie jest przerabianie jednego rodzaju śmieci na drugi. Umysł człowieka był ostatnią rzeczą, którą udało się skomercjalizować, a teraz już całkiem nieźle na tym wychodzą. Jaka jest różnica między zbiorami bibliotecznymi a cmentarzem używanych samochodów? Martwi mnie, że nic nie jest ostatecznie skończone, niczego nie można skończyć. Mam wspaniały pomysł stałych liści na drzewach. Przecież to dla nich niepotrzebny wysiłek co roku wypuszczać nowe; sama zobacz, nie ma żadnego powodu, żeby były zielone. Ja bym je zrobił na białe. Czarne pnie i białe liście. Nie mogę doczekać się śniegu w tym mieście. W lecie jest za dużo zieleni, która przytłacza, a potem opada i poniewiera się w rynsztokach. Wiesz, co mi się najbardziej podoba w moim rodzinnym mieście? To takie małe, górnicze miasteczko. To, że tam niczego nie ma za dużo, a przede wszystkim nie ma tam roślin. Wielu by tego nie lubiło. To przez huty, kominy do samego nieba i dymy, które w nocy świecą na czerwono. Te wyziewy z fabryk wypaliły wszystkie drzewa w promieniu wielu mil. Ziemia jest tam jałowa, nic, tylko goła skała, nawet trawa nie chce rosnąć, i jeszcze te hałdy; woda, która zbiera się na skałach, jest żółtawobrazowa od chemikaliów. Nic tam nie rośnie, nawet jak się coś posadzi. Chodziłem sobie za miasto, siadałem na skałach, mniej więcej o tej porze roku, i czekałem na śnieg...

Marian siedziała na brzegu łóżka, pochylona nieznacznie ku mówiącej twarzy i tylko połowicznie słuchała monotonnego głosu. Przyglądała się zarysowi czaszki pod pergaminową skórą i dziwiła się, że on może być taki chudy, a mimo to ciągle żyć. Nie chciała go teraz dotknąć, nawet trochę odpychały ją te głęboko osadzone oczy, kanciasty zawias szczęki obok ucha, poruszający się w górę i w dół.

Nagle otworzył oczy. Patrzył na nią przez chwilę, jakby nie mógł sobie przypomnieć, kim ona jest i skąd się wzięła w jego pokoju.

– Hej – powiedział w końcu zmienionym tonem – wyglądasz w tym prawie jak ja. – Wyciągnął rękę i szarpnął za ramię szlafroka,

pociągając ją na łóżko. Nie opierała się.

Po bezbarwnym, hipnotycznym tonie ta zmiana głosu i nagle świadomość, że on też ma prawdziwe ciało jak większość ludzi, w pierwszej chwili ją przestraszyła. Poczwała, że jej ciało sztywnieje, stawia opór, odsuwa się. Ale teraz obejmował ją obiema rękami. Był silniejszy, niż myślała. Nie bardzo wiedziała, co się dzieje. Miała wrażenie, że w rzeczywistości Duncan pieści swój własny szlafrok, w którym ona znalazła się tylko przypadkiem.

Odsunęła głowę i spojrzała na niego. Oczy miał zamknięte. Pocałowała go w czubek nosa.

– Chyba muszę ci coś powiedzieć – odezwała się cicho. – Jestem zaręczona.

W tej chwili nie mogła sobie przypomnieć, jak naprawdę wygląda Peter, ale pamięć jego imienia oskarżała ją.

Jego ciemne oczy otworzyły się i spojrzały na nią bez wyrazu.

– To twoja sprawa – oznajmił. – To tak, jak ja bym ci powiedział, że dostałem piątkę za pracę *Pornografia u preraphaelitów*. Ciekawe, ale nie ma nic wspólnego z czymkolwiek, prawda?

– Ależ ma – zaprotestowała. Sytuacja gwałtownie stawała się sprawą sumienia. – Wychodzę za mąż, rozumiesz? Nie powinnam być tutaj.

– Ale jesteś – uśmiechnął się. – Właściwie to dobrze, że mi powiedziałaś. Będę się czuł znacznie bezpieczniej. Bo tak naprawdę – powiedział poważnie – nie chciałbym, żebyś myślała, że to wszystko ma jakiegokolwiek znaczenie. Dla mnie właściwie nic nie ma znaczenia. To są przeżycia kogoś innego. – Pocałował ją w czubek nosa. – Jesteś po prostu jeszcze jednym substytutem pralni.

Marian zastanowiła się, czy nie powinna poczuć się dotknięta, ale postanowiła, że się nie obrazi. Poczwała ulgę.

– Ciekawe w takim razie, czego substytutem jesteś ty – powiedziała.

– To moja wielka zaleta. Jestem bardzo elastyczny. Jestem substytutem uniwersalnym. – Wyciągnął rękę ponad jej głowę i zgasił światło.

W niedługi czas później drzwi frontowe otworzyły się i zamknęły, przynosząc odgłos ciężkich kroków.

– Cholera – rzucił gdzieś z wnętrza swojego szlafroka. – Wrócili.

Odepchnął ją. Marian usiadła, a on zapalił światło i owinął ją szczelnie szlafrokiem, zsunął się z łóżka, przygładził oburącz włosy nad czołem i obciągnął sweter. Przez moment stał na środku pokoju, rzucając dzikie spojrzenia w kierunku korytarza, potem dał susa przez pokój, złapał szachownicę, rzucił ją na łóżko i usiadł twarzą do Marian. Pospiesznie ustawiał poprzewracane szachy.

– Cześć – powiedział spokojnym głosem do kogoś, kto widocznie pojawił się w drzwiach. Marian czuła się za bardzo potargana, by się odwrócić. – Właśnie gramy w szachy.

– O, to ładnie – przemówił głos z powątpiewaniem.

– Co się tak przejmujesz? – spytała Marian, kiedy tamten wszedł do łazienki i zamknął drzwi. – Nie ma czym, to przecież zupełnie naturalne. To raczej ich wina, że włązą bez uprzedzenia. – Miała jednak duże poczucie winy.

– Już ci mówiłem – odpowiedział, patrząc na uporządkowane szachy. – Wyobrażają sobie, że są moimi rodzicami. Rodzice nigdy nie potrafią zrozumieć takich rzeczy. Pomyślą sobie, że mnie sprowadzisz na manowce. Trzeba ich chronić przed rzeczywistością. – Sięgając ponad szachownicą, wziął ją za rękę. Palce miał suche i chłodne.

Marian przyglądała się własnemu odbiciu w srebrnym wnętrzu łyżki; odbicie było odwrócone – ogromny tułów zwężał się, a przy trzonku kończył łebkiem od szpilki. Przechyliła łyżkę i wówczas jej ciało nabrzmiało, a potem skurczyło się. Odczuwała spokój.

Z czułością spojrzała na biały obrus, rozstawione na nim talerze i koszyk z bułeczkami, spojrzała na Petera, który odwzajemnił jej uśmiech. Rysy jego twarzy podkreślał pomarańczowy blask osłoniętej świecy, stojącej na brzegu stołu. W mroku jego szczęka nabrała ostrości, rysy straciły łagodność. Rzeczywiście, pomyślała, każdy przyzna, że on jest wyjątkowo przystojny. Miał na sobie jedno ze swoich eleganckich ubrań zimowych – ciemny garnitur, wykwintny, stonowany krawat – nie tak krzykliwy jak niektóre z jego garniturów w stylu „lew salonowy”. Ainsley powiedziała kiedyś, że Peter jest „ładnie opakowany”, ale dopiero teraz Marian zauważyła, że ta cecha wydaje się jej atrakcyjna. Umiał wtapiać się w tło, a jednocześnie odcinać od niego. Niektórzy mężczyźni w ogóle nie potrafią nosić ciemnych garniturów, mają łupież na ramionach i wyświecone spodnie, a Peter nigdy się nie łuszczy i nie błyszczy w niewłaściwych miejscach. Uczucie dumy z posiadania go i przebywania z nim w miejscu publicznym kazało jej wyciągnąć rękę ponad stołem i ująć jego dłoń. A on w odpowiedzi drugą dłonią przykrył jej dłoń.

Zjawił się kelner z winem. Peter skosztował i skinął głową. Kelner napełnił kieliszki i wycofał się w mrok.

To była druga miła cecha Petera: podejmował tego typu decyzje bez żadnego wysiłku. Mniej więcej od miesiąca zaczęła pozwalać sobie na to, by za nią decydował. Dzięki temu pozbyła się niezdecydowania na widok menu – nigdy nie wiedziała, co zamówić. Peter od razu podejmował decyzję za oboje. Jego gust skłaniał się w stronę befsztyków i pieczeni, nie uznawał dziwnych rzeczy typu nerkówka, a ryb nie lubił w ogóle. Dzisiaj jedli filet mignon. Było już raczej późno. Wcześniejsze godziny tego wieczoru spędzili u Petera i oboje, jak wyznali, byli głodni jak wilki.

Czekając na jedzenie, podjęli rozmowę o wychowywaniu dzieci, którą rozpoczęli wcześniej przy ponownym ubieraniu się. Peter teoretyzował o dzieciach ogólnie, ostrożnie unikając zagadnień konkretnych. Ale ona dobrze wiedziała, że faktycznie rozmawiają o przyszłości własnych dzieci; dlatego było to takie ważne. Peter uważał, że wszystkie dzieci powinny być za łamanie dyscypliny karane nawet fizycznie. Oczywiście, nie wolno uderzyć dziecka w złości. Najważniejsze to zachowywać się konsekwentnie. Marian wyraziła obawę, że mogłoby to wypaczyć ich rozwój emocjonalny.

– Kochanie, nie rozumiesz tych spraw – powiedział Peter – zawsze byłaś z dala od tego wszystkiego. – Ścisnął lekko jej dłoń. – Ale ja widziałem wyniki tego. Sądy pękają od nieletnich przestępców, a wielu z nich pochodzi z porządnych domów. To złożony problem. – Zacisnął usta.

Marian była w duchu przekonana, że to ona ma rację, i nie podobało jej się, kiedy mówił, że była z dala od tych spraw.

– Ale czy dzieciom nie należy się wyrozumiałość zamiast...?

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Spróbuj być wyrozumiała dla któregoś z tych chuliganów: tych, co jeżdżą motorami, narkomanów albo tych, co uciekli ze Stanów przed poborem. Założę się, że nigdy nie widziałas takiego z bliska. Niektórzy mają wszy. Tobie się wydaje, że potrafisz wszystko rozwiązać za pomocą dobrej woli, ale tak się nie da. Oni nie mają żadnego poczucia odpowiedzialności, rozwalają wszystko dookoła, bo im się tak podoba. Tak byli wychowani, nikt nie wybił im tego z głowy we właściwym czasie. Uważają, że świat powinien ich utrzymywać.

– A może – zauważyła z przekąsem – ktoś im to wybijał z głowy w niewłaściwym czasie. Dzieci są bardzo wrażliwe na niesprawiedliwość.

– Ależ ja jestem za sprawiedliwością – oświadczył Peter. – Ale gdzie jest sprawiedliwość dla tych, których własność oni niszczą?

– Pewnie uczyłbyś ich, żeby nie rozwalali cudzych żywopłotów, co?

Peter uśmiechnął się ciepło. Jej dezaprobata dla tamtego incydentu i śmiech Petera stały się punktami odniesienia w ich nowym układzie. Ale po tej ostatniej uwadze spokój Marian znikł. Spojrzała

na niego, szukając jego wzroku, on jednak patrzył w dół, na kieliszek z winem, a może w głąb płynnej czerwieni na tle białego obrusa. Odchylił się trochę do tyłu i jego twarz pozostawała w cieniu.

Zastanawiała się, dlaczego restauracje takie jak ta bywają zazwyczaj pogrążone w ciemnościach. Może po to, by ludzie nie widzieli się zbyt dobrze w trakcie jedzenia. Przyszło jej na myśl, że przecież przeżuwanie i połykanie jest przyjemniejsze dla tych, którzy to robią, niż dla tych, którzy na to patrzą. A zbyt dokładne przyglądanie się partnerowi może rozproszyć romantyczną atmosferę, którą restauracja pragnie zachować. Albo stworzyć. Przyglądała się ostrzu noża.

Z mroku wyłonił się kelner, cichy i zwinny jak kot. Postawił przed nią jej danie: befszyk na drewnianej desce, soczysty pod przypieczoną powierzchnią. Oboje lubili krwawe befsztyki i uzgodnienie czasu ich przyrządzenia na pewno nie będzie problemem. Marian była tak głodna, że miała ochotę połknąć befszyk w całości.

Zaczęła kroić, przeżuwać i przekazywać pokarm wdzięcznemu żołądkowi. Rozważała teraz ich rozmowę i usiłowała określić bliżej to, co rozumiała pod pojęciem „sprawiedliwość”. Pomyślała, że powinno ono oznaczać stan „bycia w porządku”, ale i to sformułowanie stawało się dość mgliste, gdy mu się bliżej przyjrzeć. To znaczy, że „oko za oko”? A jaka z tego pociecha, że tracąc oko, pozbawia się oka kogoś innego? A kompensata? Na przykład w takich sprawach jak wypadki samochodowe jest to kwestia pieniędzy; można nawet otrzymać pieniężną rekompensatę za cierpienia duchowe. Raz widziała w tramwaju, jak matka ugryzła dziecko za to, że ono ją ugryzło. W zamyśleniu przeżuła i przełknęła twardego kawałek befsztyka.

Doszła do wniosku, że Peter jest dzisiaj jakiś nieswój. Miał trudną sprawę, która wymagała sporo zmuśnych przygotowań; przeglądał precedens za precedensem po to tylko, żeby się dowiedzieć, że wszystkie przemawiają na rzecz strony przeciwnej. To dlatego wygłaszał takie surowe sądy: zniechęcały go komplikacje, pragnął prostych rozwiązań. Powinien jednak wiedzieć, że gdyby prawo nie było skomplikowane, nigdy nie zarobiłby żadnych pieniędzy.

Wyciągnęła rękę po kieliszek i podniosła wzrok. Peter przyglądał jej się. Zjadł już trzy czwarte, a ona nie była nawet w połowie.

– Zamyślona? – zapytał miękko.

– Nie bardzo. Po prostu roztargniona. – Uśmiechnęła się do niego i zajęła się ponownie swoim talerzem.

Ostatnio przyglądał się jej coraz częściej.

Przedtem, latem, uważała, że rzadko na nią patrzy, że właściwie wcale jej nie widzi. W łóżku, po wszystkim, wyciągał się obok niej, przytulał twarz do jej ramienia i czasami zasypiał. Ostatnio jednak wpatrywał się w jej twarz, jakby patrząc z odpowiednim natężeniem, potrafił przebić się przez jej skórę i czaszkę i zobaczyć, jak funkcjonuje mózg. Nie miała pojęcia, czego szukał, przyglądając się jej w ten sposób. Wprawiało ją to w zakłopotanie. Często kiedy wyczerpani leżeli obok siebie na łóżku, otwierała oczy, żeby stwierdzić, że tak właśnie jej się przygląda; może w nadziei, że uda mu się uchwycić jakiś tajemniczy grymas na jej twarzy. Potem delikatnie przesunął rękę po jej skórze, beznamietnie, gestem prawie klinicznym, jakby za pomocą dotyku chciał poznać to, co umknęło jego badawczemu spojrzeniu. Albo jakby uczył się jej na pamięć. A kiedy poczuła się jak pacjent podczas badań lekarskich, brała go za rękę, żeby przestał.

Grzebała w sałatce, przewracając widelcem różne kawałki w drewnianej miseczce: szukała pomidora. Może znalazł jakiś poradnik małżeński, może o to właśnie chodzi. To do niego podobne, pomyślała z czułością. Kiedy dostajesz coś nowego, idziesz do księgami i kupujesz książkę, która ci powie, jak należy się z tym obchodzić. Zatrzymała się myślami przy książkach i pismach dotyczących fotografii, które stanowiły część zbioru na środkowej półce w jego pokoju, między książkami prawniczymi a kryminałami. I zawsze miał podręcznik kierowcy w skrytce w samochodzie. A zatem byłoby to zgodne z jego sposobem myślenia – kupić książkę o małżeństwie właśnie teraz, kiedy ma się żenić, taką z wykresami, które wszystko wyjaśniają. To ją rozbawiło.

Wbiła na widelec i zjadła czarną oliwkę z sałatki. Tak, to chyba to. Szacował ją jak nowy aparat fotograficzny, usiłując poznać zasadę działania, konstrukcję i znaleźć centralny układ kółek i precyzyjnych mechanizmów, ewentualne słabe punkty, oraz przewidzieć, jak

będzie sprawować się w przyszłości. Chciał wiedzieć, jak ona funkcjonuje. No, jeżeli o to mu chodzi...

Uśmiechnęła się do siebie. E tam, zmyślam, powiedziała w duchu.

Już prawie kończył. Przyglądała się, jak jego zręczne dłonie trzymają nóż i widelec, jak precyzyjnie się ruszają, jak kroją dokładnie obliczonymi cięciami. Jak on to wprawnie robi – żadnego szarpania, żadnych postrzępionych brzegów. A mimo wszystko to krojenie było brutalne; brutalność wydała się jej nie na miejscu w odniesieniu do Petera. Podobnie jak reklamy piwa Moose, które zaczęły pojawiać się już wszędzie, w wagonach kolejki, na parkanach, w sklepach. Ponieważ brała udział w badaniach rynku, czuła się za nie częściowo odpowiedzialna. Nie chodzi o to, że były szkodliwe. Ale wędkarz brodzący w strumieniu i wyciągający pstrąga w siatce wygląda zbyt porządnie – jakby dopiero co przyczesano mu włosy, pozostawiając kilka pasemek przyklejonych do czoła, żeby było widać, że wieje wiatr. I ryba też była nieprawdziwa – brakowało śluzu, zębów, zapachu; to była tylko sprytna zabawka, metal i farba. Myśliwy, który ubił jelenia, stał sztywny i wytworny – ani liści we włosach, ani kropli krwi na rękach. Jasne, że nikt nie lubi na reklamie rzeczy brzydkich czy nieprzyjemnych. Na przykład jelen z wywieszonym językiem byłby bez sensu.

Przypomniała sobie poranną gazetę, artykuł na pierwszej stronie, który przeczytała bez specjalnej uwagi. O młodym chłopcu, który dostał amoku i zastrzelił dziewięć osób, nim ujęła go policja. Strzelał z okna na piętrze. Stał jej teraz przed oczami: szarobiały, przytrzymywany przez dwóch ciemniejszych policjantów, z nieobecnym wyrazem twarzy, nieufny. Nie wyglądał na takiego, który potrafiłby kogokolwiek uderzyć pięścią albo użyć noża. Zdecydował się na przemoc, ale przemoc z dystansu; manipulacja wyspecjalizowanymi narzędziami; palec prowadził, ale nie dotykał, a on przyglądał się eksplozji z daleka, eksplozji mięsa i krwi. To była przemoc rozumu, prawie jak magia. Wystarczyło pomyśleć, a rzecz się stawała.

Kiedy obserwowała operację przeprowadzaną na befsztyku, podczas której Peter odkrawał prosty kawałek, a następnie dzielił go na zgrabne kostki, przyszedł jej na myśl rysunek podzielonej krowy na okładce książki kucharskiej. Krowa z liniami i nazwami

informującymi, z której części ciała pochodzą poszczególne rodzaje mięs. To, co jedli, pochodziło gdzieś z pleców. Pomyślała: ciąć wzdłuż linii przerywanej. Wyobraziła sobie szeregi rzeźników za stołami w ogromnej sali w szkole rzeźniczej, odzianych w nieskazitelną biel, a każdy trzymał w ręce dziecinne nożyczki do wycinania befsztyków, żeberek i pieczeni z leżących przed nimi stosów krów wykrojonych z papieru pakowego. Krowa z książki miała oczy, rogi i wymiona. Stała sobie całkiem zwyczajnie, wcale nie przejmując się dziwnymi znakami namalowanymi na jej ciele. Może po wielu dokładnych badaniach, pomyślała Marian, uda się wyhodować krowy, które będą przychodziły na świat już poliniowane i wymierzone.

Spojrzała na swój niedokończony befsztyk i nagle wydało jej się, że ma przed sobą kawał mięśnia, krwistoczerwony kawał prawdziwej krowy, która kiedyś ruszała się i jadła, i została zabita uderzeniem w głowę, kiedy stała w kolejce jak ktoś, kto czeka na tramwaj. Jasne, że każdy to wie. Ale najczęściej nie myśli się o tym. W sklepie kupuje się to w opakowaniu celofanowym z etykietą, z nazwą i ceną, podobnie jak słoik masła arachidowego albo puszkę fasolki. Nawet u rzeźnika pakują to tak sprawnie i szybko, że wszystko staje się czyste, oficjalne. Lecz teraz, kiedy mięso znalazło się przed nią bez pośredniczącej warstwy papieru, było ciałem i krwią, surowizną, a ona to pochłaniała. Zajadała się tym.

Odłożyła nóż i widelec. Poczuła, że blednie. Miała nadzieję, że Peter tego nie zauważy. To bez sensu – pouczała sama siebie – wszyscy jedzą krowy, to normalne. Trzeba jeść, aby żyć, mięso dobrze ci zrobi, zawiera dużo białka i soli mineralnych. Wzięła widelec, nabiła nań kawałek mięsa, podniosła do ust i odłożyła.

Peter uniósł głowę z uśmiechem.

– Ale byłem głodny – powiedział. – Taki befsztyk dobrze robi. Dobre jedzenie sprawia, że czuję się jeszcze bardziej człowiekiem.

Przytaknęła i odwzajemniła mu się słabym uśmiechem. Przeniósł wzrok na jej befsztyk.

– Co z tobą, kochanie? Jeszcze nie zjadłaś?

– Nie – odpowiedziała. – Chyba już nie jestem głodna. Już się najadłam.

Chciała mu dać do zrozumienia, że jej żołądek jest zbyt mały i zbyt bezradny, by uporać się z taką ilością jedzenia. Peter uśmiechał się i przeżuwał. Świadomość posiadania żołądka większej pojemności sprawiała mu przyjemność. Boże, pomyślała, mam nadzieję, że to nie na zawsze. Umrę z głodu!

Siedziała, mnąc w palcach serwetkę, i patrzyła, jak resztki befsztyka Petera znikają w jego ustach.

Marian siedziała przy stole kuchennym, posępnie wyjadając ze słoika masło arachidowe, i przerzucała kartki najgrubszej książki kucharskiej, jaką miała. Następnego dnia po befsztyku z polędwicy nie mogła zjeść kotleta wieprzowego i od tamtej pory przez wiele tygodni eksperymentowała. Odkryła, że nie tylko dania w zbyt oczywisty sposób wycięte z rozplanowanej krowy były dla niej niejadalne, równie zakazane okazały się te z rozplanowanej świni i rozplanowanego barana. Gdziekolwiek zapadały te decyzje, a na pewno nie wydawał ich jej mózg, w ich efekcie odrzucała wszystko, co nosiło choćby ślad kości, ścięgien czy włókien. Na dania mięsne mielone albo w innej postaci – parówki, hamburgery czy na przykład paszteciki z baraniną lub serdelki – nie reagowała w taki sposób, jeżeli nie przyglądała się im zbyt dokładnie; ryba też była jeszcze dozwolona. Bała się spróbować kurczaka. Kiedyś bardzo je lubiła, ale miały nieprzyjemnie kompletny szkielet i obawiała się, że ich skóra może za bardzo przypominać ramię pokryte gęsią skórką. Żeby spożywać białko różnego pochodzenia, jadła omlety, fistaszki i ogromne ilości sera. Odczuwała jakiś utajony strach, który przybierał na sile, w miarę jak przebiegała wzrokiem stronice książki – była akurat przy rozdziale zatytułowanym *Salatki* – że cała ta sprawa, fakt, że usta odmawiają jedzenia, to było coś złośliwego, a także, iż to się jeszcze rozwinie, że krąg oddzielający niejadalne od jadalnego będzie się zacieśniał, że rzeczy dla niej dostępne będą jedna po drugiej eliminowane. Staje się wegetarianką, pomyślała ze smutkiem, dziwacznie. Będę musiała zacząć jadać lunchy w barach. Przeczytała z obrzydzeniem nagłówek *Sposoby przyrządzania jogurtu*. „Dla wzmocnienia walorów smakowych posypać posiekanymi orzechami!” – proponowała beztrąsko autorka.

Zadzwoił telefon. Pozwoliła mu dzwonić przez jakiś czas, zanim wstała, by podnieść słuchawkę. Nie miała ochoty z nikim rozmawiać i z trudnością oderwała się od subtelności królestwa sałaty, rzeżuchy i ostrych przypraw ziołowych.

– Marian? – Był to głos Lena Slanka. – To ty?

– Tak. Cześć, Len – odpowiedziała. – Co słysząc?

Nie widziała go i nie rozmawiała z nim już od dłuższego czasu.

Jego głos brzmiał natarczywie.

– Jesteś sama? To znaczy, czy jest tam Ainsley?

– Nie, jeszcze nie wróciła z pracy. Mówiła, że ma jakieś zakupy do zrobienia. – Był okres przedświąteczny, wydawało się, że trwa już od wielu miesięcy, i sklepy były otwarte do dziewiątej. – Mogę jej powiedzieć, żeby zadzwoniła do ciebie, jak wróci.

– Nie, nie – rzucił pospiesznie. – Ja z tobą chciałem rozmawiać. Czy mogę przyjść?

Peter miał tego wieczoru jakąś sprawę, więc nie była zajęta, a nie przychodziła jej do głowy żadna wymówka.

– Pewnie, wpadnij – odparła. A zatem już mu powiedziała, pomyślała, odkładając słuchawkę. Idiotka. Ciekawe po co?

Od kilku tygodni Ainsley była we wspaniałym nastroju. Od razu wiedziała, że jest w ciąży, i jej myśli zajęły się wyłącznie funkcjami organizmu z zachłanną atencją badacza obserwującego próbówkę w oczekiwaniu spodziewanej zmiany. Spędzała teraz więcej czasu w kuchni, zastanawiając się, czy ma zachcianki, kosztowała niezliczone dania, żeby sprawdzić, czy smakują inaczej, a wyniki opisywała Marian: herbata, twierdziła, jest bardzo gorzka, jajka bardziej zalatywały siarką. Stawała na łóżku Marian, żeby w jej lustrze, które było większe, obejrzeć zarys brzucha. Snując się po mieszkaniu, bez przerwy nuciła, co było nie do zniesienia; w końcu pewnego poranka, ku swemu bezgranicznemu zadowoleniu, wymiotowała do zlewu. Nareszcie przyszła pora wizyty u ginekologa i właśnie wczoraj wbiegła na schody z rozpromienioną twarzą, wymachując kopertą: wynik próby był dodatni.

Marian złożyła jej gratulacje, ale wcale nie tak chłodno, jak zrobiłaby to parę miesięcy wcześniej. Wówczas musiałyby zająć się konsekwencjami, jak na przykład: gdzie Ainsley ma mieszkać – ta z dołu na pewno przestanie ją tolerować, gdy się zaokrągli – a także sama powinna poszukać kogoś do wspólnego mieszkania. Czy w takiej sytuacji miałaby wyrzuty sumienia, opuszczając Ainsley? Jeżeli tak, to czy potrafiłaby wytrzymać wszystkie komplikacje i napięcia wynikające z faktu mieszkania z samotną matką

i noworodkiem. Ale teraz to nie jej sprawa i stać ją było na to, by gratulacje zabrzmiały szczerze po to, żeby zrobić przyjemność Ainsley. Przecież sama wychodzi za mąż. Wycofała się z umowy.

Zareagowała niechętnie na telefon Lena, ponieważ nie zamierzała się w nic angażować. Z tonu jego głosu wywnioskowała, że Ainsley coś mu powiedziała, ale z rozmowy nie wynikało jasno, co. Postanowiła, że w miarę możliwości zachowa się neutralnie. Oczywiście, wysłucha wszystkiego, co będzie miał do powiedzenia – ma uszy i nic na to nie poradzi – (Cóż zresztą mógł jej powiedzieć? Jego rola jako taka była skończona), ale nic poza tym. Denerwowało ją to, że nie potrafi zapanować nad sytuacją. Jeżeli Len chce z kimś rozmawiać, to powinien rozmawiać z Ainsley. To ona znała odpowiedzi na wszystkie pytania.

Zjadła jeszcze jedną łyżeczkę masła arachidowego – nie podobał się jej sposób, w jaki masło przykleja się do podniebienia. Dla zabicia czasu otworzyła rozdział o skorupiakach, przeczytała część o czyszczeniu krewetek (kto kupuje jeszcze prawdziwe krewetki?) i objaśnienia o żółwiach, które ostatnio wzbudzały jej ciekawość. Nie umiała określić rodzaju tej ciekawości. Żywego żółwia należy trzymać w tekturowym pudełku albo w klatce przez mniej więcej tydzień, dbać o niego i karmić hamburgerami, żeby pozbył się nieczystości. I właśnie wtedy, gdy zaczniesz ci ufać i chodzić za tobą po kuchni jak leniwy, ale oddany spaniel w twardej skorupie, należy go wrzucić któregoś dnia do garnka z zimną wodą (gdzie na początku będzie bez wątplenia pływał i nurkował z przyjemnością) i powoli doprowadzić ją do wrzenia. Cała ta operacja przypominała śmierć pierwszych chrześcijańskich męczenników. Jakie okropności odbywały się w kuchniach w całym kraju w imię dostarczenia strawy! Ale jedyną alternatywę stanowiły celofanowane, plastikowane i pudełkowate surogaty. Namiastki czy tylko pozory? W każdym razie, jeżeli wchodziło tu w grę jakieś zabijanie, to wykonał je fachowo ktoś inny już wcześniej.

Na dole rozległ się dzwonek. Marian wyprostowała się, nasłuchując. Nie chciała bez potrzeby schodzić na dół. Usłyszała stłumione głosy i trzask zamykanych drzwi. Ta z dołu czuwała. Marian westchnęła, zamknęła książkę kucharską, wrzuciła łyżeczkę

do zlewu, oblizawszy ją po raz ostatni, i zakręciła słoik z masłem arachidowym.

– Hej – przywitała Lena, który wyłonił się ze schodów blady i bez tchu. Wyglądał źle. – Wchodź i siadaj. – A ponieważ było dopiero wpół do siódmej, zapytała: – Jadłeś już? Może coś ci zrobić?

Chciała mu coś przygotować, choćby tylko kanapkę z bekonem i pomidorem. Od kiedy jej stosunek do jedzenia stał się niejasny, zauważyła, że z perfidną przyjemnością patrzy, jak jedzą inni.

– Nie, dziękuję! Nie jestem głodny. Ale napiłbym się czegoś. – Wszedł do salonu i opadł na kanapę, jakby jego ciało było workiem, którego już nie miał siły dźwigać.

– Mam tylko piwo. Może być? – Poszła do kuchni, otworzyła dwie butelki i przyniosła do salonu. Wobec takich dobrych znajomych jak Len nie bawiła się w formalności typu szklanki.

– Dziękuję – powiedział. Przechylił pękatą brązową butelkę. Jego usta, otulające szczelnie szyjkę, wydały się jej przez chwilę dziwnie dziecinne. – O Jezus, już mi lepiej – dodał, stawiając butelkę na stoliku do kawy. – Podejrzewam, że już wiesz.

Marian wypła łyk piwa, zanim odpowiedziała. To było piwo Moose; kupiła kilka butelek z ciekawości. Smakowało tak jak inne.

– Chodzi ci o to, że jest w ciąży? – rzuciła obojętnym tonem towarzyskiej konwersacji. – No tak, oczywiście.

Len jęknął. Zdjął okulary w rogowej oprawie i zasłonił oczy dłonią.

– Boże, aż mi niedobrze – wyznał. – To był dla mnie szok, kiedy mi powiedziała. Zadzwoniłem, żeby zapytać, czy pójdzie ze mną na kawę, bo tak jakby unikała mnie od tamtego wieczoru, to musiał być dla niej wstrząs, i wtedy taka nowina, przez telefon. Nie mogłem pracować przez całe popołudnie. Odłożyłem słuchawkę w środku rozmowy, nie wiem, co sobie pomyślała, ale nie mogłem się powstrzymać. To taka miła dziewczyna, Marian. O innych można by powiedzieć, co tam, na pewno na to zasłużyły, głupie dziwki, chociaż i tak mnie się nic takiego nigdy nie przydarzyło. A ona jest przecież taka młodziutka. Najgorsze, że właściwie nie pamiętam, co się wtedy działo. Wpadliśmy na kawę, czułem się nie najlepiej, a tu butelka whisky na stole, więc się do niej zabrałem. Nie mogę zaprzeczyć, że miałem na Ainsley ochotę, ale nie spodziewałem się takiego obrotu

sprawy, nie byłem przygotowany, byłbym znacznie ostrożniejszy. Ale wpadłem! Co ja mam robić?

Marian siedziała, przyglądając mu się w milczeniu. To znaczy, że Ainsley nie miała jeszcze okazji wyjaśnić swoich motywów. Zastanawiała się, czy powinna, dla dobra Lena, rozplątać ten raczej nieprawdopodobny supeł, czy też poczekać, aż zrobi to Ainsley, bo przecież był to jej obowiązek.

– Przecież nie mogę się z nią ożenić – powiedział Len żałośnie. – Już samo bycie mężem jest straszne, jestem za młody, żeby się żenić. Wyobrażasz sobie mnie jako męża i ojca? – Zarechotał i ponownie przechylił butelkę. – Rodzenie – ciągnął cienkim, roztrzęsionym głosem – rodzenie mnie przeraża. Obrzydliwe. Nie mogę znieść myśli o tym, że będę miał – wzdrygnął się – dziecko.

– No, ale to przecież nie ty będziesz miał dziecko – przerwała mu rezolutnie.

Len odwrócił ku niej twarz wykrzywioną błagalnym grymasem. Boleśnie odczuła kontrast między tym mężczyzną o oczach obnażonych i słabych, bez właściwej im osłony ze szkła i szylkretu, a Lenem gadatliwym, bystrym i trochę lubieżnie uśmiechniętym, takim, jakim go zawsze знаła.

– Marian – nalegał – proszę cię, nie mogłabyś z nią pogadać? Gdyby tylko zgodziła się przerwać, to ja oczywiście zapłacę. – Przełknął.

Obserwowała ruch jego grdyki, w górę i w dół. Nigdy by nie przypuszczała, że cokolwiek może go tak unieszczęśliwić.

– Obawiam się, że się nie zgodzi – odparła łagodnie. – Widzisz, chodzi o to, że ona chciała zająć w ciążę.

– Co?!

– Zrobiła to z rozmysłem. Chciała zająć w ciążę.

– Bzdura! – zawołał Len. – Żadna nie chce zająć w ciążę. Nikt nie zrobiłby tego rozmyślnie!

Marian uśmiechnęła się. Zachowywał się naiwnie i to ją rozczuliło w jakiś taki lepki sposób. Poczuła, że powinna go wziąć na kolana i szepnąć: „No, Leonardzie, najwyższy czas, żebym ci powiedziała, skąd biorą się dzieci”.

– Zdziwisz się – odparła – ale wiele kobiet tak robi. To jest dzisiaj modne. A Ainsley dużo czyta; bardzo lubiła zajęcia z antropologii

i uważa, że żadna kobieta nie zrealizuje swojej kobiecości, jeżeli nie ma dziecka. Ale nie przejmuj się, już nie będziesz miał z tym nic wspólnego. Ona nie chce męża, tylko dziecko. Ty już zrobiłeś swoje.

Len nie mógł uwierzyć. Włożył okulary, przyjrzał się jej przez szkła i znowu je zdjął. Milczeli przez chwilę. Len napił się piwa.

– Więc ona ma studia. Powinienem się być domyślić. Oto, co wynika z kształcenia kobiet – zauważył złośliwie. – Przychodzą im do głowy głupie pomysły.

– O, nie byłabym taka pewna – odparowała Marian uszczypliwie. – Są też i mężczyźni, którym wykształcenie na dobre nie wyszło.

Zamrugął.

– Masz pewno mnie na myśli. Skąd miałem wiedzieć? I ty mi nic nie powiedziałaś. To ma być przyjaciel?

– O, nie! Nigdy nie śmiałabym ci radzić, jak masz przeżyć swoje życie – oświadczyła Marian urażonym tonem. – I czym się teraz zajmujesz, skoro już wszystko wiadomo? Ty nie musisz nic robić. Ona się wszystkim zajmie. Wierz mi, Ainsley potrafi dać sobie radę.

Wydawało się, że jego rozpacz gwałtownie przeradza się w złość.

– A to dziwka – mruknął. – Wrobić mnie w coś takiego...

Na schodach rozległy się kroki.

– Ciii – powiedziała Marian. – Idzie. A teraz zachowaj się spokojnie. – Wyszła do przedpokoju, żeby przywitać Ainsley.

– Cześć! Zobacz, co kupiłam! – zawołała Ainsley, podśpiewując na schodach. Wpadła do kuchni, położyła paczki na stole, zrzuciła płaszcz i mówiła zadyszana: – Był straszny tłok, ale oprócz jedzenia – muszę przecież teraz jeść za dwoje – no i witamin kupiłam takie śliczniutki wykroje i wzory, sama zobaczysz. – Wyciągnęła podręcznik z wzorami i niebieską włóczkę.

– Więc to będzie chłopiec? – zapytała Marian.

Ainsley szeroko otworzyła oczy.

– No oczywiście. Pomyślałam sobie, że tak będzie lepiej...

– To może porozmawiasz o tym z przyszłym ojcem, zanim podejmiesz niezbędne kroki? Jest w salonie i wygląda na niezadowolonego, że nikt się z nim nie konsultuje. Skąd wiesz – dodała Marian jadowicie – może on wolałby dziewczynkę?

Ainsley odrzuciła z czoła pasmo kasztanowych włosów.

– Len jest tutaj? – zapytała wyraźnie chłodnym tonem. – No tak. Przez telefon robił wrażenie zdenerwowanego.

Ruszyła do salonu. Marian nie wiedziała, które z nich bardziej potrzebuje pomocy ani komu powinna pomóc w pierwszej kolejności, jeżeli będzie zmuszona wybierać. Szła za Ainsley, świadoma tego, że należy wyłączyć się, nim sprawy przyjmą gorszy obrót, ale nie wiedziała, jak to zrobić.

– Cześć, Len – powiedziała Ainsley swobodnie. – Odłożyłeś słuchawkę, zanim zdążyłam ci wyjaśnić.

Len nie patrzył na nią.

– Marian już mi wyjaśniła, dziękuję.

Ainsley wyduła wargi w grymasie niezadowolenia. Widocznie chciała to zrobić osobiście.

– Ktoś to musiał zrobić – zauważyła Marian, surowo sznurując usta. – Ten człowiek cierpiał.

– Może nie powinnam ci wcale mówić – odcięła się Ainsley – ale nie mogłam nie podzielić się taką wiadomością. Pomyśl tylko: będę matką! Tak się cieszę!

Len stopniowo jeżył się i nadymał.

– Ja wcale nie jestem taki szczęśliwy z tego powodu – wybuchnął. – Przez cały czas byłem tylko narzędziem! Ach, jakież ze mnie idiota! Myślałem, że ty jesteś taka niewinna i miła, a tu się okazuje, że masz studia! Wszystkie jesteście takie same. Wcale nie chodziło ci o mnie. Chodziło ci tylko o moje ciało!

– A tobie o co chodziło? – spytała słodko Ainsley. – W każdym razie nie wzięłam dużo. Została ci cała reszta. I możesz spać spokojnie, nie zamierzam występować do sądu o ojcostwo.

Len wstał i zaczął przechadzać się w bezpiecznej odległości od Ainsley.

– Spać spokojnie. Ha! O, nie, wciągnęłaś mnie w to. Wciągnęłaś mnie w to emocjonalnie. Będę teraz musiał myśleć o sobie jako o ojcu. To niemoralne. A wszystko dlatego, że ty – nabrał powietrza; ta myśl go olśniła – że to ty mnie uwiodłaś! – Machnął butelką w jej kierunku. – Teraz będę cały omotany myślami o rodzeniu, płodności,

cięży. Czy ty nie rozumiesz, co to dla mnie znaczy? To ohydne, ten obrzydliwy, lepki...

– Nie zachowuj się jak idiota – przerwała mu Ainsley. – To zupełnie naturalne i piękne. Wiąż między matką i nienarodzonym dzieckiem jest najpiękniejszym i najtrwalszym związkiem na świecie. – Opierała się o framugę drzwi, zapatrzona w okno. – Najpełniej odwzajemniona...

– Rzygać się chce! – krzyknął Len.

Ainsley zaatakowała go ze złością.

– Wykazujesz klasyczne objawy zazdrości macicznej. A skąd, do cholery, ty się wzięłaś, co?! Przecież nie z Marsa! Może cię to zdziwi, ale twoja matka nie znalazła cię w ogrodzie pod kapustą. Siedziałeś zwinięty w kłębek w czyimś brzuchu przez dziewięć miesięcy jak wszyscy i...

Twarz Lena skurczyła się.

– Przestań! – wrzasnęła. – Nie przypominaj mi. Ja nie mogę, naprawdę, robi mi się niedobrze. Nie podchodź do mnie! – zaskamlał, kiedy Ainsley zrobiła krok w jego stronę. – Jesteś nieczysta.

Marian uznała, że Len zaczyna histeryzować. Usiadł na poręczy kanapy i zasłonił twarz rękami.

– Zmusiła mnie do tego – mamrotał. – Własna matka. Jedliśmy jajka na śniadanie. Rozłupałem jajko i tam był, przysięgam, tam był mały kurczak, jeszcze nieurodzony. Nie chciałem go tknąć, ale ona nie widziała, nie wiedziała, co tam naprawdę jest, i powiedziała: „Nie wygłupiaj się, przecież to zwyczajne jajko”. Ale ono nie było zwyczajne, nie było, i zmusiła mnie, żebym go zjadł. I wiem, wiem, że tam był dziobek i pazurki, i wszystko... – Wstrząsnął nim gwałtowny dreszcz. – To straszne, straszne... Nie mogę... – jęczał. Ramiona drżały mu konwulsyjnie.

Marian zaczerwieniła się z zażenowania, za to Ainsley wydała z siebie macierzyński pomruk zaniepokojenia i pospieszyła w stronę kanapy. Usiadła obok Lena, objęła go ramionami i przyciągnęła do siebie tak, że połową ciała opierał się na jej kolanach, a głowę złożył na jej ramieniu.

– Cicho, cicho – pocieszała. Jej włosy zasłoniły ich jak welon albo, pomyślała Marian, jak sieć. Kołysała się łagodnie. – Cicho już, cicho,

to przecież nie będzie kurczak, to będzie śliczne, kochane maleństwo. Śliczne maleństwo.

Marian wyszła do kuchni. Czuła lodowate obrzydzenie. Zachowywali się jak dzieci. Dusza Ainsley już obrasta tłuszczem, pomyślała Marian. Czyż te hormony nie są wspaniałe? Niedługo cała będzie gruba. Len natomiast ujawnił coś, co ukrywał, coś, czego nigdy w nim nie zauważyła. Zachował się jak pędrak zniecka wygrzebany z ziemi i wyciągnięty na światło dzienne. Odrażające, ślepe spazmy. Zdumiało ją, że tak niewiele wystarczy, by doprowadzić go do takiego stanu. Jego skorupa nie była ani tak zrogowaciała, ani tak gruba, jak to sobie wyobrażała. Zupełnie jak w tej sztuczce z jajkiem: w splecionych dłoniach ściska się z całej siły jajko wzdłuż osi pionowej, a ono nie pęka. Jest tak dobrze wyważone, że człowiek siłuje się sam z sobą. Ale przy najmniejszym przesunięciu, zmianie kąta nacisku jajko trzaska i białko spływa do butów.

Delikatna równowaga Lena została właśnie zachwiana, a on sam zgnieciony. Marian zastanawiała się, w jaki sposób przez tyle czasu udawało mu się nie dostrzegać tego zagadnienia, żyć w przekonaniu, że jego wyczyny seksualne, którymi tak się chełpił, nie mają nic wspólnego z produkcją dzieci. Jak by się zachował, gdyby było tak, jak to sobie początkowo wyobrażał: że Ainsley zaszła z nim w ciążę przez przypadek? Czy udałoby mu się uniknąć poczucia winy tylko dlatego, że nie miał zamiaru wyrządzić krzywdy? Czy potrafiliby wymazać się nawzajem z pamięci i odejść, nie ponosząc większych strat? Ainsley nie mogła przewidzieć jego reakcji. Ale to jej decyzja była przyczyną tego kryzysu. Co ona teraz zrobi? Co powinna zrobić?

No, pomyślała, ale to już ich problem, niech sami go rozwiązują. Ja i tak nie mam z tym nic wspólnego. Poszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi.

Jednak nazajutrz rano, kiedy zrobiła jajko na miękko i zobaczyła żółtko, które spoglądało na nią swym oskarżającym okiem, poczuła, że jej usta zamykają się jak przestraszony ukwiał. Ono żyje, jest żywe, powiedziały mięśnie w gardle i zacisnęły się. Odsunęła jajko. Jej czujny umysł już zdążył przyzwyczaić się do takiej procedury. Westchnęła z rezygnacją i skreśliła jeszcze jeden punkt z listy.

– Galaretką, łosoś, masło arachidowe, miód i sałatka z jajka – zachęcała pani Grot, podsuwając Marian talerz prawie pod sam nos, nie dlatego, że była nieuprzejma, ale dlatego, że Marian siedziała na kanapie, podczas gdy pani Grot stała, a jej kościec, sztywny gorset oraz muskulatura ciała przystosowana do siedzenia za biurkiem, nadając jej postaci postawę pionową, uniemożliwiały głębsze skłony.

Marian wcisnęła się w miękkie, welurowe poduszki.

– Poproszę z galaretką – powiedziała.

Było to przyjęcie gwiazdkowe w biurze, które urządzono w pokoju śniadaniowym, gdzie, jak powiedziała pani Gundridge, będzie przytulnie. Na razie przytulny nastrój, który przepajał całe to ciasne pomieszczenie, psuła pewna doza skrywanego niezadowolenia. Boże Narodzenie wypadło w tym roku w środę, co oznaczało, że będzie trzeba wrócić do pracy w piątek, tracąc w ten sposób wspaniałe długie weekend. A jednak Marian była przekonana, że to właśnie świadomość tego faktu rozpałała nowe błyski w szklach pani Grot i wlała w nią tyle radości, iż była nawet w stanie znieść to bezprecedensowe towarzyskie podawanie kanapek. To wszystko dlatego, że chce się z bliska przyjrzeć naszemu cierpieniu, pomyślała Marian, obserwując sztywną postać, która krążyła po pokoju.

Przyjęcie polegało głównie na jedzeniu, rozmowie o chorobach i okazyjnych zakupach. Jedzenie było w całości przygotowane przez panie; umówiły się, że każda coś przyniesie. Nawet Marian obiecała pod presją ciasteczka czekoladowe, które zresztą kupiła w cukierni i przełożyła do innej torebki. Ostatnio nie miała ochoty na zajmowanie się kuchnią. Wszystko to piętrzyło się na stole pod jedną ze ścian – w ilości znacznie większej, niż było trzeba: sałatki, kanapki, słodkie bułki, desery, ciasteczka i ciasta. Ale ponieważ wszystkie coś przyniosły, każda musiała skosztować wszystkiego, bo inaczej ofiarodawczyni poczułaby się zlekceważona. Od czasu do czasu któraś z pań piszcziała:

– Och, Dorothy, muszę spróbować twojego deseru pomarańczowo-ananasowego!

Albo:

– Lena, twój biszkopt z owocami wygląda wspaniale!

Wstawiała ciężko i dreptała w stronę stołu, żeby znowu nałożyć sobie coś na papierowy talerzyk.

Marian domyślała się, że nie zawsze tak to wyglądało. Część starszych pań zachowała wspomnienie, które zmieniało się w szybko blaknącą legendę, o przyjęciach z udziałem całego przedsiębiorstwa; firma była wtedy znacznie mniejsza. W owych czasach, opowiadała pani Bogue ze łzą w oku, z góry schodzili do nich mężczyźni i podawano nawet drinki. Ale firma rozrosła się i w końcu doszło do tego, że nie wszyscy się znali i przyjęcia zaczęły wymykać się spod kontroli. Dyrektorzy uganiali się za poplamionymi farbą panienkami z działu kopiarek, szerzyły się plotki o płomiennych namiętnościach i skrywanych nienawiściach, a starsze panie wychylały o jedną papierową szklaneczkę za dużo i dostawały napadów hysterii. Teraz, w interesie ogólnego morale firmy, każdy dział organizował swoje własne przyjęcie. Pani Gundridge już wcześniej tego dnia zauważyła, że jest znacznie przyjemniej, kiedy dziewczęta są w swoim własnym gronie. Jej uwaga wywołała niewyraźne, przytakujące pomruki.

Marian siedziała ściśnięta między dwiema dziewczycami biurowymi, trzecia przysiadła na oparciu kanapy. W podobnych sytuacjach czuły się bezpieczniej razem. Nie miały dzieci, żeby przechwalać się ich urokiem, nie miały domów, których wyposażenie było tak niezmiernie ważne, i nie miały mężów, żeby wymieniać uwagi na temat ich dziwactw i paskudnych przyzwyczajzeń. Miały inne problemy, chociaż Emmy czasami dorzucała do ogólnej rozmowy jakąś opowiastkę o swoich dolegliwościach. Marian wyczuwała, że jej status wśród nich jest niepewny – wiedziały, że jest o krok od małżeństwa, i wobec tego już nie traktowały jej jak osoby naprawdę samotnej, zdolnej do empatii z ich problemami – ale mimo pewnego chłodu, z jakim odnosiły się do niej, ciągle wołała przebywać z nimi, niż przyłączyć się do którejkolwiek z pozostałych grupki. Ruch w sali był niewielki. Kilka pań roznosiło półmiski, ale większość siedziała w grupkach i półkolach, od czasu do czasu przenosząc się razem z krzesłami. Tylko pani Bogue krążyła i rozdawała to tu, to tam to uśmiech, to słówko, to ciasteczko. Był to jej obowiązek.

Przykładała się wyjątkowo, a to z powodu kataklizmu, jaki zdarzył się tego dnia nieco wcześniej. Właśnie tego ranka miała odbyć się gigantyczna próba smakowa rozpuszczalnego soku pomidorowego obejmująca całe miasto, przygotowywana od października i ciągle przekładana dla wprowadzenia dalszych usprawnień. Do drzwi zaskoczonych gospodyń miała zastukać rekordowa liczba ankieterek z tekturowymi tacami na sznurkach zawieszonych na szyi, podobnymi do tych, jakie noszą dziewczęta sprzedające papierosy w kinach czy teatrach (w rozmowie z Lucy Marian zasugerowała, że wszystkim powinno się rozjaśnić włosy, ubrać w pióra i siatkowe pończochy). Na tacach powinny stać papierowe kubeczki z prawdziwym sokiem pomidorowym z puszkii i papierowe kubeczki z rozpuszczalnym sokiem pomidorowym oraz dzbanki z wodą. Gospodyni miała wypić łyk prawdziwego soku, potem przyjrzeć się, jak ankietarka przygotowuje rozpuszczalny sok na jej zdumionych oczach i – pod wrażeniem szybkości i łatwości operacji – skosztować go. „Wystarczy raz zamieszać!” – głośno głosiły robocze scenariusze reklamowe. Gdyby zrobiono to w październiku, mogłoby się udać.

Na nieszczęście śnieg, który powstrzymywał się przez pięć jednakowo chmurnych dni, postanowił spaść właśnie tego ranka o dziesiątej, ale nie miękkimi, roztańczonymi płatkami ani nie w przelotnych opadach, lecz w postaci prawdziwej zamieci. Pani Bogue próbowała przekonać tych na górze, że należy próbę przełożyć, ale bez skutku.

– My pracujemy z ludźmi, nie z maszynami – mówiła do słuchawki głosem na tyle podniesionym, by ją dobrze słyszano przez zamknięte drzwi kubika. – Na dworze jest okropnie!

Ale termin naglił. Sprawę odkładano już tyle razy, że dłużej nie można było, a ponadto jednodniowe opóźnienie w tym momencie faktycznie oznaczało opóźnienie o trzy dni z powodu poważnej komplikacji, jaką były święta Bożego Narodzenia. I tak trzódka pani Bogue, pobekując z cicha, została wygnana na śnieżycę.

Przez resztę dnia biuro przypominało bazę misji dobroczynnej na obszarze dotkniętym kataklizmem. Posypały się telefony od nieszczęśliwych ankieterek. Ich samochody, wyposażone w zimowy olej i przygotowane na śnieg, odmawiały posłuszeństwa, grzęzły, błądziły w zamieci i przytrzaskiwały palce drzwiami, a głowy

klapami bagażników. Papierowe kubeczki okazały się zbyt lekkie, by oprzeć się wichurze, i unosiły się ponad alejkami i żywopłotami, wylewając swą krwistoczerwoną zawartość na śnieg, na ankieterki i – jeżeli te dobrnęły już do drzwi – na same gospodynie. Jednej ankieterce wiatr zerwał z szyi całą tacę i uniósł w powietrze jak latawiec: inną wiatr skąpał w soku, gdy usiłowała ukryć tacę pod płaszczem. Od godziny jedenastej ankieterki zaczęły nadciągać z powrotem, potargane i umazane na czerwono, by w zależności od temperamentu: złożyć wymówienie, wytłumaczyć się albo by przywrócono im wiarę w to, że są naukowymi i kompetentnymi badaczkami opinii publicznej. W dodatku pani Bogue musiała sobie jakoś poradzić z rykami wściekłości dobiegającymi z wyłożonego persami Olimpu, który nie przyjmował do wiadomości istnienia żadnych burz oprócz tych, które sam zsyłał. Ślady tych zmagania były jeszcze widoczne na jej twarzy, gdy krążyła teraz wśród jęczących. Gdy udawała, że jest zdenerwowana i zmartwiona, naprawdę była spokojna; ale teraz, kiedy usiłowała wyglądać spokojnie, przypominała Marian – członkinię ekskluzywnego klubu w ukwieconym kapeluszu, która wygłaszając elegancką mowę dziękczynną, nagle czuje, że jakieś wielonożne stworzenie wędruje jej po nodze.

Marian zrezygnowała z przysłuchiwania się kilku konwersacjom naraz, pozwalając, by gwar wypełniający pokój przelewał się przez jej uszy potokiem sylab bez znaczenia. Skończyła kanapkę z galaretką i poszła po ciasto. Suto zastawiony stół sprawił, że poczuła się jak żarłok. Takie bogactwo, te wszystkie bezy, lukry, polewy, ta mieszanina tłuszczu i słodkości, ta obfitość pożywnego, lśniącego jedzenia. Kiedy wróciła z kawałkiem biszkoptu, Lucy, która przedtem rozmawiała z Emmy, teraz zmieniła pozycję i rozmawiała z Millie, tak że po powrocie na swoje miejsce Marian znalazła się w środku rozmowy.

– Oczywiście nie wiedzieli, co z tym zrobić – mówiła Lucy. – Nie można komuś tak po prostu powiedzieć: może byś się wykąpał. To przecież niezbyt uprzejmie.

– Londyn też jest bardzo brudny – dorzuciła Millie współczująco. – Wystarczy spojrzeć na mężczyzn wieczorem. Kołnierzyki ich białych koszul są czarne, po prostu czarne. Przez tę sadzę.

– No tak. I to się ciągnęło, i było coraz gorzej, i gorzej, było już aż tak źle, że wstydziły się zapraszać znajomych...

– Kto taki? – wtrąciła się Marian.

– Och, taka dziewczyna, która mieszkała z moimi koleżankami w Anglii i przestała się myć. Poza tym wszystko z nią było w porządku. Po prostu nie myła się, nawet włosów, nie zmieniała ubrania, nic... Trwało to strasznie długo, a one nie chciały nic mówić, bo we wszystkich innych sprawach była zupełnie normalna, ale jasne, że w środku musiała być naprawdę bardzo chora.

Wąska, spiczasta twarz Emmy odwróciła się na słowo „chora” i historyjkę powtórzono.

– I co dalej? – spytała Millie, zlizując z palców lukier czekoladowy.

– No – ciągnęła Lucy, skubiąc delikatnie kawałek kruchego ciastka. – Zrobiło się całkiem ohydnie. No bo przecież, pomyślcie tylko, ona ciągle nosiła to samo ubranie, to samo ubranie przez trzy albo i cztery miesiące.

Rozległy się pomruki: „niemożliwe, niemożliwe”, a Lucy dorzuciła:

– No, co najmniej przez dwa. I już miały powiedzieć jej, żeby, na miły Bóg, wzięła kąpiel albo niech się wyprowadza. Nie zrobiłabyś tak? Ale któregoś dnia przyszła do domu, zdjęła to ubranie, spaliła je, wzięła kąpiel i od tej pory była zupełnie normalna. Tak po prostu.

– Ale to dziwne – zauważyła Emmy rozczarowana. Spodziewała się poważnej choroby, a nawet operacji.

– Jasne, że oni tam są brudniejsi – podsumowała Millie tonem kobiety światowej.

– Ale ona była stąd! – krzyknęła Lucy. – Rozumiesz, ona była wychowywana jak trzeba, z dobrej rodziny i tak dalej. I to nie dlatego, że na przykład nie mieli łazienki. Zawsze byli bardzo czysti!

– A może to jest coś, przez co każdy musi przejść – wtrąciła Millie filozoficznie. – Może była po prostu niedojrzała, daleko od swoich i w ogóle...

– Ja tam myślę, że ona była chora – zawyrokowała Lucy. Wydłubywała rodzynki z kawałka świątecznego ciasta, przygotowując je do zjedzenia.

Marian obracała w myślach słowo „niedojrzała” jak dziwny kamyk znaleziony na plaży. Kojarzyło się ono z niedojrzałą kolbą kukurydzy,

z innymi warzywami albo owocami. Najpierw było się zielonym, a potem dojrzewało się. Stawało się dojrziałym. Suknie na sylwetkę dojrzały. Innymi słowy – na grubą.

Przesunęła wzrokiem po kobietach, które siedziały w sali, po ich ustach, które otwierały się i zamykały, aby mówić albo jeść. Gdy tak tu siedziały, ot, gromadka kobiet jak wiele innych przy popołudniowej herbatce, straciły powłokę biurową, jaka odróżnia je podczas godzin pracy od anonimowego oceanu gospodyń domowych, których umysły miały badać. Mogłyby siedzieć w podomkach i wałkach we włosach. Tak się złożyło, że wszystkie nosiły suknie na sylwetkę dojrzały. Były dojrzale, niektóre nawet już przejrzałe, inne zaczynały usychać. Wyobraziła sobie, że łodyżkami wyrastającymi z czubków głów poprzyczepiane są do niewidocznego pnącza i wiszą tak w różnych stadiach rozwoju i rozkładu... a ta szczupła, elegancka Lucy, siedząca obok niej, jest dopiero wczesnym, zielonym, wiosennym zgrubieniem, rodzącym się pod starannym, złocistym kielichem włosów.

Przyglądała się ciałom kobiet z ciekawością, krytycznie, jakby zobaczyła je po raz pierwszy. W pewnym sensie rzeczywiście tak było, po prostu zazwyczaj wypełniały przestrzeń biura jak wiele innych przedmiotów: biurka, telefony, krzesła – postrzegane jedynie jako pewne formy i powierzchnie. Teraz jednak widziała wałek tłuszczu wyciśnięty przez gorset na plecach pani Gundridge, szynkowatą wypukłość uda, pomarszczoną skórę szyi, policzki o rozszerzonych porach, zarys żyłaków na jednej z pulchnych skrzyżowanych nóg, policzki trzęsące się jak galareta przy przeżuwananiu, sweterek, jak wełniany pokrowiec na czajnik, narzucony na pochyłe ramiona. Zauważyła też inne kobiety, podobnej budowy, ale o zróżnicowanych proporcjach i fakturach bulwiastych ondulacji, pagórkowatych zarysach piersi, talii i bioder, ich płynność, podtrzymywaną od wewnątrz przez kości, z zewnątrz przez pancerz ubrań i makijażu. Jakie to dziwne stworzenia. I ten nieustanny przepływ między tym, co na zewnątrz, a tym, co wewnątrz, pochłanianie różnych rzeczy, wydalanie ich, żucie, słowa, frytki, odbijanie, tłuszcz, włosy, niemowlęta, mleko, ekskrementy, ciastka, wymioty, kawa, sok pomidorowy, krew, herbata, pot, alkohol, łzy i odpadki...

Przez chwilę miała wrażenie, że ich osobowości, niemal pod postacią jakiejś substancji, przewalają się nad jej głową niczym fala. Ona kiedyś też taka będzie... nie, już taka jest. Jest jedną z nich, jej ciało jest takie samo, identyczne, wymieszane z tym drugim ciałem, dławiącym atmosferę w ukwieconej sali wypełnionej słodkawym, organicznym zapachem. Poczwała, że dusi ją to sargassowe morze kobiecości. Wzięła głęboki oddech, wciskając swoje ciało i umysł z powrotem w głąb własnego ja niczym wrażliwe stworzenie morskie, chowające macki. Zapragnęła czegoś konkretnego i rzeczywistego: mężczyzny. Zapragnęła, żeby Peter znalazł się w tej sali i żeby mogła wyciągnąć do niego rękę, przytrzymać się go i nie dać się wciągnąć. Na ramieniu Lucy lśniła złota bransoletka. Marian skupiła na niej wzrok, jakby chciała otoczyć się jej twardym, złotym kręgiem, niewzruszoną barierą między nią a tą drugą Marian, płynną i amorficzną.

Naraz uświadomiła sobie, że w sali zapadła cisza. Gwar kurnika ustał. Podniosła głowę. Pani Bogue stała z podniesioną ręką przy stole w przeciwległym końcu pokoju.

– Skoro wszystkie spotkałyśmy się tutaj tak nieoficjalnie – zagaiła z łagodnym uśmiechem – chciałabym skorzystać z okazji i ogłosić bardzo przyjemną wiadomość. Ćwierkają wróbelki, że jedna z nas niedługo wychodzi za mąż. Jestem przekonana, że wszystkie życzymy panie MacAlpin wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia.

Po wstępnych okrzykach, szczebiotach i pomrukach entuzjazmu cała ta masa podniosła się i opadła na Marian. Zalały ją wilgotne gratulacje, pytania oblepione okruchami czekolady i upudrowane pocałunki inicjacyjne. Podniosła się i od razu została wciśnięta w więcej niż obfity biust pani Gundridge. Odkleiła się i cofnęła pod ścianę. Zaczerwieniła się, bardziej ze złości niż ze skromności. Ktoś musiał wypaplać, któraś z nich musiała donieść. Na pewno Millie.

Wyduśzała z siebie: „dziękuję” i „wrzesień”, i „marzec”, trzy słowa potrzebne, by odpowiedzieć na zadawane pytania. Chór krzyczał: „cudownie”, „wspaniale”. Dziewice biurowe pozostały na uboczu, uśmiechając się tęsknie. Pani Bogue także przystanęła z boku. Z tonu jej przemówienia i z faktu, że taki publiczny anons nastąpił bez uprzedzenia czy wcześniejszych konsultacji, Marian

wywnioskowała, iż pani Bogue spodziewa się po niej, że odejdzie z pracy, i to niekoniecznie z własnej woli. Marian wiedziała – z plotek, ale też pamiętała przypadek wyrzucenia jednej z maszynistek niedługo potem, jak sama zaczęła tu pracować – że pani Bogue woli pracownice niezamężne albo zaprawione weteranki, które mają już za sobą ryzyko nieprzewidzianych ciąż. Słyszano, jak mówiła, że młode żony bywają niezrównoważone. Na skraju zbiegowiska znalazła się pani Grot z finansów z kwaśnym uśmiechem na zaciśniętych wargach. Założę się, że doszczętnie popsuję jej odświętny nastrój, pomyślała Marian. Przepadłam na dobre dla funduszu emerytalnego.

Wyjście z budynku i spacer ulicą w zimnym powietrzu było niczym szerokie otwarcie okna w przegrzonym i dusznym pokoju. Wiatr uspokoił się. Było już ciemno, ale jaskrawe światło płynące z witryn sklepowych i zwisających nad głową dekoracji gwiazdkowych, girland i gwiazd sprawiało, że śnieg, który padał teraz drobnymi płatkami, migotał jak mgiełka nad gigantycznym podświetlonym wodospadem. Pod nogami leżało go mniej, niż się spodziewała. Był mokry, rozdeptany przez przechodniów na brązową maź. Zamieć zaczęła się rano, już potem, jak Marian wyszła do pracy, i dlatego nie włożyła długich butów. Zanim doszła do stacji kolejki, nogi miała mokre.

Mimo to wysiadła przystanek wcześniej. Po tym przyjęciu w żaden sposób nie była w stanie iść prosto do domu. Przyjdzie Ainsley i zabierze się do tej swojej piekielnej robótki. I ta choinka: plastikowa, model stołowy, w tonacji srebrno-niebieskiej. Trzeba jeszcze opakować prezenty, które czekają na łóżku, spakować walizkę – wcześniej rano następnego dnia ma jechać na dwa dni do rodziców, do swojego miasta i krewnych. Kiedy myślała o nich wszystkich, miała wrażenie, że nic już jej z nimi nie łączy. Tamto miasto i tamci ludzie czekają na nią gdzieś tam, za horyzontem, niezmienni, monolityczni i szarzy jak zwietrzałe, kamienne ruiny jakiejś wymarłej cywilizacji. Wszystkie prezenty kupiła podczas ostatniego weekendu, przepychając się przez tłum, który przelewał się i krzychał przy ladach sklepowych, ale już straciła ochotę na ich dawanie. Jeszcze mniej cieszyło ją to, że sama coś dostanie i będzie musiała dziękować wszystkim za rzeczy, których nie potrzebuje i nie

będzie używać. Nie pomagało wmawianie sobie tego, co powtarzano jej przez całe życie: że liczą się intencje ofiarodawcy, a nie wartość prezentu. Jeszcze gorsze są te karteczki z napisem: „Najlepsze życzenia”. Takich życzeń już ani nie potrzebuje, ani nie wykorzysty. Były przeżytkiem, żałośnie ozdobnym, przechowywanym z jakichś niejasnych, nostalgicznych powodów jak fotografia nieżyjącej osoby.

Szła bez konkretnego celu w kierunku zachodnim, ulicą sklepów i eleganckich manekinów wystawionych w jasno oświetlonych szklanych klatkach. Minęła ostatni sklep i znalazła się na jakimś ciemniejszym odcinku. Kiedy dotarła do rogu, zorientowała się, że zmierza w kierunku parku. Przecięła jezdnię i skręciła na południe, podobnie jak strumień samochodów. Po lewej stronie miała muzeum, którego kamienny, rzeźbiony fryz uwypuklały obrzydliwe, pomarańczowe reflektory, używane coraz powszechniej jako nocne oświetlenie.

Z Peterem był problem. Nie wiedziała, co powinna mu kupić. Zdecydowała, że ubrania nie wchodzi w rachubę – on woli sam je wybierać. A co poza tym? Coś do mieszkania, jakiś sprzęt gospodarstwa domowego będzie wyglądał jak prezent kupiony dla siebie. W końcu postanowiła, że kupi grubą, drogą, fachową książkę o aparatach fotograficznych. Zupełnie nie znała się na tym, ale zawierzyła sprzedawcy w nadziei, że Peter jeszcze tego nie ma. Cieszyła się, że on ma różne zainteresowania – to zmniejsza prawdopodobieństwo ataku serca, kiedy będzie na emeryturze.

Przechodziła pod pochyłymi konarami drzew, które rosły w obrębie pobliskich parkanów i zakamarków uniwersytetu. Był to odcinek chodnika mniej uczęszczany, leżało tu więcej śniegu, w niektórych miejscach powyżej kostki. Stopy bolały ją z zimna. Właśnie gdy zaczęła zastanawiać się, dlaczego tak uparcie wędruje, przeszła na drugą stronę ulicy i znalazła się w parku.

Park wyglądał jak wielka mglistobiała wyspa w ciemnościach nocy. Samochody opływały ją w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara, a na skraju stały budynki uniwersytetu. Pomyślała, że jeszcze pół roku temu miały taki znajomy wygląd, a teraz, w tym zimnym powietrzu, biła od nich wrogość, której źródło rozpoznała w sobie samej; w jakiś dziwny sposób była o nie zazdrosna. Wolałaby, żeby

znikły wraz z jej odejściem, lecz one pozostały na miejscu, żyły dalej, tak samo obojętne na jej nieobecność, jak zapewne na jej obecność.

Szła dalej przez park po miękkim, sięgającym kostek śniegu. Tylko gdzieniegdzie znaczyły go, teraz już słabo widoczne, chaotyczne ślady stóp, większa część powierzchni była gładka i nietknięta. Pnie nagich drzew wynurzały się z niej, jakby śnieg był głęboki na siedem stóp i jakby powtykano je niczym świeczki w lukier na cieście. Czarne świeczki.

Znalazła się nieopodal betonowej sadzawki, z której latem biła fontanna. Teraz nie przybywało w niej wody, tylko śniegu. Przystanęła, żeby posłuchać odległych głosów miasta, które, jak się jej wydawało, krąży wokół niej. Czuła się zupełnie bezpieczna. Musisz uważać – powiedziała do siebie – nie wolno przestać się kapać. Podczas przyjęcia przez chwilę czuła się niebezpiecznie blisko jakiejś krawędzi. Teraz tamta reakcja wydała jej się śmieszna. Przyjęcie w pracy było zwyczajnym przyjęciem w pracy. Są po prostu pewne sprawy, przez które trzeba po drodze przebrnąć: szczegóły, ludzie, niezbędne rytuały. Potem wszystko się ułoży. Była prawie gotowa wrócić do domu i zapakować prezenty. Tak zgłodniała, że zjadłaby pół cielaka razem z liniami przerywanymi i całą resztą. Chciała jeszcze tylko postać minutę wśród śniegu falującego na tej wyspie, w tym spokojnym, otwartym oku ciszy.

– Cześć – usłyszała za sobą.

Wcale się nie przestraszyła. Odwróciła się: na brzegu ławki ustawionej w głębokim cieniu kępy wiecznie zielonych odmian drzew zobaczyła jakąś postać. Podeszła bliżej.

To był Duncan. Siedział skulony z papierosem tłącym się między palcami. Musiał już tam tkwić od pewnego czasu, ponieważ miał śnieg na włosach i ramionach. Jego ręka, kiedy Marian zdjęła rękawiczkę, by jej dotknąć, była lodowata i mokra.

Usiadła obok niego na ośnieżonej ławce. Wyrzucił papierosa, odwrócił się w jej stronę, a ona rozpięła guziki jego płaszcza i wtuliła się tam, gdzie pachniało wilgotnym ubraniem i dymem papierosowym. Objął ją ramionami.

Miał na sobie kosmaty sweter. Pogłaskała go, jakby to była sierść. Wyczuła pod nim szczupłe ciało, kościste kształty wygłodniałego

zwierzęcia podczas klęski głodu. Wsunął mokrą twarz pod jej szalik, pod włosy, pod kołnierz płaszcza i dotknął karku.

Siedzieli bez ruchu. Miasto i czas poza białym kołem parku znikły niemal zupełnie. Marian czuła, jak jej ciało powoli drętwieje, przestały ją nawet boleć stopy. Wcisnęła się głębiej w kosmatą powierzchnię. Na zewnątrz padał śnieg. Nie mogła się zdobyć na wysiłek, żeby wstać...

– Długo ci to zajęło – odezwał się cicho po jakimś czasie. – Czekałem na ciebie.

Jej ciało zaczynało drżeć.

– Muszę już iść – powiedziała.

Na karku, w miejscu, gdzie dotykał jej twarzą, poczuła konwulsyjny skurcz mięśni.

Szła wolno przejściem między półkami w rytm przyciszonej muzyki, której dźwięki opływały ją, falując.

– Fasolka – powiedziała.

Znalazła puszki z napisem „Dla wegetarian” i wrzuciła dwie do drucianego wózka.

Muzyka przeszła w radosny walc. Marian szła dalej, próbując skoncentrować się na liście zakupów. Nienawidziła tej muzyki, ponieważ wiedziała, czemu służy: miała wprowadzić ludzi w euforyczny trans, obniżyć ich odporność na pokusy do punktu, w którym każda rzecz jest godna posiadania. Za każdym razem, gdy wchodziła do sklepu i słyszała tę rytmiczną muzykę płynącą z ukrytych głośników, przypominała sobie artykuł o krowach, które dawały więcej mleka, kiedy im puszczano nastrojowe melodie. Ale to, że wiedziała, o co im chodzi, nie znaczyło, że jest na to odporna. Ostatnimi czasy, kiedy się nie kontrolowała, kilkakrotnie zauważyła, że pcha wózek, kołysząc się jak lunatyczka, z oczami utkwionymi w jeden punkt, chociaż ręce wyrywały się w odruchu chwytania byle czego z kolorową etykietką. Zaczęła bronić się przed tym za pomocą list, które pisała przed wyjściem z domu dużymi, drukowanymi literami, zmuszając się w ten sposób, by nie kupować niczego spoza listy, mimo kuszącej ceny czy działającego na podświadomość opakowania. Kiedy czuła, że staje się wyjątkowo podatna, jako dodatkowe antidotum skreślała kolejne pozycje.

Ale w pewnych sprawach nigdy nie pułkują i zawsze będą górą. Czasami trzeba coś kupić. Zapoznała się z tym wystarczająco dobrze w pracy, żeby wiedzieć, że na przykład wybór między dwoma rodzajami mydła czy dwiema puszkami soku pomidorowego nie należy do tak zwanych racjonalnych. Nie ma żadnej istotnej różnicy między tymi produktami. Więc jak je wybierać? Można tylko oddać się tej kojącej muzyce i chwytać na chybił trafił. Wówczas pozwala się, żeby to, co ma reagować na etykiety, po prostu reagowało, niezależnie od tego, co to jest. Może ma to coś wspólnego z przysadką? Który detergent ma lepszy symbol mocy? Która puszka

soku pomidorowego ma najbardziej kuszący pomidor na etykiecie? Czy to ma dla niej jakieś znaczenie? Widocznie jednak ma, bo w końcu przecież wybrała i zrobiła akurat to, na co jakiś planista liczył i co przewidział w biurze wyłożonym persami. Przyłapała się niedawno na tym, że przygląda się sama sobie z abstrakcyjnym zaciekawieniem, żeby zobaczyć, jak się zachowa.

– Makaron – powiedziała. Podniosła wzrok znad listy, unikając w ostatniej chwili zderzenia z otyłą panią w wystrzępionych piżmakach. – No nie, znowu rzucili coś nowego. – Znała tę sprawę z makaronem. Kilka wieczorów spędziła w sklepach w dziale włoskim, by policzyć niekończące się rodzaje i typy pasty. Rzuciła okiem na makarony, góry makaronu, identycznego, w celofanowych opakowaniach, potem zamknęła oczy, szybko wyciągnęła rękę i zacisnęła palce na jakiejś paczce. Pierwszej z brzegu.

– Sałata, rzodkiewki, marchew, cebula, pomidory, natka – czytała z listy. To będzie proste. Łatwo się zorientować, patrząc na nie, chociaż niektóre są w torbach albo pęczkach związanych gumką i tak ułożonych, że w każdym jest kilka sztuk dobrych i kilka zepsutych. Pomidory, o tej porze roku różowe, z cieplarni i bez smaku, były zapakowane po cztery w tekturowym pudełku z celofanem. Skierowała wózek w stronę działu z warzywami, gdzie na ścianie widniał drewniany, stylizowany na ludowo, połyskujący szyld: „Ogród sklepowy”.

Apatycznie grzebała w warzywach. Kiedyś lubiła dobrą sałatę, ale teraz jadła jej tak dużo, że zaczynała ją już nużyć. Czuła się jak królik, który nieustannie chrupie góry zielska. Och, jak marzyła, żeby znowu stać się mięsożerna, żeby zjeść porządny kawał mięsa. Obiad świąteczny był trudny. „Ależ Marian, ty nic nie jesz!”, denerwowała się matka, kiedy Marian zostawiła na talerzu nietkniętą porcję indyka. Powiedziała, że nie jest głodna i że zjadła strasznie dużo sosu żurawinowego, ziemniaków purée i leguminy, kiedy nikt nie patrzył. Matka przypisała tę dziwną utratę apetytu nadmiarowi wrażeń. Marian pomyślała, że mogłaby powiedzieć, iż przeszła na nową religię, która zabrania mięsa, joga albo doukhobor, albo jeszcze coś innego, ale to nie był dobry pomysł: okropnie im zależało, żeby ślub odbył się w miejscowym kościele. A w ogóle to wyczuła w ich reakcji, o ile potrafiła jeszcze oceniać reakcje osób tak od niej odległych,

więcej spokojnego, mieszczańskiego zadowolenia niż dumy i radości, jakby ich obawa o skutki uniwersyteckiej edukacji, nigdy niewypowiedziana, ale zawsze obecna, została w końcu rozwiana. Zapewne martwili się, że zostanie nauczycielką w liceum, niezamężną ciotką, narkomanką, kobietą dyrektorem albo że znajdą w niej jakieś wstrząsające zmiany fizyczne, będzie miała wydatne mięśnie, niski głos i wąsy. Wyobraziła sobie te nerwowe rozmowy przy niezliczonych herbatkach. Teraz jednak, mówiły ich aprobujące oczy, wychodzi w końcu na ludzi. Nie znali jeszcze Petera, ale dla nich był jedynie wymaganą wielkością X. Niemniej byli ciekawi; ciągle namawiali ją, żeby przywiozła go na weekend. Przebywając w swoim mieście przez te dwa zimne dni, odwiedzając krewnych, odpowiadając na pytania, nie mogła uwierzyć, że rzeczywiście tam się znajduje.

– Chusteczki higieniczne – powiedziała. Spojrzała z niechęcią na różne rodzaje i kolory. – Co za różnica, w co się wyciera nos? – I na papier toaletowy we wzorki: kwiatki, zakrętasy i kropki. Niedługo będą produkować złoty papier toaletowy, jakby udawali, że służy do czegoś zupełnie innego, na przykład do pakowania prezentów gwiazdkowych. Nie ma już chyba żadnego ludzkiego paskudztwa, z którego nie zrobiliby użytku. Co, u licha, można zarzucić białemu papierowi? Przynajmniej czysto wygląda.

Matka i ciotki były oczywiście ciekawe sukni ślubnej, zaproszeń i innych tego typu rzeczy. W tej chwili, słuchając elektrycznych skrzypiec i wahając się między dwoma smakami budyniu ryżowego – nie miała żadnych zastrzeżeń co do tego rodzaju pożywienia, miało taki syntetyczny smak – nie mogła sobie przypomnieć, co wspólnie postanowiły.

Spojrzała na zegarek – zostało już niewiele czasu. Na szczęście puścili jakieś tango. Przesunęła się szybko w kierunku półek z zupami w puszkach, usiłując otrząsnąć się z otępienia. Zbyt długie przebywanie w sklepie bywa niebezpieczne. Któregoś dnia da się wciągnąć. Któregoś dnia przeoczy godzinę zamknięcia, a rano znajdują ją w stanie głębokiej śpiączki, opartą o jakąś półkę i otoczoną wszystkimi wózkami wyładowanymi po brzegi.

Przeszła do kas. Sklep prowadził jakiś specjalny program reklamowy, jakiś konkurs, którego zwycięzca miał jechać na trzy dni

na Hawaje. Nad witryną frontową wisiał duży plakat z półną dziewczyną w spódniczce z traw i w kwiatkach, a obok mały napis:

„Ananasy, 3 puszki 65 centów”. Kasjerka miała na szyi papierowy wieniec, pomarańczowe usta żuły gumę. Marian przyglądała się tym ustom, hipnotyzującym ruchom szczęk, wypukłości policzków pod warstwą ciemnoróżowego makijażu, popękanym wargom, spoza których błyskało kilka żółtych zębów jak u gryzonia; poruszały się, jakby żyły własnym życiem. Kasa podsumowała jej zakupy.

Pomarańczowe usta otworzyły się.

– Pięć dwadzieścia dziewięć – powiedziała. – Proszę wpisać nazwisko i adres na czeku kasowym.

– Nie, dziękuję – odparła Marian. – Nie chcę jechać.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i odwróciła się.

– Przepraszam, ale chyba zapomniała pani o moich kuponach – upomniała się Marian. Kupony to co innego, pomyślała, wychodząc z torbą pełną zakupów przez drzwi z fotokomórką w grząski, szary mrok. Przez jakiś czas nie brała kuponów; to jeszcze jeden ukryty sposób, w jaki ściągali pieniądze. Ale oni i tak ściągali, i to coraz więcej, więc zaczęła zbierać te kupony i chować do kuchennej szuflady. Teraz Ainsley oszczędzała na wózek dla dziecka i Marian postanowiła nie przepuszczać żadnej okazji. Przynajmniej tyle może dla niej zrobić. Ukwiecona Hawajka z tektury uśmiechała się do niej, kiedy brnęła w stronę stacji.

Kwiaty. Wszyscy chcieli wiedzieć, jakie będzie miała kwiaty. Myślała o liliach. Lucy zasugerowała kaskadę herbacianych róż i gipsofili. Ainsley była pełna pogardy.

– No tak, ślub musi być tradycyjny, bo to przecież Peter – powiedziała kiedyś. – Ludzie są tacy zakłamanymi, gdy chodzi o kwiaty na ślubie. Nikt nie chce przyznać, że tak naprawdę są symbolem płodności. A weź na przykład ogromny słonecznik albo snop pszenicy. Albo naręcze grzybów i kaktusów. To by było takie genitalne.

Peter nie chciał się mieszać w te sprawy.

– Tego typu decyzje pozostawiam tobie – powiadał z czułością, kiedy go wypytywała z całą powagą.

Ostatnio widywała go coraz częściej, ale coraz rzadziej w cztery oczy. Teraz, kiedy była już zaobrączkowana, Peter lubił się nią popisywać. Mówił, że chce, żeby lepiej poznała niektórych jego znajomych, i zabierał ją na koktajle z tymi bardziej oficjalnymi, a na kolacje i wieczorne spotkania z przyjaciółmi. Była nawet na obiedzie z jakimiś prawnikami, gdzie przez cały czas siedziała w milczeniu, uśmiechając się. Wszyscy koledzy byli dobrze ubrani i u progu kariery, i wszyscy mieli żony, które także były dobrze ubrane i u progu kariery. Wszyscy byli pełni zapału i wszyscy byli dla niej mili. Z trudnością kojarzyła tych ugrzecznionych mężczyzn z beztroskimi myśliwymi i rekordzistami w picciu piwa, którzy żyli we wspomnieniach Petera, chociaż czasem byli to ci sami ludzie. Ainsley nazywała ich „mydlarzami”, ponieważ kiedyś Peter przyjechał po Marian, przywożąc ze sobą kolegę, który współpracował z fabryką mydła. Marian najbardziej obawiała się tego, że może poplątać ich imiona.

Chciała być dla nich sympatyczna przez wzgląd na Petera, ale ponieważ przytłaczali ją, doszła do wniosku, że nadszedł czas, żeby Peter zaczął poznawać jej znajomych. To dlatego zaprosiła Clare i Joego na kolację. Poza tym czuła, że ich zaniedbała, chociaż pomyślała, że to dziwne, iż małżeństwa zawsze uważają się za zaniedbywane, kiedy się do nich nie dzwoni. Peter był niechętny – miał kiedyś okazję widzieć wewnątrz salonu Clary.

Kiedy już ich zaprosiła, zorientowała się, że menu będzie stanowiło wielki problem. Nie mogła im przecież dać mleka, masła arachidowego i witamin w drażetkach ani sałaty z twarogiem, nie mogła podać ryby, bo Peter nie lubił, ani mięsa, bo co by pomyśleli, widząc, że ona nie je? Nie potrafiłaby tego wytłumaczyć. Skoro sama tego nie rozumie, jak może wymagać, żeby oni zrozumieli? W tym miesiącu musiała wykreślić ze swego jadłospisu kolejne formy spożywania mięsa: hamburgery – po śmiesznej historyjce Petera o przyjacielu, który oddał hamburgera do analizy tak dla draki i dowiedział się, że zawiera mieloną sierść mysia; a także wieprzowinę – ponieważ Emmy w przerwie na kawę zabawiała je opowiadką o trychinozie i znajomej, która na to cierpi – nazwę choroby wymieniła z nabożnym lękiem. („Zjadła w restauracji mięso za bardzo różowe, nigdy bym czegoś takiego w restauracji nie zjadła.

Wyobraźcie sobie te wszystkie robale poskręcane w jej mięśniach! Nigdy ich stamtąd nie wyciągną”). A baraninę dlatego, że Duncan wyjaśnił jej etymologię angielskiego słowa *giddy*. Pochodzi ono od *gid*, co oznacza utratę równowagi z powodu dużych białych robaków, które barany mają w mózgach. Nawet hot dogi zostały wyeliminowane: żołądek przekonał ją że można zemleć każde świństwo i wepchnąć do środka. W restauracji zawsze można zrobić unik, zamawiając sałatkę, ale z gośćmi taki numer nie przejdzie, a już na pewno nie podczas kolacji w domu. Nie wypadało przecież podać im wegetariańskiej fasolki z puszki. Poratowała się potrawką z pieczarek z pulpecikami pomysłu matki, co powinno skutecznie wszystko zamaskować.

Zgaszę światło i zapalę świece, pomyślała, a przede wszystkim spiję ich sherry, żeby nic nie zauważyli. Planowała nałożyć sobie bardzo małą porcję, zjeść grzyby, a pulpeciki wepchnąć pod liście sałaty. Takie rozwiązanie nie było zbyt eleganckie, ale w tej sytuacji najlepsze, jakie potrafiła wymyślić.

Krojąc teraz pospiesznie rzodkiewki na sałatkę, dziękowała Bogu z kilku powodów: że przygotowała potrawkę poprzedniego wieczoru i że teraz wystarczy wstawić ją do piekarnika, że Clara i Joe przyjdą późno, po położeniu dzieci, i że ciągle może jeść sałatki. Coraz bardziej irytowało ją to, że jej organizm odmawia przyjmowania pewnych potraw. Próbowwała go przekonywać, zarzucała mu nieodpowiedzialne kaprysy, schlebiała mu i kusiła, ale pozostawał niewzruszony. A kiedy używała siły, buntował się. Jeden taki incydent w restauracji wystarczył. Peter oczywiście zachował się wówczas bardzo ładnie. Zawiózł ją prosto do domu, pomagał wejść po schodach jak choremu i upierał się, że cierpi na katar żołądka, ale jednocześnie był speszony i (co zrozumiałe) zły. Od tej pory postanowiła zaspokajać zachcianki swojego organizmu. Robiła wszystko, co chciał, a nawet kupiła witaminy, by zachować równowagę białka i soli mineralnych. Nie było sensu wpędzać się w kłopoty z powodu niedożywienia. Trzeba zachować spokój, powiedziała sobie. Kiedy czasami rozważała tę kwestię, dochodziła do wniosku, że stanowisko, jakie zajął jej organizm, jest etyczne: po prostu odmawiał jedzenia wszystkiego, co kiedyś żyło albo co może

jeszcze żyć (jak przepołowione ostrygi). Ale każdy dzień rozpoczynała ze smętną nadzieją, że może jednak jej ciało zmieni to postanowienie.

Natarła drewnianą miskę połową ząbka czosnku i wrzuciła krążki cebuli, plasterki rzodkiewki i pomidory, szarpała liście sałaty. W ostatniej chwili postanowiła dorzucić trochę tartej marchwi dla koloru. Wyjęła marchewkę z lodówki, po dłuższym namyśle ustawiła maszynkę do obierania w pojemniku na chleb i zaczęła obierać.

Patrzyła na swoje ręce, na maszynkę, na skręconą, kruchą pomarańczową skórkę. Uświadomiła sobie, co to jest marchew. Jest to korzeń, pomyślała, rośnie w ziemi i wypuszcza liście. Potem przychodzą ludzie i wykopują go, może nawet wydaje jakiś dźwięk, krzyk zbyt cichy, byśmy go mogli usłyszeć, ale nie od razu umiera, ciągle żyje, teraz też żyje...

Wydało się jej, że poczuła szarpnięcie. Upuściła marchewkę na stół.

– Nie – powiedziała bliska płaczu. – Tylko nie to!

R

Kiedy goście w końcu wyszli, a chwilę potem wyszedł także Peter, który pocałował ją w policzek i stwierdził wesoło: „Kochanie, my nigdy tacy nie będziemy”, Marian poszła do kuchni, zgarnęła resztki z talerzy do wiadra na śmieci i wstawiła talerze do zlewu. Kolacja nie udała się. Clara i Joe nie znaleźli nikogo do dzieci, więc zabrali je ze sobą, wtaszczyli po schodach, położyli spać – dwoje w łóżku Marian, jedno w łóżku Ainsley. Dzieciaki bez przerwy płakały i wydały, a fakt, że łazienka jest na półpiętrze, wcale nie okazał się ułatwieniem. Clara przynosiła je do salonu, żeby pocieszać i przewijać. Wcale nie czuła się skrępowana. Rozmowa się nie kleiła. Marian biegała tu i tam, podawała agrafki do pieluch i udawała, że jest pomocna, ale w duchu zastanawiała się, czy wypada przynieść z łazienki jeden z licznych odświeżaczy powietrza tej z dołu. Joe uwijał się żwawo, pogwizdując i podając co trzeba, Clara rzucała przepraszające uwagi w kierunku Petera:

– Takie są te małe dzieci, robią tylko kupy. Całkiem naturalne, wszyscy to robimy. Ale niektórzy – mówiła, podrzucając na kolanie najmłodsze – mają wyjątkowe wyczucie sytuacji. No nie, sraluchu?

Peter demonstracyjnie otworzył okno. W pokoju zrobiło się jak w lodowni. Marian, zrozpaczona, podała sherry. Peter nie wyniesie

z tego spotkania najlepszego wrażenia, ale nie wiedziała, co robić. Pomyślała, że Clara mogłaby jednak mieć trochę więcej skrupułów. Wprawdzie nie przeczyła, że jej dzieci śmierdzą, ale nie zrobiła nic, żeby to ukryć. Przyznawała się do tego, potwierdzała, a nawet wyglądało na to, że chce, aby to chwalono.

Kiedy dzieci zostały już pozawijane, uciszone i poukładane – dwoje na kanapie, jedno w koszu od wózka na podłodze – zasiedli do kolacji. Teraz, pomyślała Marian, porozmawiają sobie. Skoncentrowała się na ukrywaniu pulpetów na swoim talerzu, nie chciała występować z pozycji arbitralnych. Jakoś nie przychodziło jej do głowy nic inteligentnego.

– Clara mówiła mi, że jesteś filatelistą – odważyła się w końcu, ale z jakiegoś powodu Joe jej nie usłyszał, w każdym razie nie zareagował. Peter rzucił jej szybkie pytające spojrzenie. Siedziała, bawiąc się kawałkiem bułki i czuła się tak, jakby opowiedziała nieprzyzwoity dowcip, z którego nikt się nie śmiał.

Mężczyźni zaczęli rozmawiać o sytuacji międzynarodowej, ale Peter taktownie zmienił temat, gdy stało się oczywiste, że nie dojdą do porozumienia. Powiedział, że na studiach musiał zapisać się na kurs filozofii i że nigdy nie mógł zrozumieć Platona; może Joe potrafi mu go wytłumaczyć. Joe odpowiedział, że chyba nie, ponieważ jest specjalistą od Kanta, i zadał Peterowi fachowe pytanie na temat podatku spadkowego. Oboje z Clarą, dodał, należą do spółdzielczego towarzystwa pogrzebowego.

– Nie wiedziałam o tym – zwróciła się półgłosem do Clary, nakładając sobie drugą porcję makaronu. Wydało jej się, że jej talerz jest obnażony, że wszystkie oczy wpatrują się w niego, a ukryte pulpeciki widać przez liście sałaty jak kości w promieniach Roentgena. Żałowała, że postawiła dwie świece, a nie jedną.

– O, tak – odpowiedziała Clara z ożywieniem. – Joe nie uznaje balsamowania.

Marian obawiała się, że Peterowi może się to wydać zbyt radykalne. Kłopot polega na tym, westchnęła w duchu, że Joe jest idealistą, a Peter pragmatykiem. Można to było poznać po krawatach; krawat Petera był z wełny, ciemnozielony, elegancki, funkcjonalny, podczas gdy krawat Joego... Właściwie to już nie był krawat, a jakaś abstrakcyjna idea krawata. Oni sami też chyba dostrzegli tę różnicę.

Zauważyła, że wzajemnie przyglądali się swoim krawatom i pewnie obaj pomyśleli, iż nigdy w życiu nie nałożyliby czegoś takiego.

Zaczęła znosić kieliszki do zlewu. Było jej przykro, że kolacja się nie udała. Miała takie poczucie klęski, jakby została berkiem podczas przerwy między lekcjami. Ale w końcu dogadała się z Lenem, przypomniała sobie. Zresztą to nie było takie ważne. Clara i Joe należeli do jej przeszłości, a przecież nie można wymagać od Petera, żeby przystosowywał się do jej przeszłości; ważna jest przyszłość. Zadrżała z zimna, ponieważ w domu ciągle jeszcze było chłodno po otwarciu okna przez Petera. Będzie pachniało brązowym aksamitem i politurą, z tyłu rozlegną się szmery i pokastywania, potem odwróci się, zobaczy tłum przyglądających się twarzy, ruszą przed siebie i wyjdą na zewnątrz, a tam przywita ich biała nawałnica, kawałki papieru bijące w twarz, spadające jak śnieg na włosy i ramiona.

Zażyła witaminy i otworzyła lodówkę, żeby nalać sobie szklanek mleka. Powinny naprawdę coś zrobić z tą lodówką – albo ona, albo Ainsley. W ciągu ostatnich tygodni ich rotacyjny system porządkowy zaczął szwankować. Marian wysprzątała salon na ten wieczór, ale wiedziała, że zostawi nieumyte naczynia w zlewie, co oznaczało, że Ainsley zostawi swoje i że potrwa to tak długo, aż zużyją wszystkie naczynia. Każda z nich umyje talerz tylko wtedy, gdy będzie jej potrzebny, a reszta nadal pozostanie w zlewie. I ta lodówka: należało jej się nie tylko rozmrożenie. Półki były zapchane różnymi resztkami jedzenia w słoiczkach, w folii i w brązowych, papierowych torebkach... Niedługo zaczną śmierdzieć. Miała nadzieję, że zapach ten zbyt szybko nie rozprzestrzeni się po całym mieszkaniu, a w każdym razie nie dotrze na dół po schodach. Może będzie już po ślubie, kiedy wybuchnie epidemia.

Ainsley nie brała udziału w kolacji. Poszła do szkoły dla przyszłych matek, jak w każdy piątek wieczorem. Kiedy Marian składała obrus, usłyszała, że wchodzi na górę i idzie do swojego pokoju, a chwilę potem usłyszała głos:

– Marian?! Mogłabyś tu przyjść?

Weszła do jej pokoju i klucząc wśród stert ubrań zaścielających podłogę, zbliżyła się do łóżka, na które Ainsley rzuciła się przed chwilą.

– O co chodzi? – spytała.

Ainsley wyglądała na zrozpaczoną.

– Och, Marian – mówiła drżącym głosem – to straszne. Poszłam dzisiaj do szkoły. Byłam tak szczęśliwa, robiłam na drutach podczas pierwszego wykładu: „O zaletach karmienia piersią”. Mają nawet takie stowarzyszenie. Ale potem zjawił się ten psy-psy-psycholog i mówił o obrazie ojca. – Mówiła na granicy łez, więc Marian wstała, pogrzebała na kredensie i odkopała przybrudzony kawałek chusteczki higienicznej, na wszelki wypadek. Przejęła się. Ainsley nie płacze tak łatwo.

– Powiedział, że dzieciom niezbędny jest solidny obraz ojca – wykrztusiła, kiedy jej trochę przeszło. – To im dobrze robi, rozwijają się normalnie, zwłaszcza chłopcy.

– No dobrze, ale przecież chyba wiedziałaś o tym już wcześniej? – zauważyła Marian.

– Och, nie. Słuchaj, jest znacznie gorzej, niż myślałam. Podawał różne statystyki i wykresy. Naukowo stwierdzone. – Powstrzymywała się od płaczu. – Jeżeli będę miała chłopczyka, to jest absolutnie pewne, że wyrośnie na hoho-ho-homoseksualistę. – Na wzmiankę o jedynej kategorii mężczyzn, która nigdy nie zwróciła na nią najmniejszej uwagi, wielkie niebieskie oczy Ainsley wypełniły się łzami. Marian podała jej chusteczkę, ale Ainsley machnęła ręką. Wyprostowała się i odgarnęła włosy.

– Musi być jakieś wyjście – stwierdziła dzielnie, podnosząc głowę.

Trzymali się za ręce, idąc po szerokich schodach i mijając ciężkie drzwi, ale musieli się puścić, żeby przejść przez obrotową bramkę. Kiedy znaleźli się w środku, jakoś już nie wypadało brać się za ręce. Kościelna atmosfera, jaką stworzyła wysoka kopuła ze złotą mozaiką, pod którą stanęli, nie zachęcała do tego rodzaju cielesnych zbliżeń, nawet jeżeli w grę wchodziły tylko palce. Siwy strażnik w niebieskim mundurze zmarszczył brwi, biorąc od niej pieniądze. Marian skojarzyła ten grymas z mglistym wspomnieniem dwóch poprzednich wizyt podczas całodniowych wycieczek autokarem do miasta, kiedy była jeszcze w szkole podstawowej – a może wchodziło to w cenę biletu?

– Chodź – powiedział Duncan cicho, prawie szeptem – pokażę ci to, co mi się tu najbardziej podoba.

Wspinali się po kręconych schodach dookoła dziwnego totemu, coraz bliżej geometrycznego, łukowatego sklepienia. Marian tak dawno nie była w tej części muzeum, że wydało się jej wspomnieniem niezbyt przyjemnego snu, jak podczas przebudzenia po wycięciu migdałków. Na studiach miała zajęcia z geologii w podziemiach muzeum (był to jedyny sposób, żeby uniknąć religioznawstwa; od tej pory miała zgryźliwy stosunek do próbek skał) i czasami wpadała do kawiarni na parterze. Ale nie wchodziła na górę po marmurowych schodach, do środka tego naczynia w kształcie misy, wypełnionego powietrzem. Powietrze wyglądało teraz prawie jak ciało stałe, poprzecinane korytarzami kurzu tam, gdzie słabe, zimowe słońce przedostawało się przez wąskie okna wysoko nad ich głowami.

Przystanęli na chwilę, żeby spojrzeć ponad balustradą. Na dole grupa uczniów przechodziła przez kołowrót, by wziąć składane krzesła ze sterty ułożonej pod ścianą rotundy. Perspektywa skracała ich postacie. Gruba warstwa powietrza tłumiała przenikliwą wrzawę ich głosów tak, iż wydawało się, że są jeszcze dalej niż w rzeczywistości.

– Mam nadzieję, że tu nie wejdą – powiedział Duncan, odrywając się od marmurowej balustrady. Szarpnął ją za rękaw płaszcza,

odwracając i pociągając ku jednej z galerii. Powoli stąpali po skrzypiącym parkiecie, mijając rzędy oszklonych gablot.

W ciągu ostatnich trzech tygodni spotykała się z Duncanem często, ale już nie przypadkiem jak przedtem, tylko za obopólnym porozumieniem. Powiedział jej, że pisze następną pracę semestralną: *Monosylaby u Milтона*, która miała być dogłębną analizą stylistyczną, przeprowadzoną z radykalnego punktu widzenia. Utknął na pierwszym zdaniu: „Niezmiernie znaczący jest fakt, że...”, co trwało przez dwa i pół tygodnia, a ponieważ wyczerpał możliwości związane z pralnią, odczuwał potrzebę częstych ucieczek.

– A może znalazłbyś sobie jakąś studentkę z ostatniego roku anglistyki? – zapytała kiedyś, gdy ich twarze odbijające się w sklepowej szybie wydały się jej szczególnie źle dobrane. Wyglądała jak osoba wynajęta do wyprowadzania go na spacer.

– To nie byłaby ucieczka – odparł. – One też piszą prace semestralne. Musielibyśmy o tym rozmawiać. A poza tym – dodał ponuro – one nie mają wcale piersi. Albo – uzupełnił po chwili – mają za dużo.

Marian podejrzewała, że jest, jak to się mówi, wykorzystywana, ale wcale jej nie przeszkadzało być wykorzystywaną, dopóki wiedziała po co. Lubiła zachowywać pełną świadomość w tych sprawach. Jasne, że Duncan miał tak zwane wymagania wobec jej czasu i uwagi, ale znajomość z nim nie groziła koniecznością składania innych, bliżej nieokreślonych ofiar. Jego totalny egocentryzm działał w szczególny sposób kojąco. Stąd też, kiedy szeptał z ustami przy jej policzku: „Wiesz, ja ciebie wcale tak bardzo nie lubię”, zupełnie się tym nie przejmowała, ponieważ nie musiała odpowiadać. Kiedy Peter w podobnej pozycji szeptał: „Kocham cię”, i czekał na odpowiedź, należało się wysilać.

Czuła, że i ona wykorzystuje Duncana, chociaż jej motywy były niesprecyzowane, podobnie zresztą jak ostatnio wszystkie jej motywy. Czas miniony, w którym się dotąd poruszała (poczuła się dziwnie, kiedy zdała sobie sprawę z tego, że jednak się porusza; za dwa tygodnie, dzień po przyjęciu, jakie zamierzał wydać Peter, planowała pojechać do domu, a dwa, może trzy tygodnie później miała zostać mężatką), był tylko czasem oczekiwania, unoszenia się z prądem, trwania niezakłóconego żadnym prawdziwym

wydarzeniem, oczekiwaniem na jakieś wydarzenie w przyszłości, zdeterminowane innym wydarzeniem w przeszłości. Kiedy była z Duncanem, tkwiła w wirze czasu teraźniejszego; właściwie nie mieli żadnej przeszłości i na pewno żadnej przyszłości.

Duncan w irytujący sposób zupełnie nie przejmował się jej ślubem. Słuchał tych kilku rzeczy, jakie miała do powiedzenia na ten temat, uśmiechał się lekko, kiedy mówiła, że to chyba dobry pomysł, a potem wrzusał ramionami i odpowiadał beznamiętnie, że jego zdaniem to brzmi złowieszczo i że w końcu to jej sprawa. A następnie kierował rozmowę na złożony i nieodmiennie ciekawy temat swej własnej osoby. Wyglądało na to, że nie interesuje go, co stanie się z nią, kiedy znajdzie się poza zasięgiem jego wiecznej teraźniejszości. Jedyna jego uwaga na temat tego, co będzie po jej ślubie, implikowała podejrzenie, iż będzie musiał znaleźć sobie inny substytut. Ten brak zainteresowania podnosił ją na duchu, chociaż nie wiedziała dlaczego.

Przechodzili przez dział orientu. Było tam mnóstwo wyblakłych waz oraz polewanych i emaliowanych naczyń. Marian spojrzała na ogromny parawan pokryty niewielkimi podobiznami bogiń i bogów w złocie, okalający gigantyczną postać centralną: otyłą istotę podobną do Buddy, z uśmiechem pani Bogue kontrolującej mocą swej boskiej woli, ze spokojem i w aureoli tajemniczości, ogromną armię karłowatych gospodyń.

Niezależnie od jego motywów, zawsze cieszyła się, gdy dzwonił, niespokojny, rozkojarzony, i prosił o spotkanie. Musieli szukać ustronnych miejsc – zaśnieżonych parków, galerii sztuki, od czasu do czasu wpadali do jakiegoś baru (nigdy nie był to Park Plaza), co sprawiało, że ich nieliczne uściski były przypadkowe, ukradkowe, chłodne, ograniczone grubymi warstwami zimowych ubrań. Tego ranka zadzwonił do pracy i zaproponował, a właściwie zaordynował muzeum:

– Pożadam muzeum – powiedział.

Wyszła z pracy, udając, że ma wizytę u dentysty. Było to i tak bez znaczenia, ponieważ miała za tydzień odejść i jej następczyni już przygotowywała się do tej pracy.

Muzeum było miejscem dobrym. Peter nigdy by tam nie przyszedł. Obawiała się, że któregoś dnia Peter i Duncan spotkają się. Lęk

nieuzasadniony, ponieważ, po pierwsze, nie było powodu, myślała, dla którego Peter mógłby być niezadowolony – to nie miało z nim nic wspólnego, było oczywiste, że nie ma mowy o żadnej rywalizacji czy innych takich głupstwach, a po drugie nawet gdyby wpadli na siebie, zawsze może wytłumaczyć, że Duncan to kolega ze studiów czy coś w tym sensie. Jest bezpieczna. Najbardziej obawiała się nie zniszczenia czegoś w jej stosunkach z Peterem, ale tego, że któryś z nich może paść ofiarą tego drugiego; chociaż kto kogo zniszczy i dlaczego, nie wiedziała i ciągle ją niepokoiło, że ma takie dziwne przecucie.

Niemniej z tego właśnie powodu nie pozwalała mu przyjść do swojego mieszkania. To zbyt ryzykowne. Odwiedziła go kilka razy, ale zawsze jeden albo obaj współmieszkańcy byli w domu, podejrzliwi i dziwnie oschli. To sprawiało, że Duncan denerwował się jeszcze bardziej niż zwykle i szybko wychodzili.

– Dlaczego oni mnie nie lubią? – zapytała. Przystanęli, żeby przyjrzeć się bogato tłoczonej chińskiej zbroi.

– Kto?

– Oni. Tak się zawsze zachowują, jakbym cię miała połknąć.

– Właściwie trudno powiedzieć, że oni ciebie nie lubią. Mówili nawet, że wyglądasz sympatycznie i żebym zaprosił cię kiedyś na kolację, żeby cię lepiej poznali. Nie powiedziałem im – zaznaczył, powstrzymując się od śmiechu – że wychodzisz za męża. Chcą ci się lepiej przyjrzeć, przekonać się, czy pasowałabyś do rodziny. Próbują mnie osłaniać. Martwią się o mnie i dlatego biorą te witaminy na nerwy. Nie chcą, żebym się zdemoralizował. Uważają, że jestem za młody.

– Ale dlaczego ja jestem taka groźna? Przed czym cię osłaniają?

– No bo, widzisz, ty nie jesteś anglistką. I jesteś dziewczyną.

– Czy to znaczy, że oni nigdy nie widzieli dziewczyny? – zapytała dotknięta.

Zamyślił się.

– To chyba nie to. Niezupełnie. Och, nie wiem, ale przecież niewiele się wie o własnych rodzicach. Zawsze się myśli, że żyją w stanie jakiejś pierwotnej niewinności. Wydaje mi się, że Trevor jest zwolennikiem czystości w średniowiecznym wydaniu. Wiesz, takiej

ze Spencera. Co do Fisha, to on chyba uważa, że teoretycznie wszystko jest w porządku, bez przerwy o tym mówi. Żebyś wiedziała, jaki on ma temat pracy dyplomowej! Od początku do końca o seksie. Ale on uważa, że każdy powinien czekać na właściwą osobę, a wtedy to się odbiera jak wstrząs elektryczny. Pewnie wziął to z jakiejś sentymentalnej piosenki albo z D.H. Lawrence'a. Boże, jak on już długo czeka, on przecież ma prawie trzydziestkę...

Przepełniło ją współczucie. Zaczęła w myślach kompletować listę starzejących się znajomych dziewczyn, odpowiednich dla Fisha. Millie? Lucy?

Szli dalej, znowu skręcili i znaleźli się w następnej sali pełnej gablot. Labirynt korytarzy, wielkich sal i zakrętów sprawił, iż straciła orientację. Wydawało się, że w tej części muzeum nie ma nikogo.

– Czy ty wiesz, gdzie jesteśmy? – spytała, trochę zaniepokojona.

– Wiem – odparł. – Jesteśmy prawie na miejscu.

Przeszli pod jeszcze jednym lukiem. W porównaniu z zatłoczonymi i połączanymi salami Dalekiego Wschodu, które zwiedzali wcześniej, ta wydawała się stosunkowo pusta. Marian zorientowała się po malowidłach na ścianie, że są w dziale starożytnego Egiptu.

– Przychodzę tutaj czasami – mówił Duncan jakby do siebie – żeby pomedytować o nieśmiertelności. A to jest moja ulubiona gablota z mumią.

Marian spojrzała w dół. Za szybą widać było pomalowaną złotą twarz. Stylizowane szeroko otwarte oczy, otoczone ciemnoniebieską kreską, przyglądały się jej z wyrazem spokojnej obojętności. Na piersiach mumii widniał malowany ptak z rozpostartymi skrzydłami, każde pióro narysowane zostało bardzo dokładnie; podobne ptaki znajdowały się na udach i na stopach. Pozostałe elementy malowideł były mniejsze: kilka pomarańczowych słońc, połączane postacie, każda w koronie na głowie, jedne siedzą na tronach, inne w łodziach i powtarzający się motyw dziwnych symboli, przypominających oczy.

– Piękna – powiedziała Marian. Zastanowiła się, czy rzeczywiście tak myśli. Przez szybę mumia miała kształt dziwnie topielcowaty, jej złota skóra falowała...

– To chyba ma być mężczyzna – zauważył Duncan. Ruszył do następnej gabloty. – Czasami myślę sobie, że chciałbym żyć wiecznie. Nie trzeba by się wówczas przejmować czasem. Przemijanie! Ciekawe, dlaczego próby prześcignięcia czasu nigdy nie kończą się przynajmniej jego zatrzymaniem...

Podeszła bliżej, żeby zobaczyć, czemu się przyglądał. Ta mumia była otwarta, wewnątrz widniała pomarszczona postać. Pożółkłe płócienne bandaże zdjęto z głowy, by ukazać czaszkę, szarą, wyschniętą skórę, pasma czarnych włosów i zęby w zadziwiająco świetnym stanie.

– Doskonale zachowane – skomentował Duncan tonem, który sugerował, że coś niecoś zna się na tym. – Dzisiaj czegoś takiego nie umieliby zrobić, chociaż roi się od cmentarnych hien, które udają, że to potrafią.

Marian wzdrygnęła się i odwróciła. Zaintrygowała ją nie sama mumia – nie lubiła patrzeć na takie rzeczy – ale jawny zachwyty Duncana. Nie wiadomo, skąd przyszła jej do głowy myśl, że gdyby wyciągnęła rękę i dotknęła go, zacząłby się rozsypywać.

– To niezdrowe myśli – powiedziała.

– Co masz przeciwko śmierci? – zapytał Duncan, a jego głos nagle zabrzmiał bardzo donośnie w pustej sali. – Nie ma w niej nic niezdrowego. Wszystkim nam się przydarza, to całkiem naturalne.

– To nienaturalne lubić ją – zaprotestowała, odwracając się w jego stronę.

Uśmiechnął się do niej.

– Nie przejmuj się mną – powiedział. – Ostrzegałem cię. A teraz chodź, pokażę ci mój symbol łona. Niedługo pokażę to Fishowi. Odgraża się, że napisze krótką monografię dla „Victorian Studies” pod tytułem: *Symbole łona u Beatrix Potter*. Trzeba go powstrzymać.

Zaprowadził ją w najodleglejszy róg sali. Początkowo w słabnącym świetle dnia nie mogła się zorientować, co zawiera gablotę. Przypominało to kupkę kamieni. Po chwili rozpoznała szkielet, miejscami nadal pokryty skórą, ułożony na boku z podciągniętymi kolanami. Obok leżały gliniane naczynia i naszyjnik. Szkielet był tak mały, że wyglądał jak szkielet dziecka.

– Z epoki przed piramidami – odezwał się Duncan. – Zachowane w piasku pustynnym. Jak już będę miał dosyć, pójdę i się zakopię. Może zresztą wystarczy do tego biblioteka. Chociaż to miasto jest jak śmietnik. Wszystko by zgniło.

Pochyliła się nad gablotą. Karłowata postać wydawała się jej bardzo żałosna, z tymi wystającymi żebrami, cienkimi nogami i sterczącymi łopatkami wyglądała jak ludzie na fotografiach z krajów zacofanych albo z obozów koncentracyjnych. Nie tyle zapragnęła wziąć to w ramiona, co raczej poczuła bezradne współczucie.

Kiedy odchodziła od gabloty i podniosła wzrok na Duncana, z lekkim dreszczem przerażenia zobaczyła, że wyciąga do niej rękę. W takich okolicznościach jego chudość nie mogła być kojąca, więc odsunęła się nieznacznie.

– Nie bój się – powiedział – nie wstaję z grobu. – Ze smutnym uśmiechem przeciągnął dłonią po jej policzku. – Kłopot w tym, zwłaszcza z ludźmi, że kiedy ich dotykam i tak dalej, to nie mogę się skupić na powierzchni. Dopóki myśli się o powierzchni, to chyba wszystko jest w porządku i prawdziwe, ale jak tylko zaczyna się myśleć o tym, co jest w środku...

Pochylił się, żeby ją pocałować. Zrobiła unik, oparła głowę na jego ramieniu odzianym w zimowy płaszcz i zamknęła oczy. Wydawał się bardziej wątpliwy niż zazwyczaj; bała się objąć go zbyt mocno.

Usłyszała skrzypienie parkietu, podniosła głowę i napotkała badawcze spojrzenie szarych, surowych oczu. Należały do strażnika w niebieskim mundurze, który zaszedł ich od tyłu. Położył rękę na ramieniu Duncana.

– Przepraszam pana – powiedział uprzejmie, lecz stanowczo – ale... całowanie w sali mumii jest zabronione.

– Ach, tak – odparł Duncan. – Przepraszam.

Klucząc w drodze powrotnej po labiryncie sal, dotarli do głównych schodów. Strumień dzieciaków ze składanymi krzesłami wylewał się schodami na wprost i wpadli w nurt małych drepczących stóp, który wodospadem piskliwego śmiechu porwał ich na dół po marmurowych stopniach.

Duncan zaproponował, żeby poszli na kawę, więc siedzieli teraz przy brudnym kwadratowym stoliku w muzealnej kawiarni, otoczeni grupkami nieśmiałych i ponurych studentów. Marian od tak dawna kojarzyła picie kawy w restauracji z biurem i porannymi przerwami na kawę, że cały czas spodziewała się, iż trzy dziewczice biurowe zmaterializują się przy stoliku obok Duncana.

Duncan zamieszał swoją kawę.

– Śmietanki? – spytał.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała, ale zmieniła zdanie i naląła sobie trochę, doszedłszy do wniosku, że śmietanka jest pożywna.

– Wiesz, mam świetny pomysł: chodźmy do łóżka – odezwał się Duncan tonem towarzyskiej pogawędki, kładąc łyżeczkę na stole.

Marian zamarła. Wszystko, co zaszło między nimi (a co właściwie zaszło?), usprawiedliwiała tym, że według niej było to zupełnie niewinne. Zauważyła ostatnio, że niewinność miała jakiś niejasno sprecyzowany związek z ubraniem; kończyła się na linii kołnierzy i długich rękawów. Jej wyjaśnienia zawsze przybierały formę zmyślonej rozmowy z Peterem. Peter powiedziałby zazdrośnie: „Co też to ja słyszę, spotykasz się z jakimś kościstym naukowcem”. A ona na to: „Nie wygłupiaj się, Peter, to zupełnie niewinne. Przecież bierzemy ślub za dwa miesiące”. Albo za półtora, albo za miesiąc.

– Nie wygłupiaj się, Duncan – powiedziała. – To niemożliwe. Przecież za miesiąc wychodzę za mąż.

– To twoja sprawa – odparł. – Mnie nic do tego. Według mnie, pomysł jest świetny.

– Dlaczego? – zapytała, uśmiechając się mimo woli. Zdumiewające, jak dalece ignorował jej punkt widzenia.

– To nie chodzi o ciebie. Twoja osoba wcale nie roznieca we mnie dzikiej żądzy, nic takiego. Ale pomyślałem, że ty wiesz, jak to robić, że znasz się na rzeczy i że będziesz zachowywać się sensownie, spokojnie. Nie tak jak inne. Myślę, że byłoby dobrze, gdybym mógł pozbyć się tego czegoś na punkcie seksu. – Wysypał trochę cukru na stół i zaczął rysować wzorki wskazującym palcem.

– To znaczy czego?

– Może ja jestem utajonym homoseksualistą? – Zastanawiał się nad tym przez chwilę. – A może utajonym heteroseksualistą. W każdym

razie jestem porządnie utajony. Naprawdę nie wiem dlaczego. Oczywiście, kilka razy próbowałem, ale zawsze zaczynam myśleć o daremności takich wysiłków i rezygnuję. Może dlatego, że należy przy tym coś robić, a ja w pewnej chwili mam ochotę tylko leżeć i patrzeć w sufit. Kiedy mam pisać pracę semestralną, myślę o seksie, ale kiedy już przycisnę do muru jakąś chętną ślicznotkę albo kiedy harujemy w krzakach i wydaje się, że wszyscy są przygotowani na *coup de grâce*, zaczynam myśleć o pracach semestralnych. Wiem, że to chodzi o alternację rozrywki, obydwie te sprawy są w zasadzie rozrywką, ale po czym ja się rozrywam? A poza tym one są za bardzo literackie, dlatego że za mało czytały. Gdyby czytały więcej, wiedziałyby, że wszystko to już ktoś wcześniej zrobił. *Ad nauseam*. Jak one mogą być tak banalne? Tak jakoś omdlewają albo wiją się namiętnie i tak się okropnie starają. A ja myślę, o Boże, jeszcze jedno nieudolne naśladownictwo kogoś tam i tracę ochotę. Albo gorzej – zaczynam się śmiać. I wtedy dostają histerii. – W zamyśleniu zlizywał cukier z palców.

– Dlaczego myślisz, że ze mną będzie inaczej? – Zaczynała czuć się jak ktoś bardzo doświadczony i znający się na rzeczy, niemal jak matrona. Sytuacja, pomyślała, wymaga solidnych butów, nakrochmalonych mankietów i skórzanej torby pełnej igieł do strzykawek.

– Najprawdopodobniej nie będzie inaczej. Ale teraz, kiedy ci powiedziałem, przynajmniej nie wpadniesz w histerię.

Siedzieli w milczeniu. Marian rozmyślała nad tym, co powiedział. Podejrzewała, że bezosobowość jego propozycji jest obraźliwa. Ale dlaczego nie czuła się obrażona? Czuła natomiast, że powinna wykonać jakiś pomocny, kliniczny gest, na przykład zmierzyć mu puls.

– No tak... – Zamyśliła się. Zastanowiła się, czy ktoś ich nie słucha. Rozejrzała się po kawiarni i jej oczy napotkały wzrok potężnego mężczyzny z brodą, który siedział twarzą zwrócony do niej przy stoliku obok drzwi. Pomyślała, że mógłby być profesorem antropologii. Dopiero po chwili rozpoznała w nim jednego z kolegów Duncana. Towarzyszący mu blondyn, który siedział tyłem, to na pewno ten drugi.

– Jeden z twoich rodziców tam siedzi – poinformowała go.

Duncan obrócił się.

– O – powiedział. – Lepiej pójde i przywitam się.

Wstał, podszedł do ich stolika i usiadł. Odbyła się stłumiona wymiana zdań, po czym Duncan wrócił do Marian.

– Trevor pyta, czy nie przysłabyś na kolację – oznajmił tonem małego dziecka, które recytuje wyuczone polecenie.

– A ty chcesz, żebym przyszła? – spytała.

– Ja? Ależ oczywiście. No chyba. Dlaczego nie?

– Wobec tego powiedz mu – poleciła – że z przyjemnością.

Peter pracował nad jakąś sprawą, a Ainsley spędzała ten wieczór w szkole matek.

Poszedł przekazać im odpowiedź. Po chwili tamci dwaj wstali i wyszli, a Duncan usiadł przy niej i zgarbił się.

– Trevor się ucieszył i pobiegł, żeby wstawić coś do piekarnika – wyjaśnił. – Powiedział, że to nic specjalnego. Mamy przyjść za godzinę.

Marian chciała się uśmiechnąć, ale nagle zakryła usta ręką: przypomniała sobie listę rzeczy, których nie mogła jeść.

– Jak myślisz, co nam da? – zapytała cicho.

Duncan wzruszył ramionami.

– Nie wiem. On lubi nadziewać na szpikulce i podpalać. A bo co?

– Hm – powiedziała – bo jest mnóstwo rzeczy, których ja nie mogę jeść, to znaczy, ostatnio ich nie jadam. Na przykład mięso, jajka i niektóre warzywa.

Wcale się nie zdziwił.

– W porządku – odparł. – Ale Trevor jest bardzo dumny ze swojej kuchni. Mnie jest wszystko jedno, mogę jeść nawet hamburgery, ale on poczuje się dotknięty, jeżeli nie zjesz przynajmniej trochę tego, co będzie na talerzu.

– Będzie jeszcze bardziej dotknięty, jeżeli to zwrócę – zauważyła ponuro. – Może lepiej, żebym nie szła.

– Oj, chodź, coś wymyślimy. – Wyczuła w jego głosie nutę złośliwej ciekawości.

– Tak mi głupio. Nie wiem, dlaczego tak się ze mną dzieje, ale obawiam się, że nic na to nie poradzę. – Może im powiedzieć, że

jestem na diecie, pomyślała.

– Och, stanowisz zapewne przypadek przedstawicielki współczesnej młodzieży, która buntuje się przeciwko systemowi, chociaż to nieortodoksyjnie zaczynać od układu trawiennego. Zresztą czemu nie? – Zadumał się. – I tak zawsze uważałem jedzenie za śmiechu wartą działalność. Sam bym przestał, gdybym mógł, chociaż podobno trzeba jeść, żeby żyć.

Wstali i włożyli płaszcze.

– Osobiście – stwierdził przy wyjściu – wolałbym żywić się przez główną arterię. Jestem pewien, że gdybym znał odpowiednich ludzi, dałoby się to załatwić...

Kiedy znaleźli się w korytarzu, Marian zdjęła rękawiczki, włożyła ukradkiem rękę do kieszeni i odwróciła zaręczynowy pierścionek o sto osiemdziesiąt stopni. Uważała, że niezbyt taktownie byłoby popisywać się wszystko mówiącym brylantem przed współlokatorami Duncana, którzy z tak wzruszającą troską źle sobie wszystko zinterpretowali. Ostatecznie zsunęła pierścionek z palca. Potem zastanowiła się: Co ja robię? Za miesiąc wychodzę za mąż. Dlaczego nie mieliby się o tym dowiedzieć? I znowu go włożyła. Następnie pomyślała: Ale przecież już ich nigdy więcej nie spotkam. Po co komplikować sprawę na tym etapie? Ponownie go zdjęła i schowała do portmonetki.

Pokonali już schody i stali pod drzwiami, które otworzyły się za sprawą Trevora, nim Duncan zdążył dotknąć klamki... Trevor miał na sobie fartuch i przesiąknięty był delikatną wonią przypraw.

– Wydawało mi się, że was słyszę – powiedział. – Proszę, wejdźcie. Kolacja będzie za kilka minut. Tak się cieszę, że przyszłaś, e... e... – Pytająco utkwiał jasnoniebieskie oczy w Marian.

– Marian – odpowiedział Duncan.

– Ach, tak. Chyba jeszcze nie zostaliśmy sobie przedstawieni. – Trevor uśmiechnął się, a na policzkach pojawiły się dołeczki. – Dostaniecie dzisiaj bardzo skromne danie, nic specjalnego. – Zmarszczył brwi, zaciągnął się powietrzem, wykrzyknął ze zgrozą i skoczył w bok, do kuchni.

Marian zostawiła buty na gazecie za drzwiami, a Duncan wyniósł jej płaszcz do swojego pokoju. Weszła do salonu, szukając miejsca do siedzenia. Woląca nie zajmować purpurowego fotela Trevora ani zielonego Duncana – mogłoby to być kłopotliwe dla Duncana, kiedy wróci, nie chciała też siadać na podłodze wśród papierów – mogłaby rozrzucić czyjaś pracę naukową. Fish zabarykadował się w czerwonym fotelu, opierając deskę na poręczach, i w wielkim skupieniu zapisywał kolejny arkusz papieru. Prawie pusta szklanka stała tuż obok jego łokcia. W końcu usadowiła się na poręczy fotela Duncana i splotła ręce na kolanach.

Trevor szczebiocząc, wyszedł z kuchni z tacą, na której stały kryształowe kieliszki do sherry.

– Dziękuję – odparła Marian, kiedy stawiał jej kieliszek. – Jaki piękny kieliszek.

– Prawda, że eleganckie? Od lat należą do rodziny. Tak mało elegancji zostało w dzisiejszych czasach – zauważył, wpatrując się w jej prawe ucho, jakby rozciągał się tam widok na bardzo starożytną, ale szybko znikającą historię. – Szczególnie w tym kraju. Myślę, że wszyscy powinniśmy coś zrobić, by chociaż trochę jej zachować, prawda.

Kiedy pojawiła się sherry, Fish odłożył pióro. Wpatrywał się teraz uparcie w Marian; nie w jej twarz, ale w brzuch, gdzieś w okolicy pępka. Poczula się niepewnie i żeby to przerwać, powiedziała:

– Duncan mówił mi, że pracujesz nad Beatrix Potter. To brzmi interesująco.

– Że co? A, tak. Zastanawiałem się nad taką możliwością, ale ostatecznie zająłem się Lewisem Carrollem. To jest znacznie głębsze. Wiesz, dziewiętnasty wiek to dzisiaj świetna sprawa. – Odrzucił głowę do tyłu, położył na oparciu fotela i zamknął oczy. Jego słowa wydobywały się z czarnej gęstwiny brody niczym monotonicznie intonowana pieśń. – Każdy oczywiście wie, że Alicja to książka o kryzysie tożsamości płciowej, stara sprawa, wiadomo o tym już od dawna. Chciałbym się bardziej w to zagłębić. Mamy tu do czynienia, wystarczy się tylko lepiej przyjrzeć, z dziewczynką, która schodzi w głąb niezwykle dwuznacznej, króliczej nory i przechodzi w stan przed narodzeniem, usiłując odnaleźć swoją rolę – zwilżył wargi językiem – rolę Kobiety. Tak, to jest zupełnie oczywiste. Te wzorce same się wyłaniają, tak, wzorce wyłaniają się. Ukazują się jej różne role wynikające z płci, ale ona nie potrafi przyjąć żadnej, jest dokładnie zablokowana. Odrzuca Macierzyństwo, kiedy niemowlę, które niańczy, zamienia się w prosię; nie reaguje również pozytywnie na rolę dominującej kobiety, jaką jest Królowa, i na jej kastracyjne okrzyki: „Ściąć go”. A kiedy Księżna w sprytnie zakamuflowany sposób robi lesbijski wypad w jej kierunku – czasami zastanawiam się, na ile stary poczciwy Lewis wiedział, co pisze – to Alicja tego ani nie zauważa, ani jej to nie interesuje. Zaraz potem, pamiętasz, odbywa rozmowę z Żółwicielem, zamkniętym w skorupie

i rozczulającym się nad samym sobą – postać zdecydowanie w wieku przed pokwitaniem. Potem następują te najbardziej sugestywne sceny, najbardziej sugestywna, ta, w której jej szyja się wydłuża i kiedy zostaje oskarżona o to, że jest żmiją, wrogo nastawioną do jaj, pamiętasz, osobowość destruktywnie falliczna, którą ona z oburzeniem odrzuca. A szczególnie frapuje mnie jej negatywny stosunek do dyktatorskiego Pana Gąsienicy, który ma zaledwie pięć centymetrów i z wielką powagą usadowił się na stuprocentowo żeńskim grzybie, idealnie okrągłym, ale będącym za to w stanie każdego zmniejszyć albo powiększyć ponad miarę. No i poza tym obsesja czasu, jasne, że obsesja bardziej cykliczna niż linearna. Tak więc Alicja podejmuje wiele prób, ale nie chce się zdeklarować i nie można powiedzieć, żeby pod koniec książki osiągnęła coś, co można by definitywnie nazwać dojrzałością. Natomiast znacznie lepiej wypada w *Po drugiej stronie lustra*, gdzie, jak pamiętasz...

Rozległo się przytłumione, ale słyszalne parsknięcie. Marian podskoczyła. Duncan cały czas stał w drzwiach; nie zauważyła, kiedy wszedł.

Fish otworzył oczy, zamrugał, marszcząc brwi, spojrzał na Duncana, ale nim zdolał coś powiedzieć, do pokoju wpadł Trevor.

– Czy on znowu bredził o tych paskudnych symbolach i tak dalej? Osobiście nie pochwalam tego rodzaju krytyki literackiej, sądzę, że styl jest znacznie ważniejszy i że Fischer robi się zbyt wiedeński, zwłaszcza kiedy pije. Jest okropnie zepsuty oraz bardzo *démodé* – dodał jędzowato. – Najnowsza interpretacja Alicji polega na tym, że traktuje się ją po prostu jak czarującą książkę dla dzieci. Jestem już prawie gotowy. Duncan, czy możesz mi pomóc nakryć do stołu?

Fischer siedział i przyglądał się im, zatopiony w fotelu. Zsuwali dwa stoliki do kart, ostrożnie stawiając nogi w przerwach między stertami papierów i przesuwając papiery tam, gdzie to było konieczne. Następnie Trevor rozpostarł biały obrus na obu stolikach, a Duncan rozłożył srebrne nakrycia i talerze. Fish podniósł swój kieliszek i wypił zawartość jednym haustem. Zauważył drugi kieliszek, który też stał na jego blacie, i także go opróżnił.

– No, nareszcie! – zawołał Trevor. – Podajemy kolację!

Marian wstała. Oczy Trevora lśniły, a na białych jak mąka policzkach wystąpiły okrągłe, czerwone plamy podniecenia. Na

wysokie czoło opadł kosmyk blond włosów i zwisał bezwładnie. Zapalił świece na stole i obszedł pokój, gasząc stojące lampy. W końcu zabrał blat sprzed Fisha.

– Usiądź tutaj, e... Marian – polecił i znikł w kuchni. Usiadła na wskazanym miejscu. Nie mogła przysunąć się bliżej do stołu, ponieważ przeszkadzały jej stołowe nogi. Przebiegła oczami po potrawach; zaczęła od sałatki krewetkowej. W porządku. Z obawą myślała o tym, co jeszcze dostanie jej organizm do zjedzenia. Zapowiadało się, że podadzą jeszcze mnóstwo rzeczy, stół był gęsto zastawiony srebrami. Z ciekawością patrzyła na srebrną, bogato ozdobioną girlandami wiktoriańską solniczkę i gustowną dekorację z kwiatów, umieszczoną między świecami. Kwiaty – chryzantemy w podłużnym, srebrnym naczyniu – były prawdziwe.

Trevor wrócił i zajął miejsce najbliżej kuchni. Zaczęli jeść. Duncan został posadzony na wprost niej, a Fish z jej lewej strony. Marian cieszyła się, że kolacja odbywa się przy świecach – łatwiej będzie pozbyć się czegoś w razie potrzeby. Ciągle jeszcze nie wiedziała, jak sobie poradzi, jeżeli okaże się to konieczne, a trudno było przypuszczać, że Duncan na coś się przyda. Zamknął się w sobie i jadł automatycznie, a przeżuwając, wpatrywał się w płomienie świec, co sprawiało, że robił lekkiego zeza.

– Piękne są te srebra – zwróciła się do Trevora.

– Prawda? – uśmiechnął się. – Należą do rodziny od lat. Ta porcelana też jest śliczna, o wiele ładniejsza od tych skandynawskich wzorów, które dziś wszyscy mają.

Marian przyjrzała się deseniowi. Był to bogaty motyw kwiatowy uzupełniony muszelkami, rowkami i zawijasami.

– Cudne – rzekła. – Tyle sobie zadałeś kłopotu!

Trevor promieniał. Chyba mówiła to, co należało.

– Ależ to żaden kłopot. Uważam, że dobre jedzenie jest niezmiernie ważne. Dlaczego mielibyśmy jeść tylko po to, aby żyć, tak jak to robi większość ludzi? Sos sam wymyśliłem, smakuje ci? – Nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: – Nie znoszę tych sosów w butelkach, są takie pospolite. Kupuję prawdziwy chrzan na targu, nad morzem, ale o świeże krewetki bardzo trudno w tym mieście... – Przechylił głowę,

jakby czegoś nasłuchiwał, po czym zerwał się z miejsca i znikł w kuchni.

Fischer, który nie odezwał się, odkąd zasiedli do stołu, otworzył teraz usta i zaczął mówić. A ponieważ nie przestawał jeść, nabieranie jedzenia i wydawanie głosu odbywało się rytmicznie, jak oddychanie, zauważyła w duchu Marian. Sprawiał wrażenie, jakby utrzymywał ten rytm zupełnie automatycznie; całe szczęście, bo nie ulegało wątpliwości, iż gdyby przerwał, żeby o tym pomyśleć, na pewno by się zakrztusił. To musi być niezwykły ból, gdy w tchawicy uwięźnie krewetka, na dodatek w sosie chrzanowym. Patrzyła na niego zafascynowana. Mogła nie ukrywać tego, że mu się przygląda, ponieważ przeważnie miał zamknięte oczy. Widelec trafiał do jego ust kierowany jakimś mechanizmem albo zmysłem tylko jemu właściwym. Nie mogła zrozumieć, jak to się dzieje. Może jak u nietoperza fale ultradźwiękowe odbijają się od widelca albo może wąsy Fisha działały jak anteny. Nie zmienił rytmu nawet wtedy, gdy Trevor, który pracowicie pozbierał naczynia po koktajlu z krewetek, postawił przed nim talerz z zupą: otworzył oczy tylko na krótką chwilę, by po nieudanej próbie z widelcem wziąć łyżkę.

– Jeżeli chodzi o proponowany temat mojej pracy – zaczął – to mogą go nie przyjąć, oni tutaj są strasznie konserwatywni, ale nawet jeżeli odrzucają, mogę to napisać dla jakiegoś pisma. Żadna myśl ludzka nigdy się nie marnuje. W każdym razie w dzisiejszych czasach jest to sprawa wyboru między opublikowaniem a zniknięciem; jeżeli nie będę mógł zrobić tego tutaj, zawsze mogę to zrobić w Stanach. Temat, o którym myślę, jest rewolucyjny. Malthus i *metafora* twórcza. Malthus stanowi jedynie symbol tego, co chcę wykazać, a mianowicie istnienie oczywistego związku między wzrostem przyrostu naturalnego w obecnych czasach, powiedzmy na przestrzeni dwóch czy trzech wieków, głównie w osiemnastym i do połowy dziewiętnastego, a zmianą, jaka zaszła w stosunku krytyków do poezji oraz wynikającą z tego zmianą w sposobie, w jaki poeci ją piszą i, och, mógłbym swobodnie objąć tą pracą wszystkie dziedziny twórczości. Będzie to studium interdyscyplinarne, wychodzące poza zbyt sztywne w dzisiejszych czasach ramy, mieszanina, powiedzmy, ekonomii, biologii i krytyki literackiej. Horyzonty myślowe stają się zbyt ciasne, zbyt ciasne, ludzie za bardzo się specjalizują i dlatego

tracą z pola widzenia wiele spraw. Oczywiście będę musiał zdobyć trochę danych statystycznych i narysować kilka wykresów. Na razie poświęcam się rozmyśleniom przygotowawczym, badaniom podstawowym, koniecznej analizie dzieł autorów dawnych i współczesnych...

Do zupy podano sherry. Fish wyciągnął po omacku rękę po kieliszek i omal go nie przewrócił.

Marian znalazła się między młotem a kowadłem, ponieważ Trevor ledwie usiadł, zaczął mówić do niej z drugiej strony. Opowiadał o zupie, która była klarowna i delikatna w smaku, o tym, jak wydobywał z niej kolejno wszystkie smaki, pracowicie, minuta po minucie, na bardzo małym ogniu. A ponieważ był jedyną osobą przy stole, która patrzyła trochę na nią, czuła się w obowiązku patrzeć na niego. Duncan nie zwracał uwagi na nikogo, ale ani Fish, ani Trevor nie wyglądali na speszonych tym, że mówią jednocześnie. Widocznie byli do tego przyzwyczajeni. Zorientowała się, że wystarczy od czasu do czasu potakiwać i uśmiechać się z oczami skierowanymi na Trevora, a uszami na Fisha, który ciągnął:

– No bo dopóki zaludnienie, zwłaszcza wskaźnik na kilometr kwadratowy, było niskie, a stopa umieralności noworodków i śmiertelność wysokie, faworyzowano Narodziny. Człowiek żył w harmonii z celem, z cyklicznym rytmem natury, a ziemia mówiła: produkujcie, produkujcie. Bądźcie płodni, mnożcie się, jak pamiętasz...

Trevor podskoczył i obiegł stół dokoła, żeby zebrać talerze po zupie. Jego głos i ruchy nabierały coraz większej szybkości: wpadł i wypadł z kuchni jak kukułka z zegara. Marian rzuciła okiem na Fisha. Chyba kilka razy nie trafił łyżką do ust i jego broda zaczynała się lepić od rozlanej zupy. Wyglądał jak niemowlę z wąsami w wysokim krześle. Pomyślała, że powinien mieć śliniak.

Trevor wkroczył z czystymi talerzami i ponownie wyszedł. Słyszała go teraz z kuchni na tle monologu Fisha:

– I wobec tego również poeta czuł się takim samym producentem. Jego wiersz był, że tak powiem, spłodzony w nim przez Muzy, albo, powiedzmy, przez Apollina, stąd termin „inspiracje”, wszczęcie oddechu. Poeta był brzemienny swoim dziełem, wiersz przechodził okres ciąży, często długi, a kiedy w końcu gotowy był ujrzeć światło

dziennie, autor wydawał go na świat często w długich i silnych bólach. W ten sposób sam proces twórczości artystycznej był naśladownictwem Natury, tego w przyrodzie, co jest najważniejsze dla przetrwania rodzaju ludzkiego. To znaczy Narodzin; narodzin. A co mamy dzisiaj?

Rozległo się jakieś skwierczenie i wkrótce Trevor w teatralnej pozie pojawił się w drzwiach, trzymając w rękach płonące szpady. Marian była jedyną osobą, która raczyła na niego spojrzeć.

– O Boże! – zawołała z uznaniem. – Co za efekt!

– Prawda? Po prostu uwielbiam potrawy *flambé*. Tak naprawdę to wcale nie jest sziszkebab, ale bardziej z francuska, nie takie prostackie jak te greckie...

Kiedy wprawnym gestem zsunął na jej talerz to, co było nadziane na szpikulce, spostrzegła, że to przede wszystkim mięso. No tak, teraz przyparto ją do muru. Będzie musiała coś wymyślić. Trevor nalał im wina i tłumaczył, jak trudno znaleźć w mieście naprawdę świeży estragon.

– Moim zdaniem, mamy teraz społeczeństwo, w którym wszystkie wartości są antyurodzeniowe. „Zapobieganie ciąży”, powiadają: „Należy przejąć się eksplozją demograficzną, a nie nuklearną”. Czysty Malthus, z tym, że widzisz, wojna przestała już być sposobem na poważną redukcję liczby ludności. Łatwo w tym kontekście zauważyć, że rozkwit romantyzmu...

Inne dania zawierały ryż z dodatkami, aromatyczny sos do mięsa i jakąś nieokreśloną jarzynę. Trevor wszystkich częstował. Marian włożyła trochę ciemnozielonej substancji jarzynowej do ust na próbę, co przypominało akt składania ofiary rozgniewanemu bóstwu. Ofiara została przyjęta.

– ...zbiega się symptomatycznie ze wzrostem liczebnym ludzkości, który rozpoczął się oczywiście nieco wcześniej, ale osiągnął już niemal epidemiczne rozmiary. Poeta nie mógł teraz zadowolić się namiastkową rolą postaci matki, rodzącej dzieła, obdarzającej społeczeństwo kolejnymi dziećmi. Musiał stać się czymś innym. No a czymże jest, tak naprawdę, ów nacisk na indywidualną ekspresję? Zauważ, jest to ekspresja, wyciśnięcie, nacisk na spontaniczność, na twórczość od ręki. Dwudziesty wiek ma nie tylko...

Trevor znowu był w kuchni. Marian patrzyła z rosnącą rozpaczą na kawałki mięsa na swoim talerzu. Przyszło jej do głowy, żeby wsunąć je pod obrus. Ale przecież je tam odnajdą. Mogłaby włożyć je do torebki, gdyby nie zostawiła jej obok fotela. A może wrzucić je za dekolot albo do rękawa...

- ...malarzy, którzy rozchlapują farbę na płótnie w orgazmie energii. Mamy też pisarzy, którzy myślą o sobie w taki sam sposób...

Wsunęła nogę pod stół i ostrożnie stuknęła Duncana w goleń. Drgnął i spojrzał na nią. Przez moment patrzył tak, jakby jej w ogóle nie poznawał, ale już po chwili jego twarz wyrażała zaniepokojenie.

Zeskrobała sos z kawałka mięsa, wzięła w dwa palce i rzuciła mu ponad świecami. Złapał go, położył na talerz i zabrał się do krojenia. Zaczęła oczyszczać następny kawałek...

- ...ale nie że wciąż rodzą. Nie, wydawanie na świat owoców długotrwałej medytacji należy już do przeszłości. Ów Akt Natury, który Sztuka obecnie postanowiła naśladować, który zmuszona jest naśladować, to właśnie akt kopulacji...

Marian rzuciła drugi kawałek, który także został zręcznie pochwycony. Może powinni szybko zamienić się talerzami, pomyślała, ale nie, zostałyby to zauważone, ponieważ Duncan skończył jeść, zanim Trevor wyszedł z pokoju.

- Potrzeba nam kataklizmu - powiedział Fish. Jego głos brzmiał już niemal jak monotonna pieśń, przybierał na sile, zbliżał się do jakiegoś crescendo... - Tak, kataklizmu. Jeszcze jedna czarna zaraza, ogromny wybuch, miliony zmiecione z powierzchni ziemi, unicestwienie cywilizacji, jaką znamy. Wówczas Narodziny ponownie staną się konieczne, wówczas będziemy mogli powrócić do wspólnoty plemiennej, do dawnych, mrocznych bóstw ziemi, bogini ziemi, bogini wody, bogini narodzin, dojrzewania i śmierci. Potrzebna nam jest nowa Wenus, bujna Wenus ciepła, wegetacji i generacji, nowa Wenus, z wielkim brzuchem, tętniąca życiem, płodna, która niebawem urodzi nowy świat z całą jego obfitością, nowa Wenus wynurzająca się z morza...

Fischer postanowił wstać, zapewne po to, by dodać swym ostatnim słowom retorycznej emfazy. Gdy oparł ręce na stoliku, nogi stolika złożyły się, w wyniku czego najbliższy talerz zsunął mu się na kolana.

Kawałek mięsa, podrzucony przed chwilą przez Marian, szybował właśnie w powietrzu i uderzył Duncana prosto w głowę, odbił się od niej, poturlał po podłodze i wylądował na stercie papierów.

Trevor, trzymając w rękach porcję sałatki, przekroczył próg akurat na czas, by być świadkiem obu zdarzeń. Otworzył usta ze zdumienia.

– Nareszcie wiem, kim naprawdę chciałbym być – odezwał się Duncan, przerywając milczenie, które zapadło w pokoju. Patrzył spokojnie w sufit; na włosach miał białoszary ślad sosu. – Amebą.

R

Duncan powiedział, że odprowadzi ją kawałek do domu – chciał zaczerpnąć świeżego powietrza.

Na szczęście nic z zastawy Trevora się nie potłukło, chociaż różne rzeczy się powylewały; a kiedy na stole zapanował porządek i Fischer opadł na miejsce, mrużąc coś sam do siebie, Trevor z wdziękiem zbagatelizował cały incydent. Mimo to przez resztę kolacji, podczas sałatki, *pêches flambées*, ciasteczek kokosowych, kawy i likierów, jego stosunek do Marian był chłodniejszy.

Teraz, gdy śnieg skrzypiał pod ich butami, rozmawiali o tym, że Fischer zjadł plasterki cytryny ze swojej miseczki do płukania palców.

– Trevor oczywiście tego nie lubi – mówił Duncan. – Powiedziałem mu kiedyś, że skoro nie chce, żeby Fish zjadł cytrynę, to nie powinien jej tam wkładać. Ale on się uparł, żeby wszystko robić jak należy, chociaż nikt nie docenia jego wysiłków. Ja sam też zjadam zazwyczaj swój plasterki, ale dzisiaj nie zjadłem. Mielśmy gościa.

– To było bardzo... zajmujące – wyznała Marian. Rozważała brak podczas kolacji jakiegokolwiek wzmianki albo pytania dotyczącego jej osoby, a wyglądało na to, że została zaproszona, ponieważ koledzy Duncana chcieli ją lepiej poznać. Była jednak teraz więcej niż pewna, że chodziło im po prostu o zaspokojenie potrzeby nowego audytorium.

Duncan spojrzał na nią z sardonicznym uśmiechem.

– No, to teraz już wiesz, co się dzieje u mnie w domu.

– Mógłbyś się wyprowadzić – zasugerowała.

– Po co? Mnie to całkiem odpowiada. A poza tym kto potrafiłby się mną opiekować tak dobrze? Tak się o mnie martwić? Oni się

martwią, naprawdę, kiedy nie są pochłonięci żadnym hobby ani innymi sprawami. Tyle czasu zabiera im grzebanie się w mojej osobowości, że ja sam mógłbym się tym w ogóle nie zajmować. Właściwie powinni mi bardzo ułatwić przemianę w amebę.

– Skąd to zainteresowanie amebami?

– Są nieśmiertelne! – powiedział. – I bezkształtne, i zmienne. Bycie człowiekiem staje się bardzo skomplikowane.

Dotarli do szczytu pochyłości, która prowadziła do boiska baseballowego. Duncan usiadł na zaspie i zapalił; jakoś nigdy nie zwracał uwagi na zimno. Po chwili Marian usiadła obok niego. Ponieważ nie próbował jej objąć, sama go objęła.

– Chodzi o to – odezwał się po jakimś czasie – że chciałbym, żeby coś wreszcie było prawdziwe. Nie wszystko, bo to niemożliwe, ale jedna, dwie rzeczy. Taki Doktor Johnson obalił teorię nierealności materii, kopiąc kamień, ale ja nie mogę kopać moich współlokatorów. Albo profesorów. A poza tym może moja stopa jest nierealna? – Rzucił niedopałek na śnieg i zapalił następnego papierosa. – Sądzę, że ty mogłabyś być realna. To znaczy, gdybyśmy poszli do łóżka, bo Bóg mi świadkiem, że teraz jesteś całkiem nierealna, jedyne, co mi przychodzi do głowy, to te warstwy wełnianych ubrań na tobie, płaszcze, swetry i tak dalej. Czasami myślę, że cała jesteś z włóczki. Przyjemnie byłoby się przekonać, że tak nie jest...

Nie mogła oprzeć się takiej prośbie. Wiedziała, że nie jest z włóczki.

– No dobrze, przypuśćmy, że pójdziemy – odparła, teoretyzując. – Ale nie możemy iść do mnie.

– Ani do mnie. – Nie wykazał ani zdziwienia, ani radości z powodu jej implikowanego przyzwolenia.

– Pewno będziemy musieli pójść do hotelu – powiedziała – jako małżeństwo.

– Nikt w to nie uwierzy – zauważył ze smutkiem. – Ja nie wyglądam na żonatego. Ciągle jeszcze pytają mnie w barach, czy mam już szesnaście lat.

– Nie masz metryki?

– Kiedyś miałem, ale zgubiłem. – Odwrócił głowę i pocałował ją w nos. – Myślę, że moglibyśmy pójść do takiego hotelu, gdzie nie trzeba być małżeństwem.

– Co ty... Chcesz, żebym udawała... prostytutkę?

– No? Dlaczego nie?

– Nie – mówiła trochę obrażona. – Tego nie mogę zrobić.

– Też bym chyba nie mógł – zgodził się ponuro. – Motele odpadają, bo nie mam samochodu. Obawiam się, że na tym koniec. – Zapalił następnego papierosa. – Ach, to prawda: niewątpliwie byś mnie zepsuła. Ale z drugiej strony – powiedział z lekką goryczą – może mnie nie można zepsuć?

Marian patrzyła na boisko baseballowe. Noc była czysta i mroźna, a gwiazdy na czarnym niebie paliły się zimnym światłem. Kilka godzin wcześniej spadł śnieg, drobny i puszysty, i park był teraz białą płaszczyzną, nieskalaną śladami. Zapragnęła nagle zbiec na dół, biegać i skakać po parku, robić ślady, labirynty i nieregularne ścieżki. Ale wiedziała, że za chwilę spokojnie przejdzie przez park w kierunku stacji.

Wstała i strzepnęła śnieg z płaszcza.

– Idziesz dalej? – spytała.

Duncan również wstał i włożył ręce do kieszeni. Jego twarz obejmował cień, a miejscami żółty poblask słabej latami ulicznej.

– Nie – odrzekł. – Do zobaczenia, może kiedyś.

Odwrócił się, a jego sylwetka rozplynęła się niemal bezgłośnie w granatowym mroku.

Dotarłszy do rozświetlonego pastelowego prostokąta stacji kolejki, Marian wyjęła portmonetkę i spomiędzy bilonu wygrzebała pierścioneł zaręczynowy.

Marian odpoczywała na brzuchu, z zamkniętymi oczami i popielniczką we wgłębieniu obnażonych pleców, gdzie postawił ją Peter. Leżał obok, palił papierosa i kończył podwójną whisky. W salonie z zestawu hi-fi płynęła nastrojowa muzyka.

Chociaż starała się zachować pogodną twarz, była zaniepokojona. Tego ranka jej organizm zajął nieprzejednane stanowisko wobec puszkowanego ryżu na mleku po wielu tygodniach przyjmowania go bez najmniejszego oporu. A tak dobrze było móc na nim polegać: dostarczał masy oraz – jak mówiła pani Withers, dietetyczka – był wzbogacony. Ale właśnie gdy polewała go śmietanką, nagle przemienił się w skupisko małych kokonów. Kokonów z mikroskopijnymi stworzeniami w środku.

Odkąd się to zaczęło, próbowała udawać, że nie dzieje się z nią nic złego, że to jakaś błaha dolegliwość, jak wysypka, że przejdzie. Ale teraz musiała z tego wybrnąć; zastanawiała się, czy nie powinna z kimś o tym porozmawiać. Mówiła już Duncanowi, ale to na nic, dla niego to normalne, a ją przecież dręczyła przede wszystkim obawa, że stała się nienormalna. Dlatego bała się powiedzieć Peterowi. Mógłby pomyśleć, że jest dziwaczką albo neurotyczką. Naturalnie jeszcze raz przemyślałby sprawę małżeństwa; mógłby zaproponować przełożenie ślubu do czasu, kiedy jej to przejdzie. Ona zrobiłaby tak samo, gdyby to o niego chodziło. Nie wyobrażała sobie, co będzie, kiedy się już pobiorą i nie da się tego dłużej przed nim ukrywać. Może będą jadali osobno.

Piła kawę i patrzyła na niezjedzony ryż, kiedy weszła Ainsley w niechlujnym, zielonym stroju domowym. Teraz już nie nuciła i nie robiła na drutach. Zamiast tego czytała mnóstwo książek, aby – jak twierdziła – opanować problem w zarodku.

Nim usiadła przy stole, ustawiła tam swoje drożdże z dodatkiem żelaza, kiełki pszenicy, sok pomarańczowy, specjalny środek przeczyszczający i witaminizowane płatki.

– Ainsley – odezwała się Marian – czy ty myślisz, że ja jestem normalna?

– Normalna to nie to samo co przeciętna – powiedziała Ainsley tajemniczo. – Nikt nie jest normalny. – Otworzyła książkę i zaczęła czytać, podkreślając coś czerwonym ołówkiem.

Ainsley i tak niewiele by pomogła. Kilka miesięcy temu stwierdziłaby, że coś jest nie w porządku z życiem seksualnym Marian, co byłoby śmieszne. Albo że to jakieś traumatyczne przeżycie w dzieciństwie, na przykład stonoga w sałacie albo takie, jak miał Len z kurczakiem. Ale, o ile Marian się orientowała, nic takiego jej się nie przydarzyło. Nigdy nie była wybredna w jedzeniu, nauczono ją zjadać wszystko, co było na talerzu; nie protestowała nawet przeciwko takim rzeczom jak oliwki, szparagi i kalmary, które – jak powiadają – trzeba nauczyć się lubić. Ostatnio Ainsley dużo mówiła o behawioryzmie. Powiedziała, że behawioryści potrafią leczyć takie choroby jak alkoholizm czy homoseksualizm; jeżeli pacjent naprawdę chce się wyleczyć, podsuwają mu skojarzenia związane z jego dolegliwością, a następnie dają mu środek zatrzymujący oddech.

– Behawioryści utrzymują, że niezależnie od przyczyny danych zachowań pewne zachowania mogą same stanowić problem – wyjaśniła. – Oczywiście są różne przeszkody. Jeżeli przyczyna jest głęboko zakorzeniona, to pacjenci zazwyczaj zmieniają nałóg, na przykład z alkoholu na narkotyki, albo popełniają samobójstwo. Ale ja potrzebuję nie lekarstwa, a środka zaradczego. Nawet jeżeli uda im się go wyleczyć, jeżeli on zechce dać się wyleczyć – ciągnęła ponuro – to i tak nie przestanie mnie oskarżać.

Ale Marian uważała, że w jej przypadku behawioryzm nie przyda się na nic. Cóż mógłby działać w tak negatywnej sytuacji? Gdyby była żarłokiem, to co innego. Ale przecież nie pokażą jej obrazów niejedzenia, a potem nie każą powstrzymać się od oddychania.

Przebiegła w myśli listę osób, z którymi mogłaby na ten temat porozmawiać. Dziewice biurowe na pewno by się tym zainteresowały i wysłuchały wszystkiego, ale to raczej mało prawdopodobne, żeby były w stanie dać jej jakąś konstruktywną radę. Poza tym jeżeli powie jednej, dowiedzą się wszystkie i w krótkim czasie wszyscy ich znajomi też będą o tym wiedzieli; prędzej czy później doszłoby to do Petera. Inni jej przyjaciele mieszkali gdzie indziej, w innych miastach, w innych krajach, a pisanie w liście uczyniłoby z tego

sprawę zbyt ostateczną. Ta z dołu... To już byłoby samo dno. Zachowałyby się jak rodzina, ale nic by nie zrozumiała. Wszyscy oni uznaliby to, że Marian ma coś nie w porządku z tak zwanymi funkcjami biologicznymi, za przejaw złego smaku z jej strony.

Postanowiła spotkać się z Clarą. Słaba nadzieja – na pewno nie będzie w stanie dać żadnej konkretnej rady – ale przynajmniej wysłucha. Zatelefonowała do niej, żeby upewnić się, czy będzie w domu, i wyszła wcześniej z pracy.

Zastała Clarę w kojcu ze średnim dzieckiem. Najmłodsze spało w koszu na stole w pokoju jadalnym. Arthura nie było widać.

– Fajnie, że jesteś – powiedziała. – Joe siedzi na uczelni. Zaraz stąd wyjdę i zrobię herbatę. Elaine nie lubi kojca – wyjaśniła – więc pomagam jej przyzwyczaić się do niego.

– Ja zrobię herbatę – powiedziała Marian. Traktowała Clarę jak obłożnie chorą, której przynosi się posiłki na tacy. – Zostań tam.

Upłynęło trochę czasu, nim wszystko znalazła, ale w końcu zgromadziła na tacy herbatę, cytrynę i jakieś herbatniki, które odkryła w koszu na bieliznę, zaniósła do pokoju i postawiła na podłodze. Podała Clarze filiżankę przez pręty.

– No i co nowego? – zapytała Clara, kiedy Marian usadowiła się na dywanie, żeby być na tym samym poziomie. – Na pewno jesteś teraz zajęta tymi wszystkimi przygotowaniami.

Patrząc, jak Clara siedzi w kojcu z dzieckiem, które gryzie guziki od koszuli, Marian po raz pierwszy w ciągu tych trzech lat poczuła, że jej zazdrości. To, co miało Clarę spotkać, już ją spotkało, stała się tym, czym miała się stać. Wcale nie chciała zamieniać się z nią rolami; chciała jedynie wiedzieć, czym się staje, na jaką drogę wkracza, żeby się przygotować. Bała się, że któregoś dnia może obudzić się rano już odmieniona, bez udziału świadomości.

– Claro, czy uważasz, że ja jestem normalna? – Clara znała ją od dawna, jej opinia będzie miała jakąś wartość.

Clara zastanowiła się.

– Tak, powiedziałabym, że jesteś normalna – odrzekła, wyjmując guzik z buzi Elaine. – Powiedziałabym, że jesteś prawie nienormalnie normalna, jeżeli mnie dobrze rozumiesz. A bo co?

Wątpliwości Marian zostały rozwiane. Sama też by tak odpowiedziała. Ale jeżeli jest normalna, to dlaczego właśnie ją to zaatakowało?

– Coś się ze mną ostatnio dzieje – powiedziała. – Nie wiem, co robić.

– O, a co? Nie, prosiaku, to jest mamusi.

– Nie mogę jeść różnych rzeczy. Mam jakieś wstrętne odczucia. – Zastanawiała się, czy Clara słucha jej z należytą uwagą.

– Wiem, o co ci chodzi – odrzekła Clara. – Ja mam zawsze takie uczucie przy wątróbce.

– Ale to są rzeczy, które kiedyś mogłam jeść. To nie to, że ich nie lubię, to nie jest sprawa smaku. Ja mam... – Trudno było to wytłumaczyć.

– Podejrzewam, że to nerwy panny młodej – powiedziała Clara. – Ja przed ślubem przez cały tydzień wymiotowałam. Joe też – dodała. – Przejdzie ci. Chciałaś dowiedzieć się czegoś o... seksie? – zapytała z delikatnością, która w ustach Clary wydała się Marian nedorzeczna.

– Nie, nie, dziękuję – odparła. Poczowała się już lepiej, chociaż była przekonana, że wyjaśnienie Clary nie jest właściwe.

Płyta znowu się zacięła. Marian otworzyła oczy. Z miejsca, w którym leżała, widać było zielony plastikowy lotniskowiec unoszący się w świetlnym kręgu lampy na biurku Petera. Miał nowe hobby – składanie modeli okrętów z gotowych elementów. Twierdzi, że przy tym odpoczywa. Sama mu pomagała zrobić ten model – czytała na głos instrukcję i podawała części.

Odwróciła głowę na poduszce i uśmiechnęła się do Petera. On też uśmiechnął się do niej – jego oczy błyszczały w półmroku.

– Peter – powiedziała – czy ja jestem normalna?

Roześmiał się i poklepał ją po siedzeniu.

– Na podstawie mojego niewielkiego doświadczenia mogę stwierdzić, że jesteś cudownie normalna, kochanie.

Westchnęła. Nie o to jej chodziło.

– Napiłbym się jeszcze. – W ten sposób prosił ją, żeby mu coś przyniosła. Popielniczka została usunięta z jej pleców.

Marian odwróciła się, usiadła, ściągnęła z łóżka jedno prześcieradło i zawinęła się w nie.

– Skoro już wstałaś, to bądź tak dobra i przełoż płytę.

Przełożyła płytę. W otwartej przestrzeni salonu czuła się naga, mimo prześcieradła i żaluzji; potem poszła do kuchni i przygotowała drinka. Czuła głód – zjadła niedużo na kolację – więc wyjęła z pudełka ciasto, które kupiła po południu, wracając od Clary. Poprzedniego dnia wypadały walentynki i Peter przysłał jej dwanaście róż. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, ponieważ uważała, że ona też powinna mu coś dać, ale nie wiedziała co. To ciasto nie było prezentem, tylko symbolem. Miało kształt serca, na wierzchu różowy lukier, i najprawdopodobniej było nieświeże. Ale liczył się kształt.

Wyjęła dwa talerzyki, widelce i dwie papierowe serwetki; przekroiła ciasto. Zdziwiło ją, że w środku jest także różowe. Włożyła kawałek do ust i gryzła powoli; było gąbczaste i pęcherzykowane jak tysiące... pęcherzyków płucnych. Wstrząsnął nią dreszcz, wypłuła ciasto na serwetkę, a resztę zrzuciła z talerzyka do śmieci, i wytarła usta w brzeg prześcieradła.

Weszła do sypialni ze szklanką dla Petera i z talerzykiem.

– Przyniosłam ci kawałek ciasta – powiedziała. To będzie próba, nie dla Petera, ale dla niej. Jeżeli on też nie będzie mógł tego zjeść, to znaczy, że ona jest normalna.

– Okropnie jesteś kochana. – Wziął od niej talerzyk i szklanę i postawił na podłodze.

– Nie jesz? – Przez chwilę była pełna nadziei.

– Potem – odparł – potem. – Odwinął ją z prześcieradła. – Trochę ci zimno, kochanie. Chodź tutaj i daj się ogrzać. – Jego usta miały smak whisky i papierosów. Pociągnął ją na siebie, zasześciło białe prześcieradło, spowił ją znajomy czysty zapach jego mydła; z głośnika płynęła nieprzerwanie lekka nastrojowa muzyka.

Później Marian leżała na brzuchu z popielniczką na plecach, tym razem oczy miała otwarte. Przyglądała się, jak Peter je.

– Ale zgłodniałem – powiedział i uśmiechnął się do niej. Nic dziwnego nie zauważył. Nawet okiem nie mrugnął.

Całkiem niespodziewanie nadszedł dzień pożegnalnego przyjęcia Petera. Marian spędziła popołudnie u fryzjera, ponieważ Peter zasugerował, żeby zrobiła coś z włosami. Napomknął również, że mogłaby kupić sobie jakąś sukienkę, która – jak to ujął – „nie byłaby taka mysia” jak wszystkie jej sukienki, co posłusznie zrobiła. Suknia była krótka, czerwona, z cekinami. Marian uważała, że nie jest w jej stylu, ale sprzedawczyni twierdziła, że jest.

– To w pani stylu – powiedziała z przekonaniem.

Sukienkę trzeba było trochę poprawić, więc odebrała ją dopiero po wyjściu od fryzjera i niosła teraz w różowo-srebrnym pudle, idąc do domu śliską ulicą. Głowę trzymała jak żongler kruchą złotą kulę. Nawet na dworze, w zimnym powietrzu późnego wieczoru, czuła słodko sztuczny zapach lakieru do włosów, którego użył fryzjer do przyklejenia poszczególnych kosmyków we właściwym miejscu. A przecież prosiła, żeby nie dawał za dużo. Ale oni i tak nigdy nie robią tego, o co się prosi. Traktują głowę jak tort, jak coś, co trzeba ostrożnie polukrować i udekorować.

Zazwyczaj czesała się sama i dlatego wzięła adres zakładu od Lucy, sądząc, że Lucy dobrze się na tym zna. Ale to chyba była pomyłka. Twarz i figura Lucy wymagały sztuczności: lakier do paznokci, makijaż i zawile kompozycje z włosów stapiały się z nią, stanowiły jedną całość. Na pewno wyglądałyby bez nich naga i niekompletna. Tymczasem Marian uważała, że na niej te rzeczy wyglądają jak dodatki, poprzyczepiane niczym łaty albo plakaty.

Gdy tylko weszła do tego dużego różowego pomieszczenia – wszystko tam było różowe i amarantowe, aż dziw, jak takie frywolne kobiece wnętrza mogą jednocześnie wyglądać tak funkcjonalnie – poczuła się tak bierna, jakby przyjmowano ją do szpitala na operację. Młoda kobieta o amarantowych włosach, która swoim wyglądem, mimo sztucznych rzęs i opalizujących szponów, niepokojąco przypominała pielęgniarkę, sprawdziła jej nazwisko na liście zapisanych klientek i zaraz przekazano ją personelowi.

Włosy umyła jej dziewczyna ubrana w różowy fartuszek; była spocona pod pachami. Miała silne dłonie profesjonalistki. Marian zamknęła oczy i oparła się plecami o stół operacyjny, podczas gdy mydlono jej głowę. Pomyślała, że byłby to niezły pomysł, gdyby pacjentom podawano środki znieczulające, gdyby ich po prostu usypiano na czas wykonywania tych wszystkich koniecznych fizycznych zabiegów. Świadomość, że jest tu jeszcze jednym kawałkiem mięsa, przedmiotem, nie sprawiała jej przyjemności.

Potem przywiązano ją do fotela – właściwie niezupełnie przywiązano, ale nie mogła wstać i wybiec na zimową ulicę z mokrymi włosami i operacyjną chustą na szyi. Zabrał się teraz do dzieła ktoś przypominający lekarza, młody mężczyzna w białym kitlu, pachnący wodą kolońską. Miał zwinne szczupłe palce i buty o spiczastych noskach. Siedziała bez ruchu, podając mu klipsy, zafascynowana uwieczoną w owalu lustra udrapowaną postacią w złocistej ramce, półką z lśniącymi instrumentami i lekami w buteleczkach stojących na stole przed nią. Nie widziała, co fryzjer robi za jej plecami. Całym jej ciałem zawładnęła dziwna niemoc.

Kiedy ostatni klips, wałek i spinka znalazły się na właściwym miejscu, a jej głowa wyglądała jak jakiś jeź mutant, pokryty zaokrąglonymi, owłosionymi naroślami zamiast kolców, zabrano ją stamtąd, zainstalowano pod suszarką i podłączono. Spojrzała w bok, na linię produkcyjną złożoną z kobiet usadowionych w identycznych amarantowych fotelach pod identycznymi, warczącymi maszynami w formie grzybów. Widać było jedynie rząd dziwacznych stworzeń o nogach różnych kształtów, dłoniach trzymających kolorowe pisma i głowach, które były metalowymi kopułami. Obojętne, absolutnie obojętne. Czy to w tym kierunku ją popychano, do tej kombinacji warzywa z automatem? Elektrycznego grzyba?

Poddała się konieczności wytrwania i ze sterty leżącej pod ręką wzięła magazyn poświęcony gwiazdom filmowym. Z ostatniej strony przemówiła do niej blondyna z ogromnym biustem: „Dziewczęta! Kariera przed wami! Jeżeli naprawdę chcecie bywać na ważnych przyjęciach, rozwijajcie swój biust!...”

Kiedy jedna z pielęgniarek orzekła, że Marian już wyszła, zaprowadzono ją z powrotem na fotel, aby lekarz zdjął szwy. Zdziwiło ją, że nie wieźli jej na wózku. Przeszła obok rzędu tych, które smażyły

się powoli i jeszcze nie były gotowe, a chwilę później zdjęto jej z głowy wałki, wyszczotkowano włosy i uczesano, potem uśmiechnięty lekarz trzymał przed nią lusterko pod takim kątem, aby mogła zobaczyć tył głowy. Spojrzała w nie. Nadał jej włosom, zazwyczaj prostym, dziwną formę ozdobioną wieloma zawiłymi, powyginanymi i usztywnionymi kosmykami, a z przodu wypracował dwa pejsy sterczące jak kły, po jednym na każdym policzku.

– Hm – powiedziała niepewnie, marszcząc czoło do lusterka. – Trochę, no... niezwykle to jak dla mnie. – Pomyślała, że w takim uczesaniu wygląda jak prostytutka.

– Ależ powinna pani częściej tak się czesać – zapewniał z makaroniarskim zapałem, chociaż wyraz zachwytu na jego twarzy nieco zbladł. – Trzeba próbować nowości. Trzeba czasem być odważnym, nie? – Zaśmiał się do niej figlarnie, ukazując nienaturalną liczbę równych białych zębów, w tym dwa złote; jego oddech miał zapach miętowej wody do ust.

Zamierzała poprosić go, by rozczesał niektóre efekty specjalne, ale rozmyśliła się, trochę dlatego, że onieśmiało ją to oficjalne otoczenie, specjalistyczne wyposażenie i dentystyczna pewność siebie – on przecież wie, co jest dobre, to jego praca – ale też trochę dlatego, iż w myślach właściwie wzruszyła ramionami. W końcu przecież sama tego chciała, przeszła przez te pozłacane bombonierkowe drzwi z własnej nieprzymuszonej woli i oto są konsekwencje, więc lepiej będzie, jeżeli pogodzi się z nimi. Peterowi pewno się spodoba. W każdym razie – zauważyła – będzie pasowało do sukni.

Ciągle jeszcze pod wpływem eteru wpadła do jednego z pobliskich wielkich magazynów handlowych z zamiarem skrócenia sobie drogi do stacji. Przeszła szybko przez dział gospodarstwa domowego, wzdłuż półek z patelniami, kamiennymi rondlami, pokazowymi modelami odkurzaczy i pralek automatycznych. Przypomniało jej to niespodziewaną żenującą lawinę, jaka spadła na nią w biurze poprzedniego dnia za sprawą dziewczyn. Był to jej ostatni dzień pracy. Lawina składała się ze ściereczek, łyżek wazowych, fartuszków z kokardkami oraz rad. Przychodziły też liczne, pełne niepokoju listy od matki, która ponaglała do wybrania wzorów porcelany, kryształów i srebra, ponieważ wszyscy chcieli wiedzieć, co kupić na

prezent ślubny. Chodziła po sklepach z zamiarem dokonania wyboru, ale jak dotąd nie potrafiła się na nic zdecydować. A następnego dnia miała jechać autobusem do domu. Trudno, musiała odłożyć to na później.

Obeszła stoisko z mnóstwem sztucznych, plastikowych kwiatów i szła, jak jej się wydało, głównym przejściem. Przed nią, na podwyższeniu, stał niski rozgorączkowany jegomość i demonstrował nowy rodzaj tarki z przystawką do wydrążania jabłek. Gadał i tarł jednocześnie, non stop, co i rusz podnosił dłoń pełną tartej marchwi, potem pokazywał jabłko ze zgrabną, okrągłą dziurką w środku. Grupka kobiet z torbami na zakupy przyglądała się w milczeniu. Ich zimowe płaszcze i śniegowce wyglądały szaro w sztucznym świetle podziemia; twarze wyrażały czujność i sceptycyzm.

Marian przystanąła na chwilę. Teraz za pomocą kolejnej przystawki człowieczek wykonał różę z rzodkiewki. Kilka kobiet odwróciło się i szacowało Marian wzrokiem. Kobieta z taką fryzurą, pomyślały zapewne, jest zbyt pusta, żeby poważnie interesować się tarką do jarzyn. Ile czasu trzeba, by dorobić się tego swojskiego nalotu, właściwego zarobkom poniżej średniej, tego skrawka wyleniałego futra, płaszcza wytartego przy mankietach i dokoła guzików, wytartej skóry na torebce, krzywo zaciśniętych ust i chytrych oczu; a przede wszystkim, kiedy nabywa się tego niewidocznego kolorytu, zapachu, tego zapachu spodniej warstwy spleśniałych obić na meblach i zniszczonego linoleum, który sprawia, że te kobiety pasowały do podziemia z artykułami przecenionymi, a ona nie?

Przyszłe zarobki Petera wykluczały tarki do jarzyn. Czuła się tu dyletantką.

Człowieczek zaczął z zapalem przerabiać ziemniak na papkę. Marian straciła zainteresowanie i zaczęła rozglądać się w poszukiwaniu żółtego znaku kolejki podziemnej.

Kiedy otworzyła drzwi wejściowe, uderzył ją trajkot kobiecych głosów. Zdjęła buty w przedpokoju i postawiła na gazetach, które w tym celu rozłożono. Stało tam już kilka innych par, wiele z nich na grubej podeszwie, niektóre wykończone czarnym futerkiem. Przechodząc obok drzwi do salonu, ujrzała kątem oka suknie, kapelusze, korale. Ta z dołu urządziła herbatkę; zapewne dla Cór

Imperium, a może dla Chrześcijańskich Wstrzemięźliwych. Dziecko w brązowym aksamicie z koronkowym kołnierzem roznosiło ciasteczka.

Wchodziła po schodach jak najciszej. Nie wiadomo dlaczego nie powiedziała jeszcze tej z dołu, że rezygnuje z mieszkania. Powinna to już zrobić kilka tygodni temu. Taka zwłoka może narazić ją na dodatkowe komorne z powodu zbyt późnego wymówienia. A może Ainsley zechce zostać tu z inną dziewczyną? To raczej wątpliwe. A przez najbliższe kilka miesięcy wręcz niemożliwe.

Wchodząc na górę, usłyszała głos Ainsley w salonie. Brzmiał bardziej twardo, bardziej stanowczo i bardziej nerwowo niż zwykle. Ainsley nie miała zwyczaju wpadać w złość. Drugi głos przerywał jej, odpowiadał. To głos Leonarda Slanka.

Tylko nie to!, pomyślała. Chyba się kłócili. Zdecydowanie nie chciała się w nic mieszać. Zamierzała wślizgnąć się niepostrzeżenie do swojego pokoju i zamknąć drzwi, ale Ainsley musiała usłyszeć jej kroki na schodach. Z drzwi salonu wychyliła się nagle jej twarz, za nią masa rozpuszczonych rudych włosów, potem reszta. Była potargana i widać było, że płakała.

– Marian – jęknęła, choć nie bez pewnej nuty stanowczości. – Musisz tu przyjść i porozmawiać z Lenem. Powiedz mu, że musi posłuchać głosu rozsądku. Masz ładne włosy – dodała zdawkowo.

Marian weszła za nią do salonu. Czuła się jak dziecinnie drewniana zabawka na sznurku, ale nie wiedziała, na jakiej podstawie moralnej, czym mogłaby uzasadnić swą odmowę. Len stał na środku pokoju i wyglądał na bardziej zmartwionego niż Ainsley.

Usiadła na krześle, nie zdejmując płaszcza, żeby służył jej jako amortyzator ewentualnych wstrząsów. Patrzyli na nią w milczeniu, ze złością, a zarazem błagalnie. Naraz Len krzyknął:

– Boże drogi! I po tym wszystkim ona żąda, żebym się z nią ożenił!

– O co ci chodzi? Nie chcesz przecież, żeby twój syn był homoseksualistą?! – naciskała Ainsley.

– Ja nie chcę żadnego syna, do cholery! Ja tego nie chciałem, sama to zrobiłaś, powinnaś to usunąć, musi być jakaś pigułka...

– Nie o tym mowa, nie bądź śmieszny. Ja to dziecko urodzę. Ale dziecko powinno mieć jak najlepsze warunki i twoim obowiązkiem

jest zapewnić mu ojca. Właściwy obraz ojca – próbowała teraz zdobyć się na nieco więcej cierpliwości i opanowania.

Len chodził po pokoju dużymi krokami.

– Ile taki ojciec kosztuje? Kupię ci. Wszystko ci kupię, ale nie ożenię się z tobą. Nie opowiadaj mi tu bzdur o odpowiedzialności, bo ja w ogóle nie jestem odpowiedzialny. Wszystko sama uknułaś, specjalnie dałaś mi się upić, to ty mnie uwiodłaś, to ty właściwie zawlokłaś mnie...

– A mnie się wydaje, że było trochę inaczej – przerwała mu Ainsley. – Byłam w stanie zapamiętać wszystko znacznie lepiej niż ty. W każdym razie – ciągnęła z nieodpartą logiką – ty myślałeś, że mnie uwodzisz. W końcu to też ma jakieś znaczenie, nie? Twoje motywacje. A gdybyś rzeczywiście mnie uwiodł i przypadkiem zaszłabym w ciążę? Co byś wtedy zrobił? Wtedy byłbyś rzeczywiście odpowiedzialny. Więc to jednak jest twój obowiązek.

Len wykrzywił twarz w uśmiechu, który był złą parodią cynicznego sarkazmu.

– Jesteś taka jak wszystkie, sofistka – wycodził głosem drżącym z wściekłości. – Zniekształcasz prawdę. Trzymajmy się faktów, dobrze, kochanie? Tak naprawdę to ja ciebie nie uwiodłem, to tylko...

– To nie jest ważne – powiedziała Ainsley podnieconym tonem. – Ty myślałeś, że to ty...

– Na litość boską, czy ty nie potrafisz być realistką?! – wrzasnął Leonard.

Marian siedziała dotąd cicho, patrząc to na jedno, to na drugie, i myślała o tym, jak dziwnie się zachowują: zupełnie nie panują nad sobą. Wreszcie odezwała się:

– Czy bylibyście łaskawi zrobić trochę mniej hałasu? Ta z dołu może usłyszeć.

– A ja pierdolę tę z dołu! – ryknął Len.

Ten niezwykły pomysł był tak bluźnierczy i zarazem tak śmieszny, że Ainsley i Marian wybuchnęły chichotem, pełnym przerażenia i zachwytu. Len spiorunował je wzrokiem. To stanowiło już ostateczną zniewagę, szczyt babskiego zuchwalstwa. Po tym wszystkim, w co go wpakowała, jeszcze się z niego śmieje! Porwał płaszcz z oparcia kanapy i rzucił się w stronę schodów.

– Idź do jasnej cholery razem z tą swoją przeklętą wiarą w płodność! – krzyknął i ruszył na dół.

Widząc, że jej się wymyka obraz ojca, Ainsley przybrała błagalny wyraz twarzy i wybiegła za nim.

– Och, Len, wracaj i porozmawiajmy poważnie – zaklinała. Marian też wyszła za nimi na schody, powodowana nie tyle przekonaniem, że może zrobić coś konkretnego czy pomocnego, co jakimś mglistym instynktem stadnym, jak leming. Wszyscy rzucają się ze skały, więc ona też to robi.

Zbiegając na dół, Len zaplątał się w stojący na półpiętrze kołowrotek. Przez chwilę miotał się jak w potrzasku, klnąc głośno. Ledwie się wyplątał, dopadła go Ainsley i właśnie szarpała go za rękaw, gdy damy, czujne na przejaw występuku jak pajak na drgania swej sieci, wybiegły z salonu i zbiwszy się w trzepotliwą gromadkę u stóp schodów, zadzierały głowy do góry, mając w oczach żądzę lęku. Dziecko też było wśród nich, nadal trzymające talerz z ciasteczkami, gapiło się z rozdziawioną buzią i szeroko otwartymi oczami. Ta z dołu, w czarnych jedwabiach i perłach, z godnością trzymała się z tyłu.

Len obejrzał się przez ramię, a potem zerknął w dół. Odwrót był niemożliwy. Wróg go otoczył. Ale nie miał wyboru, musiał odważnie przeć naprzód.

Miał za to audytorium. Przewrócił oczami jak rozwścieczony spaniel.

– Ach wy, szponiaste, łuskowate, krwiopijcze, pierdolone, kurewskie suki, idźcie do wszystkich diabłów! Wszystkie! W środku wszystkie jesteście takie same! – krzyknął.

I to z całkiem niezłą dykcją, pomyślała Marian.

Wyszarpnął rękaw z dłoni Ainsley.

– Nie omotasz mnie nigdy! – wrzasnął i ruszył w dół, ciągnąc za sobą płaszcz, który unosił się za nim niczym peleryna, rozpraszając gromadkę wieczorowych deseni i aksamitnych kwiatów. Wypadł przez drzwi frontowe, które zamknęły się za nim z głośnym trzaskiem. Podobizny pożółkłych przodków zaklekotały o ściany.

Ainsley i Marian wycofały się na górę przy akompaniamencie dobiegających z salonu rozgorączkowanych damskich pobekiwań

i świergotów. Głos tej z dołu wybijał się ponad inne, spokojny i łagodny.

– Ten młody człowiek z pewnością znajdował się w stanie upojenia.

– No tak. To byłoby chyba wszystko – podsumowała Ainsley krótko i rzeczowo, kiedy ponownie znalazły się u siebie.

Marian nie wiedziała, czy miało się to odnosić do Leonarda, czy do tej z dołu.

– Co wszystko?

Ainsley odrzuciła włosy do tyłu i poprawiła bluzkę.

– Myślę, że już go więcej nie zobaczymy. No i dobrze. Wątpię, czy byłby z niego dobry ojciec. Po prostu muszę postarać się o innego, to wszystko.

– Tak, chyba tak – odpowiedziała Marian bez przekonania. Ainsley ruszyła do swego pokoju równym krokiem, który wyrażał determinację, i zamknęła za sobą drzwi. W tej sprawie zapadło już chyba jakieś ostateczne, złowieszcze postanowienie. Zdecydowała się chyba na nowy plan, ale Marian nie chciała o tym myśleć. Myślenie i tak nic by nie dało. Cokolwiek ów plan zakładał, Marian i tak w żaden sposób nie mogłaby zapobiec jego wykonaniu.

Weszła do kuchni i zdjęła płaszcz. Potem, połykając witaminy, przypomniała sobie, że nie jadła tego dnia obiadu. Powinna coś wrzucić do żołądka.

Otworzyła lodówkę, żeby zobaczyć, co z jej zawartości nadaje się do jedzenia. Zamrażalnik był tak grubo pokryty lodem, że drzwiczki nie domykały się. Stały tam dwa pojemniki na lód w kostkach i trzy podejrzanie wyglądające tekturowe opakowania. Pozostałe półki były zapchane różnymi słoikami, talerzami przykrytymi miskami, paczuszkami z woskowego papieru i brązowymi torbami. Te bardziej w głębi leżały już tak długo, że nawet nie pamiętała od kiedy. Niektóre zdecydowanie zaczynały śmierdzieć. Jedyną rzeczą, która wzbudziła jej zainteresowanie, był kawałek żółtego sera. Zdjęła go z półki; pod spodem miał grubą warstwę zielonej pleśni. Odłożyła go na miejsce i zamknęła lodówkę. Stwierdziła, że wcale nie jest głodna.

– Może napiję się herbaty – powiedziała do siebie. Zajrzała do szafki, w której trzymały naczynia: pusto. Oznaczało to, że będzie musiała umyć filiżankę, ponieważ wszystkie były brudne. Podeszła do zlewu.

Wypełniały go po brzegi nieumyte naczynia: sterty talerzy, szklanki ze zmętniałą wodą, miski z resztkami czegoś, co już trudno było rozpoznać. Dno patelni, w której kiedyś ktoś robił makaron z serem, znaczyły plamy niebieskawej pleśni. Szklaną kompotierkę, zatopioną na dnie garnka, pokrywała cienka warstwa szarawego, śliskiego nalotu przypominającego glony w stawie. Były tam również wszystkie filiżanki wstawione jedna w drugą, z kólkami osadu po herbacie i kawie i ze zmętniałą śmietanką. Nawet biała, porcelanowa powierzchnia zlewu porośla brązowym kożuchem. Marian nie chciała niczego ruszać w obawie, że zobaczy, co dzieje się głębiej: Bóg jeden wie, jakie jeszcze zarazki pełzały pod spodem.

– Ohyda – powiedziała. Poczuła nagłą potrzebę odkręcenia kranu na najsilniejszy strumień i oblania wszystkiego płynem do zmywania; nawet ręka wyciągnęła się sama – ale zatrzymała się

w połowie drogi. A może ta pleśń ma takie samo prawo do życia jak ona? Taka myśl nie przynosiła ulgi.

Powlokła się do pokoju. Było jeszcze za wcześnie, żeby zacząć przygotowania do przyjęcia, ale nie potrafiła wymyślić, czym zapełnić czas. Wyjęła sukienkę z pudła i zawiesiła. Włożyła szlafrok i zabrała rzeczy niezbędne do kąpieli. Zstąpi na terytorium tej z dołu, chociaż być może będzie musiała odpierać jej ataki. Wyprę się jakichkolwiek związków z całym tym szaleństwem, niech wojuje z Ainsley, pomyślała.

Wanna napełniała się wodą, a Marian szorowała zęby, przyglądając się im w lustrze nad umywalką, żeby żadnego nie pominąć. Stare przyzwyczajenie. Postępowała tak nawet wtedy, kiedy nic nie jadła. To dziwne, myślała, jak wiele czasu spędza człowiek z drapiącą szczotką w dłoni i z ustami pełnymi piany, zaglądając sobie do ust. Zauważyła, że nad jedną z brwi, po prawej stronie, pojawił się mały pryszczyk. To dlatego, że nie jem jak trzeba; zachwianie przemiany materii albo równowagi chemicznej, albo jeszcze coś innego. Przyglądając się czerwonej plamce, odniosła wrażenie, że poruszyła się nieznacznie. Powinnam sprawdzić sobie oczy, niewyraźnie widzę; najprawdopodobniej astygmatyzm, pomyślała, spluwając do umywalki.

Zdjęła zaręczynowy pierścionek i położyła go w mydelniczce. Był na nią trochę za duży – Peter powiedział, że powinni go zmniejszyć, chociaż Clara twierdziła, że nie trzeba, że najlepiej zostawić, jak jest, ponieważ z wiekiem palce puchną, szczególnie w ciąży – i w związku z tym zaczęła się obawiać, że pierścionek zniknie kiedyś w otworze odpływowym. Peter wściekłby się – bardzo go lubił. Pokonała wysoką staroświecką krawędź wanny i zanurzyła się w ciepłej wodzie.

Starannie mydliła całe ciało. Woda koła, rozprężała. Miała mnóstwo czasu. Mogła poleżeć sobie z tą glazurowaną głową opartą dla bezpieczeństwa o brzeg wanny, unosić się w wodzie, która łagodnie obmywała jej prawie całkiem zanurzone ciało. Leżąc w ten sposób, obejmowała wzrokiem białe ściany, półprzezroczystą wodę, własne ciało podobne do wyspy wraz z jego wszystkimi zakamarkami i zagłębieniami, aż do końcowego cypla nóg oraz raf palców; a dalej drucianą półkę na mydło i w końcu kurki do wody.

Krany były dwa: jeden z gorącą, drugi z zimną wodą. Każdy miał bulwiastą, srebrną podstawę, w środku znajdowała się trzecia bulwa z dzióbkiem, którym leciała woda. Przyjrzała się im dokładniej: we wszystkich trzech srebrnych kulach zauważyła jakiś dziwnie rozplaszczony różowy kształt. Usiadła, wywołując na wodzie niewielkie fale, żeby sprawdzić, co to jest. Dopiero po chwili w wybrzuszonych i zniekształconych formach rozpoznała swoje własne zanurzone w wodzie ciało.

Poruszyła się, a wraz z nią poruszyły się trzy obrazy. Wcale nie były identyczne: dwa zewnętrzne pochylały się do środka, w kierunku tego trzeciego. To dziwne widzieć naraz aż trzy własne odbicia, pomyślała; odchyliła się do tyłu, potem skłoniła do przodu i obserwowała, jak różne części jej ciała, lśniące, srebrne, rozmazywały się i zmniejszały. Prawie zapomniała, że się kąpie. Wyciągnęła rękę w stronę kranów, obserwując, jak olbrzymieje.

Za drzwiami rozległy się kroki. Lepiej będzie, jak już wyjdzie; to prawdopodobnie ta z dołu chce wejść. Zabrała się do zmywania resztek mydła. Spojrzała w dół i uświadomiła sobie, że leży w wodzie pokrytej warstwą białawych cząsteczek mydła i brudu. Jej zanurzone ciało jakby już nie należało do niej. Ogarnęło ją przerażenie, że się rozpuszcza, warstwa po warstwie, jak kawałek tektury w kałuży.

Pospiesznie wyciągnęła korek i wyszła z wanny. Bezpieczniej było na suchej plaży zimnej kafelkowej podłogi. Wsunęła na palec zaręczynowy pierścionek, widząc w jego twardym kółku opiekuńczy talizman, który sprawi, że Marian pozostanie w całości, że się nie rozpuści.

A jednak kiedy szła po schodach, panika nie ustępowała. Nie była w stanie stawić czoła przyjęciu, tym wszystkim ludziom – znajomi Petera byli całkiem mili, ale w rzeczywistości wcale jej nie znali; będą wlepić w nią nic nierozumiejące oczy. Bała się, że straci swój kształt, rozplynie się, że nie będzie mogła się pohamować i zacznie (a to byłoby najgorsze) dużo mówić, coś opowiadać, płakać. Ponuro przyglądała się odświętnej, czerwonej sukience wiszącej w szafie. Co zrobić? Usiadła na łóżku.

Siedziała, gryząc bezmyślnie koniec wiązadełka od szlafroka, zamknięta w rozmokłym, bezkształtnym nieszczęściu, które opanowało jej umysł. Nie potrafiła powiedzieć, jak długo tkwi już

w tym stanie. Było całkiem możliwe, że pod napierającym zewsząd ciężarem nigdy nie będzie mogła podnieść się z łóżka.

– Ciekawe, która godzina? – powiedziała do siebie. – Muszę się przygotować.

Dwie lalki, których jednak nie wyrzuciła, wpatrywały się w nią z serwantki pustymi oczami. Kiedy spojrzała na nie, ich twarze drgnęły, a następnie przybrały wyraz odrobinę złowrogi. Rozzłościło ją, że tak siedzą beczynn timer po obu stronach lustra i przyglądają się, nie podsuwając jej żadnego praktycznego rozwiązania. Ale kiedy lepiej przyjrzała się ich twarzom, zauważyła, że tylko ta ciemna, ta z obłąającą farbą, na pewno jej się przyglądała, natomiast ta blond chyba jej nawet wcale nie widziała, bo okrągłe niebieskie oczy w gumowej głowie patrzyły prosto przed siebie.

Zamiast szlafrokowego wiązadełka gryzła teraz paznokiec. A może to jakaś gra, jakaś zmowa? Ujrzała w lustrze między nimi siebie, jakby przez chwilę znalazła się wewnątrz obu lalek naraz i wyglądała na zewnątrz: oto ona – niewyraźny zmokły kształt w zmiętym szlafroku. Oczy jasnowłosej widzą elegancką fryzurę, obgryzione paznokcie; ta ciemna patrzy głębiej, na coś, czego Marian nie może dostrzec. Obydwa zachodzące na siebie obrazy odsuwają się od siebie coraz dalej; środek, który je zespalał, za chwilę opustoszeje. Te lalki siłą swoich odrębnych spojrzeń próbowały ją rozerwać.

Nie mogła już dłużej wytrzymać. Zwlokła się z łóżka i wyszła do przedpokoju, pochyliła się nad telefonem i wykręciła numer. Rozległo się brzęczenie, potem odgłos podnoszonej słuchawki. Wstrzymała oddech.

– Halo? – odezwał się ponury głos.

– Duncan? – sprawdziła. – To ja.

– O! – Pauza.

– Duncan, czy mógłbyś dzisiaj przyjść na party? Do Petera. Wiem, że zapraszam za późno, ale...

– Mieliliśmy iść na intelektualne przyjęcie anglistów – odparł. – Całą rodziną.

– No to może mógłbyś przyjść później. Możesz ich ze sobą przyprowadzić.

– No, nie wiem...

– Proszę cię, Duncan. Ja tam nikogo nie znam, ja cię potrzebuję, chcę, żebyś przyszedł – powiedziała z naciskiem, który w jej ustach zabrzmiał obco.

– Wcale nie potrzebujesz – odpowiedział. – Ale może przyjdziemy. Tamto przyjęcie zapowiada się okropnie nudno, oni mówią tylko o ustnych, a poza tym czemu nie miałbym zobaczyć, za co wychodzisz.

– Och, dziękuję ci – ucieszyła się i podała mu adres.

Po odłożeniu słuchawki poczuła się o wiele lepiej. Więc to jest odpowiedź: zapewnić sobie na przyjęciu obecność ludzi, którzy ją naprawdę znają. Zagwarantuje to równowagę i wtedy da sobie radę... Wykręciła następny numer.

Spędziła przy telefonie pół godziny; przez ten czas zebrała wystarczającą liczbę gości. Clara i Joe przyjdą, jeżeli znajdą kogoś do dzieci, co razem z tamtymi trzema dawało pięć osób. I jeszcze dziewice biurowe. Mimo że się wahały z powodu – jak przypuszczała – spóźnionego zaproszenia: przyszpiliła je, mówiąc, że nie zapraszała wcześniej, sądząc, że przyjdą głównie małżeństwa, ale skoro ma być kilku samotnych kawalerów, to czy mogłyby zrobić to dla niej i przyjąć zaproszenie? Tak strasznie nudno samotnemu mężczyźnie na przyjęciu, dodała. Razem było już osób osiem. Po namyśle zaprosiła Ainsley – dobrze jej zrobi takie wyjście – i Ainsley, o dziwo, zgodziła się: to nie było przyjęcie w jej stylu.

Po krótkim zastanowieniu uznała, że nie będzie mądrze zapraszać Leonarda Slanka.

Skoro już poczuła się dobrze, mogła zacząć się ubierać. Wślizgnęła się w nowy gorset, kupiony do sukni, i zauważyła, że niewiele schudła; jadła dużo makaronu. Wcale nie miała zamiaru kupować gorsetu, ale sprzedawczyni, która podawała jej suknię i która sama była wciśnięta w gorset, przekonała ją i pokazała stosowny model z atłasowymi wstawkami i kokardą z przodu.

– Oczywiście, pani jest bardzo szczupła i tak naprawdę wcale pani nie potrzebuje gorsetu, ale ta suknia jest bardzo obcisła, a przecież nie chce pani, żeby było widać, że nie ma pani gorsetu, prawda? – rzekła.

Uniosła narysowane brwi. W tym momencie sprawa nabrała wagi problemu moralnego.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała Marian pospiesznie. – Tak, wezmę ten gorset.

Gdy nałożyła suknię, okazało się, że nie potrafi zasunąć zamka na plecach. Zastukała do Ainsley.

– Możesz mnie zapiąć? – poprosiła.

Ainsley była w halce. Zaczęła już się malować, ale na razie czarny zarys miało tylko jedno oko, a brwi jeszcze wcale nie było, co sprawiało, że jej twarz wyglądała niesymetrycznie. Kiedy zapięła zamek i haftkę, odsunęła się i spojrzała na Marian krytycznie.

– Dobra sukienka – powiedziała – ale co do niej włożysz?

– Jak to... do niej?

– Tak, ona robi wrażenie. Przydałyby się jakieś porządne, ciężkie klipsy albo coś innego do kompletu. Masz coś takiego?

– Nie wiem – odrzekła Marian. Poszła do pokoju, przyniosła szufladkę, w której trzymała świecidełka sprezentowane przez krewnych. Przeróżne imitacje pereł, pastelowe kompozycje z muszelek, kwiatki z metalu i szkła, zwierzątka.

Ainsley grzebała w tym wszystkim.

– Nie – powiedziała zdecydowanym tonem osoby, która dobrze się na tym zna. – Nic nie pasuje. Ale ja mam coś, co będzie w sam raz. – W wyniku poszukiwań, przewracania różnych rzeczy w szufladach i na komodzie wyciągnęła parę ciężkich złotych wisiorków, które przykręciła Marian do uszu.

– Tak jest znacznie lepiej – powiedziała. – Teraz się uśmiechnij.

Marian uśmiechnęła się słabo.

Ainsley pokiwała głową.

– Włosy masz w porządku – zawyrokowała – ale powinnaś dać mi się jeszcze umalować. Sama tego nie zrobisz. Umalujesz się jak zawsze za mało i będziesz wyglądała jak dziewczynka, która bawi się ubraniami mamusi.

Posadziła Marian na krześle, nierównym z powodu leżącej na nim sterty ubrań w różnym stopniu zabrudzonych, i założyła jej ręcznik wokół szyi.

– Najpierw zrobię ci paznokcie, żeby schły – oświadczyła, a zabierając się do piłowania, dodała: – Zdaje się, że obgryzasz.

Kiedy paznokcie były już pomalowane perłowobiałym lakierem i Marian ostrożnie trzymała ręce w powietrzu, Ainsley zajęła się makijażem, aplikując mikstury z całej baterii kosmetyków zalegających toaletkę.

W trakcie następnych etapów operacji jej skóra, a potem oczy i brwi zostały poddane dziwnym zabiegom. Marian siedziała biernie, podziwiając zręczność, z jaką Ainsley manipulowała jej twarzą. Przypomniały się jej matki podczas przedstawień szkolnych, malujące za kulisami swoje nad wiek rozwinięte córeczki. Przemknęła jej też przez głowę myśl o zarazkach.

W końcu Ainsley wzięła pędzelek i nałożyła na wargi kilka warstw lśniącego błyszczyka.

– Proszę – powiedziała, ustawiając lusterko tak, żeby Marian mogła się obejrzeć. – To co innego. Ale uważaj, dopóki klej do rzęs nie wyschnie.

Marian spojrzała na powieki pomalowane à la Egipcjanka, na oczy przysłonięte długimi rzęsami, oczy osoby, której nigdy przedtem nie widziała. Bała się nawet mrugnąć w obawie, że ta nałożona twarz popęka i odpadnie.

– Dziękuję – powiedziała bez przekonania.

– Teraz się uśmiechnij – poleciła Ainsley.

Uśmiechnęła się.

Ainsley zmarszczyła czoło.

– Ale nie tak – skrytykowała ją. – Musisz się do tego bardziej przyłożyć. Tak jakby ci powieki omdlewały.

Marian zawstydziała się. Nie wiedziała, jak to zrobić. Eksperymentowała, patrząc w lusterko, starając się odgadnąć, które mięśnie dałyby pożądaną efekt, i już była bliska czegoś, co mogło przypominać omdlenie, gdyby pominąć lekkiego zeza, kiedy na schodach usłyszała kroki. Po chwili stanęła w drzwiach, dysząc ciężko, ta z dołu.

Marian zdjęła ręcznik z ramion i wstała. Gdy w końcu udało się jej opuścić powieki, nie mogła ich szybko unieść z powrotem, by nadać oczom ich normalną i funkcjonalną szerokość. Trudno będzie w tej czerwonej sukni i z taką twarzą okazywać normalną uprzejmość, zgodną z wymogami sytuacji.

Ta z dołu stanęła zaszokowana na widok nowego stroju Marian – nagich ramion, wyzywającej sukni i umalowanej twarzy – ale celem jej wizyty była Ainsley, która stała boso w halce, z jednym okiem obwiedzionym czarną kreską i rudymi włosami wijącymi się na ramionach.

– Panno Tewce – zaczęła ta z dołu. Wciąż miała na sobie uroczystą suknię i perły; starała się zachowywać godnie. – Czekałam, aż się zupełnie uspokoję, żeby z panią porozmawiać. Nie chciałabym żadnych nieprzyjemnych scen, zawsze starałam się tego unikać, ale obawiam się, że będzie pani musiała opuścić ten dom. – Wcale nie była spokojna. Głos jej drżał. Marian zauważyła, że w jednej dłoni ściska koronkową chusteczkę. – To pijaństwo było wystarczająco okropne. Wiem, że te wszystkie butelki należą do pani, jestem pewna, że panna MacAlpin nigdy nie piła, przynajmniej nie więcej, niż wypada. – Ponownie zatrzymała wzrok na sukni Marian; jej pewność jakby osłabła, ale powstrzymała się od komentarzy. – Dobrze, że przynajmniej wniosła pani cały ten alkohol do domu dyskretnie. Nic nie mówiłam na temat nieporządku i bałaganu. Jestem osobą tolerancyjną i jeśli o mnie chodzi, uważam, że to, co ktoś robi w swoim pokoju, jest jego prywatną sprawą. I nie zareagowałam, kiedy ten młody człowiek, o czym doskonale wiem, proszę nie próbować kłamać, został tu na noc, nawet wyszłam następnego dnia z domu, żeby uniknąć nieprzyjemności. Dobrze, że dziecko nic nie widziało. Ale robić to publicznie – teraz już piszczała wibrującym, oskarżającym głosem – wyciągać podejrzanych znajomych w stanie upojenia alkoholowego na widok publiczny, żeby ludzie ich widzieli... Jakiż to zły przykład dla dziecka...

Ainsley rzuciła jej wściekłe spojrzenie; oko z czarną obwódką zabłyśło.

– Ach tak – odezwała się tonem równie oskarżającym, odrzucając włosy do tyłu i szerzej rozstawiając bose stopy na podłodze. – Zawsze podejrzewałam panią o hipokryzję, a teraz jestem już jej pewna. Pani jest burżuazyjną oszustką, nie ma pani żadnych prawdziwych przekonań, obchodzi panią tylko to, co powiedzą sąsiedzi, i pani ukochana reputacja! A ja to właśnie uważam za niemoralne. Niech się pani dowie, że ja też będę miała dziecko i nie mam zamiaru wychowywać go w tym domu. Nauczyłaby go pani nieuczciwości.

Byłaby pani złym przykładem. i powiem pani jeszcze, że jest pani największą przeszkodą dla Twórczej Siły Życia, jaką kiedykolwiek spotkałam. Wyniosę się stąd z prawdziwą przyjemnością. Im prędszej, tym lepiej. Nie chcę, żeby wywierała pani negatywny wpływ przedurodzeniowy.

Ta z dołu zbladła.

– Och – powiedziała słabo, chwytając się za perły. – Dziecko! Och, och, och! – Odwróciła się i wydając okrzyki przerażenia i oburzenia, schodziła chwiejnie na dół.

– Chyba będziesz musiała się wyprowadzić – odezwała się Marian. Czowała, że znajduje się w bezpiecznej odległości od tej nowej komplikacji. Następnego dnia wyjeżdżała do domu. Teraz, kiedy ta z dołu w końcu wymusiła konfrontację, Marian nie potrafiła sobie wyobrazić, że kiedykolwiek mogła się jej bać. Tak łatwo było ją obezwładnić.

– Tak. Jasne, że tak – odparła Ainsley spokojnie. Usiadła i zaczęła obrysowywać drugie oko.

Na dole zadzwonił dzwonek.

– To pewnie Peter – powiedziała Marian. – Już przyszedł. – Nie wiedziała, że jest tak późno. – Mam iść do niego, żeby mu pomóc. Szkoda, że nie możemy cię zabrać samochodem, ale chyba nie będziemy mogli czekać.

– Nie szkodzi – odrzekła Ainsley, rysując długą, wdzięcznie uniesioną, artystyczną brew w miejscu, w którym powinna znajdować się jej własna. – Przyjdę trochę później. Mam jeszcze coś do zrobienia. Jeżeli będzie dla dziecka za zimno, zawsze mogę wziąć taksówkę. To nie jest tak daleko.

Marian weszła do kuchni, gdzie zostawiła płaszcz. Powinnam coś zjeść, powiedziała do siebie. Niedobrze jest pić na pusty żołądek. Słyszała, jak Peter idzie po schodach. Wzięła jeszcze jedną witaminę. Kapsułki były brązowe, owalne, ostro zakończone jak twarde, brązowe nasiona. Ciekawe, co oni tam wkładają do środka, pomyślała, łykając.

Peter otworzył szklane drzwi swoim kluczem i zablokował zamek tak, żeby zostały otwarte dla gości. Weszli do holu i przeszli po szerokiej wykafelkowanej podłodze w kierunku schodów. Winda jeszcze nie działała. Peter mówił, że ją uruchomią pod koniec przyszłego tygodnia. Chodziła już winda towarowa, ale robotnicy ją zamykali.

Blok był prawie wykończony. Marian za każdą bytnością zauważała niewielkie zmiany. Znikały stopniowo zwały świeżych materiałów budowlanych, rur, surowych desek, pustaków, przeobrażając się w trakcie niezauważalnego procesu trawienia i asymilacji w lśniąca skórę, zamykającą przestrzeń, w której się teraz poruszali. Ściany i rząd kolumn pomalowano na głęboki pomarańczoworóżowy odcień, zainstalowano już oświetlenie, które działało teraz z całą swoją zimną mocą, ponieważ z okazji przyjęcia Peter włączył wszystkie światła. Na kolumnach pojawiły się też nowe, sięgające podłogi lustra; dzięki nim hol wydawał się szerszy i dłuższy, niż był w rzeczywistości. Ale dywany, meble, kanapy, które zostaną zapewne pokryte imitacją skóry, i nieuniknione szerokolistne filodendrony oplatające kawałki wyrzuconego na morski brzeg drewna jeszcze nie przybyły. Będą stanowić tę ostatnią luksusową warstwę i dodadzą nieco miękkości, choćby nawet syntetycznej, temu tunelowi złożonemu z jaskrawych świateł i kruchych powierzchni.

Wchodzili po schodach i Marian opierała się na ramieniu Petera. W korytarzach mijanych na każdym kolejnym piętrze widziała olbrzymie drewniane skrzynie i kanciaste kształty przykryte płótnem, stojące przy drzwiach do mieszkań. Najprawdopodobniej montowali wyposażenie kuchni, piecyki i lodówki. Już niedługo Peter przestanie być jedynym mieszkańcem w budynku. Wówczas włączą na cały regulator ogrzewanie; na razie w całym domu, z wyjątkiem jego mieszkania, temperatura była prawie tak niska jak na zewnątrz.

– Wiesz, kochanie – zaczęła Marian obojętnym tonem, kiedy dotarli na piąte piętro i przystanęli na chwilę, żeby złapać oddech – wynika

taka sytuacja, że musiałam zaprosić kilka osób. Chyba nie masz nic przeciwko temu.

Przez cały czas w samochodzie zastanawiała się, jak mu to powiedzieć. Nie byłoby dobrze, gdyby zjawili się bez jego wiedzy, chociaż miała wielką pokusę, żeby nic mu nie mówić i zawierzyć swojej umiejętności radzenia sobie z sytuacją w odpowiednim momencie. W zamieszaniu nie musiałyby może wcale wyjaśniać, dlaczego ich zaprosiła. Zresztą nie chciała wyjaśniać, nie potrafiłaby. Obawiała się jego pytań. Nagle zdała sobie sprawę, że zupełnie nie potrafi przewidzieć jego reakcji. Stał się wielką niewiadomą: równie dobrze mógł wpaść w dziką wściekłość, jak w ekstazę. Odsunęła się od niego na krok i wolną ręką przytrzymała poręczy. Nie wiadomo, co może zrobić.

Ale on uśmiechnął się do niej i tylko nieznaczna zmarszczka irytacji pojawiła się między brwiami.

– Naprawdę, kochanie? Im więcej, tym lepiej. Ale mam nadzieję, że nie zaprosiłaś za dużo. Nie wystarczyłoby nam alkoholu dla wszystkich, a najbardziej nie lubię przyjąć, na których brakuje picia.

Poczuła ulgę. Teraz, kiedy już to powiedział, uświadomiła sobie, że właśnie to powinien był powiedzieć. Była tak bardzo zadowolona, iż zareagował zgodnie z jej przewidywaniami, że mocniej ścisnęła jego ramię, którym objął ją w pasie, kiedy zaczęli znowu wspinać się po schodach.

– Niedużo – odpowiedziała. – Jakies sześć osób. – Tak naprawdę było ich dziewięć, ale ponieważ zachował się tak miło, zrobiła kurtuazyjny gest, pomniejszając ich liczbę.

– Znam ich? – spytał sympatycznie.

– No... Clarę i Joego – odpowiedziała, a jej chwilowe uniesienie zaczęło opadać. – Ainsley. Pozostałych nie znasz, to znaczy niezupełnie...

– Ho, ho, ho – zażartował. – Nie wiedziałem, że masz tylu przyjaciół, których nie znam. Ma się swoje małe tajemnice, co? Będę musiał je poznać, żeby dowiedzieć się wszystkiego o twoim życiu prywatnym. – Pocałował ją wspaniałomyślnie w ucho.

– Tak... – odparła niezbyt wesoło. – Jestem pewna, że ich polubisz.

Idiotka, wściekała się na siebie. Idiotka, idiotka. Jak mogła być taka głupia? Już widziała, jak to będzie. Dziewice biurowe zostaną zaakceptowane. Peter spojrzy na nie krzywo, przede wszystkim na Emmy; Clarę i Joego będzie tolerował. Ale pozostałych? Duncan jej nie wyda. A jednak? Może dla śmiechu albo z ciekawości zrobić jakąś aluzję. Weźmie go na stronę, jak tylko przyjdzie, i poprosi, żeby tego nie robił. Za to jego koledzy stanowili problem nie do rozwiązania. Chyba nie wiedzą, że jest zaręczona, więc wyobraziła sobie okrzyk zdumienia, jaki wyda Trevor, gdy się o tym dowie, jak spojrzy na Duncana i powie: Ależ kochana, myśleliśmy... I odpłynie w ciszy nabrzmiałej podejrzeniami groźniejszymi nawet od prawdy. Peter będzie wściekły, będzie uważał, że ktoś narusza jego prawo do prywatnej własności, nie będzie w stanie nic pojąć. I co wtedy? Po co, na Boga, ich zapraszała? To straszny błąd. Co zrobić, żeby nie przyszli?

Dotarli na siódme piętro i szli korytarzem do mieszkania Petera. Przed drzwiami leżały rozłożone gazety, żeby goście zostawiali tam kalosze i boty. Marian zdjęła swoje i postawiła starannie obok kaloszy Petera.

– Mam nadzieję, że pójda za naszym przykładem – powiedział. – Właśnie mi zrobili podłogę i nie chcę, żeby ją zdeptano. – Dwie samotne pary butów wyglądały jak czarna, skórzana przynęta w pustej gazetowej pułapce.

W mieszkaniu pomógł jej zdjąć płaszcz. Położył dłonie na jej nagich ramionach i delikatnie pocałował w kark.

– Mniam, mniam – powiedział. – Nowe perfumy.

W rzeczywistości były to perfumy Ainsley, jakaś egzotyczna mieszanka, którą dobrała do klipsów.

Zdjął płaszcz i powiesił w szafie przy drzwiach.

– Zanieś swój do sypialni, kochanie – polecił – a potem przyjdź do kuchni i pomóż mi to wszystko przygotować. Kobiety lepiej znają się na układaniu jedzenia na talerzach.

Przeszła przez salon. Jedyłą rzeczą, o jaką Peter niedawno wzbogacił wyposażenie mieszkania, był drugi, nowoczesny, skandynawski fotel, a większa część pokoju pozostawała pusta. Oznaczało to, że goście będą musieli krążyć, brakowało miejsc

siedzących. Jego przyjaciele z reguły nie siadali na podłodze, chyba że później, wieczorem. Duncan mógłby. Wyobraziła go sobie, jak siedzi ze skrzyżowanymi nogami na środku tego pustego pokoju z papierosem przyklejonym do ust, jak wpatruje się z niedowierzaniem na przykład w jednego z tych facetów od mydła albo w jedną z nowoczesnych skandynawskich nóg kanapy, podczas gdy pozostali goście krążą dokoła, zbytnio nie zwracając na niego uwagi, ale ostrożnie, żeby na niego nie stąpić, jakby był stolikiem do kawy albo jakimś niezwykłym przedmiotem, który może stanowić temat ożywionej konwersacji: jakimś mobilem z drewna i pergaminu. Może nie jest jeszcze za późno, żeby do nich zadzwonić i powiedzieć, żeby jednak nie przychodzili? Ale telefon stał w kuchni, Peter także.

Sypialnia, jak zwykle, była pedantycznie czysta. Książki i broń znajdowały się na swoim miejscu, a cztery modele statków służyły teraz jako podpórki do książek. Dwa aparaty fotograficzne, wyjęte z futerałów, stały na biurku. Do jednego z nich przyczepiona została lampa błyskowa z niebieską żarówką już wkręconą do wnętrza srebrnego zwierciadła w kształcie spodka. Reszta niebieskich żarówek leżała obok otwartego pisma. Marian położyła płaszcz na łóżku. Peter powiedział, że szafa nie pomieści wszystkich płaszczy i że kobiety mają kłaść swoje okrycia w sypialni. Wobec tego jej płaszcz, leżący z wyciągniętymi ramionami, okazał się bardziej funkcjonalny, niż na to wyglądało – pełnił rolę przynęty dla innych płaszczy. Dzięki niemu zorientują się, gdzie jest ich miejsce.

Odwróciła się i dostrzegła swoje odbicie w długim lustrze na drzwiach szafy. Peter był zaskoczony i zadowolony.

– Kochanie, wyglądasz absolutnie prześlicznie – powiedział, kiedy przyszedł po nią do domu. Chciał przez to zasugerować, że byłoby dobrze, gdyby zawsze tak wyglądała. Kazał jej odwrócić się, by mógł obejrzeć ją z tyłu, i też mu się podobało. Teraz zastanawiała się, czy rzeczywiście wygląda absolutnie prześlicznie. Powtarzała w myślach to wyrażenie. Nie miało ani konkretnego kształtu, ani smaku. Po czym to poznać? Uśmiechnęła się do siebie. Nie, to nie tak. Uśmiechnęła się inaczej, opuszczając powieki. Też nie bardzo. Odwróciła głowę i kątem oka obejrzała swój profil. Trudność polegała na tym, że nie obejmowała całościowego efektu; jej uwaga

zatrzymywała się na różnych szczegółach, do których nie była przyzwyczajona – na paznokciach, ciężkich klipsach, fryzurze, częściach twarzy, które Ainsley dodała albo zmieniła. Mogła zobaczyć tylko jedną rzecz naraz. Co znajdowało się pod powierzchnią, na której unosiły się te kawałki, co trzymało je razem? Wyciągnęła do lustra nagie ramiona. Była to jedyna część jej ciała nieprzykryta żadnym materiałem, nylonem, skórą czy lakierem, ale w lustrze nawet to wyglądało sztucznie, jak białoróżowa guma albo plastik, bez kości, miękki...

Zła na siebie, że znowu wpada w panikę, otworzyła drzwi szafy, żeby odwrócić lustro do ściany, i złapała się na tym, że przygląda się ubraniom Petera. Widywała je często, więc nie było powodu, żeby tak stać z ręką na krawędzi drzwi i wpatrywać się w ciemną szafę... Ubrania wisiały równo rzędem. Rozpoznała wszystkie garnitury, w których spotykała Petera, oczywiście poza ciemnym garniturem zimowym, który miał teraz na sobie. Oto jego wcielenie późnowiosenne, obok tweedowa codzienna marynarka, którą nosił do szarych flanelowych spodni, a następnie seria innych przeistoczeń od późnego lata do końca jesieni. Odpowiednie buty stały równo na dole, a w każdym tkwiło jego własne prywatne prawo. Zorientowała się, że patrzy na te ubrania z uczuciem bliskim obrzydzenia. Jak mogą tak wisieć zadowolone z siebie, wyrażając milczącą powagę? Po namyśle doszła jednak do wniosku, że to, co czuje, bardziej przypomina strach. Wyciągnęła rękę, by ich dotknąć, i cofnęła ją. Obawiała się, że będą ciepłe.

– Gdzie jesteś, kochanie? – zawołał Peter z kuchni.

– Już idę, kotku! – odrzyknęła. Zamknęła drzwi szafy, spojrzała w lustro, przyglądała jeden z kosmyków i ruszyła do niego, krocząc ostrożnie wewnątrz swych dopasowanych powłok.

Stół kuchenny zastawiony był szkłem, po części nowym. Chyba kupił specjalnie na przyjęcie. Przecież zawsze będą mogli używać ich po ślubie. Na blatach stały rzędy butelek różnych kolorów i rozmiarów: szkocka, żytnia, gin. Wydawało się, że Peter świetnie nad wszystkim panuje. Czystą ściereczką wycierał po raz ostatni niektóre szklanki.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytała.

– Tak, kochanie. Może ponakładaj to do jakichś miseczek. Masz tu drinka, szkocka z wodą, możemy przecież już zacząć.

Nie tracił czasu, jego szklanka była do połowy pusta.

Wypiła mały łyk, uśmiechając się do Petera znad brzegu szklanki. Za mocne jak dla niej, paliło w gardle.

– Chyba chcesz mnie upić – powiedziała. – Czy mogę dołożyć sobie lodu?

Z niesmakiem zauważyła, że jej usta zostawiły tłusty ślad na brzegu szklanki.

– Pełno lodu jest w lodówce – poinformował, chyba zadowolony, że musiała rozcieńczyć.

Lód był w dużej misce. Poza tym leżały jeszcze dwa plastikowe worki z kostkami. Resztę miejsca zajmowały butelki z piwem ustawione na dolnej półce, natomiast wysokie zielone butelki z gingerale, niskie, bezbarwne z tonikiem i wodą sodową stały na półkach obok zamrażalnika. Lodówka była bielusienka, nieskazitelnie czysta i uporządkowana. Z uczuciem winy pomyślała o swojej.

Zajęła się prażynkami, fistaszkami, oliwkami i grzybkami, którymi napełniała miseczki i tace wskazane przez Petera. Chwytała wszystko koniuszkami palców, żeby nie zabrudzić lakieru na paznokciach. Kiedy już kończyła, podszedł do niej z tyłu i objął w pasie. Drugą ręką odsunął zamek do połowy, lecz zaraz zasunął z powrotem. Czuła jego oddech na karku.

– Szkoda, że nie mamy czasu, żeby wskoczyć na chwilę do łóżka – powiedział. – Zresztą nie chcę, żebyś się potargała. No, ale będzie jeszcze przecież mnóstwo okazji. – Objął ją w pasie drugą ręką.

– Peter, kochasz mnie? – Pytała go o to wcześniej, w żartach, nie wątpiąc w odpowiedź. Ale tym razem czekała bez ruchu, co powie.

Pocałował ją delikatnie w klips.

– No jasne, że cię kocham. Nie wygłupiaj się – odparł tonem niefrasobliwej czułości, który oznaczał, że zamierza ją rozbawić. – Przecież się z tobą żenię. A już szczególnie kocham cię w tej czerwonej sukni. Powinnaś częściej chodzić w czerwonym.

Puścił ją, a ona przełożyła ostatnie grzybki marynowane ze słoika na talerz.

– Chodź tu na chwilę, kochanie! – zawołał. Był w sypialni.

Oplukała ręce, wytarła i poszła do niego. Zapalił lampę stojącą na biurku i przygotowywał jeden z aparatów fotograficznych. Podniósł na nią wzrok, uśmiechnęła się.

– Pomyślałem, że można zrobić trochę zdjęć z przyjęcia, na pamiątkę – powiedział. – Przyjemnie będzie kiedyś je pooglądać. To jest nasze pierwsze wspólne przyjęcie; wyjątkowa okazja. Aha, czy masz jakiegoś fotografa na ślub?

– Nie wiem – odrzekła. – Myślę, że załatwili.

– Chciałbym sam zrobić te zdjęcia, ale to oczywiście niemożliwe – powiedział ze śmiechem. Zaczął nastawiać światłomierz.

Oparła się czule na jego ramieniu i przyglądała przedmiotom leżącym na biurku: niebieskim żarówkom flesza, wklęsłemu, srebrystemu wnętrzu lampy błyskowej. Peter zerknął do otwartego czasopisma; zakreślił artykuł zatytułowany *Lampa błyskowa we wnętrzach*. Obok kolumny druku zamieszczono reklamę: na plaży siedzi dziewczynka z warkoczykami, przytulona do spaniela. Napis głosił: „Szanujmy wspomnienia”.

Podeszła do okna i spojrzała w dół, gdzie rozciągało się białe miasto, wąskie uliczki i zimne, zimowe światła. Trzymała w ręce szklankę; popijała powoli. Lód dzwonił o szkło.

– Kochanie – odezwał się Peter – zaraz się zaczniesz, ale zanim przyjdą chciałem zrobić parę zdjęć tobie samej, jeżeli się zgodzisz. Zostało mi jeszcze kilka klatek w tym filmie, a na przyjęcie chciałem zrobić nowy. Czerwony powinien wyjść lepiej na slajdzie, ale skoro już mam fotografować, to zrobię też kilka czarno-białych.

– Peter – zawahała się. – Nie wiem, czy... – Ta propozycja sprawiła, że poczuła nieuzasadniony niepokój.

– No, nie bądź taka skromna – powiedział: – Stań, proszę, tam, obok broni, oprzyj się o ścianę. – Odwrócił lampę na biurku tak, że światło padało na jej twarz, i wyciągnął w jej kierunku mały, czarny światłomierz. Oparła się o ścianę.

Podniósł aparat i zezował w małe, szklane okienko u góry; nastawiał ostrość.

– Dobrze – powiedział. – Ale nie stój tak sztywno. Rozluźnij się. I nie garb się, no, pierś do przodu, nie bądź taka zmartwiona, kochanie,

zachowuj się naturalnie, no, uśmiechnij się...

Jej ciało zamarło, zeszywniało. Nie mogła drgnąć ani nawet poruszyć mięśniami twarzy, patrząc w okrągły, szklany obiektyw w nią wymierzony. Chciała mu powiedzieć, żeby nie zwalniał migawki, ale nie mogła się ruszyć...

Ktoś zapukał do drzwi.

– O, cholera! – Odłożył aparat na biurko. – Idą. Innym razem, kochanie. – Wyszedł z pokoju.

Marian powoli wysunęła się z kąta. Oddychała szybko. Z trudem podniosła rękę.

– Co się ze mną dzieje? – pytała sama siebie. – To przecież tylko aparat fotograficzny.

Pierwsze przybyły trzy dziewczice biurowe: najpierw Lucy, a pięć minut później, prawie jednocześnie, Emmy i Millie. Widać było, że nie spodziewały się takiego spotkania, wyglądały na niezadowolone z tego, że je zaproszono. Marian dokonała prezentacji i zaprowadziła je do sypialni, gdzie ich płaszcze dołączyły do jej płaszcza, leżącego na łóżku. Każda z nich podejrzanym tonem oświadczyła, że Marian powinna częściej chodzić w czerwonym. Po kolei przejrzały się w lustrze i wdzięcząc się, poprawiły swój wygląd przed wejściem do salonu. Lucy pociągnęła usta perłową pomadką, a Emmy pospiesznie podrapała się w głowę.

Ostrożnie usiadły na nowoczesnych skandynawskich fotelach, a Peter zrobił im drinki. Lucy ubrana była w śliwkowy aksamit, miała srebrne powieki i sztuczne rzęsy; Emmy wystąpiła w różowym szyfonie, który trącił balem szkolnym. Włosy polakierowała w sztywne kosmyki; wystawała jej halka. Millie w bladoniebieskiej satynie, sterczącej w dziwnych miejscach, z torebeczką obszytą cekinami wyglądała na najbardziej zdenerwowaną z całej trójki.

– Tak się cieszę, że znalazłyście czas, żeby przyjść – powiedziała Marian. W tej chwili wcale się nie cieszyła. Były takie podeksycytowane. Każda z nich spodziewała się, że jakaś wersja Petera wkroczy do pokoju w sposób nadprzyrodzony, przyklęknie na jedno kolano i oświadczy się. Jak się zachowają wobec Fisha i Trevora, nie mówiąc o Duncanie? A jak zachowa się Fish i Trevor, nie mówiąc o Duncanie, na ich widok? Wyobraziła sobie dwa tria okrzyków i masowy exodus, jeden przez drzwi, drugi przez okno. Co ja narobiłam?, pomyślała. Ale przestała już prawie wierzyć w istnienie trzech anglistów; stawali się coraz bardziej nierealni, w miarę jak płynął czas i szkocka. A może nie przyjdą?

Mydlarze i ich żony schodzili się powoli. Peter nastawił płytę, a gwar i tłok w pokoju nasilił się. Za każdym razem, gdy rozlegało się stukanie do drzwi, dziewczice biurowe odwracały głowy w tamtą stronę i za każdym razem, kiedy jeszcze jedna szczęśliwa i błyszcząca żona wchodziła wraz ze swym lśniącym mężem, powracały coraz

bardziej rozgrzane do drinków i pełnej napięcia wymiany zdań. Emmy bawiła się kolczykiem z opalami. Millie skubała cekin na torebce.

Marian z uśmiechem i wprawą wprowadzała żony do sypialni. Sterta płaszczy rosła. Peter roznosił wszystkim drinki, a sam miał ich kilka. Orzeszki, prażynki i inne przysmaki krążyły z ręki do ręki, a z rąk do ust. Salon zaczynał już się dzielić na typowe strefy: żony po tej stronie pokoju, gdzie stoi kanapa, mężczyźni tam, gdzie aparatura dźwiękowa, pośrodku – ziemia niczyja. Dziewice biurowe ugrzęzły po niewłaściwej stronie. Nieszczęśliwe, słuchały opowieści żon. Marian znów poczuła wyrzuty sumienia. Ale akurat nie mogła się nimi zająć; roznosiła przecież grzybki. Zastanawiała się, co mogło zatrzymać Ainsley.

Drzwi otworzyły się znowu i do pokoju weszli Clara i Joe. Za nimi stał Leonard Slank. Marian drgnęła i jeden marynowany grzybek spadł z talerzyka, który właśnie trzymała, potoczył się po podłodze i znikł pod aparaturą hi-fi. Odstawiła talerz. Peter już ich witał, wylewnie potrząsając dłonią Lena. Jego głos z każdym drinkiem stawał się coraz donośniejszy.

– Jak się masz, stary, cieszę się, że cię widzę. Miałem właśnie zamiar dzwonić do ciebie – mówił. W odpowiedzi Len zachwiał się i potoczył wokół szklanym wzrokiem.

Marian chwyciła mocno za rękaw Clare i pociągnęła ją do sypialni.

– Skąd on się tu wziął? – spytała raczej niegrzecznie.

Clara zdjęła płaszcz.

– Mam nadzieję, że nie masz nam za złe, że go przyprowadziliśmy. Wydawało mi się, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, przecież jesteście starymi przyjaciółmi. Po prostu pomyślałam, że lepiej go zabrać ze sobą, niż żeby siedział gdzieś sam. Przecież widzisz, że jest w opłakanym stanie. Zjawił się zaraz po opiekunce do dzieci i wyglądał naprawdę okropnie. Musiał strasznie dużo wypić. Opowiedział nam jakąś nieskładną historyjkę o kobiecie, z którą ma kłopoty, brzmiało to całkiem poważnie, i powiedział, że boi się iść do domu. Nie mam pojęcia, co się mogło stać. Kto mógłby mu coś zrobić? Więc przechowamy nieboraka w tym pokoju na piętrze. Wprawdzie jest to pokój Arthura, ale Lenowi nie powinno to

przeszkadzać. Strasznie mi go żal. Jemu jest potrzebna jakaś sympatyczna domatorka, która by się nim zaopiekowała, bo nie wygląda na to, żeby potrafił sam dać sobie radę...

– Powiedział, o kogo chodzi? – spytała Marian pospiesznie.

– Ależ nie – odparła Clara, podnosząc brwi. – On nie ma zwyczaju wymieniać nazwisk.

– Przyniosę ci coś do picia – powiedziała Marian. Czuła, że sama też musi się napić. Oczywiście Clara i Joe nie mogli wiedzieć, kim jest ta kobieta, bo przecież nigdy by tu nie przyprowadzili Lena. Dziwiło ją, że przyszedł, musiał wiedzieć, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż będzie Ainsley, ale może wtedy już wypił za dużo, żeby się tym przejmować. Najbardziej niepokoiły Marian skutki, jakie mogły z jego obecności wyniknąć dla Ainsley. Może się zdenerwować i zrobić coś nieobliczalnego.

Wróciwszy do salonu, Marian zorientowała się, że dziewczęce biurowe natychmiast wyczuły w Leonardzie kawalera do wzięcia. Przygwoździły go do ściany w strefie neutralnej, dwie po bokach, odcinając mu możliwość ucieczki, trzecia z przodu. Jedną ręką opierał się o ścianę dla utrzymania równowagi, w drugiej trzymał kufel pełen piwa. Podczas rozmowy przesuwiał wzrokiem po twarzach, jakby nie chciał na żadną z nich patrzeć za długo. Jego własna twarz – pusta, białoszarej barwy nieupieczonego ciasta i dziwnie opuchnięta – wyrażała mieszaninę pijackiego niedowierzania, nudy i niepokoju. Chyba udało im się coś z niego wyciągnąć, bo Marian usłyszała okrzyk Lucy:

– Telewizja! Ależ to niezwykle ciekawe! – podczas gdy pozostałe chichotały z emocji. Leonard pociągnął rozpaczliwy łyk piwa.

Marian roznosiła właśnie oliwki, kiedy zobaczyła, że ze strefy męskiej podchodzi do niej Joe.

– Cześć – powiedział. – Cieszę się, że nas dzisiaj zaprosiłaś. Clara ma tak mało okazji, żeby wyjść z domu.

Oboje zwrócili oczy na Clarę, która stała w tej części salonu, gdzie znajdowała się kanapa, i rozmawiała z żoną jednego z mydlarzy.

– Bardzo się o nią martwię – ciągnął Joe. – Podejrzewam, że jest jej ciężej niż innym kobietom. Myślę, że to jest trudniejsza sprawa dla kobiety z wyższym wykształceniem. Wyobraża sobie taka, że ma

umysł, profesorowie słuchają, co ma do powiedzenia, traktują ją jak myślącą istotę ludzką, a kiedy wychodzi za mąż, jej trzon ulega...

– Jej co? – zapytała Marian.

– Jej trzon. Rdzeń jej osobowości, to, z czego jest zrobiona. Inaczej mówiąc, jej wyobrażenie o sobie.

– Ach tak – powiedziała Marian.

– Rola kobiety i jej trzon stoją w opozycji. Rola kobiety wymaga od niej bierności...

Marian przez moment wyobraziła sobie ogromną kulę z ciasta, przybraną bitą śmietaną i wiśniami w likierze, unoszącą się w powietrzu nad głową Joego.

– Więc pozwala, aby jej trzonem zawładnął mąż. A kiedy przychodzą dzieci, budzi się któregoś ranka i okazuje się, że w środku nic nie zostało, że jest pusta, że już nie wie, kim jest. Jej trzon został zniszczony. – Potrząsnął lekko głową i napił się. – Widzę, jak to się dzieje z moimi studentkami. Ale ostrzeżenie ich nie ma żadnego sensu.

Marian odwróciła się, by spojrzeć na Clarę, która rozmawiała, stojąc, ubrana w skromny beż, z długimi jasnomiodowymi włosami. Zastanawiała się, czy Joe powiedział Clarze, że jej trzon uległ zniszczeniu. Przyszły jej na myśl drzewa i robaki. Kiedy patrzyła na Clarę, ta wykonała gwałtowny gest ręką i żona mydlarza cofnęła się zaszokowana.

– Bo oczywiście świadomość tego nie zda się na nic – ciągnął Joe. – Dzieje się tak niezależnie od świadomości. Może w ogóle nie powinno się pozwalać kobietom na wyższe studia? W ten sposób nie czułyby później, że zaprzepaściły szansę na życie umysłowe. Na przykład, kiedy proponuję Clarze, żeby coś z tym zrobiła, jakiś kurs wieczorowy, to ona tylko na mnie dziwnie patrzy.

Marian spojrzała na Joego z czułością, której wymowa rozmazywała się w tym, co zdążyła już wypić. Wyobraziła sobie, jak Joe w podkoszulku krząta się po mieszkaniu, rozmyśla o życiu umysłowym, myje naczynia i nieuważnie wydziera znaczki z kopert. Zastanawiała się, co on potem robi z tymi znaczkami. Chciała wyciągnąć rękę i dotknąć go, dodać mu otuchy, powiedzieć, że trzon

Clary wcale nie uległ zniszczeniu i że wszystko będzie w porządku, chciała mu coś ofiarować. Podsunęła mu talerz.

– Poczęstuj się oliwką – zaproponowała.

Za plecami Joego otworzyły się drzwi i weszła Ainsley.

– Przepraszam. – Marian odstawiła oliwki i wyszła naprzeciw Ainsley. Trzeba było ją ostrzec.

– Cześć – powiedziała Ainsley zdyszana. – Przepraszam za spóźnienie, ale nagle poczułam ochotę, żeby zacząć się pakować...

Marian pospiesznie wprowadziła ją do sypialni w nadziei, że Len jej nie zauważył. Po drodze sprawdziła, czy nadal jest osaczony.

– Słuchaj – powiedziała, kiedy zostały same w pokoju z płaszcami. – Len tutaj jest, pijany.

Ainsley zdejmowała z siebie kolejne warstwy. Wyglądała wspaniale. Ubrana była w odcień zieleni na pograniczu turkus, z odpowiednio dobranym kolorem powiek i butów; jej włosy wiły się i błyszczały upięte dokoła głowy. Skóra lśniła, nasycona licznymi hormonami, brzuch jeszcze nie był widoczny.

Przejrzała się w lustrze, nim zareagowała.

– Tak? – rzekła spokojnie, szerzej otwierając oczy. – Ależ, Marian, mnie to wcale nie przeszkadza. Po tej rozmowie dzisiaj po południu myślę, że oboje wiemy, jak jest, i potrafimy zachowywać się jak dojrzały, dorośli ludzie. Może mówić, co chce, i tak mnie nie wyprowadzi z równowagi.

– Ale słuchaj – powtórzyła Marian – on jest zdruzgotany. Tak przynajmniej twierdzi Clara. Najprawdopodobniej będzie u nich mieszkał. Widziałam go, jak wchodził. Wygląda okropnie. Mam nadzieję, że nie powiesz nic takiego, co mogłoby go zdenerwować.

– Nie ma żadnego powodu – odparła Ainsley beztrąsko – żebym z nim rozmawiała.

W salonie mydlarze stawali się coraz bardziej hałaśliwi po swojej stronie niewidzialnego muru. Wybuchali salwami śmiechu, któryś z nich opowiadał świńskie dowcipy. Także głosy kobiet przybierały na sile, wznosząc się piskliwą konkurencyjną melodią ponad barytony i basy. Kiedy wkroczyła Ainsley, fala gości ruszyła ku niej; niektórzy mydlarze, co było do przewidzenia, opuścili swoje terytorium i podeszli, żeby się przedstawić, a ich żony, zawsze czujne,

energicznie podniosły się z kanapy, by odciąć im drogę. Ainsley uśmiechała się z roztargnieniem.

Marian poszła do kuchni po coś do picia dla niej i dla siebie. Porządek, który panował w kuchni na początku, rzędy starannie ustawionych szklanek i butelek, prysnął w trakcie przyjęcia. W zlewie leżało pełno topniejących kostek lodu, resztek jedzenia – nikt nigdy nie wie, co zrobić z pestkami od oliwek – i kawałków potłuczonego szkła; butelki, puste i częściowo puste, stały na blatach, na stole, na lodówce; na podłodze połyskiwała bliżej niezidentyfikowana kałuża. Mimo to zostało jeszcze kilka czystych szklanek. Marian napełniła jedną dla Ainsley.

Kiedy wychodziła z kuchni, usłyszała głosy w sypialni.

– Jesteś jeszcze przystojniejszy, niż mogłoby się wydawać przez telefon. – Był to głos Lucy.

Marian zerknęła do środka. Zobaczyła Lucy spoglądającą spod srebrnych powiek w górę na Petera, który stał z aparatem fotograficznym w ręce i patrzył na nią z trochę głupkowatym, chłopięcym uśmiechem. A więc Lucy zrezygnowała z oblegania Leonarda. Zrozumiała widocznie, że to daremne. Zawsze była bystrzejsza niż tamte dwie. Ale jakież to wzruszające z jej strony, że w zamian postanowiła spróbować z Peterem; właściwie żalosne. Przecież on już niemal definitywnie znikł z rynku, tak jakby się już ożenił.

Uśmiechnęła się do siebie i cofnęła, ale Peter zauważył ją i wymachując aparatem, zawołał nieco zbyt radośnie:

– Hej, kotku, przyjęcie się udało! Czas na zdjęcia!

Lucy zwróciła uśmiechniętą twarz w kierunku drzwi, a jej powieki uniosły się jak żaluzje w oknie.

– Proszę, Ainsley, to twoja szklanka. – Podała jej drinka, przerywając krąg mydlarzy.

Ainsley podziękowała i odebrała go z pewnym roztargnieniem, co dla Marian było sygnałem ostrzegawczym. Podążyła za jej wzrokiem. Len patrzył w ich stronę z drugiego końca pokoju, usta miał lekko otwarte. Millie i Emmy wytrwale trzymały go na uwieczni. Millie przesunęła się do przodu i szeroką spódnicą zablokowała ogromną przestrzeń, a Emmy odskakiwała na bok i wracała jak koszykarz;

jedna flanka pozostawała bez opieki. Marian obejrzała się i zauważyła uśmiech Ainsley, zapraszający uśmiech.

Rozległo się pukanie do drzwi. Otworzę, pomyślała Marian. Peter jest zajęty w sypialni.

Otworzyła drzwi i ujrzała przed sobą zafrasowaną twarz Trevora. Pozostali dwaj trzymali się z tyłu, razem z jakąś nieznaną postacią, najprawdopodobniej damską, w obszernym płaszczu w jodełkę, przeciwsłonecznych okularach i czarnych pończochach.

– Czy dobrze trafiliśmy? – spytał Trevor. – Czy tu mieszka pan Peter Wollander? – Najwyraźniej jej nie poznał.

Marian zbladła; zupełnie zapomniała o nich. Ale może Peter ich nawet nie zauważy w tym hałasie i zamieszaniu.

– Och, jesteście wreszcie – powiedziała. – Proszę, wejdźcie. A w ogóle to ja jestem Marian.

– No tak, ha, ha, ha, oczywiście – zarżał Trevor. – Ale ze mnie idiota! Nie poznałem cię, taka jesteś elegancka. Powinnaś częściej chodzić w czerwonym.

Trevor, Fish i ta czwarta osoba, przechodząc obok niej, weszli do pokoju, ale Duncan pozostał na zewnątrz. Złapał ją za ramię, wyciągnął na korytarz i zamknął drzwi.

Stał przez chwilę w milczeniu, przyglądając się jej spod burzy włosów, badając każdy nowy szczegół.

– Nie powiedziałaś, że to bal kostiumowy – odezwał się w końcu. – Za kogoś ty się przebrała?

Ręce jej opadły z poręczy. Więc wcale nie wygląda absolutnie wspaniale.

– Po prostu nigdy mnie nie widziałeś w stroju wyjściowym – powiedziała słabym głosem.

Duncan śmiał się.

– Najlepsze są te klipsy. Skąd je wytrzasnęłaś?

– Och, przestań – powiedziała z rozdrażnieniem. – Wejdz i napij się czegoś. – Zdenerwował ją. Ciekawe, w co miała się ubrać. W worek pokutny? Otworzyła drzwi.

Dźwięki rozmów, muzyki i śmiechy wylały się na korytarz. Nagły błysk światła i głośny, triumfujący okrzyk:

– Aha! Przyłapałem was!

– To jest Peter – poinformowała Marian. – Zdaje się, że właśnie robi zdjęcia.

Duncan cofnął się.

– Chyba tam nie wejdę – powiedział.

– Musisz. Musisz poznać Petera, bardzo mi na tym zależy. – Nagle stało się dla niej bardzo ważne, żeby wszedł do środka.

– Nie, nie mogę – wykręcał się. – Już widzę, że to był błąd. Któryś z nas na pewno by wyparował, najprawdopodobniej ja, a poza tym tam jest za głośno. Nie zniósłbym tego.

– Tak cię proszę – nalegała. Chciała go chwycić za ramię, ale on już się odwracał, już prawie biegł korytarzem.

– Dokąd idziesz? – zawołała za nim błagalnie.

– Do pralni! – odkrzyknął. – Do zobaczenia. Życzę udanego małżeństwa! – rzucił.

Dostrzegła jeszcze fragment krzywego uśmiechu na jego twarzy, kiedy zniknął za zakrętem. Słyszała kroki oddalające się w dół schodami.

W pierwszej chwili chciała pobiec za nim, iść razem z nim. Nie miała siły wracać do tego zatłoczonego pokoju.

– Ale muszę – powiedziała sobie. Weszła do środka.

Wpadła na szerokie, wełniane plecy Fischera Smythe'a. Miał na sobie ostentacyjnie zwyczajny golf w paski. Stojący obok Trevor był w nieskazitelnym garniturze, w koszuli i krawacie. Obaj rozmawiali z osobą w czarnych pończochach o symbolach śmierci. Ominęła ich starannie, żeby nie tłumaczyć zniknięcia Duncana.

Spostrzegła, że znalazła się za plecami Ainsley, a po chwili uzmysłowiła sobie, że z drugiej strony tej krągłej niebieskozielonej postaci stoi Leonard Slank. Nie widziała jego twarzy, bo zasłaniały ją włosy Ainsley, ale rozpoznała jego ramię i rękę, która trzymała kufel z piwem. Znowu pełny, zauważyła. Ainsley mówiła coś do niego cicho, natarczywie.

Usłyszała jego bełkotliwą odpowiedź:

– Nie, do cholery! Nigdy mnie nie...

– Dobrze, niech będzie. – Zanim Marian pojęła, co się dzieje, Ainsley podniosła rękę i opuszcila ją gwałtownie, rozbijając szklanke o podłogę. Marian odskoczyła do tyłu.

Na dźwięk tłuczonego szkła rozmowy ucichły, jakby ktoś wyciągnął wtyczkę z kontaktu. Ainsley przemówiła w ciszy wypełnionej absurdalnie cichym łkaniem skrzypiec:

– Chcielibyśmy z Lenem podzielić się z wami wspaniałą wiadomością – zawahała się dla lepszego efektu i z błyskiem w oku ciągnęła: – Będziemy mieli dziecko. – Jej głos pełen był słodczy.

O Boże, pomyślała Marian, ona naprawdę stara się dopiąć swego.

Od strony kanapy dobiegły okrzyki zdumienia. Ktoś zachichotał, a któryś mydlarz zawołał:

– Zuch Len, kimkolwiek jest!

Marian zobaczyła teraz twarz Lena. Na jej białej powierzchni pojawiły się nierównomiernie rozrzucone czerwone plamy, dolna warga drgała.

– Ty suko! – powiedział ochryple.

Zapadła cisza. Jedna z żon mydlarzy zaczęła pospiesznie rozmowę na inny temat, ale szybko przerwała. Marian obserwowała Lena. Sądziła, że uderzy Ainsley, ale zamiast tego wyszczerzył zęby w uśmiechu i zwrócił się do słuchającego tłumu:

– Tak jest, kochani. I teraz właśnie w tym przyjacielskim gronie odbędzie się chrzest. Chrzest in utero. Niniejszym daję ci moje imię. – Szybko wyciągnął rękę, chwycił Ainsley za ramię, podniósł kufel z piwem i starannie, bez pośpiechu wylał całą jego zawartość na jej głowę.

Żony mydlarzy wydały z siebie okrzyk zachwyty; mydlarze ryknęli:

– Hej!

Kiedy opadały resztki piany, Peter wypadł z sypialni, wciskając lampę błyskową do aparatu.

– Czekaście! – wrzasnął i zrobił zdjęcie. – Wspaniałe! To będzie świetne! Ejże, przyjęcie rzeczywiście się rozkręca!

Kilka osób rzuciło mu złe spojrzenie, ale większość nie zwróciła na niego uwagi. Wszyscy chodzili i mówili naraz; w tle ciągle grały skrzypce, słodko jak sacharyna. Ainsley stała, a u jej stóp na parkiecie zbierała się kałuża z piwa i piany. Jej twarz wykrzywiła się. Za

moment zdecyduje, czy warto wysilić się i płakać. Len puścił jej ramię. Głowa mu opadła, mruzczał coś niewyraźnie. Wyglądało na to, że ma jedynie niejasne pojęcie o tym, co zrobił przed chwilą, i żadnego pojęcia o tym, co zrobi za chwilę.

Ainsley odwróciła się i ruszyła w stronę łazienki. Kilka żon mydlarzy podeszło do niej, wydobywając z siebie gardłowe dźwięki jako wyrazy pocieszenia; one też chciały znaleźć się w centrum uwagi, udzielając pomocy. Ale ktoś je ubiegł. Fischer Smythe. Ściągnął z siebie wełniany golf, ukazując muskularny tors pokryty gęstym, czarnym futrem.

– Pozwól – zatrzymał ją. – Przecież nie możesz się przeziębic. Nie w tym stanie. – Zaczął ją wycierać swetrem. Jego oczy zwilgotniały od troski.

Włosy Ainsley opadły, ociekające kosmyki leżały na ramionach. Uśmiechnęła się przez piwo albo przez łzy wiszące na rzęsach.

– My się chyba nie znamy – powiedziała.

– Ja już wiem, kim jesteś – odparł tonem nabrzmiałym symboliczną treścią, delikatnie poklepując jej brzuch.

To wydarzyło się później. Przyjęcie w dziwny sposób ciągle trwało, gładko zasklepiwszy rysę powstałą za sprawą Ainsley i Lena. Ktoś sprzątnął potłuczone szkło i piwo z podłogi i salon znowu wypełnił się rozmowami, muzyką i alkoholem, jakby nic się nie wydarzyło.

Kuchnia natomiast przedstawiała obraz zniszczenia. Wyglądała, jakby przeszła przez nią fala powodziowa. Marian grzebała w rumowisku, szukając czystej szklanki; gdzieś zostawiła swoją, zapomniała gdzie, a chciała się jeszcze napić.

Nie było już czystych szklanek. Wzięła więc brudną, opłukała pod kranem i powoli, ostrożnie nalała sobie jeszcze jedną szkocką. Czuła spokój. Miała wrażenie, że unosi się, jakby leżała na plecach na wodzie. Podeszła do drzwi, oparła się o framugę i zapatrzyła w głąb pokoju.

– Potrafię! Potrafię! – powtarzała. Ten fakt trochę ją zdumiał, ale też niezmiernie ucieszył. Wszyscy tu byli (oprócz, jak zauważyła, Ainsley i Fischera, a także Lena – zastanawiała się, dokąd poszli) i robili to, co zazwyczaj robi się podczas przyjęć. Ona też. Dzięki nim mogła unosić się na powierzchni bez obawy, że nabierze wody, podtrzymywana

świadomością, że jest jedną z nich. Czuła do nich sympatię za ich różne kształty i twarze, które widziała teraz znacznie wyraźniej niż zazwyczaj, jakby oświetlał je ukryty reflektor. Podobały się jej nawet żony mydlarzy i Trevor gestykulujący jedną ręką, i dziewczyny z biura – Millie śmiejąca się w błyszczącej jasnoniebieskiej sukience, nawet Emmy, która chodziła nieświadoma postrzępionej halki... Peter także krążył pośród nich. Ciągłe jeszcze trzymał aparat, od czasu do czasu podnosił go i robił zdjęcie. Przypominał jej reklamy filmów rodzinnych, gdzie ojciec zużywa taśmę za taśmą na takie codzienne, zwyczajne sprawy. Czy są lepsze tematy niż ludzie, którzy się śmieją, podnoszą szklanki, dzieci podczas przyjęć urodzinowych?...

A więc o to cały czas chodzi, pomyślała uszczęśliwiona: on taki właśnie się staje. Ten prawdziwy Peter, ten pod spodem, nie był ani zaskakujący, ani straszny, tylko taki od domu i łoża małżeńskiego, taki od przygotowywania potraw na ruszcie w ogródku za domem. Taki z filmów rodzinnych. I to ja takiego wywołałam, pomyślała, ja sprowokowałam. Wypiła łyk szkockiej.

Długie to były poszukiwania. Przebiegała w czasie korytarze i pokoje, długie korytarze, duże pokoje. Wszystko toczyło się coraz wolniej.

Jeżeli Peter jest naprawdę taki, myślała, idąc jednym z korytarzy, to czy będzie miał duży brzuch w wieku czterdziestu pięciu lat? Czy będzie ubierał się niestarannie w niedziele, a do warsztatu w piwnicy będzie wkładał wymięte dzinsy? Taki obraz podnosił na duchu: będzie miał hobby, będzie mu dobrze, będzie normalny.

Otworzyła drzwi po prawej i weszła do środka. Był tam Peter, lat czterdzieści pięć, z łysiną. Ale ciągle jeszcze można w nim było rozpoznać Petera. Stał w blasku słońca obok ogrodowego rusztu, z długim widelcem w ręce. Miał na sobie biały fartuch kucharski. Ostrożnie rozejrzała się, szukając siebie w ogrodzie, ale jej tam nie było i to odkrycie zmroziło ją.

Nie, pomyślała, to zły pokój. To chyba nie jest już ostatni. W żywopłocie po drugiej stronie ogrodu dostrzegła jeszcze jedne drzwi. Przeszła przez trawnik za plecami tej stojącej nieruchomo postaci, która, zauważyła dopiero teraz, trzymała w drugiej ręce topór rzeźnicki. Pchnęła drzwi i przeszła na drugą stronę.

Znowu znalazła się w salonie Petera wypełnionym gośćmi i hałasem. Opierała się o framugę, trzymając w ręku szklankę. Lecz teraz widziała ich wyraźniej, z większą ostrością, na dalszym planie. Poruszali się coraz szybciej. Wychodzili do domu. Sznureczek żon przyodziających w płaszcze wynurzył się z sypialni. Wypychały za drzwi ociągających się mężów, ćwierkały pożegnania. Kim była ta małeńka, dwuwymiarowa postać w czerwonej sukience, upozowana jak papierowe kobiety z katalogów domu wysyłkowego, która odwracała się, uśmiechała, trzepocząc w białej pustce... To niemożliwe, musi być coś więcej. Podbiegła do następnych drzwi i otworzyła je szybkim ruchem.

Stał tam Peter ubrany w swój zimowy, stateczny garnitur. W ręce miał aparat. Ale teraz już wiedziała, co to jest naprawdę. Nie było już więcej drzwi i kiedy nie spuszczać go z oka, wyciągnęła rękę za siebie, żeby znaleźć klamkę, Peter podniósł aparat i wycelował w nią; jego usta otworzyły się, obnażając groźne zęby. Nastąpił oślepiający błysk.

– Nie! – krzyknęła. Zakryła twarz ramieniem.

– O co chodzi, kochanie?

Opuściła ramię. Stał obok niej. Prawdziwy. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy.

– Przestraszyłam się – powiedziała.

– Po alkoholu nie panujesz nad sobą – stwierdził głosem, w którym czułość mieszała się z wyrzutem. – Powinnaś się przyzwyczaić. Robię zdjęcia przez cały wieczór.

– Czy to mnie teraz zrobiłeś? – zapytała, uśmiechając się przeproszająco. Miała wrażenie, że jej twarz jak papier napina się i rozrywa w szerokim uśmiechu z plakatu, który zwisa w strzępach ze słupa ogłoszeniowego, ukazując metalową powierzchnię pod spodem...

– Nie. To miało być zdjęcie Triggera, po tamtej stronie pokoju. Nie szkodzi, tobie zrobię później. Ale lepiej nie pij już więcej, kochanie. Zataczasz się. – Poklepał ją po ramieniu i odszedł.

A więc była bezpieczna. Musi się stąd wydostać, zanim będzie za późno. Odwróciła się, postawiła szklankę na stole kuchennym.

Zdecydowanie wyzwoliło w niej przebiegłość. Przede wszystkim trzeba dotrzeć do Duncana. On będzie wiedział, co robić.

Rozejrzała się po kuchni, wzięła swoją szklanę i wylała jej zawartość do zlewu. Będzie ostrożna, nie zostawi śladów. Podniosła słuchawkę telefonu i wykręciła numer Duncana. Telefon dzwonił i dzwonił; bez skutku. Odłożyła słuchawkę. W salonie ponownie błysnęło światło flesza i rozległ się śmiech Petera. Nie powinna była ubierać się na czerwono. Ten kolor czynił z niej doskonały cel.

Przemknęła do sypialni. Nie mogę niczego zapomnieć, mówiła do siebie, nie mogę wracać. Kiedyś zastanawiała się, jak będzie wyglądała ich sypialnia już po ślubie i rozważała różne ustawienia oraz rozwiązania kolorystyczne. Teraz już wiedziała. Sypialnia zawsze będzie wyglądała tak jak w tej chwili. Ryła w płaszcach, szukając swojego, lecz przez chwilę nie mogła przypomnieć sobie, jak on wygląda. W końcu poznała go i nałożyła. Unikała lustra. Nie miała pojęcia, która godzina. Spojrzała na przegub dłoni. Była pusta. Oczywiście zostawiła zegarek w domu, bo Ainsley powiedziała, że nie pasuje do reszty.

W salonie Peter przekrzykiwał hałas:

– Chodźcie, zrobimy portret grupowy. Wszyscy razem.

Musi się pospieszyć. Teraz trzeba sforsować salon. Powinna stać się mniej widoczna. Zdjęła płaszc, zwinęła go i wsadziła pod lewe ramię, licząc na to, że sukienka spełni rolę barwy ochronnej, dzięki której zmiesza się z otoczeniem. Trzymając się blisko ściany, ruszyła w kierunku drzwi przez gąszcz ludzkich postaci. Kryła się za pniami i krzakami pleców i spódnic. Peter był po przeciwnej stronie pokoju i usiłował ich ustawić.

Otworzyła drzwi i wymknęła się. Następnie, zatrzymując się tylko po to, żeby ponownie włożyć płaszc i wyciągnąć kalosze z kłębówiska stóp usidlonych na gazecie, pobiegła korytarzem w kierunku schodów najszybciej, jak umiała. Tym razem nie mogła się dać złapać. Gdy tylko Peter naciśnie spust, zostanie zatrzymana, nieodwołalnie utrwalona w jednym gościu, w jednej pozycji, niezdolna poruszyć się ani nic zmienić.

Przystanęła na szóstym piętrze, żeby włożyć kalosze, a potem dalej schodziła na dół, dla równowagi trzymając się poręczy. Jej ciało

ściśnięte materiałem, metalowym gorsetem i gumą było odrętwiałe. Chodzenie wymagało pewnego skupienia. Chyba jestem pijana, pomyślała. Śmieszne, ale wcale nie czuję się pijana. Świetnie wiesz, idiotko, co dzieje się z naczyniami włoskowatymi pijanego człowieka po wyjściu na mróz. Ale najważniejsze to uciec.

Dotarła do pustego holu. Chociaż nikt za nią nie szedł, wydało jej się, że słyszy jakiś dźwięk: wysoki dźwięk, jaki wydaje szkło, lodowaty jak dzwonięcie żyrandoli, wysoki jak elektryczne wibracje tej migoczącej przestrzeni...

Znalazła się na dworze, na śniegu. Biegła ulicą, śnieg pod jej stopami skrzypiał. Biegła tak szybko, jak tylko potrafiły jej skrupowane nogi; utrzymywała równowagę, patrząc w chodnik. W zimie nawet równe powierzchnie bywają ryzykowne. Nie mogła pozwolić sobie na upadek. Peter mógł tropić ją nawet teraz, mógł iść za nią, podchodzić ją na pustych ulicach, tak jak podchodził swoich gości w salonie, czyhając na odpowiedni moment. Ponury i baczny strzelec z wycelowaną lunetą zawsze czuwał, ukryty pod innymi warstwami, czekał, aż ona znajdzie się w martwym punkcie; maniak-morderca ze śmiercionośną bronią w ręku.

Poślizgnęła się na skrawku lodu i mało brakowało, by upadła. Gdy odzyskała równowagę, obejrzała się za siebie. Ulica była pusta.

– Spokojnie – powiedziała. – Spokojnie.

Oddychała szybko, w mroźnym powietrzu jej oddech zamarzał, nim wydostał się z gardła. Szła dalej nieco wolniej. Początkowo biegła na oślep, teraz już doskonale wiedziała, dokąd idzie.

– Wszystko będzie dobrze – przekonywała się – jeżeli zdołasz dotrzeć do pralni.

Nie przyszło jej do głowy, że Duncana może nie być w pralni. Kiedy w końcu tam dotarła i otworzyła szklane drzwi, bez tchu, ale z ulgą, że udało się jej dojść aż tak daleko, doznała wstrząsu, widząc, że pralnia jest pusta. Nie mogła w to uwierzyć. Stała na wprost długiego, białego rzędu pralek. Nie wiedziała, co robić. Nie zastanawiała się nad tym, co ma nastąpić po wyimaginowanym spotkaniu.

Nagle zauważyła pasmo dymu unoszącego się nad krzesłem przy końcu pralni. To na pewno on. Podeszła bliżej.

Siedział tak nisko, że tylko czubek głowy wystawał nad oparciem; wpatrywał się w pralkę przed sobą, w okrągłe okienko, za którym nic się nie działo. Nie podniósł wzroku, gdy usiadła obok.

– Duncan – odezwała się. Nie odpowiedział. Zdjęła rękawiczki i wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć. Podskoczył.

– Przyszłam – powiedziała.

Spojrzał na nią. Jego oczy były ciemniejsze niż zwykle, jakby zapadły się jeszcze głębiej, a skóra na twarzy w świetle jarzeniówek wydawała się całkiem bezkrwista.

– Przyszłaś, rzeczywiście. Szkarłatna kurtyzana we własnej osobie. Która godzina?

– Nie wiem – odpowiedziała. – Nie mam zegarka.

– Co tu robisz? Powinnaś być na przyjęciu.

– Nie mogłam tam już dłużej wytrzymać. Musiałam tu przyjść, żeby cię odnaleźć.

– Dlaczego?

Nie umiała wymyślić niczego, co nie brzmiałoby absurdalnie.

– Bo chciałam być z tobą.

Spojrzał na nią podejrzliwie i znowu zaciągnął się papierosem.

– Posłuchaj. Powinnaś tam wrócić. To twój obowiązek. Ten tam cię potrzebuje.

– Nie. Ty mnie potrzebujesz bardziej niż on.

Kiedy wymówiła te słowa, zabrzmiały prawdziwie. Natychmiast poczuła się szlachetna.

Uśmiechnął się.

– Nie, wcale cię nie potrzebuję. Uważasz, że trzeba mnie ratować, ale ja tak nie sądzę. Poza tym nie zamierzam stanowić obiektu badań dla amatorskiej opieki społecznej. – Przeniósł wzrok z powrotem na pralkę.

Marian miętoszyła skórzany palec rękawiczki.

– Ale ja wcale nie staram się ciebie ratować. – Pojęła, że sprowokował ją do tego, by sama sobie zaprzeczyła.

– To może chcesz, żebym ja ciebie ratował? Przed czym? Wydawało mi się, że masz to opracowane. A poza tym dobrze wiesz, że ja się do tego nie nadaję. – Był nawet zadowolony z tej swojej niemocy.

– Och, przestańmy mówić o ratowaniu – powiedziała Marian z rozpaczą. – Nie możemy gdzieś pójść? – Chciała stamtąd wyjść. W tej białej sali z rzędami szklanych okien i wszechobecnym zapachem mydła i bielinki nawet rozmowa była niemożliwa.

– Co ci się tu nie podoba? – spytał. – Mnie to miejsce odpowiada.

Miała ochotę nim potrząsnąć.

– Nie o to mi chodzi – powiedziała.

– O! – zdziwił się. – Ach, tak. Mówisz, że to dzisiaj jest ta noc, teraz albo nigdy. – Wygrzebał jeszcze jednego papierosa i zapalił. – Do mnie nie możemy pójść, wiesz o tym.

– Do mnie też nie możemy. – Przez chwilę zastanawiała się, dlaczego nie. Przecież i tak się wyprowadza. Ale może przyjąć Ainsley albo Peter...

– Moglibyśmy zostać tutaj, to miejsce otwiera różne ciekawe możliwości. Może w pralce? Moglibyśmy powiesić twoją czerwoną sukienkę na okienku, żeby nie zaglądali chutliwi staruszkowie.

– Och, chodźmy już stąd – przerwała mu, podnosząc się.

On też wstał.

– Dobrze, dostosuję się do ciebie. Myślę, że już pora, żebym poznał prawdę. Dokąd idziemy?

– Chyba będziemy musieli poszukać jakiegoś hotelu – powiedziała. Nie bardzo wiedziała jak, ale była pewna, że trzeba to zrobić. To

jedyny sposób.

Duncan uśmiechnął się złośliwie.

– To znaczy, że będę musiał udawać, że jesteś moją żoną? – zapytał. – W tych klipsach? Nikt w to nie uwierzy. Oskarżą cię o demoralizację nieletniego.

– Nic mnie to nie obchodzi – odparła. Podniosła rękę i zaczęła odkręcać klips.

– Zostaw je – powiedział Duncan. – Chyba nie chcesz popsuć efektu.

Kiedy wyszli na ulicę, nagle uświadomiła sobie rzecz straszną.

– No nie! – zawołała, zatrzymując się gwałtownie.

– O co chodzi?

– Nie mam ani grosza!

Nie przypuszczała, że podczas przyjęcia będą jej potrzebne pieniądze. W kieszeni płaszcza miała tylko wieczorową torebkę. Czowała, jak siła, która pchała ją przez ulice, przez tę rozmowę, teraz ją opuszcza. Była bezsilna, sparaliżowana. Miała ochotę płakać.

– Ja chyba coś mam – odezwał się. – Zawsze noszę przy sobie parę dolarów. Na wszelki wypadek. – Zaczął grzebać w kieszeniach. – Trzymaj. – Wyłożył na jej nadstawione dłonie baton czekoladowy, kilka starannie złożonych sreberek, białe puste łupinki pestek z dyni, opakowanie po papierosach, kawałek brudnego splątanego sznurka, dwa klucze na kółku, gumę do żucia, zawiniętą w kawałek papieru, i sznurowadło. – Nie ta kieszeń – zauważył. Z drugiej kieszeni wysypała się na chodnik kaskada monet, a wśród nich parę zmiętych banknotów. Pozbierał monety, przeliczył wszystko. – No, luksusów nie będzie – stwierdził – ale zawsze to coś. Wprawdzie nie tutaj, bo to dzielnica kont reprezentacyjnych. Musimy iść bliżej centrum. Znosi się raczej na tani film niż na wspaniałe widowisko w technicolorze. – Wepchnął pieniądze i swoje skarby z powrotem do kieszeni.

Kolejka była już zamknięta; żelazne, zasuwane kraty zagradzały wejście.

– Możemy pojechać autobusem – zaproponowała Marian.

– Nie. Za zimno, żeby stać i czekać.

Skęcili na południe w szeroką, pustą ulicę, mijali oświetlone wystawy sklepowe. Samochodów było mało, ludzi jeszcze mniej. Chyba rzeczywiście jest późno, pomyślała. Próbowwała wyobrazić

sobie, co dzieje się na przyjęciu. Czy już się skończyło? Czy Peter zauważył, że jej nie ma? Ale słyszała jedynie jakieś dźwięki i gwar głosów, widziała fragmenty twarzy i ostre błyski światła. Wzięła Duncana za rękę. Nie miał rękawiczek, więc włożyła swoją rękę razem z jego dłonią do kieszeni płaszcza. Spojrzał na nią z góry, niemal z wrogością, ale ręki nie cofnął. Szli bez słowa. Robiło się coraz zimniej i zaczynały boleć ją palce u stóp.

Wydawało się, że idą już tak od wielu godzin, schodząc łagodnym stokiem w kierunku zamarzniętego jeziora, chociaż wcale się do niego nie zbliżyli. Mijali kolejne przecznice i wysokie biurowce z cegły, puste place, ozdobione sznurami kolorowych żarówek i chorągiewek, gdzie sprzedawano samochody. Nie tego jednak szukali.

– Chyba idziemy złą drogą – zauważył Duncan po jakimś czasie. – Powinniśmy iść tamtędy.

Skęcili w wąską, ciemną przecznicę, gdzie chodniki były przykryte zdradliwym, śliskim śniegiem, a potem wyszli na ulicę szerszą, iskrzącą się neonami.

– To już wygląda lepiej – odezwał się Duncan.

– Co teraz robimy? – spytała, zdając sobie sprawę, że jej głos brzmi żałośnie. Nie wiedziała, co dalej. To przecież on tu właściwie rządził. Przecież to on miał pieniądze.

– Kurczę! Ja nie wiem, jak się załatwia takie sprawy – powiedział. – Nigdy tego nie robiłem.

– Ja też nie – broniła się. – To znaczy, nie w ten sposób.

– Musi być jakaś przyjęta reguła – stwierdził – ale obawiam się, że będziemy musieli ją wymyślić po drodze. Będziemy szli po kolei, od północy na południe. – Rozejrzał się po ulicy. – Zdaje się, że w tamtą stronę są coraz gorsze.

– Och, mam nadzieję, że to nie będzie jakaś zupełna rudera z pluskwami! – jęknęła.

– Nie wiem, ale robactwo może stanowić dodatkową atrakcję. I tak musimy brać, co będzie.

Zatrzymał się przed wąskim budynkiem z czerwonej cegły, wciśniętym między wypożyczalnię eleganckich strojów z manekinem

stylowej panny młodej w oknie a kwiaciarnię. „Hotel Royal Massey” – informował wiszący neon; pod napisem znajdował się herb.

– Poczekaj tu – powiedział Duncan. Wszedł po schodkach.

Zaraz wrócił.

– Drzwi zamknięte – oznajmił.

Szli dalej. Następny wyglądał bardziej obiecująco. Był brudniejszy, miał kamienne ciemnoszare od sadzy gzymsy z antycznymi zawijasami. „Wieże Ontario” – głosił czerwony napis, na którym zgasało duże „o”. „Niskie ceny”. Ten był otwarty.

– Wejść i postoję w holu – powiedziała. Stopy miała lodowate. Poza tym czuła potrzebę wykazania się odwagą. Duncan radził sobie świetnie, ale powinna przynajmniej dać mu moralne wsparcie.

Stała na wyłusiałej wycieraczce, usiłując wyglądać porządnie, świadoma swoich klipsów i znikomej szansy na powodzenie tej próby. Duncan podszedł do nocnego portiera – wyschniętego staruszka, który przyglądał jej się podejrzliwie spod zmarszczonych brwi. Rozmawiali szeptem, potem Duncan wrócił, wziął ją pod ramię i wyszli.

– Co powiedział? – spytała, kiedy znaleźli się na dworze.

– Że to nie taki hotel.

– Co za arogant! – zauważyła. Poczowała się dotknięta i czysta moralnie.

Duncan parsknął.

– No, nie wygłupiaj się – powiedział. – Nie udawaj obrażonej cnotki. Po prostu musimy znaleźć hotel, który będzie taki jak trzeba.

Znowu skręcili i ruszyli na wschód, ulicą, która budziła nadzieje. Minęli kilka brudnych, pretensjonalnych hotelików, zanim dotarli do jeszcze brudniejszego, ale na pewno nie pretensjonalnego. Zamiast fasady ze zwietrzałej cegły, typowej dla pozostałych, ten miał różową sztukaterię z wielkimi napisami: „Cztery dolary za noc”, „TV w każdym pokoju”, „Hotel Victoria i Albert”, „Największa okazja w mieście”. Budynek był długi. Dalej napisy: „Panowie” oraz: „Damy w towarzystwie”, oznaczające piwiarnię, a także chyba winiarnię, które o tej porze i tak są zamknięte.

– To jest chyba to – stwierdził Duncan.

Weszli. Nocny portier ziewnął, zdejmując klucz.

– Trochę późno, kolego, co? – powiedział. – Cztery z góry.

– Lepiej późno niż wcale – odciął się Duncan. Wyjął z kieszeni zwitek banknotów, rozsypując przy tym drobne na dywanie. Kiedy pochylił się, żeby je pozbierać, portier przeniósł bezczelnie lubieżny, choć z lekka znudzony wzrok na Marian. Posłała mu powłóczyście spojrzenie. W końcu, pomyślała ponuro, skoro ubrana jestem jak jakaś taka i zachowuję się jak jakaś taka, to dlaczego nie miałyby myśleć, że rzeczywiście jestem taka?

Weszli po schodach przykrytych lichym chodnikiem. Kiedy w końcu znaleźli pokój, okazało się, że ma on wymiary dużej szafy, wyposażonej w żelazne łóżko, krzesło i toaletkę, z której obłazi lakier. W kącie stał miniaturowy telewizor na monety, przytwierdzony do ściany łańcuchem. Na toaletce leżały dwa złożone sprane ręczniki: jeden jasnoniebieski, drugi różowy. Na zewnątrz, nad wąskim oknem na wprost łóżka, wisiał niebieski neon – gasł i zapalał się, brzęcząc złowieszczo. Za drzwiami do pokoju znajdowały się drugie drzwi, prowadzące do mikroskopijnej łazienki.

Duncan zarygłował drzwi.

– No i co teraz? – zapytał. – Powinnaś wiedzieć.

Zdjęła śniegowce, potem pantofle. Czuła bolesne mrowienie w rozmarzających palcach u nóg. Spojrzała w ponurą twarz, która przyglądała się jej spomiędzy podniesionego kołnierza i spod potarganych włosów. Twarz była trupio biała, tylko nos czerwony z zimna. Kiedy tak na niego patrzyła, wyciągnął z zakamarków ubrania postrzępiony i przybrudzony kawałek chusteczki higienicznej i wytarł nos.

Boże, pomyślała, co ja tu robię? Jak się tu dostałam? Co powie Peter? Przeszła przez pokój, stanęła przy oknie i wyjrzała.

– O rany – ucieszył się Duncan za jej plecami. Odwróciła się. Odkrył coś nowego: dużą popielniczkę, która stała za ręcznikami na toaletce. – Autentyk. – Popielniczka z różowej porcelany miała kształt muszli z pofalowanymi brzegami. – Tu jest napis: Pamiątka z Wodospadów Burke'a – odczytał radośnie. Odwrócił popielniczkę do góry nogami, żeby zobaczyć dno. Trochę popiołu wysypało się na podłogę. – Made in Japan – oświadczył.

Marian poczuła przyływ rozpacz. Coś trzeba zrobić.

– Słuchaj – zwróciła się do niego. – Odłóż tę cholerną popielniczkę, rozbieraj się i włącz do łóżka.

Duncan zwiesił głowę jak zbesztane dziecko.

– Oj, dobrze już, dobrze – odburknął.

Zrzucił ubranie tak szybko, jakby wszędzie miał zamki błyskawiczne albo jeden długi zamek, bo zsunęło się z niego w całości jak skóra. Rzucił wszystko na krzesło, skwapliwie wskoczył do łóżka, położył się, podciągnął prześcieradło pod brodę i przyglądał się jej z ledwie ukrywaną i tylko ledwie przyjazną ciekawością.

Zacisnęła usta i z determinacją zaczęła się rozbierać. Niełatwo było zrzucić pończochy w szale namiętności ani nawet w rozsądnym jej upozorowaniu, kiedy dwoje wybałuszonych oczu wpatrywało się w nią po żabiemu sponad prześcieradła. Szukała palcami zamka błyskawicznego na plecach, ale nie mogła go dosięgnąć.

– Rozepnij – powiedziała krótko. Posłuchał.

Rzuciła sukienkę na poręcz krzesła i zaczęła wyplątywać się z gorsetu.

– O kurczę! – zawołał. – Prawdziwy! Widziałem takie na reklamach, ale nigdy nie miałem w rękach. Zawsze zastanawiałem się, jak to działa. Mogę obejrzeć?

Podąła mu. Usiadł na łóżku, oglądał, rozciągał we wszystkie możliwe strony i giął fiszbiny.

– Jezu, ale średniowiecze – powiedział. – Jak ty w tym możesz wytrzymać? Czy musisz to ciągle nosić?

Odnosił się do gorsetu, jakby to był jakiś nieprzyjemny, ale konieczny aparat chirurgiczny, podobnie jak sztuczna szczęka albo pas przepuklinowy.

– Nie – odparła. Stała w halce i zastanawiała się, co dalej. Nie chciała rozbierać się do końca przy zapalonym świetle, chociaż wydało jej się to trochę pruderyjne. Ale Duncan był tak zajęty, że wolała nie przerywać mu zabawy.

Jednak w pokoju było zimno i już zaczynała się trząść.

Zaciskając zęby, podeszła do łóżka. Czekąło ją zadanie wymagające nie lada wytrzymałości. Gdyby miała długie rękawy, toby je zakasała.

– Posuń się – powiedziała.

Duncan odrzucił gorset i wcisnął się w pościel jak żółw do skorupy.

– O, nie! – zaprotestował. – Nie wpuszczę cię do łóżka, dopóki nie zeskrobiesz tego świństwa z twarzy. Cudzołóstwo może mieć swoje uroki, ale jeżeli mam wyjść z tego jak kawałek tapety w kwiatki, to odmawiam.

Chyba miał rację.

Kiedy wróciła z twarzą mniej więcej wyszorowaną, zgasiła światło i wślizgnęła się do łóżka obok niego. Zapadło milczenie.

– Zdaje się, że powinienem cię teraz zmiażdżyć w swoich męskich ramionach – rzekł w ciemnościach.

Wsunęła ramię pod jego chłodne plecy.

Duncan szukał jej twarzy.

– Dziwnie pachniesz – zauważył, wachając jej kark.

Pół godziny później powiedział:

– To nie ma sensu. Chyba jestem odporny na deprawację. Zapalę sobie.

Wstał, potykając się, przeszedł kilka kroków w ciemnościach, odnalazł swoje rzeczy i grzebał w nich, aż znalazł papierosy, potem wrócił. Widziała teraz fragment jego twarzy i porcelanową muszlę rozjaśnioną blaskiem palącego się papierosa. Siedział oparty o żelazne zawijasy wezgłowia.

– Coś tu nie gra, ale nie bardzo wiem co – stwierdził. – Nie podoba mi się, że nie widzę twojej twarzy, chociaż byłoby jeszcze gorzej, gdybym ją widział. Ale to jeszcze nie wszystko. Czuję się jak małe, skarłowaciałe stworzenie, które pełza po ogromnej masie ciała. Nie dlatego, że jesteś gruba – dodał – bo wcale nie jesteś gruba. Tylko po prostu za dużo wszędzie ciała. To mnie dusi. – Odrzucił przykrycie ze swojej części łóżka. – Tak jest lepiej – powiedział. Paląc papierosa, zasłonił twarz ramieniem.

Marian uklękła obok niego na łóżku i owinęła się prześcieradłem jak szalem. Ledwie widziała zarys jego długiego, białego ciała, białosc skóry na tle białości pościeli, w niebieskiej poświacie zza okna. Ktoś w pokoju obok spuścił wodę w toalecie; bulgotanie w rurach poniosło się po pokoju i zamarło dźwiękiem przypominającym syk albo westchnienie.

Zacisnęła dłonie na prześcieradle. Czuła się spięta z niecierpliwości i jakiegoś chłodu, w którym rozpoznawała zimną moc strachu. Gdyby w tym momencie potrafiła wywołać jakąś reakcję – chociaż nie była w stanie przewidzieć, co mogłoby się wynurzyć spod tej pozornie biernej powierzchni, białej i gładkiej, bezkształtnej i bezprzedmiotowej, spoczywającej w ciemności pod jej bezsilnym wzrokiem, pozbawionej ciepła, zapachu, cielesności i głosu – dokonałaby wówczas rzeczy najważniejszej w życiu. Ale nie potrafiła. Świadomość tego przenikała lodowatą pustką gorszą niż strach. Wszelki wysiłek woli okazywał się bezowocny. Nie potrafiła zmusić się do wyciągnięcia ręki, żeby go znowu dotknąć. Nie potrafiła zmusić się, żeby odejść.

Ogień papierosa zgasł. Rozległo się twarde stuknięcie popielniczki stawianej na podłodze. Wyczuła, że Duncan uśmiecha się w ciemności, ale nie mogła odgadnąć, jak – sarkastycznie, złośliwie czy może serdecznie?

– Połóż się – powiedział.

Opadła na łóżko, nie wypuszczając z rąk otulającego ją prześcieradła, i podkurczyła nogi. Objął ją.

– Nie – powiedział. – Musisz się wyprostować. Przyjmowanie pozycji płodu nic nie da, sam to sprawdziłem. – Gładził ją delikatnie, wyprostowywał, zupełnie tak jakby ją prasował. – Wiesz, tego się nie rozdaje – zauważył. – Musisz mi dać trochę czasu.

Przysunął się bliżej. Czuła jego oddech na szyi, ostry i chłodny, a potem jego twarz, która dotykała, wciskała się w jej ciało, zimna jak nos zwierzęcia, zaciekawionego, ale tylko trochę przyjaznego.

Siedzieli w ponurej kawiarni na rogu ulicy, przy której znajdował się hotel. Duncan przeliczył resztę pieniędzy, żeby zorientować się, co mogą zjeść na śniadanie. Marian rozpięła płaszcz, ale przytrzymała go pod szyją. Nie chciała, żeby ludzie widzieli jej czerwoną sukienkę; w sposób zbyt oczywisty należała do poprzedniego wieczoru. Klipsy Ainsley schowała do kieszeni.

Przed nimi na stole z zielonej imitacji drewna stało mnóstwo brudnych talerzy i filiżanek pośród okruchów, kałuż i plam z tłuszczu, pozostałości po odważnych klientach, którzy niczym pionierzy wcześniej weszli w poranek, kiedy zielone blaty były jeszcze nieskalane jak puszcza, nietknięte nożem i widelcem, i pozostawili po sobie typowy dla przypadkowych gości śmietnik niepotrzebnych albo zapomnianych przedmiotów. Wiedzieli, że już nigdy nie będą tędy przechodzić. Marian patrzyła z niesmakiem na stół zasłany odpadkami, ale przy śniadaniu zamierzała zachowywać się swobodnie. Nie chciała, żeby jej żołądek robił sceny. Wypiję kawę i zjem grzankę, może z dżemem. Przy tym nie powinno być żadnych protestów, pomyślała.

Pojawiła się rozczochna kelnerka i zaczęła wycierać stół. Rzuciła każdemu z nich kartę z oślimi uszami. Marian otworzyła swój jadłospis i spojrzała na kolumnę „Propozycje śniadaniowe”.

W nocy wydawało się, że wszystko zostało postanowione. Nawet wyimaginowaną twarz Petera z połującymi oczami wchłonęła jakaś biała zjawa. Oznaczała raczej prostą klarowność niż radość, ale zanurzoną we śnie. Budząc się przy akompaniamencie westchnień wody w rurach i podniesionych głosów na korytarzu, Marian nie pamiętała już, na czym to dokładnie polegało. Leżała cicho, wpatrywała się w sufit z zaciękami i usiłowała sobie to odtworzyć, ale bez skutku. Potem głowa Duncana wynurzyła się spod poduszki, gdzie złożył ją w nocy na przechowanie. Patrzył na nią przez chwilę, jakby nie miał najmniejszego pojęcia, kim ona jest ani co on sam robi w tym pokoju.

– Chodźmy stąd – zaproponował. Pochyliła się nad nim i pocałowała go w usta, ale kiedy wyprostowała się, on tylko oblizał wargi tak, jakby mu to o czymś przypominało, i powiedział: – Jestem głodny. Chodźmy na śniadanie. – Potem dodał: – Wyglądasz okropnie.

– Ty też nie wyglądasz za dobrze – odcięła się. Miał podkrążone oczy, a jego głowa wyglądała jak wronie gniazdo. Wstali i Marian przez chwilę przyglądała się swojej twarzy w pofałdowanym, pożółkłym lustrze w łazience. Skóra na twarzy była ściągnięta, biała i nieprzyjemnie wysuszona. To prawda: wyglądała okropnie.

Nie miała ochoty wkładać na siebie tych samych rzeczy, ale nie było wyboru. Ubrali się w milczeniu, czując się nieswojo w ciasnym pokoju, którego obskurność jeszcze bardziej raziła w szarym świetle dnia, i pospiesznie zeszli w dół.

Patrzyła teraz na niego, kiedy tak siedział zgarbiony po przeciwnej stronie stołu, z powrotem zawinięty w swoje ubranie. Zapalił papierosa i przyglądał się dymowi. Jego spojrzenie było nieobecne, odległe. Ślad, jaki w niej pozostawiło to długie, wygłodzone ciało, które w ciemności składało się z samych ostrych załamaniań i kantów, wspomnienie jego boleśnie zarysowanych szkieletowatych żeber, rozmywał się jak wszelkie przemijające ślady na miękkiej powierzchni. Poszły też w zapomnienie wszelkie postanowienia, o ile w ogóle je powzięła. Mogły być takim samym złudzeniem jak to niebieskie światło na ich skórze. W jego życiu coś się jednak dokonało, pomyślała z poczuciem znawstwa i znużenia. Chociaż taką miała pociechę. Natomiast dla niej nic nie jest ani stałe, ani skończone. Peter istniał, nie zniknął, był tak realny jak te okruchy na stole i trzeba będzie odpowiednio się zachować. Trzeba wrócić. Spóźniła się wprawdzie na poranny autobus, ale może wyjechać popołudniowym, po rozmowie z Peterem, po wyjaśnieniach. Albo raczej po uniknięciu wyjaśnień. Nie było istotnych powodów, żeby się tłumaczyć, ponieważ tłumaczenie dotyczy przyczyn i skutków, a to, co się stało, nie było ani jednym, ani drugim. Nadeszło znikąd i prowadziło donikąd, nie mieściło się w tym łańcuchu. Naraz przypomniała sobie, że jeszcze nie zaczęła się pakować.

Spojrzała w jadłospis. „Jajka na bekonie na wszystkie sposoby” – czytała. – „Oferujemy delikatne, pulchne kiełbaski”. – Wyobraziła

sobie świnię i kurczęta. Pospiesznie przeszła do pozycji: „Grzanki”. Coś drgnęło jej w przetyku. Zamknęła kartę.

– Co weźmiesz? – zapytał Duncan.

– Nic. Nie mogę jeść – powiedziała. – W ogóle nic nie mogę przełknąć. Nawet soku pomarańczowego.

A więc stało się. Jej organizm się zamknął. Jadłospis skurczył się do punktu, do czarnej kropki, wszystko zostało odrzucone... Popatrzyła na tłustą plamę na okładce karty, bliska łez z litości nad sobą.

– Na pewno? No, dobrze – skwitował Duncan z pewnym zadowoleniem. – To znaczy, że mogę wszystko wydać na siebie.

Kiedy wróciła kelnerka, zamówił szynkę i jajka, do których zabrał się łapczywie na jej oczach bez przeprosin ani bez komentarzy. Przyglądała się żałośnie. Gdy przekłuł jajka widelcem i ich żółte lepkie środki wylewały się na talerz, odwróciła głowę. Pomyślała, że wymiotuje.

– No to – odezwał się po zapłaceniu rachunku, kiedy już stali na ulicy – dziękuję za wszystko. Muszę iść do domu i zabrać się do pracy semestralnej.

Marian pomyślała o zatęchłym zapachu zimnego oleju napędowego i papierosów w autobusie. Potem o naczyniach w zlewie. Autobus nagrzej się i na autostradzie zrobi się duszno, a koła będą wydawały wysoki, zgrzytliwy jęk. Jakie obrzydlistwo tam żyło, ukryte między talerzami i brudnymi szklankami? Nie może wracać do domu.

– Duncan – powiedziała – proszę, nie odchodź.

– Dlaczego? Jeszcze coś będzie?

– Nie mogę tam wrócić.

Zmarszczył czoło.

– Co mam zrobić? – spytał. – Nie spodziewaj się po mnie niczego. Ja chcę wrócić do mojej skorupy. Na razie mam dosyć tak zwanej rzeczywistości.

– Nie musisz nic robić. Czy nie mógłbyś tylko...

– Nie – uciął. – Nie chcę. Już nie jesteś ocaleniem. Jesteś zbyt prawdziwa. Coś cię dręczy i będziesz chciała o tym mówić, i będę musiał zacząć martwić się o ciebie i tak dalej. Nie mam na to czasu.

Spojrzała w dół, na ich cztery stopy w rozdeptanym błocie na chodniku.

– Ja naprawdę nie mogę wrócić.

Przyjrzał się jej dokładnie.

– Zbiera ci się na wymioty? – zapytał. – Nie rób tego.

Stała przed nim, milcząc. Nie potrafiła podać żadnego rozsądnego powodu, żeby z nią został. Nie było takiego powodu. Co by to zresztą dało?

– No, dobrze, zostanę – zawahał się. – W porządku. Ale nie na długo, dobrze?

Kiwnęła głową z wdzięcznością.

Poszli na północ.

– Nie możemy iść do mnie – powiedział. – Będą się awanturować.

– Wiem.

– No to dokąd chcesz iść?

Nie pomyślała o tym. Wszystko było niemożliwe. Przyłożyła rękę do uszu.

– Nie wiem – odpowiedziała, a jej głos podnosił się, przybierając histeryczne tony. – Nie wiem... Właściwie to mogę wrócić...

– Och, przestań – odparł dobrotliwie. – Nie rób komedii. Pójdziemy na spacer. – Oderwał jej rękę od uszu.

– Dobrze – powiedziała, pozwalając się ukoić.

W drodze Duncan wymachiwał ich złączonymi rękami. Jego nastrój, ponury podczas śniadania, zmienił się w jakieś puste zadowolenie. Wchodzili na górę, oddalając się od jeziora. Chodniki były zatłoczone sobotnimi damami w futrach, które sunęły niewzruszone niczym lodołamacze przez topniejący śnieg, ze ściągniętymi brwiami, z błyskiem w oczach, z torbami na zakupy w obu rękach dla równowagi. Omijali je, wyprzedzali, rozstępowali się na bok, puszczając ręce, kiedy jakaś szczególnie groźna na nich parła. Na jezdniach samochody pluły spalinami i pryskały błotem. Z szarego nieba opadała sadza, ciężka i wilgotna jak płatki śniegu.

– Potrzebuję trochę świeżego powietrza – odezwał się Duncan po dwudziestu minutach, które upłynęły im bez słowa. – Tutaj jest jak

w akwarium pełnym zdychających kijanek. Możesz przejechać kawałek kolejką?

Marian kiwnęła głową. Im dalej, tym lepiej, pomyślała.

Zeszli w dół najbliższym tunelem wyłożonym pastelowymi kafelkami, a po chwili, pachnącej mokrą wełną i gałkami naftaliny, dali się ponieść w górę ruchomymi schodami i wyszli na światło dzienne.

– Teraz pojedziemy tramwajem – powiedział. Wydawało się, że wie, dokąd podąża, za co Marian mogła być tylko wdzięczna. To on ją prowadził. On panował nad sytuacją.

W tramwaju musieli stać. Marian trzymała się metalowej poręczy i pochyłona wyglądała przez okno. Ponad jakąś pomarańczowo-zieloną czapką z włóczki w kształcie ogrzewacza na czajnik, z ogromnymi złotymi cekinami na czubku, przesuwał się nieznamy krajobraz: najpierw sklepy, potem domy, most i znowu domy. Nie miała pojęcia, w której części miasta się znajdują.

Duncan wyciągnął rękę ponad jej głowę i szarpnął za sznurek. Tramwaj zatrzymał się ze zgrzytem, a oni przepchnęli się do wyjścia i wyskoczyli.

– Teraz piechotą – oznajmił. Skręcił w boczną ulicę. Domy były tu mniejsze i trochę nowsze od domów w jej dzielnicy, ale też wysokie i ciemne. Wiele z nich miało kwadratowe drewniane ganki z filarami, pomalowane na szaro albo brudnobiało. Śnieg na trawnikach robił wrażenie bielszego. Minęli staruszkę, który odśnieżał chodnik, a zgrzyt łopaty rozlegał się dziwnie donośnie w spokojnym powietrzu. Były tu nadzwyczajne ilości kotów. Wyobraziła sobie zapach tej ulicy wiosną, kiedy śnieg stopnieje: ziemia, wschodzące rośliny, wilgotne drewno, gnijące liście z poprzedniego lata, zimowe pokłady po kotach, które wyobrażały sobie, że są takie czyste, wygrzebując dyskretne dołki w śniegu. Starzy ludzie będą wychodzić z łopatami przez szare drzwi, pochylać stare plecy w ogródkach i coś mozolnie zakopywać w ziemi. Wiosenne porządki: poczucie celu.

Przeszli przez ulicę i zaczęli schodzić po stromym zboczu. Nagle Duncan zerwał się do biegu, pociągając ją za sobą jak sanki.

– Stój! – krzyknęła przerażona siłą własnego głosu. – Ja nie mogę biec! – Wydało jej się, że gdy tak biegli, we wszystkich oknach

zafalowały niebezpieczne zasłony, jakby w każdym domu znajdował się jakiś surowy obserwator.

– Nie! – odrzyknął. – Uciekamy! Prędzej!

Szew pod pachą puścił. Wyobraziła sobie, jak jej czerwona suknia rozrywa się w locie na strzępy niczym pióra i opada na śnieg. Zbiegli z chodnika, pędzili ulicą w kierunku jakiegoś płotu. Była tam tablica z żółto-czarną szachownicą i napisem: „Uwaga!”. Przestraszyła się, że przebiją drewniany płot i przelecą przez niewidzialną krawędź w zwolnionym tempie, jak na filmowych ujęciach samochodów spadających ze skał, ale w ostatniej chwili przy końcu płotu Duncan gwałtownie skręcił i znaleźli się na wąskiej zwirowanej ścieżce między wysokimi nasypami. Wpadli na mostek u stóp wzgórza. Duncan zatrzymał się niespodziewanie, Marian poślizgnęła się i wpadła na niego.

Bolały ją płuca, kręciło jej się w głowie z nadmiaru powietrza. Opierali się o betonową barierkę mostu. Marian położyła łokcie na jej krawędzi i odpoczywała. Na wysokości oczu miała czubki drzew, płataninę gałęzi, których końce zgrubiałe od pąków żółkły już i czerwieniały.

– To jeszcze nie tu – odezwał się Duncan. Pociągnął ją za ramię. – Idziemy na dół. – Poprowadził ją na drugą stronę mostu. Biegła tam wydeptana ścieżka: ślady stóp, błotnisty szlak. Ostrożnie, krok za krokiem, spuszczała się na dół, stawiając stopy bokiem jak małe dziecko, które pokonuje schody. Z sopli wiszących pod mostem spadały na nich krople wody.

Kiedy znaleźli się na samym dole, na równej ziemi, Marian zapytała:

– To już tu?

– Jeszcze nie – odpowiedział. Zaczęli oddalać się od mostu. Marian miała nadzieję, że idą gdzieś, gdzie będzie można usiąść.

Znajdowali się w jednym z wąwozów przecinających miasto, ale nie wiedziała dokładnie gdzie. Chadzała na spacer do wąwozu, który było widać z okna jej salonu, ale ten był całkiem inny: wąski i głęboki, obrośnięty drzewami, które zdawały się przypinać pokrywą śniegu do stoku. Wysoko nad ich głowami, na krawędzi zbocza, bawiły się

dzieci. Dobiegały stamtąd ich przytłumione śmiechy, widać było czerwone i niebieskie kurtki.

Szli dalej gęsiego po śladach wyciśniętych w zamarzniętym śniegu. Przechodzili już tędy ludzie, kilka osób. Spozstrzegła też ślady końskich podków. Przed sobą widziała tylko pochylone plecy Duncana i jego stopy, które podnosiły się i opadały.

Pragnęła, żeby się odwrócił, chciała zobaczyć jego twarz. Jego płaszcz nic nie wyrażał, sprawiał, że czuła się nieswojo.

– Za chwilę usiadziemy – powiedział, odgadując jej myśli.

W zasięgu wzroku nie dostrzegła żadnego odpowiedniego miejsca. Przedzierali się teraz przez pole porośnięte wysokimi chwastami, których sztywne, suche łodygi drapały ich po twarzach. Rosły tu: dziewanna, oset, łopiany i szkielety anonimowych, zszarzałych roślin. Na łopianach wisały kępy brązowych rzepów, gdzie indziej sterczały wyblakłe, srebrne i spiczaste makówki, a poza tym nic nie zakłócało krzaczastej monotonii pola. Dalej z obu stron wznosiły się ściany wąwozu. Na górze pojawiły się teraz domy, rząd domów, przykucniętych na krawędzi, niebacznym na szczeliny powstałe z powodu erozji, znaczące zbocze jak nieregularne blizny. Strumyk zniknął w podziemnym kanale.

Marian obejrzała się za siebie. Wąwóz zakręcał, przechodziła przecież przez ten zakręt, ale go nie zauważyła; przed nimi był jeszcze jeden most, tym razem większy. Nie zatrzymywali się.

– Ładnie tu w zimie – usłyszała po chwili głos Duncana. – Przedtem byłem tu tylko w lecie. Wszystko rośnie, jest tu taki zielony gąszcz, że nic nie widać na metr, czasami nawet można spotkać trujący bluszcz. I pełno ludzi. Wałęsają się pijacy, śpią pod mostami, dzieciaki się bawią. Gdzieś niedaleko jest wypożyczalnia koni, zdaje się, że idziemy jedną z końskich ścieżek. Schodziłem w dół, bo tu jest chłodniej, ale pod śniegiem wygląda jeszcze lepiej. Nie widać śmieci. Bo to miejsce też zaczynają już zasypywać śmieciami, na razie od strony strumyka. Ciekawe, dlaczego oni tak lubią zaśmiecać krajobraz... stare opony, puszk... – Nie widziała jego ust, głos wydobywał się nie wiadomo skąd, spłaszczony odległością, przygłuszony, jakby niewyraźny, wchłaniany przez śnieg.

Znaleźli się w szerszym odcinku wąwozu, gdzie było mniej chwastów. Duncan zboczył ze ścieżki, zamarznięty śnieg załamywał się pod nim. Podążyła za nim. Brnęli z boczem niewielkiego pagórka.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział. Zatrzymał się, odwrócił i wyciągnął rękę, żeby przyciągnąć ją do siebie.

Zaparlo jej dech, cofnęła się mimo woli: stali na samym skraju urwiska. Ziemia urywała się gwałtownie tuż przed ich stopami, tworząc wielki okrągły dół ze ścieżką czy drogą opadającą spiralnie po jego ścianie aż na płaskie dno pokryte śniegiem. Dokładnie na wprost miejsca, gdzie się zatrzymali, oddzielony od nich ćwierćmilowym odcinkiem pustej przestrzeni, stał długi czarny barak. Wszystko wydawało się nieczynne i opuszczone.

– Co to jest? – zapytała.

– Cegielnia – odpowiedział. – Tam, na dole, jest czysta glina. Zjeżdżają na dół koparką i wybierają.

– Nie podejrzewałam, że w tych wąwozach może być coś takiego – powiedziała. Dostrzegła coś niestosownego w istnieniu tej dziury w mieście; wąwóz powinien ciągnąć się aż do końca. Dlatego białe dno dołu też wyglądało podejrzanie, nie dość solidnie; mogło być puste, zdradliwe, pokryte cienką warstwą lodu, która łatwo może się zapaść.

– O, tutaj jest mnóstwo ciekawych rzeczy. Jest tam gdzieś nawet więzienie.

Usiadł na krawędzi i nonszalancko machał nogami. Wyjął papierosa. Po chwili przykucnęła obok niego, chociaż nie ufała gruntowi. Mógł się zarwać. Oboje patrzyli w dół, w gigantyczną dziurę wykopaną w ziemi.

– Ciekawe, która godzina – odezwała się Marian. Przysłuchiwała się swoim słowom, otwarta przestrzeń pochłonęła jej głos.

Duncan nie odpowiedział. Dokończył papierosa w milczeniu, potem wstał, przeszedł wzdłuż krawędzi aż do miejsca, gdzie nie było chwastów, i położył się na śniegu. Wyciągnięty na ziemi i zapatrzonego w niebo wyglądał tak spokojnie, że podeszła bliżej, żeby zrobić to samo.

– Przeziębisz się – zauważył. – Ale kładź się, jak chcesz.

Położyła się obok na odległość wyciągniętej ręki. Tutaj nie wypadało leżeć zbyt blisko. Nad nimi rozciągało się niebo równomiernie białoszare, rozjaśnione światłem ukrytego gdzieś słońca.

Duncan przerwał milczenie.

– Więc dlaczegoż to nie możesz wracać? Przecież wychodzisz za mąż i tak dalej. Myślałem, że jesteś zaradna.

– Jestem – mruknęła niechętnie. – Byłam. Zresztą nie wiem. – Nie miała ochoty rozmawiać o tym.

– Można by powiedzieć, że wszystko to sobie ubzdurałaś.

– Wiem – powiedziała z niecierpliwością; nie była jeszcze taką zupełną idiotką. – Ale jak się tego pozbyć?

– To chyba oczywiste – odezwał się głos Duncana – że jestem ostatnią osobą, którą należy o to pytać. Mówią o mnie, że żyję w świecie fantazji. Ale przynajmniej te fantazje są mniej więcej moje, ja sam je wybieram i w pewnym sensie je lubię, czasami. A ty nie wyglądasz na zbyt zadowoloną ze swoich.

– Może powinnam pójść do psychiatry – zastanawiała się ponuro.

– Oj nie, nie rób tego. Oni zawsze chcą przystosowywać.

– Ale ja chcę być przystosowana, o to mi chodzi. Nie widzę sensu, żeby być nieprzystosowana. – Zauważyła także, że nie ma sensu zagłodzić się na śmierć. Zdała sobie sprawę, że to, na czym jej zależy, zredukowało się do zwyczajnego poczucia bezpieczeństwa. Pomyślała, że dążyła do tego przez wszystkie te miesiące, ale faktycznie wcale nie była bliższa celu. I nic nie osiągnęła. W tej chwili wydawało się, że jedynym konkretnym osiągnięciem jest Duncan. Tego mogła się trzymać.

Nagle zapragnęła upewnić się, że on jest, że nie znikł ani nie zapadł się pod białą powierzchnię. Musiała sprawdzić.

– Jak ci było w nocy? – zapytała. Jeszcze nic na ten temat nie powiedział.

– Co było? A, to. – Milczał przez chwilę. Słuchała pilnie, czekając na to, co powie, jak na głos wyroczni. W końcu powiedział: – Lubię to miejsce. Zwłaszcza teraz, w zimie, tak blisko zera absolutnego. Tu czuję się człowiekiem. Przez eliminację. Wcale nie byłoby mi dobrze na tropikalnych wyspach, są zbyt cielesne. Ciągłe bym się

zastanawiał, czy jestem chodzącym warzywem, czy gigantycznym gadem. Za to na śniegu jest się tak blisko nicości, jak to tylko możliwe.

Marian nie pojmowała. Co miało wspólnego jedno z drugim?

– Chciałabyś, żebym powiedział, że było wspaniale? – spytał. – Że dzięki temu wyszedłem ze skorupy? Że stałem się mężczyzną? Że to rozwiązało wszystkie moje problemy?

– No, nie wiem...

– Jasne, że chcesz, i mógłbym ci to powiedzieć. Lubię, kiedy ludzie biorą udział w moim wymyślonym życiu, i zazwyczaj jestem gotowy brać udział w ich życiu, do pewnego momentu. Dobrze było. Nie gorzej niż zwykle.

Aluzja wyszła gładko, jak po maśle. A więc nie była pierwsza. Rola wykrochmalonej pielęgniarki, którą chciała dla siebie zachować jako ostatnią deskę ratunku, rozmyła się niczym mokry kawałek gazety. To, co zostało z Marian, nie było w stanie wykrzesać nawet tyle energii, by wpaść w złość. Tak strasznie dała się nabrać. Powinna się była połapać. Ale gdy tak rozpamiętywała wpatrzona w puste niebo, przestało ją to nagle interesować. Była jeszcze i taka możliwość, że jego wyznanie jest takim samym oszustwem jak wiele poprzednich.

Usiadła i strzepała śnieg z rękawów. Teraz trzeba działać.

– No dobrze, wyszedł ci ten numer – odezwała się. Pozwoliła mu się zastanawiać, czy uwierzyła w to, co powiedział. – Teraz muszę postanowić, co dalej.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Mnie nie pytaj, to twoja sprawa. Wychodzi na to, że coś musisz zrobić. Samookaleczanie w próżni staje się w końcu nudne. Ale to jest twój własny ślepy zaułek, ty go wymyśliłaś, ty będziesz musiała znaleźć z niego wyjście. – Podniósł się.

Marian też wstała. Do tej pory zachowywała spokój, teraz ogarnęła ją rozpacz, przenikała jej ciało jak narkotyk.

– Duncan, może mógłbyś ze mną pójść i porozmawiać z Peterem? Ja chyba nie potrafię, nie wiem, co powiedzieć, on nie zrozumie...

– O, nie – powiedział. – Tak nie wolno. Mnie w tym nie ma. To przecież byłaby katastrofa. Dla mnie, oczywiście. – Splótł ramiona, trzymając się dłońmi za łokcie.

– Proszę cię – powtórzyła. Wiedziała, że odmówi.

– Nie, to nie byłoby w porządku. – Odwrócił się i patrzył na ślady ich ciał odcisnięte w śniegu. Potem wszedł na nie, najpierw na swój, potem na jej i kopał śnieg nogą. – Chodź – rzekł – pokażę ci, jak się stąd wydostać.

Ruszył przodem. Dotarli do drogi, która wspinała się w górę, a następnie opadała w dół. Pod nimi ciągnęła się szeroka autostrada, łagodnie wznosząca się ku górze, dalej widniał most, znajomy most z wagonami kolejki. Teraz już wiedziała, gdzie jest.

– Nie pójdziesz ze mną nawet do mostu? – zapytała.

– Nie. Trochę tu jeszcze zostanę. Ale ty już musisz iść. – Ton jego głosu wykluczył jej obecność. Odwrócił się i zaczął się oddalać.

Mijały ją rozpędzone samochody. Gdy znalazła się w połowie zbocza, jeszcze raz spojrzała za siebie. Spodziewała się, że Duncan wtopił się już w białą przestrzeń wąwozu, ale jego ciemna sylwetka wciąż odcinała się na tle śniegu, skulona na krawędzi i zapatrzona w pusty dół.

Marian przysłała do domu i walczyła właśnie z pomietą sukienką, usiłując odpiąć zamek, kiedy zadzwonił telefon. Wiedziała, kto dzwoni.

– Halo? – powiedziała.

Głos Petera wiał lodowatą złością.

– Marian, gdzie ty byłaś, do cholery?! Dzwonię wszędzie. – Chyba miał kaca.

– Och – odparła beztrąsko. – Byłam gdzie indziej. Wyszłam. Stracił panowanie nad sobą.

– Dlaczego, do cholery, wyszłaś z przyjęcia?! Naprawdę popsułaś mi cały wieczór. Potrzebowałem cię do tego grupowego zdjęcia, a ciebie nigdzie nie było. Oczywiście nie mogłem robić z tego wielkiej sprawy w obecności tylu osób, ale kiedy wyszli, wszędzie cię szukałem. Wsiadliśmy do samochodu z twoją przyjaciółką Lucy i jeździliśmy po mieście, bez przerwy dzwoniliśmy do ciebie, tak się o ciebie martwiliśmy. To bardzo ładnie z jej strony, że się tak fatygowała, przyjemnie wiedzieć, że istnieją jeszcze jakieś rozważne kobiety...

Jasne, że przyjemnie, pomyślała Marian, ukłuta nagle żądłem zazdrości, kiedy przypomniła sobie srebrne powieki Lucy. Ale głośno powiedziała:

– Peter, nie denerwuj się, proszę. Po prostu wyszłam, żeby odetchnąć świeżym powietrzem i wtedy wynikło coś nieprzewidzianego. Nie ma powodu, żeby się denerwować. Nic złego mi się nie stało.

– Co ty opowiadasz?! Jak ja mam się nie denerwować! – krzyczał. – Nie powinnaś pętać się w nocy po ulicach. Jeszcze cię ktoś zgwałci! Jak już musisz się tak zachowywać, a nie zdarzyło się to po raz pierwszy, to czy nie możesz czasami pomyśleć o innych? Mogłaś mi chociaż powiedzieć, gdzie jesteś. Dzwonili twoi rodzice przerażeni, że nie przyjechałaś tym autobusem, i co ja miałem im powiedzieć?

Ach, rzeczywiście. Zapomniała o tym.

– Nic mi nie jest. Czuję się doskonale.

– Ale gdzie byłaś? Kiedy zauważyliśmy, że wyszłaś, zacząłem dyskretnie pytać ludzi, czy cię widzieli, i wtedy usłyszałem niezłą historyjkę od tego królewicza z bajki, tego twojego przyjaciela Trevora, czy jak mu tam. Kto to jest ten facet, o którym mi mówił, co?

– Proszę cię, Peter – powiedziała. – Nie lubię rozmawiać o takich sprawach przez telefon. – Nagle poczuła przemożną chęć opowiedzenia mu wszystkiego, ale co by to dało, skoro i tak niczego nie dowiodła, niczego nie osiągnęła. Zamiast tego zapytała: – Która godzina?

– Druga trzydzieści – odpowiedział tonem zneutralizowanym przez ten zaskakująco prosty fakt.

– Posłuchaj, wpadnij trochę później. Może o wpół do szóstej. Na herbatę. I wtedy porozmawiamy. – Starła się, żeby jej głos brzmiał słodko i pojednawczo. Była świadoma swej przebiegłości. Chociaż jeszcze nie podjęła żadnej decyzji, czuła, że jest tego bliska i że potrzebuje tylko trochę czasu.

– No, dobrze – zgodził się zrzędliwie. – Ale herbata ma być dobra.

Odłożyli słuchawki jednocześnie.

Poszła do pokoju, rozebrała się, zeszła na dół i wzięła kąpiel. Niższe piętra pogrążone były w ciszy; ta z dołu zapewne rozpamiętywała w swojej ciemnej norze albo modliła się o szybką śmierć Ainsley od uderzenia pioruna. Marian czuła w sobie narastanie radosnego buntu, nie umyła więc po sobie wanny.

Potrzebowała czegoś, co obyłoby się bez słów. Nie chciała się zaplątać w żadną dyskusję. Coś podpowiadało jej, że tylko jedna rzecz może być prawdziwa: jakiś test, prosty i bezpośredni jak papierek lakmusowy. Skończyła się ubierać – najstosowniej wypadnie skromna, szara wełna – włożyła płaszcz, odszukała swą codzienną torebkę i przeliczyła pieniądze. Przeszła do kuchni i usiadła przy stole, żeby zrobić listę zakupów, ale po napisaniu kilku słów odłożyła ołówki. Wiedziała, co kupić.

R

W sklepie przechodziła metodycznie od półki do półki i bezlitośnie wyprzedzając paniusie w pizmakach, spychając pod ściany dzieci, sprawnie wrzucała zakupy do wózka. Jej wizja nabierała kształtu.

Jajka. Mąka. Cytryny dla smaku, wanilia, sól, barwniki. Chciała, żeby wszystko było nowe; nie powinna używać niczego, co już było w domu. Czekolada – nie, lepsze będzie kakao. Szklana fiolka ze srebrnymi kulkami do dekoracji. Trzy plastikowe miseczki, łyżeczki, aluminiowy przyrząd do dekorowania tortu i forma do ciasta. Jak to dobrze, pomyślała, że sprzedają w tych sklepach prawie wszystko. Powędrowała do domu, niosąc papierową torbę.

R

Krucze czy biszkopt?, zastanawiała się. Wybrała biszkopt. Lepiej pasował.

Włączyła piecyk. Tej części kuchni nie zaatakowała jeszcze pełzająca, liszajowata powłoka brudu, głównie dlatego, że ostatnio nie używały jej zbyt często. Zawiązała fartuch, opłukała nowe miseczki i inne nowe utensylia pod kranem, ale nie tknęła żadnego z brudnych naczyń. Nie teraz. Teraz nie ma czasu. Wszystko wytarła. Zaczęła rozbijać i oddzielać jajka niemal bezmyślnie, całą uwagę skupiając na ruchach rąk, a potem, przy ubijaniu, przesiewaniu i mieszaniu, na przepisie. Biszkopt wymaga lekkiej ręki. Wylała ciasto do formy i przejechała po nim widelcem, żeby przekłuć duże bąble powietrza. Kiedy wkładała formę do piekarnika, miała ochotę nucić z zadowolenia. Strasznie dawno nie piekła.

Ponownie umyła miski i przyrządziła lukier. Najlepszy będzie zwyczajny. Podzieliła go na trzy części, rozlewając do trzech misek. Największą porcję pozostawiła białą, drugą kupionym w sklepie barwnikiem zrobiła na kolor jaskraworóżowy, prawie czerwony, a ostatnią wymieszała z kakao.

Na czym ją położyć?, zastanawiała się, gdy już wszystko było gotowe. Będę musiała coś umyć. Wygrzebała podłużną drewnianą tacę spod sterty talerzy w zlewie i starannie ją wyszorowała. Zużyła sporo płynu do naczyń, żeby usunąć brud.

Sprawdziła ciasto – było gotowe. Wyjęła je z piecyka i położyła do góry nogami, żeby ostygło.

Cieszyła się, że nie ma Ainsley; nie życzyła sobie, by ktokolwiek się wtrącał do tego, co miała zamiar zrobić. Właściwie wyglądało na to, że Ainsley jeszcze nie wróciła do domu. Nigdzie nie było zielonej sukienki.

W jej pokoju na łóżku leżała otwarta walizka, jak ją zostawiła poprzedniego wieczoru. Na wierzchu walizki piętrzyły się różne drobiazgi, jakby wciągnął je tam jakiś wir. Marian zastanowiła się w przelocie, w jaki sposób Ainsley wepchnie tę rozrzuconą zawartość pokoju do czegoś tak ograniczonego i kanciastego jak komplet walizek.

Ciasto stygło, ona zaś poszła do pokoju i poprawiła włosy; zaciesała je do tyłu i spięła, żeby się pozbyć resztek fryzjerskiego dzieła. Kręciło się jej w głowie. To chyba z niewyspania i głodu. Uśmiechnęła się do lustra, pokazując zęby.

Ciasto stygło za wolno, ale postanowiła nie wstawiać go do lodówki. Przesiąkłoby zapachami. Wyjęła je z formy i postawiła na zaśnieżonym parapecie. Wiedziała, co się stanie, gdy poleje ciepłe ciasto – wszystko spłynie.

Zastanawiała się, która może być godzina. Zegarek ciągle leżał tam, gdzie położyła go poprzedniego wieczoru, na toaletce, ale zatrzymał się. Nie chciała włączać tranzystora Ainsley, by się nie rozpraszać. Już i tak zaczynała się denerwować. Kiedyś był taki numer telefonu, pod który można było zadzwonić... Ale przecież musi się spieszyć.

Zdjęła ciasto z parapetu, dotknęła, by sprawdzić, czy wystygło, i postawiła na stole. Wzięła się do roboty. Za pomocą dwóch widelców podzieliła je na pół. Jedną część położyła na tacy. Wygarnęła trochę ze środka i ulepiła głowę. Następnie po bokach wyskubała talię. Z drugiej połowy poodzierała paski na ręce i nogi. Gąbczaste ciasto było plastyczne, dawało się łatwo urabiać. Poprzyklejała wszystkie członki białym lukrem, rozprowadzając resztę po powierzchni całej postaci, która miejscami była nierówna, miała dużo okruchów na skórze. Ale cóż to szkodzi. Stopy i kostki usztywniła wykałaczkami.

Leżało teraz przed nią nagie, białe ciało. Wyglądało na talerzu trochę nieprzyzwoicie: miękkie, słodkie i gładkie. Zajęła się ubraniem go, napełniając przyrząd do dekoracji ciast różową polewą. Najpierw ubrała je w bikini, ale wyszło jakoś skąpo. Zamalowała brzuch. Teraz był to zwyczajny kostium kąpielowy. Nie o to jej jednak chodziło. Powiększyła go, dodała trochę na górze i na dole, aż w końcu wyszła sukienka. W przypiływie fantazji dodała koronkę pod szyją i u dołu sukienki. Domalowała uśmiechnięte, mocno różowe

usta i bućki takiego samego koloru. Na koniec na kaźdej amorficznej ręce namalowała pięć różowych paznokci.

Ciasto wyglądało dziwnie z samymi ustami, bez włosów i bez oczu. Umyła dekorator i napełniła polewą czekoladową. Narysowała nos, dwoje dużych oczu, gęste rzęsy i brwi. Dodała kreskę, żeby wyraźniej oddzielić jedną nogę od drugiej, to samo między ramionami a resztą ciasta. Włosy zabrały więcej czasu. Składały się z masy barokowych zawijasów i zwojów ułożonych wysoko nad czołem i opadających na ramiona.

Oczy ciągle były puste. Zdecydowała, że będą zielone – do wyboru miała jeszcze czerwony i żółty, bo kupiła tylko takie barwniki, więc nałożyła wykałaczką dwie tęczówki.

Należało tylko dodać srebrne kulki. Włożyła po jednej do kaźdego oka jako źrenice. Teraz kobieta wyglądała jak wykwinćna, stara figurka porcelanowa. Przez moment pożałowała, że nie kupiła świeczek urodzinowych. Ale gdzie je wstawić? Nie widziała na nie miejsca. Dzieło było już kompletne.

Patrzyło na nią pustą twarzą lalki. Tylko w zielonych oczach tliły się iskierki inteligencji. Przygotowując ciasto, czuła radosne podniecenie, ale patrząc na tę damę, zamyśliła się. Tyle pracy w nią włożyła, a jaki los ją czeka?

– Wyglądasz ślicznie – przemówiła do niej. – Bardzo apetycznie. I właśnie dlatego czeka cię taki koniec, za to, że jesteś jedzeniem. – Na myśl o jedzeniu poczuła skurcz żołądka. Zrobiło jej się trochę żal tego stworzenia, ale nie miała innego wyjścia. Los lalki był już przesądzony. Na schodach rozległy się właśnie kroki Petera.

Przez moment Marian uświadomiła sobie swą monumentalną głupotę: jej zachowanie wydałoby się infantylne i niepoważne kaźdemu racjonalnie myślącemu obserwatorowi. Co za głupia zabawa. Ale przecież nie o to chodzi, tłumaczyła sobie nerwowo, odgarniając kosmyk włosów. Jeżeli Peter uzna, że jest głupia, ona mu uwierzy, przystanie na to, on zacznie się śmiać, a potem usiądą i będą w milczeniu pili herbatę.

Kiedy Peter wynurzył się ze schodów, Marian posłała mu uroczystry uśmiech. Przybrał pochmurny wyraz twarzy, brodę wysunął do przodu, co miało oznaczać, że ciągle jest zły. Ubrany był odpowiednio

do stanu ducha: w poważny garnitur szyty na zamówienie i krawat w tonacji posępnych brązów.

– Powiedz mi, co to wszystko... – zaczął.

– Peter, przejdź, proszę, do salonu i usiądź. Mam dla ciebie niespodziankę. A potem, jeżeli chcesz, porozmawiamy. – Znowu uśmiechnęła się do niego.

Dał się zaskoczyć i rozchmurzył czoło; zapewne spodziewał się nieporadnych przeprosin. Zrobił, o co prosiła. Przez chwilę stała w drzwiach, patrząc niemal z czułością na tył jego głowy, widoczny ponad oparciem kanapy. Teraz, kiedy znowu go widzi, tego prawdziwego Petera, jak zawsze solidnego, lęki poprzedniego wieczoru skurczyły się do rozmiarów niemądrej hysterii, a ucieczka do Duncana stała się głupim unikiem. Nawet nie bardzo pamiętała, jak on wygląda. Przecież Peter nie był wrogiem, był normalną istotą ludzką, jak większość ludzi. Chciała dotknąć jego karku, powiedzieć mu, żeby się nie gniewał, że wszystko będzie dobrze. To Duncan jest mutantem.

Dostrzegła jednak coś niepokojącego w jego ramionach. Siedział chyba z rękami założonymi na piersi. Ta twarz po drugiej stronie głowy może należeć do byle kogo. Oni wszyscy nosili ubrania z naturalnych włókien i mieli prawdziwe ciała: ci z gazet, ci jeszcze nieznanymi, oczekujący na okazję, żeby wycelować z okna górnego piętra. Codziennie mija się ich na ulicy. Łatwo było po południu widzieć w nim człowieka normalnego i niegroźnego, ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Cena tej drugiej wersji rzeczywistości poddawała próbie pierwszą.

Wyszła do kuchni i wróciła, trzymając przed sobą tacę, ostrożnie i z szacunkiem, jakby niosła coś świętego na procesji, święty obraz, albo w teatrze koronę na poduszce. Przyklękła i postawiła tacę przed Peterem na stoliku do kawy.

– Chcesz mnie zniszczyć, prawda? – powiedziała. – Chcesz mnie wchłonąć? Ale ja przygotowałam dla ciebie substytut, coś, co ci się o wiele bardziej spodoba. O to ci przecież zawsze chodziło, prawda? Przyniosę ci widelczyk – dodała nieco banalnie.

Peter wpatrywał się w ciasto, potem w nią i znowu w ciasto. Nie uśmiechał się.

Na jego twarzy malowało się przerażenie. Chyba jednak nie pomyślał, że jest głupia.

R

Kiedy już wyszedł – a wychodził pospiesznie, choć właściwie wcale nie rozmawiali; był chyba zażenowany; tak bardzo chciał wyjść, że nawet nie wypił herbaty – stała, patrząc na kobietę z ciasta. Więc jednak jej nie pożarł. Jako symbol niewątpliwie zawiodła. Spoglądała na Marian srebrnymi oczami – enigmatyczna, drwiąca, smakowita.

Naraz Marian poczuła głód. Straszny głód. Ciasto jest przecież tylko ciastem. Wzięła tacę, zaniósła do kuchni, poszukała widelca.

– Zacznę od nóg – postanowiła.

Zadumała się nad pierwszym kęsem. Dziwne uczucie – kosztować, gryźć i połykać na nowo. Niezłe, chociaż mogłoby być trochę więcej cytryny, pomyślała krytycznie.

Tę część jej osobowości, która nie była zajęta jedzeniem, ogarnęła już fala tęsknoty za Peterem jak za minioną modą, która zaczyna pojawiać się na smutnych wieszakach w sklepach Armii Zbawienia. Widziała go oczami duszy, upozowanego beztrosko w głębi eleganckiego salonu ze świecznikami i draperiami, odzianego nieskazitelnie, ze szklanką szkockiej w dłoni. Opiera nogę na głowie wypchanego lwa, na oku ma przepaskę, za pasem rewolwer. Wokół szlaczek w złote esy-floresy, a tuż nad uchem pinezka. Oblizwała widelec w zamyśleniu. Na pewno zrobi karierę.

Była w połowie nóg, kiedy usłyszała kroki na schodach: dwie pary stóp. W drzwiach kuchni pojawiła się Ainsley, za nią kudłata głowa Fischera Smythe'a. Turkusowa sukienka Ainsley, którą ciągle jeszcze miała na sobie, była mocno sfatygowana. Właścicielka też nie wyglądała najlepiej. Jej twarz robiła wrażenie wymizerowanej, a jej brzuch w ciągu minionej doby znacznie się zaokrąglił.

– Cześć – przywitała ich Marian, machając widelcem. Nadziała kawałek różowego uda i włożyła do ust.

Przy końcu schodów Fischer oparł się o ścianę i zamknął oczy, ale Ainsley skupiła uwagę na niej.

– Marian, co ty tam masz? – Podeszła bliżej. – Kobieta... kobieta z ciasta! – Rzuciła Marian podejrzliwe spojrzenie.

Marian przeżuła i przełknęła.

– Poczęstuj się – zaproponowała. – Naprawdę dobre. Zrobiłam po południu.

Usta Ainsley otwarły się i zamknęły jak u ryby, jakby chciała przełknąć naraz całą symbolikę tego, co ujrzała.

– Marian! – krzyknęła w końcu z przerażeniem. – Ty odrzucasz swoją kobiecość!

Marian przestała żuć i podniosła wzrok na Ainsley, która spoza zasłony opadających na twarz włosów przyglądała się jej z bolesnym niepokojem, może nawet z surowością. Skąd u niej nagle ta urażona duma, ta przejmująca powaga? Wyrażała niemal taką samą żarliwość moralną jak ta z dołu.

Marian spojrzała na tacę. Kobieta leżała z tym samym szklistym uśmiechem na twarzy, tyle że bez nóg.

– Bzdura – szepnęła. – To tylko ciasto. – Wbiła widelec w martwe ciało, zręcznie oddzielając głowę od tułowia.

CZĘŚĆ
TRZECIA

Robiłam porządki. Przez dwa dni zbierałam siły, żeby się do tego zabrać. Musiałam sprzątać warstwa po warstwie. Najpierw warstwa wierzchnia. Zaczęłam od pokoju Ainsley i powrzucałam do kartonów wszystko, co po niej zostało: do połowy puste słoiki z kosmetykami i zużyte szminki, stertę starych gazet i pism z podłogi, wyschniętą skórkę od banana, którą znalazłam pod łóżkiem, ubrania, których nie zabrała. Do tych samych kartonów wepchnęłam także wszystkie moje rzeczy przeznaczone do wyrzucenia.

Kiedy podłogi i meble były już puste, odkurzyłam wszystko, nawet gzymsy, belki nad drzwiami i parapety. Potem wzięłam się do podłóg: zamiotłam, wyszorowałam i zapastowałam. Ilość zeszkrobanego brudu była zdumiewająca – jakbym odkryła nową podłogę. Potem umyłam naczynia i uprałam frankę z kuchni. Zrobiłam przerwę na obiad. Potem wzięłam się do lodówki. Nie przyglądałam się z bliska obrzydliwościom, jakie nagromadziły się w jej wnętrzu. Wystarczyło popatrzeć na słoiczki pod światło, żeby nie chcieć ich otwierać. W środku, w zależności od podłoża, pleniły się różne włoski, futerka i piórka; mogłam sobie wyobrazić ten zapach. Ostrożnie włożyłam je do worka na śmieci. Na zamrażalnik rzuciłam się z siekierką do lodu, ale chociaż warstwa z wierzchu wyglądała jak gąbka pokryta mchem, lód pod spodem był twardy jak skała, więc zostawiłam wszystko, żeby trochę odtajało, zanim znowu spróbuję to rozkruszyć albo oderwać.

Właśnie zaczęłam myć okna, kiedy zadzwonił telefon. Był to Duncan. Nie spodziewałam się go, już prawie o nim zapomniałam.

– No i co? – spytał. – Co się wydarzyło?

– Wszystko odwołane – odpowiedziałam. – Zirytowałam się, że Peter chciał mnie zniszczyć. Więc szukam teraz nowej pracy.

– O! – zdziwił się Duncan. – Właściwie nie to miałem na myśli. Bardziej interesuje mnie Fischer.

– Aha – odparłam. – Mogłam się tego spodziewać.

– To znaczy, domyślałam się, co zaszło, ale nie rozumiem dlaczego. On, widzisz, porzucił swoje obowiązki.

– Obowiązki? To znaczy uczelnię?

– Nie – odparł Duncan. – To znaczy mnie. Co mam robić?

– Nie mam zielonego pojęcia – odpowiedziałam. Zirykowałam się, że nie chce rozmawiać o mnie. Teraz, kiedy znowu myślałam o sobie w pierwszej osobie liczby pojedynczej, zauważyłam, że moja sytuacja jest o wiele ciekawsza niż jego.

– Dobrze, już dobrze – ciągnął Duncan. – Ale nie możemy oboje tak się zachowywać. Któraś z nas musi być współczującym słuchaczem, a drugie tym udręczonym i skołowanym. Ostatnio ty byłaś udręczona i skołowana.

Nie zaprzeczaj, pomyślałam, bo nie wygrasz.

– No dobrze. To może wpadnij na herbatę za jakiś czas. Na razie mam tu okropny bałagan – dodałam gwoli usprawiedliwienia.

Kiedy przyszedł, kończyłam okna – stałam na krześle i ścierałam biały płyn do mycia szyb. Nie myłyśmy ich bardzo długo i osiadła na nich spora warstwa brudu. Jakie to dziwne uczucie, pomyślałam, znowu móc patrzeć przez nie. Martwiło mnie, że zostało jeszcze trochę brudu na zewnątrz, tam, gdzie nie mogłam sięgnąć – sadza i zacieki od deszczu. Nie słyszałam, jak wchodził. Pewnie przez jakiś czas stał w pokoju i przyglądał mi się, nim oznajmił swoje przybycie, mówiąc:

– Jestem.

Podskoczyłam.

– Ach! Cześć! – powiedziałam. – Już idę do ciebie. Skończę tylko to okno.

Odszedł w stronę kuchni.

Po raz ostatni wytarłam okno rękawem oderwanym od jednej z bluzek porzuconych przez Ainsley i zeszłam z krzesła trochę niechętnie – jak już coś zacznę, to lubię skończyć, a jeszcze zostało mi kilka nieumytych szyb, poza tym perspektywa omawiania życia uczuciowego Fischera Smythe'a nie była znowu tak pociągająca – i udałam się do kuchni. Duncan siedział na krześle i przyglądał się otwartym drzwiom lodówki z wyrazem niesmaku i niepokoju na twarzy.

– Co tu tak śmierdzi? – zapytał, wciągając powietrze.

– O, różne rzeczy – rzuciłam beztrąsko. – Pasta do podłóg, płyn do okien i parę innych. – Otworzyłam okno. – Herbata czy kawa?

– Obojętne – odparł. – No więc, jak to jest naprawdę?

– Wiesz chyba, że się pobrali. – Łatwiej zrobić herbatę, ale po pobieżnym przeszukaniu półek nie znalazłam żadnej paczki. Odmierzyłam kawę do ekspresu.

– No, tak jakby. Fish zostawił nam dość tajemniczy list. Ale jak do tego doszło?

– A jak zazwyczaj do tego dochodzi? Poznali się wtedy na przyjęciu – powiedziałam. Włączyłam ekspres i usiadłam. Miałam ochotę potrzymać go w niepewności, ale już zaczynał się obrażać. – Jasne, że są pewne komplikacje, ale myślę, że jakoś to będzie.

Ainsley przyszła poprzedniego dnia po kolejnej przedłużającej się nieobecności i spakowała walizki, a Fischer czekał w salonie z głową odrzuconą do tyłu na oparciu kanapy, z brodą obficie nastroszoną, z zamkniętymi oczyma. Z kilku zdań, które rzuciła mi w biegu, zrozumiałam, że miesiąc miodowy spędzą w Niagara Falls i że ona uważa, że Fischer będzie, jak to ujęła, bardzo dobry.

Wyjaśniłam to wszystko Duncanowi, jak umiałam najlepiej. Wyglądało na to, że ani go to nie przeraziło, ani nie uradowało, ani nie zaskoczyło.

– No tak – podsumował. – Pewnie to dobrze dla Fischera. Ludzkość nie znosi nadmiaru moralności. Trevor bardzo to przeżywa. Położył się z migreną i nie wstaje, nawet żeby gotować. To wszystko oznacza, że będę musiał się wyprowadzić. Słyszałaś zapewne, jak destruktywnie działa rozbita rodzina, a ja nie chciałbym, żeby moja osobowość uległa wypaczeniu.

– Mam nadzieję, że Ainsley wyjdzie to na dobre. – Naprawdę miałam taką nadzieję. Cieszyłam się, że podtrzymała moją zabobonną wiarę w jej umiejętność radzenia sobie w życiu; był moment, że zaczęłam w to wątpić. – Przynajmniej dostała to – zauważyłam – co wydawało jej się potrzebne, i myślę, że to już jest dużo.

– Znowu sam jak palec na tym świecie – mówił Duncan w zadumie. Obgryzał kciuk. – Ciekawe, co się ze mną stanie. – Nie wyglądał na zbyt zainteresowanego tym problemem.

Wzmianka o Ainsley sprawiła, że pomyślałam o Leonardzie. Kiedy dowiedziałam się o jej zamażpójściu, zadzwoniłam do Clary, żeby powiedziała Lenowi, że już może wyjść z ukrycia.

– Bardzo się martwię – wyznała, telefonując do mnie po pewnym czasie – bo wcale mu to nie przyniosło ulgi. Myślałam, że od razu przeniesie się do siebie, ale on nie chce. Boi się wyjść z domu, jest całkiem szczęśliwy, dopóki przebywa w pokoju Arthura. Dzieci go uwielbiają i muszę przyznać, że to bardzo miło mieć kogoś, kto może się nimi zająć, tylko problem polega na tym, że on się bawi wszystkimi zabawkami Arthura i czasami wybuchają kłótnie. I wcale nie chodzi do pracy, nawet nie zadzwonił, żeby im powiedzieć, gdzie jest. Jak tak dalej pójdzie, to nie wiem, jak dam sobie radę. – Mimo wszystko odniosłam wrażenie, że radzi sobie lepiej niż zazwyczaj.

Z wnętrza lodówki wydobył się głośny, metaliczny szczęk. Duncan drgnął i wyjął palec z ust.

– Co to?

– Pewnie kawałek lodu – odparłam. – Rozmrażam lodówkę.

Zapachniało kawą. Postawiłam na stole dwie filiżanki i nalałam.

– Zaczęłaś jeść? – zapytał Duncan po chwili milczenia.

– Jakbyś zgadł – odpowiedziałam. – Na obiad zjadłam befsztyk – dorzuciłam powodowana dumą. Ciągle nie mogłam uwierzyć, że odważyłam się na coś takiego i że mi się to udało.

– No tak, tak jest znacznie zdrowiej – zauważył Duncan. Spojrzał mi prosto w oczy, po raz pierwszy, odkąd przyszedł. – Lepiej wyglądasz. Wesoło i jakoś optymistycznie. Jak to zrobiłaś?

– Już ci mówiłam przez telefon.

– Że Peter chciał cię zniszczyć?

Przytaknęłam.

– To absurd – stwierdził z powagą. – On wcale nie chciał cię zniszczyć. Sama to sobie wymyśliłaś. To ty chciałaś zniszczyć jego.

Zrobiło mi się słabo.

– Naprawdę? – spytałam.

– Spójrz w głąb swego serca. – Patrzył na mnie hipnotycznym wzrokiem spoza opadających włosów. Wypił łyk kawy, zrobił pauzę,

żeby dać mi czas, i dodał: – Ale tak naprawdę to wcale nie Peter. To ja. Ja chciałem cię zniszczyć.

Parsknęłam nerwowym śmiechem.

– Nie mów.

– Tak jest – powiedział. – Zawsze do usług. Może to Peter chciał zniszczyć mnie, a może ja jego albo obaj chcieliśmy się zniszczyć nawzajem. Co ty na to? Ważne, że wróciłaś na łono tak zwanej rzeczywistości, że jesteś konsumentką.

– Właśnie – przypomniałam sobie. – Może masz ochotę na ciasto? – Zostało jeszcze pół tułowia i głowa.

Skinął głową. Podałam mu widelec i zdjęłam resztki zwłok z półki, gdzie je przedtem odstawiałam. Odwinęłam celofanowy całun.

– To przede wszystkim głowa – wyjaśniłam.

– Nie wiedziałem, że umiesz piec ciasto – powiedział, przełknąwszy pierwszy kawałek. – Prawie tak dobre jak Trevora.

– Dziękuję – odparłam skromnie. – Lubię gotować w wolnych chwilach.

Siedziałam i patrzyłam, jak ciasto znika; najpierw uśmiechnięte różowe usta, potem nos, potem oko. Przez chwilę z całej twarzy pozostało tylko jedno zielone oko; potem i ono znikło jak mrugnięcie. Zaczął pochłaniać włosy.

Czułam dziwną przyjemność, patrząc, jak Duncan je – moja praca nie poszła jednak na marne – mimo że ciasto znikało bez okrzyków zachwyty, nawet bez żadnego konkretnego wyrazu twarzy. Uśmiechnęłam się do niego serdecznie.

Nie odwzajemnił uśmiechu, był zajęty jedzeniem.

Nabrał na widelec ostatni czekoladowy lok i odsunął talerz.

– Dziękuję – powiedział, oblizując się. – Pyszne było.

Przypisy

- [1] Szkandela – ogrzewacz do pościeli (przypisy pochodzą od tłumaczki).
- [2] Moose (ang.) – łoś.
- [3] Gingerale – gazowany napój imbirowy.
- [4] Święto Pracy – w Kanadzie pierwszy poniedziałek września.

Spis treści

Dedykacja

Motto

Wstęp

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

CZĘŚĆ DRUGA

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

CZĘŚĆ TRZECIA

31

Przypisy

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
THE EDIBLE WOMAN

Projekt okładki
Karolina Żelazińska

Korekta
Jadwiga Piller

Copyright © by O.W. Toad Ltd., 2022
Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Golewska-Stafiej, 2022
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2022

ISBN 978-83-8032-821-1



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

Odwiedź
nas na 

Konwersja: [eLitera s.c.](#)